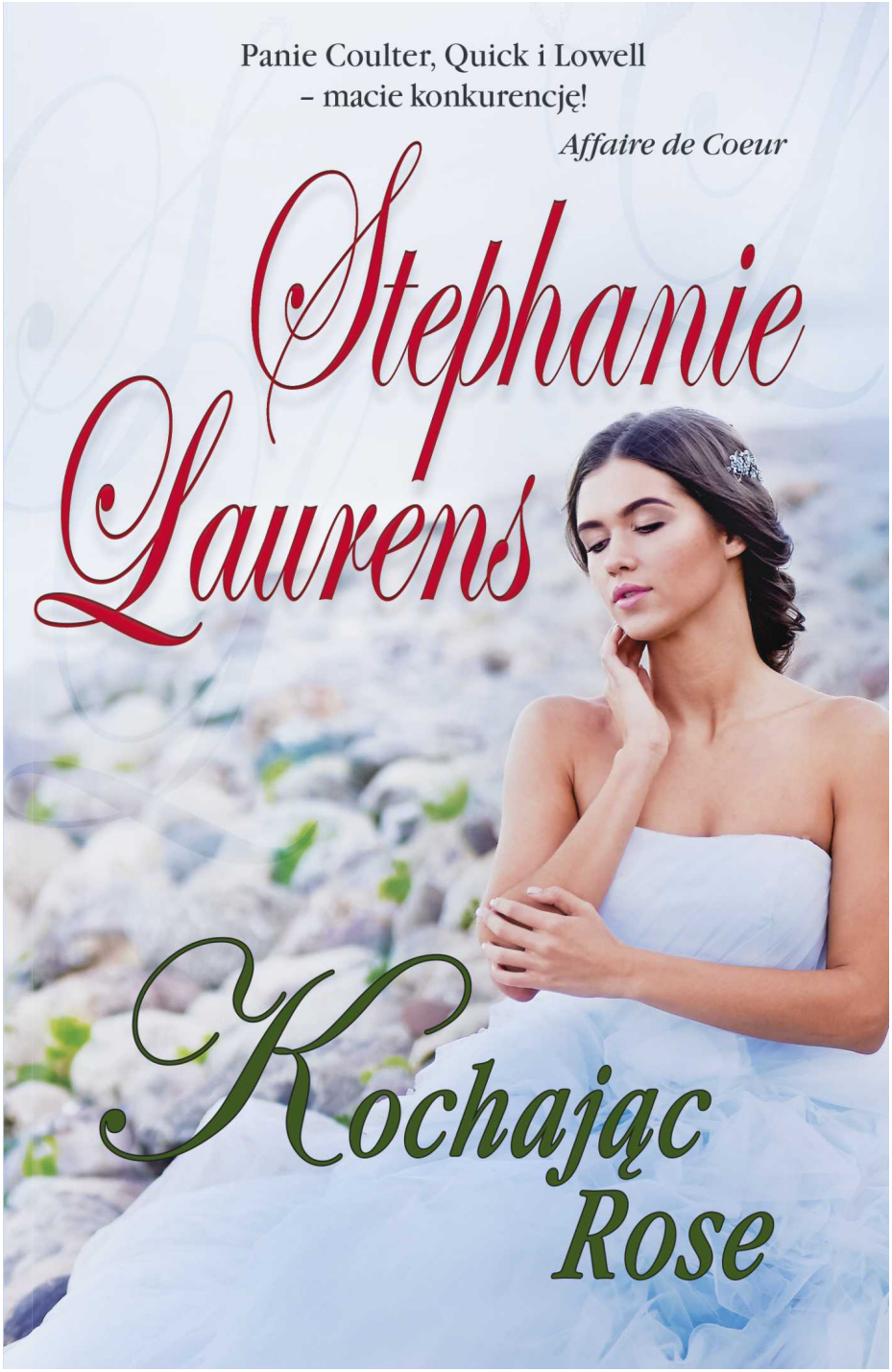
Panie Coulter, Quick i Lowell
– macie konkurencję!

Affaire de Coeur

Stephanie Laurens



Kochając Rose

Stephanie Laurens

Kochając Rose

przełożyła
Magdalena Sikorska

bis

Warszawa 2016

Tytuł oryginału: *Loving Rose: The Redemption of Malcolm Sinclair*

Projekt okładki: Karandasz

Copyright © 2014 by Savdek Management Proprietary Ltd.
Published by arrangement with HarperCollins Publishers
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2016

ISBN 978-83-7551-512-1

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, fax 22 837-10-84

e–mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej



konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17

PROLOG

1833, wybrzeże zatoki Bridgewater,
hrabstwo Somerset

Ból.

Rozdzierający, uporczywy, ścierał mu zmysły i płonącymi szponami rwał mózg na strzępy. Agonia paliła, oślepiająco jasna, kolejne błyskawice pustoszyły go, wypleniając wszelką zdolność myślenia, wszelką wiedzę – nawet pamięć.

Śmierć.

Wybrał ją, zaakceptował – i witał.

Musiał odcierpieć swoje w drodze do piekła.

Tortury nie były większe, niż na to zasługiwał.

Nie mógł się poruszyć, nie umiał stwierdzić, czy w ogóle nadal posiada ciało, czy nadal je zamieszkuje.

Wątła nitka trzymająca jego umysł na uwięzi pękła, świadoma myśl umknęła poza jego zasięg jak niesiona wiatrem wstążka.

Stopniowo, maltretowane gwałtownymi atakami uporczywego bólu, zmysły także zaczęły go zawodzić. Zacinać się. A potem…

Przed nim leżało zapomnienie, pustka, w którą się zanurzał.

Dalej były ognie piekielne, wieczne potępienie.

Czekał.

*

– Bracie Rolandzie, brat tu spojrzy!

Tłumiąc westchnienie, Roland, infirmarz klasztoru w Lilstock, wyprostował się znad gmatwaniny wodorostów, w której akurat grzebał. Jak zwykle o tej porze roku, zabrał ze sobą najmłodszych nowicjuszy, żeby pomogli mu zebrać lecznicze dary, hojnie dostarczane przez morze. Cieszył się z tej pomocy w cotygodniowym kieracie, choć niekiedy się zastanawiał, czy korzyści istotnie przeważają nad kosztami; najmłodsi nowicjusze nader łatwo się rozpraszali.

Przekonany, że będzie musiał zająć się problemem zbłąkanej owcy lub zidentyfikować rzadkiego ptaka, Roland popatrzył wzdłuż plaży.

Zobaczył jedynie, że stadko nowicjuszy gramoli się ochoczo po wydmach w stronę skotłowanego kłębu mokrych szmat, wyplutego przez morze na szorstki piasek.

Roland skoncentrował się na szmatach. Spędził w klasztorze nad zatoką na wschodnim wybrzeżu Kanału Bristolskiego ostatnie dziesięć lat – od razu rozpoznał, czym jest ów kłąb.

– Czekajcie!

Na jego gromką komendę chłopcy natychmiast się zatrzymali. Żaden nie znalazł się bliżej niż dwadzieścia pięć kroków od ciała. Zwrócili ku Rolandowi skonfundowane

twarze.

Zignorował ich. Habit mu trzepotał, kiedy schodził szybko z wydmy, na której dotąd pracował. Aby chronić niewinność chłopców, wolał zobaczyć ciało pierwszy. Bóg jeden wiedział, w jakim znajdowało się stanie.

Kanał Bristolski był jedną z najruchliwszych tras żeglugowych na świecie. Kapitanowie musieli pogrzebać zmarłych, nim zawinęli do portu w Bristolu, a sztormy niekiedy uniemożliwiały pochówek na otwartym morzu. Obrzędy pogrzebowe odprawiano zatem dopiero na spokojniejszych wodach kanału. Jednak kanał, choć głęboki, stanowił gmatwaninę silnych, wartkich prądów. Ciała regularnie wyrzucało na południowe wybrzeża.

Pomijając nakaz wiary, by wszystkie zwłoki zostały potraktowane z należnym szacunkiem, wypadało także oszacować ryzyko zarazy. No i nie trzeba chyba dodawać, że morze wyrzucało na brzeg nie tylko ciała z oficjalnych pochówków.

Wędrując po sypkim piasku, Roland bacznie przyglądał się pomiętej stercie mokrego materiału – ciemnemu ubraniu z przebłyskami przybrudzonej bieli – i zastanawiał się, czy to ciało nie zalicza się przypadkiem do drugiej ze wspomnianych kategorii.

Jeszcze zanim przykucnął obok zwłok, nabrał przekonania, że istotnie tak się rzeczy mają. Przede wszystkim mężczyzna – bo chodziło o mężczyznę – niemal na pewno był Anglikiem. Jasne włosy, aktualnie przemoczone i zwisające w strąkach, lecz tak czy owak dobrze przycięte, lepiły się do szerokiego czoła i policzków, które niegdyś cechowały się ostrymi kątami i czystymi płaszczyznami charakterystycznymi dla arystokracji.

Ten człowiek był wysoko urodzony. Lecz obecnie…

Roland sunął doświadczonym wzrokiem po straszliwej gmatwaninie długich, niegdyś eleganckich kończyn, tropiąc nienaturalne kąty, pod jakimi ustawiły się kości, zmuszone do zajęcia pozycji, w których
nigdy nie powinny się znaleźć, i poczuł, jak dosięgają go współczucie, przerażenie, wstrząs.

Jakich męczarni doświadczył ten człowiek?

Mężczyzna leżał na brzuchu, głową w stronę morza, z powykrzywianymi barkami, poskręcanym kręgosłupem oraz ramionami i nogami przypominającymi sztywne gałęzie. Roland popatrzył na jego twarz, widoczną tylko z jednej strony, niegdyś przystojną, lecz teraz sponiewieraną, z bladą skórą naznaczoną już ołowianą barwą śmierci.

Ten człowiek zaznał potwornego cierpienia, nim śmierć się o niego upomniała.

Roland zrobił znak krzyża, instynktownie mamrocząc modlitwę za duszę zmarłego. Właśnie się odwracał, żeby wydać polecenia nowicjuszom – lecz powstrzymał go uciszający syk morza.

Nadciągnęła fala, wyższa od poprzedniej. Zaczynał się przypływ.

Fala dosięgnęła leżącego, opływając jego ciało, pluskając na przemoczonym ubraniu. Była na tyle wysoka, że woda przelotnie zakryła nos i spękane, rozchylone wargi mężczyzny.

Roland nie widział powodu, by starać się temu zapobiec.

Później ujrzał, jak z ust mężczyzny wymyka się wątły strumień bąbelków.

– Dobry Boże! – Zakonnik poderwał się na nogi. Serce łomotało mu szaleńczo w piersi.

Ale był infirmarzem.

Morze się cofnęło. Roland odwrócił się do nowicjuszy, zbitych teraz w zaciekawioną grupkę jakieś piętnaście kroków od niego.

– Ty, Godfreyu. – Wskazał najszczuplejszego i najsprawniejszego z tego grona. – Biegnij do klasztoru po nosze. Ned i Will, wy też idźcie, przynieście moją torbę lekarską oraz tę z łubkami i bandażami. Ruszajcie. Żwawo!

Nie było potrzeby bardziej ich popędzać. Trzej chłopcy pomknęli jak zające w kierunku ścieżki do klasztoru na cyplu, przeskakując nad wydmami. Odwróciwszy się do nieznajomego mężczyzny, Roland zastanawiał się, czy słusznie postępuje – czy jego działania naprawdę mają sens, czy istnieje jakakolwiek nadzieja. Czy przyszłość okaże się warta tej ceny… Jednakże oddał się w służbę Bogu. Nie miał wyboru. Musiał spróbować.

Brak gwarancji, że mężczyzna przeżyje, nie grał tu roli. Podobnie nieistotne było, że jeśli tak się stanie, pacjent przypuszczalnie nie podziękuje Rolandowi za ratunek, skoro miał żyć w niekończącym się bólu i niedoli.

Tego człowieka dosłownie rzucono Rolandowi pod nogi, pokiereszowanego, lecz żywego. Nie jemu osądzać czy kwestionować, dlaczego tak się stało. Był infirmarzem i znał swój obowiązek.

Przypadło mu zadanie ocalenia tego życia.

Zająwszy znów umysł owym zadaniem, Roland prędko dokonał oceny sytuacji, a potem wypuścił powietrze z płuc.

– Nie chcę ryzykować ruszania go, zanim usztywnimy mu członki – powiedział na użytek nowicjuszy. W tym celu prosił o łubki i bandaże. Zastanawiając się, ile ma ich w torbie i jaki zrobić z nich użytek, zapytał: – Ben i Cam, macie przy sobie noże?

Chłopcy przytaknęli.

– To dobrze. – Roland wskazał wzdłuż plaży. – Tam dalej wpada do morza strumień. Cofnijcie się jego brzegiem, a natkniecie się na kępy trzciny. Natnijcie jej tyle, ile zdołacie unieść, i jak najprędzej przynieście tutaj.

– Tak, bracie Rolandzie – odparli chórem chłopcy i pobiegli.

– Brian i Kenneth: zbierzcie wszystkie kosze i ustawcie je przy ścieżce do klasztoru. Zabierzemy je po drodze. Potem wróćcie tutaj.

– Tak, bracie Rolandzie.

Roland popatrzył na pozostałych sześciu chłopców.

– Nie możemy go jeszcze przenieść, ale, na ile się da, musimy ochronić go przed wodą. Trzeba zbudować wał z piasku, który osłoni go przed przypływem, dopóki tamci nie wrócą z opatrunkami. Zatem…

Wystarczyło, że pokazał im gdzie; nowicjusze byli jeszcze na tyle młodzi, że budowanie z piasku sprawiało im radość.

*

Sądziłby, że do tej pory minie już bramy piekła, ale nie. Ból nie ustawał.

Znosił go ze stoickim spokojem, zamknięty głęboko we wnętrzu umysłu, który, ku jego zdumieniu, ciągle istniał.

Czekał. Nadal. Aż śmierć po niego przyjdzie.

Tymczasem agonia trwała.

Ciągle tu był. Raz po raz przelotnie odzyskiwał przytomność. Odlegle świadom.

Choć czego, nie miał pojęcia.

Stopniowo docierało do niego, że nadal znajduje się w świecie żywych. Że nadal ma ciało, choć odbiera je wyłącznie jako źródło przytępionego bólu. Że jego umysł,

uwięziony w pułapce bezwładnej głowy, jeszcze funkcjonuje.

Żył. Nadal.

Dlaczego, tego nie pojmował.

Ból przygasł, nie tyle zniknął, ile stał się integralną częścią jego jestestwa.

Integralną częścią nowego niego.

Jeśli to istnienie – ten stan nieśmierci – będzie trwało, w którymś momencie będzie zmuszony otworzyć oczy i dowiedzieć się, co się wydarzyło, jednak, podobnie jak reszta ciała, jego powieki zdawały się nieobecne, nie podlegały jego rozkazom.

Zatem czekał, by się przekonać, co wydarzy się dalej.

W końcu zdołał unieść powieki. Minimalnie, lecz światło go oślepiło, toteż natychmiast je zamknął.

Niemniej ktoś tu był – jak teraz sobie uświadomił, osoba ta bywała przy nim często, wyczuwał ją nawet przez mgiełkę bólu – i ten ktoś zauważył.

Chłodna woda dotknęła jego spierzchniętych warg. Rozchylił je, a wtedy spłynęła mu do gardła – doznanie okazało się tak niewyobrażalnie intensywne, że jego zmysły, długo uśpione, nieużywane, raptownie przebudziły się do życia.

– Słyszysz mnie?

Zatem jego uszy również nadal funkcjonowały. Głos był niski, męski, głęboki i czysty, ton uspokajający, troskliwy. W odpowiedzi zdołał jedynie poruszyć rzęsami.

– Twoje nazwisko. Jeśli je pamiętasz, jeśli zdołasz mówić, tylko o to cię proszę.

Jego nazwisko… Będą musieli umieścić jakieś na nagrobku, oczywiście. Ale człowiek, którym niegdyś był, umarł. Nawet dla niego. Nawet martwy nie chciał spocząć pod tym nazwiskiem.

Zaproponowano mu więcej wody i przyjął dar z wdzięcznością, godząc się z tym, że powinien odpowiedzieć – powinien podać temu troskliwemu mężczyźnie swoje nazwisko.

Jego umysł wędrował szlakiem wspomnień, przeszłość stopniowo nabierała bardziej sprecyzowanego kształtu. Przypomniał sobie, co zrobił ten martwy już człowiek, co się wydarzyło – wszystko, co zaszło w trakcie jego życia…

Było inne nazwisko – *alter ego*, które stworzył dawno temu i którego do samego końca sporadycznie używał. Zabił człowieka, którym niegdyś był, lecz ten drugi… o nim zapomniał.

Skoro umierał – a biorąc wzgląd na wagę swoich grzechów, nie spodziewał się innego zakończenia – być może w ten sposób los dawał mu sposobność domknięcia tego wątku?

Zawsze lubił dopracowane plany.

– Thomas. – Jego głos brzmiał chrapliwie, bardziej szorstko, niż zapamiętał. Ciężkie doświadczenia odebrały mu melodyjność. Wzięcie oddechu na tyle głębokiego, by mówić, wymagało świadomego wysiłku i wielokrotnie zwiększało stale obecny ból, niemniej kiedy wyczuł, że troskliwy mężczyzna nachyla się ku niemu, zmusił się, by oblizać spękane wargi i powiedzieć wyraźniej: – Thomas Glendower.

Ból przeszył mu bok. Mrok zalał jego świadomość, on zaś dał się unieść tej fali.

*

– Będzie żył? – Przeor Geoffrey, siwowłosy i coraz starszy, położył dłoń na ramieniu Rolanda.

W maleńkiej celi na końcu infirmerii, usadowiony na stołku przy wąskiej pryczy, na

której w ostatnich tygodniach leżał uratowany mężczyzna, Roland podniósł wzrok.

– Nie umiem powiedzieć – odparł zgodnie z prawdą – skoro jednak przeżył tak długo, przetrwał to wszystko – objął gestem niezliczone łubki i klamry, zewnętrzne świadectwa długiej listy zabiegów, jakim poddał mężczyznę, żeby poskładać go i naprawić, co się dało – i dotąd nie odszedł, muszę założyć, że wyzdrowieje, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe.

Wpatrzony w okaleczoną twarz pacjenta, Roland umilkł na chwilę, a potem zaczerpnął tchu i ubrał w słowa problem, z którym jego sumienie zmagało się, odkąd znaleźli tego człowieka na brzegu:

– Nadal nie wiem, czy słusznie postąpiliśmy… czy ratowanie go było tym, co należało zrobić.

Przeor Geoffrey nie odpowiedział od razu, w końcu wszakże delikatnie zacisnął długie palce na ramieniu Rolanda.

– Nieznane nam są zamysły Najwyższego, synu. Jeśli Thomas Glendower przeżyje, ty przynajmniej zyskasz pewność, że postąpiłeś dokładnie tak, jak powinieneś.

Roland żywił taką nadzieję. Skłoniwszy głowę na znak akceptacji, nie rzekł nic więcej.

*

Thomas siedział na ławce herbarium klasztoru w Lilstock, oparty plecami o ciepłą ścianę infirmerii, i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w bujną roślinność na zadbanych rabatach.

Na twarzy czuł słońce oraz delikatny powiew letniej bryzy. W nozdrza wbijała mu się woń świeżo skopanego iłu i ostry zapach dojrzewających w pobliskim sadzie owoców.

Słyszał ciche, głuche uderzenia i postękiwania dwóch mnichów, którzy pracowali w głębi ogrodu, jak również świergot ptaków na drzewach. Chociaż jedna powieka mu teraz opadała i ten oczodół nie miał już nigdy powrócić do pierwotnego stanu, odzyskał wzrok w obu oczach; był zdolny śledzić nurkowe loty jaskółek na błękitnym bezkresie nieba.

Nie wiedział, czy ten powrót zmysłów, władz umysłowych i cielesnych okaże się ostatecznie błogosławieństwem, czy przekleństwem.

Upłynęły miesiące od śmierci człowieka, którym był niegdyś.

A jednak nadal żył – i tego właśnie nie rozumiał.

Przygotował się, że odejdzie, porzuci ten świat na zawsze. Oszczędzi mu swojej dalszej obecności.

Najwyraźniej jednak nie tak miało się stać.

Według brata Rolanda, infirmarza, mężczyzny, który się nim zajmował, który go ocalił, uchronił od śmierci jego nowe ja, stan Thomasa się polepszał i w miarę upływu czasu poprawa będzie postępować.

Wracał do zdrowia, jak na razie niezdolny poruszać się bez pomocy, lecz poza tym sprawny.

Przynajmniej na tyle, żeby myśleć.

Nadal nękał go nieustanny ból, lecz chociaż go odczuwał, przestał zwracać na niego uwagę. Ból stał się dlań uporczywym towarzyszem, z którego obecnością się pogodził, tak że więcej go już nie rozpraszała, nie zakłócała jego zdolności funkcjonowania.

Usłyszał kroki na żwirze, a po ich spokojnym tempie poznał, kto się zbliża, zanim Roland ukazał się w łukowym przejściu z klasztornego dziedzińca.

Zakonnik rozejrzał się, spostrzegł Thomasa i podszedł do ławki.

Thomas zdobył się na krzywy uśmiech i czekał, kiedy Roland, odpowiedziawszy na powitanie skinieniem głowy, zbierał habit i sadowił się obok niego.

Przez kilka minut spoglądali na ogród, w milczeniu rozkoszując się spokojem tej sceny, a później Roland zapytał, prosto i bezpośrednio, jak to miał w zwyczaju:

– Kim więc jest Thomas Glendower?

Thomas poczuł, że wargi wyginają mu się w uśmiechu. Oczekiwał tego pytania, wiedział, że wkrótce padnie.

A ponieważ lubił Rolanda, przygotował się, by na nie odpowiedzieć.

Znał ten typ mężczyzny, człowieka o niemal na pewno podobnych jak u niego korzeniach, który jednak podążył w życiu bardzo odmienną drogą. Roland nosił w sobie wiele cech, które Thomas rozumiał, a teraz, otarłszy się o śmierć, potrafił też docenić i podziwiał.

– Urodziłem się w niższej warstwie arystokracji, lecz moi rodzice zginęli w wypadku, kiedy miałem sześć lat – rzekł, nie odrywając spojrzenia od zieleni i rozkołysanych kwiatów. – Z braku bliskich krewnych przekazano mnie pod kuratelę jednemu z przyjaciół ojca, który zajmował wysoką pozycję w towarzystwie i polityce, lecz nawet przy sporym wysiłku wyobraźni nie zasługiwał na miano dobrego człowieka. Pod jego opieką ewoluowałem w sposób, który być może nie miałby miejsca, gdybym trafił na inną osobę, ponieważ jednak człowiek ów popełnił samobójstwo, kiedy osiągnąłem dojrzałość, ponoszę wyłączną odpowiedzialność za to, jak przeżyłem resztę mojego dotychczasowego życia.

Umilkł na chwilę, żeby się zastanowić.

– Ostrzeżono mnie w tamtym czasie – podjął głosem nadal gardłowym, ale wyraźnie – żebym baczył na wybory, jakich dokonuję, że powinienem zachować ostrożność, jednakże, jak to zwykle młodzi mężczyźni, uważałem, że sam wiem najlepiej, i wyruszyłem na eksplorację wszystkiego, co życie miało mi do zaoferowania. W sensie materialnym wiodło mi się świetnie, lecz z wyboru pozostawałem w dużej mierze sam, nie czułem bowiem potrzeby budowania z kimkolwiek więzi. To, bardziej niż cokolwiek innego, doprowadziło do mojego upadku. Ponieważ nie myślałem o innych, zadawałem ludziom, wielu ludziom, ból. Doprowadzałem ich do ruiny, a nawet śmierci. Przeze mnie ginęli inni. I za to… umarłem.

Roland milczał przez dłuższą chwilę.

– Zabijałeś ludzi? – spytał wreszcie.

– Tak.

– Własnoręcznie?

Kusiło go, żeby skłamać, ale winien był Rolandowi prawdę.

– Nie, nikt nie zginął z mojej ręki, niemniej przyczyniłem się do zabicia kilku osób.

Marszcząc brwi, Roland spojrzał nań z ukosa.

– Kazałeś innym zabijać?

Thomasowi nasunęła się refleksja, że prościej byłoby skłamać. Oparł głowę o ścianę.

– Nie, ale wydane przeze mnie rozkazy doprowadziły do śmierci tych ludzi. – Wychwytywał konfuzję Rolanda, a jako że dotarł już tak daleko, poczuł się zobligowany wytłumaczyć: – To nie odbywało się wprost. Chciałem czegoś, kilkakrotnie przez te lata, kazałem więc innym to zorganizować, zdobyć dla mnie daną rzecz. O tym, że ktoś zginął, dowiadywałem się po fakcie, gdybym jednak wszystko przemyślał… ale tego nie robiłem, rozumiesz? Nigdy nie myślałem o innych, na tym polegała moja słabość.

Działałem tak, jakby moje posunięcia nie wywierały na nikogo wpływu, ale głęboko się w tym myliłem. I kiedy w końcu uzmysłowiłem sobie prawdę, położyłem temu kres.

Nastała kolejna chwila ciszy, kiedy Roland przetrawiał informacje.

– Nie urodziłeś się jako Thomas Glendower? – odezwał się wreszcie.

Thomas potwierdził.

– Jednak moje prawdziwe nazwisko umarło wraz z człowiekiem, którym byłem… Zabiłem go nie tylko fizycznie, lecz także pod każdym innym względem. Zadbałem o wypłatę stosownych odszkodowań. – Umilkł na krótko, konstatując w duchu, jak słuszna wydaje mu się nadal ta decyzja. – Tamten człowiek umarł, a ze wskrzeszenia go nie wyniknęłoby nic dobrego… W istocie wiele osób by na tym ucierpiało. Jestem gotów przysiąc to na klasztorną Biblię.

Zakonnik sapnął.

Thomas po prostu czekał, z cierpliwością, której nauczyły go ostatnie miesiące, żeby poznać swój los teraz, kiedy przyznał się do zbrodni z przeszłości.

W końcu Roland, podobnie jak Thomas wpatrzony w ogród, wsparł przedramiona na udach, zaciskając dłonie między kolanami.

– Bywały momenty, zwłaszcza w pierwszych dniach twego pobytu tutaj, kiedy nie oczekiwałem, że przeżyjesz. Musiałem łamać ci kości i wykręcać ścięgna, żeby na nowo cię poskładać, musiałem podawać ci leki przeciw infekcji i środki uśmierzające ból. Musiałem wyprostować ci kręgosłup, żywiąc nadzieję, że nie zabiję cię w trakcie. Przez cały ten czas pozostawałeś nieprzytomny… Nie umiałem stwierdzić, czy wolałbyś żyć, czy umrzeć. Toteż zachowałem rezerwę. Nie modliłem się o twoją śmierć, lecz nie modliłem się również, byś przeżył.

Roland mocniej zacisnął dłonie.

– Przeor Geoffrey – ciągnął – zapatrywał się na sprawę inaczej. Uważał twoje przeżycie za prawdopodobne, wręcz pewne, gdyż w jego oczach fakt, że trafiłeś w moje ręce, zwłaszcza w takim stanie, świadczył o boskiej interwencji.

Thomas zamrugał.

– Wykluczone.

Roland prychnął.

– Po tym, co mi właśnie powiedziałeś, rozumiem, dlaczego możesz tak myśleć, ale… znam Geoffreya od lat. Był moim mentorem za czasów nowicjatu. Jest niewiarygodnie przenikliwy i dalekowzroczny, zwłaszcza gdy chodzi o człowieka i jego słabości. – Roland zrobił krótką przerwę. – Zaczynam podzielać jego punkt widzenia.

– Czyli co? – Zaskoczony Thomas dał upust cynizmowi. – Ponieważ spróbowałem odpokutować za grzechy, miłościwy Bóg mi wybaczył?

Roland zaśmiał się oschle, kwaśno. Popatrzył Thomasowi w oczy.

– Nie, nie to. Geoffrey wierzy, że zostałeś ocalony z konkretnego powodu. W jakimś celu. Wierzy, że nasz Pan wyznaczył ci zadanie, coś, co tylko ty możesz zrobić, i oszczędził cię, byś je wykonał.

Thomas wyczytał w oczach Rolanda okrzepłą pewność.

Jakby dla potwierdzenia tej obserwacji, Roland skinął głową.

– A po twoim wyznaniu nawet bardziej skłonny jestem zgodzić się z Geoffreyem. Bez względu na to, co sobie myślisz, nasz Pan jeszcze cię nie skreślił.

Thomas nie wiedział, co o tym sądzić. Kusiło go, żeby wysunąć argument, iż nie jest religijny, a wręcz nie wierzy chyba w żadną boską istotę. W los, być może, ale w Boga? Nie powiedziałby.

Jednak kiedy tak siedział w słońcu, patrząc w spokojne oczy Rolanda… Wzruszył lekko ramieniem, tym mniej uszkodzonym, która to czynność wymagała świadomej decyzji.

– No cóż, bez wątpienia się przekonamy – rzekł.

*

Minęły miesiące, zanim Thomas radził sobie o kulach na tyle dobrze, by dotrzeć do klasztornej biblioteki. Jak na to liczył, odkrył tam gazety z Londynu, dostarczane każdego popołudnia, choć nie potrafił stwierdzić, na czyj użytek; wyglądało na to, że poza nim w całym klasztorze nikt nie wyraża zainteresowania ich lekturą.

W kolejnym miesiącu zwrócił się z prośbą do przeora, aby pozwolił mu odwdzięczyć się klasztorowi poprzez pomoc w inwestycjach. Geoffrey, tak przenikliwy, jak opisał go Roland, wyraził zgodę i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Thomas poczuł, że żyje, a nie tylko egzystuje.

Jak powiedział Geoffreyowi, jeżeli został oszczędzony z konkretnego powodu, przypuszczalnie ujawni się on w stosownym czasie. Do tej pory, zgodnie z etosem zgromadzenia, powinien okazać się użyteczny. A jedyna posiadana przezeń umiejętność wiązała się z robieniem pieniędzy – pomnażaniem ich.

Poprosiwszy jedynie o przyrzeczenie, że wszystkie podejmowane przez Thomasa działania będą całkowicie legalne i uczciwe, Geoffrey wyraził zgodę, wręcz entuzjastyczną, po czym osobiście pokazał mu klasztorne zapiski i księgi rachunkowe.

Kilka miesięcy później inwestycje klasztoru stopniowo zyskiwały na wartości.

Usadowiony na swoim obecnie już zwyczajowym miejscu przy końcu stołu w rogu biblioteki, gdzie zimowe światło wpadało przez łączone ołowiem romboidalne szybki w oknach, Thomas przeglądał szczegóły propozycji przedstawionej przez pośrednika inwestycyjnego klasztoru – teraz, gdy ktoś go zachęcał, ogromnie aktywnego – kiedy do biblioteki wszedł Roland.

Z życzliwym uśmiechem na twarzy zakonnik odsunął sobie krzesło obok Thomasa i usiadł.

Thomas uniósł brew na powitanie, nie przerwał jednak pracy, dopóki nie dotarł do końca kolumny liczb. Wówczas podniósł wzrok i napotkał spokojne spojrzenie szarych oczu Rolanda. Potężny, barczysty mężczyzna, wysoki, wzrostu Thomasa, ale od niego cięższy, zwalisty i silny, o równie jasnej karnacji, lecz ciemnowłosy, podczas gdy Thomas miał włosy w brązowawym odcieniu blondu – wydawało się pewne, że w gronie najbliższych przodków zakonnika znalazłaby się francuska krew – jak zwykle wsparł przedramiona na stole i zacisnął przed sobą duże, ładnie uformowane dłonie. Odchyliwszy się na krześle, Thomas uniósł brew, tym razem pytająco.

– Kiedy spytałem cię o nazwisko – rzekł Roland, uśmiechając się szerzej – byłeś umierający, ledwie świadomy, z bólu odchodziłeś od zmysłów, a mimo to odpowiedziałeś. Dopóki nie wyjawiłeś mi, że jest inaczej, sądziłem, że naprawdę nazywasz się Thomas Glendower. Reagowałeś na to imię bez wahania przez całe miesiące. Zatem… – Szare oczy Rolanda zaglądały badawczo w piwne Thomasa. – Czy słusznie zakładam, że Thomas Glendower rzeczywiście istnieje?

Thomas przytaknął.

– Istnieje. Jest – wykonał gest, coś, co wreszcie potrafił swobodnie zrobić, w dodatku ze względną gracją – moim *alter ego*, stworzyłem je, nim osiągnąłem dorosłość,

wykorzystywałem jednak rzadko, w każdym razie nie dla celów intryg, które doprowadziły do zguby moje drugie ja. – Umilkł na chwilę, zastanawiając się. – Jeśli jest mi pisane żyć na tym świecie na tyle długo, by osiągnąć ów nieznany cel, wyznaczony mi przez los bądź Boga, wówczas potrzebna mi jakaś tożsamość, a Thomas… choć niedoskonały ani całkowicie wolny od grzechu, może zostać wskrzeszony i znaleźć przynajmniej takie zastosowanie.

Roland pokiwał głową.

– Wspomniałeś, że jako dawny ty przejawiałeś tendencję do niemyślenia o innych… odrzucania świadomości tego, jak oddziałują na innych twoje poczynania. – Patrząc Thomasowi w oczy, Roland ciągnął: – Dlatego też czuję, że powinienem zapytać: czy Thomas ma kogoś na swoim utrzymaniu? Kogokolwiek, komu jego… twoje zniknięcie i przedłużająca się nieobecność nastręczą trudności?

Thomas zamrugał i wyprostował się wolno na krześle.

– Nie od razu… nawet nie po takim czasie. Ale w końcu… owszem.

– No właśnie – skwitował Roland. – Potraktuj to więc jak przyjacielskiego kuksańca. Chociaż możesz zdecydować się pozostać w tutejszym odosobnieniu, oczekując na oświecenie w kwestii swego celu, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś teraz napisał list – ruchem głowy wskazał odłożone przez Thomasa pióro – i odnowił kontakty z zależnymi od ciebie osobami, uspokoił je i uporządkował swoje sprawy.

Thomas przemyślał sugestię, a potem spojrzał Rolandowi w oczy.

– Dziękuję.

Zakonnik znów się uśmiechnął – a to zawsze chętnie robił – i wstał od stołu.

– Zostawię cię z tym zadaniem. Jeśli zechcesz wysłać list, po prostu zostaw go na tacy na stole przed gabinetem Geoffreya.

Thomas skinął głową.

Po wyjściu mnicha Thomas namyślał się chwilę, a potem sięgnął po czystą kartkę papieru.

Pół godziny później, opierając się ciężko na kulach, mozolnie wszedł do holu przed gabinetem przeora. Zdyszany, przystanął obok ustawionego pod ścianą stołu, wziął głębszy oddech i upuścił na tacę dwa listy, które ściskał w dłoni. Na obu widniały londyńskie adresy; pierwszy był do Draytona, przedstawiciela biznesowego Thomasa Glendowera, drugi zaś do Marwella, jego prawnika.

Balansując na kulach, Thomas wpatrywał się w listy spoczywające na szczycie niewielkiego stosu. Stanowiły pierwszy wypad z powrotem do świata poza murami klasztoru – krok, którego wagę Roland z pewnością doceniał.

Jednakże, rzeczywiście, należało to zrobić. Te listy trzeba było napisać, wykonać ów krok.

Chwyciwszy mocniej kule, Thomas odwrócił się i odszedł nieporadnie.

*

Biblioteka stała się jego miejscem pracy, pory roku przetaczały się jedna za drugą. Zima minęła, przybyła wiosna, a wraz z nią opat z opactwa, któremu klasztor podlegał. Ujrzawszy ostatnie raporty finansowe przeora Geoffreya, opat pragnął się dowiedzieć, czy Thomas zdołałby dokonać podobnego cudu z zasobami opactwa.

Thomas z zadowoleniem przyjął wyzwanie; zarządzanie większymi funduszami da mu zajęcie, pobudzi umysł do pracy i wyszlifuje zdolności. Zmusi go również do kontaktów

z większą liczbą osób, a zaczynał sobie uzmysławiać, że potrzebuje stałej praktyki w sztuce – jak to z wymowną prostotą ujął Roland – myślenia o innych.

Thomasowi nigdy nie przychodziło to w sposób naturalny – i nadal tak nie było. Musiał się napominać, żeby analizować swoje działania i ich następstwa z perspektywy pozostałych osób w nie zaangażowanych.

Jako że nadal nie miał pojęcia, w jakim celu ocalał, zaakceptował, że jeśli chce trwać choćby tylko w świecie ograniczonym murami klasztoru, musi nauczyć się, jak współżyć z ludźmi, nie powodując mimowolnie szkód z powodu typowego dlań zaabsorbowania sobą.

Klasztor należał do benedyktynów, a Thomas z zaskoczeniem odkrył, że dopasowuje się do tutejszego porządku. W regule zakonnej znajdował pokrzepienie. Jego najbliższym towarzyszem pozostał Roland, wiele czasu spędzał także z Geoffreyem. Obaj mężczyźni mieli umysły jeśli nie takie same jak jego, to w każdym razie na tyle podobne, by sprzyjało to wzajemnemu uznaniu.

Stopniowo jego ciało zdrowiało. Jego twarz nigdy nie odzyska dawnego wyglądu, będzie też przez resztę życia nosił liczne blizny, niemniej jedne po drugich znikały rozmaite klamry i pasy, które Roland zastosował, żeby przestawić kości Thomasa i wesprzeć jego powykręcane stawy. Dwa lata po tym, jak Roland znalazł go na pobliskim brzegu, Thomas chodził wyprostowany, podpierając się jedynie laską.

Pomimo ciężkich przejść nie opuściło go zdrowie, którym niegdyś bezspornie tryskał. Przez kolejne miesiące spędzał popołudnia poza biblioteką, asystując w ogrodach, stajniach i warsztatach – wszędzie, gdzie przydawała się dodatkowa pomoc. I jego siła rosła, zwiększały się umiejętności. Na te ostatnie spoglądał ze swego rodzaju cyniczną przyjemnością; w poprzednim życiu nigdy nie miał okazji wziąć do ręki topora ciesielskiego, a tym bardziej motyki. Co do siły… Jeżeli ocalał, żeby spełnić jakąś funkcję, dokonać jakiegoś czynu – rozumował – siła będzie mu potrzebna do osiągnięcia owego celu.

Trzy lata po jego przybyciu do opactwa umarł Geoffrey. Thomasa zaskoczyło, że poczuł smutek i żal z powodu odejścia starca. Dawniej nie doświadczał takich emocji, nie po śmierci znajomego, potraktował więc ich obecność jako znak, że uczy się budować więzi z ludźmi.

Kiedy już Geoffreya pochowano z całym należnym ceremoniałem, bracia spotkali się i zagłosowali na kolejnego przeora. Thomas bez zaskoczenia przyjął wiadomość, że jednomyślnie wybrano Rolanda.

– Za ciebie, przeorze Rolandzie.

Sadowiąc się wygodnie w fotelu przy kominku w gabinecie przeora, Thomas uniósł puchar w stronę Rolanda, zajmującego fotel naprzeciw, ten, w którym zwykł siadywać Geoffrey.

Usta zakonnika wygięły się w czymś pomiędzy uśmiechem a grymasem.

– Chciałbym móc powiedzieć, że jestem zachwycony, lecz o wiele bardziej wolałbym, żeby Geoffrey nadal był tu z nami.

Po raz pierwszy Thomas potrafił to zrozumieć. Skłonił głowę.

– W rzeczy samej.

Przez chwilę obaj milczeli, a potem Roland uniósł puchar.

– Za nieobecnych przyjaciół.

– Za Geoffreya.

Wypili.

Następnie Roland oparł się w fotelu i zmierzył Thomasa wzrokiem.

– Oraz, poniekąd, za ciebie. To tobie ja i moi towarzysze musimy podziękować za finansową krzepę klasztoru, za sprawą której, jak się zdaje, nigdy nie będziemy musieli się martwić o przetrwanie.

Thomas zbył podziękowania machnięciem ręki.

– Byłem na miejscu, znudzony, przy czym wypadało odpłacić tobie i temu domowi za to tutaj. – Gestem omiótł swoje wyleczone ciało. – Przy okazji, mogę oczekiwać dalszej poprawy, czy też zwinniejszy nie będę?

Wargi Rolanda drgnęły.

– Nabierzesz sił, widzę to w tobie od kilku ostatnich miesięcy. Przekonasz się jednak, że te siły ulokują się w innych rejonach. Na przykład masz mocniejszy chwyt, ponieważ ręce tak często muszą podtrzymywać twoją wagę, twoje ramiona i barki staną się silniejsze niż kiedyś, ale nogi już zawsze będziesz miał słabsze. Co do zwinności – ton Rolanda złagodniał – zawsze będziesz powłóczył nogą… tego nie zdołałem naprawić. I niemal na pewno zawsze będziesz chodził o lasce, poza tym wszakże, jak już się przekonałeś, możesz jeździć konno i za jakiś czas będziesz w stanie pokonywać pieszo znacznie większe dystanse niż obecnie.

Patrząc na kaleką lewą nogę, Thomas przytaknął.

– Wróćmy jednak do kwestii – ciągnął mocniejszym głosem Roland – którą zamierzałem poruszyć, zanim tak gładko odwróciłeś moją uwagę.

Thomas uśmiechnął się krzywo.

Zakonnik pokiwał głową.

– No właśnie. Wracając zatem do owej kwestii, ja odnalazłem swoje miejsce, swoją drogę ku przyszłości. Podobnie jak Geoffrey aż do śmierci pozostanę tutejszym przeorem. Aktywnie szukałem tej drogi: pracowałem i ustawiłem się na pozycji, z której, jeśli moi towarzysze tak by zadecydowali, mogłem objąć stanowisko przeora i osiągnąć życiowy cel. Jak Geoffrey przede mną. Ale co z tobą, Thomasie? Odkąd cię tu przyniosłem, trwasz w zawieszeniu, lecz przecież nie jesteś typem człowieka, który biernie czeka, co przyniesie mu życie. Pod tym względem przypominasz Geoffreya i mnie. Jaki więc jest twój cel?

Thomas westchnął. Wsparł głowę o miękki skórzany zagłówek. Po chwili popatrzył Rolandowi w oczy.

– Spodziewałem się, że umrę. Ale tak się nie stało. Jeśli zaakceptuję tezę twoją, Geoffreya i w istocie całej tutejszej wspólnoty, ocalałem z konkretnego powodu, przypuszczalnie po to, bym wypełnił jakąś misję… taką, do której wyłącznie ja mam kwalifikacje. – Rozpostarł ręce. – Oto więc jestem, czekam, aż los, Bóg, czy jakakolwiek siła decyduje o tych sprawach, odnajdzie mnie i postawi przede mną owo uświęcone zadanie.

Umilkł na chwilę, ponieważ jednak wiedział, że Roland czeka na ciąg dalszy, zaraz podjął:

– W zamierzeniu moja śmierć, ostateczny koniec człowieka, jakim niegdyś byłem, miała stanowić, i nadal tak to postrzegam, nieuniknioną zapłatę za moje grzechy, grzechy, które popełniłem jako tamten mężczyzna. W tym kontekście fakt, że zostałem oszczędzony do zadania, które tylko ja mogę wykonać… w pewnym sensie pasuje. – Thomas urwał i osuszył puchar. Opuściwszy go, mruknął: – Odnoszę wrażenie, jakbym odbywał kolejne etapy pokuty: niemal umarłem, lecz nie pozwolono mi wywinąć się tak łatwo, potem stopniowo zdrowiałem i w końcu, przypuszczalnie, otrzymam zadanie do

wypełnienia. Aktualnie zapatruję się na to tak, że dopiero kiedy wykonam owo zadanie, dane mi będzie zaznać spokoju, dopełnić pokuty za dawne czyny.

Roland przyglądał mu się w milczeniu przez całą minutę.

– Rozumiem, że w to wierzysz – odezwał się wreszcie – i nie znajduję żadnego argumentu przeciw twojej logice. Na twoim miejscu zapatrywałbym się na sprawę podobnie. Jednakowoż nadal pozostaje do omówienia pewien aspekt twojej sytuacji, ten mianowicie, że jesteś już dostatecznie zdrowy, żeby zacząć szukać swojej drogi… tej, na której natkniesz się na swoje zadanie. Mimo to w moim odczuciu ty nadal biernie czekasz, zamiast wziąć się do działania.

Thomas zmarszczył brwi.

– Myślałem… – odezwał się po paru chwilach. – Zakładałem, że los albo Bóg odszukają mnie w stosownym czasie… kiedy uznają, że jestem gotowy. Przyjąłem, że muszę jedynie poczekać tutaj, a moje zadanie do mnie przyjdzie.

Zakonnik wykrzywił usta.

– Nie da się tego wykluczyć, niemniej klasztor to mocno ograniczony świat. Twoje zadanie równie dobrze może leżeć poza tymi murami i znajdziesz je wyłącznie, jeśli dobrze poszukasz.

Thomas nic nie powiedział, a tylko niewidzącym wzrokiem wpatrywał się we własne stopy.

Roland odczekał kilka minut.

– Po prostu otwórz umysł na to pytanie – rzekł wreszcie cicho. – Jasność spłynie na ciebie z czasem.

*

Tej nocy Thomas rzucał się i wiercił na wąskiej pryczy w celi na końcu infirmerii. Słowa Rolanda, zawarta w nich sugestia, że aby dopełnić pokuty i odnaleźć prawdziwy spokój, będzie musiał opuścić klasztor oraz bezpieczeństwo, jakie dawały jego mury, a następnie szukać zaordynowanego mu zadania w szerszym świecie, jak również implikacje tegoż, wzburzały mu myśli.

Bez wątpienia miał charakter osoby, która lubi dowodzić, a zwłaszcza kontrolować swoje przeznaczenie. Przejawiał także skłonność do manipulacji, mniej lub bardziej instynktownej. Czy jego przedłużający się pobyt tutaj, kiedy to w domniemaniu czekał, nie był przypadkiem kolejnym sposobem, w jaki starał się uzyskać kontrolę?

Próbą zmuszenia losu lub Boga, żeby grali według jego reguł?

Jedno wiedział z absolutną pewnością – nienawidził wkraczać w nieznane sytuacje. Zawsze tak było.

A nadal nie miał pojęcia, najmniejszych podejrzeń, na czym może polegać jego zadanie.

Zaakceptować ryzyko i po prostu wyruszyć, ufając, że zadanie go znajdzie, że natknie się na nie, jeśli tylko poszuka…

Wiara w cokolwiek poza sobą samym nigdy nie przychodziła mu łatwo.

*

– Pora, żebym opuścił klasztor.

Opierając się na lasce, Thomas opadł na fotel przy kominku w gabinecie Rolanda.

Usiadłszy w fotelu naprzeciw, Roland przyjrzał mu się bacznie, a później pokiwał

głową.

– Osiągnąłeś tutaj wszystko, co sobie założyłeś.

Thomas przytaknął ponuro w odpowiedzi.

– Zawarłem z samym sobą pakt: jeśli zgromadzę dostateczne fundusze, żeby klasztor i opactwo mogły podjąć się prac budowlanych, na które ty i opat się nastawiliście, i do tego czasu przeznaczone mi zadanie się nie ujawni, pogodzę się z tym werdyktem i sam wyruszę go poszukać. Dziś rano nastała ta chwila. Mojemu zadaniu nie jest pisane odnaleźć mnie w tych murach, o czym ty, mam tego świadomość, zawsze byłeś przekonany.

Przekrzywiwszy głowę, zakonnik otaksował go wzrokiem.

– Nigdy nie rozumiałem twojej niechęci do powrotu do zewnętrznego świata. Nie jest tak, że będziesz się w nim czuł zagubiony.

– Nie. I mówiąc całkowicie szczerze, chyba sam nie rozumiem mojej… antypatii. – Thomas umilkł na chwilę, a później podjął z wyraźną odrazą do samego siebie: – Mogę jedynie się domyślać, że jakiś głęboko zakorzeniony instynkt samozachowawczy wolałby, żebym pozostał tutaj we względnym komforcie, zamiast wystawiać się na kaprysy świata, gdzie wielu ma powody mnie nienawidzić, jeśli nie wręcz powiesić.

Spojrzenie zakonnika pozostało nieruchome. Thomas czuł jego ciężar – ciężar, który narósł przez ostatnie dwa lata, odkąd Roland okrzepł w roli przeora.

– Często zdajesz się zapominać o jednej rzeczy – powiedział w końcu mnich.

Kiedy nie rozwinął tej myśli od razu, Thomas popatrzył mu w oczy, pytająco unosząc brwi.

– Nie jesteś człowiekiem, którego znał świat. Zaufaj mi, twoja śmierć, jak to nazywasz, i lata spędzone tutaj zmieniły cię nieodwracalnie.

Thomas skłonił głowę.

– Być może i niewykluczone, że po części z tego wynika moja niechęć do wyjazdu, spróbowania sił w szerszym świecie.

Roland zamrugał.

– Nie nadążam.

– Ujmując rzecz prosto, nie wiem, kim teraz jest Thomas Glendower i jak poradzi sobie poza obrębem tych murów.

– To właśnie wyzwanie, czyż nie? – skwitował z uśmiechem ironicznego zrozumienia Roland.

Thomas uniósł brwi.

– Jego część, jak przypuszczam. Chyba jednak możemy się zgodzić, że zebranie hartu ducha, żeby opuścić to miejsce, będzie zaledwie preludium. – Po krótkiej chwili skonkludował w zadumie: – Jednakże jeśli chcę wypełnić główne zadanie, oczywiste jest, że muszę ruszyć przed siebie i go poszukać, czy też, co bardziej prawdopodobne, dać mu się znaleźć.

ROZDZIAŁ 1

Marzec 1838
Klasztor w Lilstock, hrabstwo Somerset

Kiedy Thomas wyjechał przez bramę, słońce połyskiwało w oszronionej trawie i migotało w kroplach rosy na nagich jeszcze gałęziach.

Dosiadał jasnego siwka, którego kupił parę miesięcy wcześniej, gdy towarzyszył Rolandowi w jednej z jego podróży do opactwa. Ich trasa wiodła przez Bridgewater i tam właśnie znalazł tego dropiatego konia. Wałach był już starszy, silny, zdolny bez trudu unieść Thomasa, lecz zarazem spokojny, co stanowiło konieczność ze względu na fizyczne ograniczenia jeźdźca; Thomas nie mógł być już pewien, czy wystarczy mu siły w kolanach, by zapanować nad wierzchowcem w nerwowej sytuacji.

Srebrnego – tak nazwali go nowicjusze – nic nie było w stanie zdenerwować. Jeśli coś mu się nie podobało, po prostu się zatrzymywał, Thomasowi zaś ta jego cecha wielce odpowiadała, jako że nie życzył sobie wylecieć z siodła.

Jego kości doznały już tylu złamań, że obdzieliłby nimi pięć ludzkich żywotów.

Jadąc drogą w kierunku Bridgewater, Thomas instynktownie oceniał, co go boli. Zawsze już będą mu dokuczały różne dolegliwości, jednak, ogólnie biorąc, ich natężenie spadło do takiego poziomu, że dało się je ignorować. Albo to, albo jego zmysły się przytępiły, a nieustannie podrażniane nerwy uodporniły.

Przez ostatni miesiąc w ramach przygotowań do podróży codziennie jeździł konno, żeby nabrać sił i upewnić się, że podoła czterem lub pięciu dniom jazdy, jakie dzieliły go od celu.

Zbliżył się do pierwszego wzniesienia na drodze i raptem odczuł, dotkliwie, że porzuca coś cennego.

Ściągnąwszy wodze na szczycie pagórka, zawrócił Srebrnego i spojrzał wstecz.

Szare mury klasztoru wtapiały się w zieleń porastających cypel traw na tle błękitnego nieba i grafitowych wód Kanału Bristolskiego. Thomas patrzył i wspominał godziny spędzone tam z Rolandem, z Geoffreyem, ze wszystkimi innymi mnichami, którzy zaakceptowali go, nie zadając pytań ani nie osądzając.

To głównie im, nie sobie zawdzięczał tę szansę – żeby ruszyć naprzód, dopełnić pokuty i tym sposobem odnaleźć spokój.

Dzięki Draytonowi miał w kieszeni pieniądze, a w sakwach przy siodle wszystko, czego potrzebował, żeby dotrzeć do wybranej przez siebie siedziby i tam osiąść.

Wreszcie to robił, wykonywał pierwszy krok na drodze ku swemu losowi.

W istocie, poddawał się losowi, dobrowolnie godził na wszystko, co na niego czekało.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w mury klasztoru, a potem zawrócił Srebrnego i pojechał dalej.

Jego trasa wiodła przez Taunton, miejsce pełne wspomnień, jak również ludzi, którzy pomimo blizn mogliby go rozpoznać. Przejechał ciągiem przez miasteczko i dalej,

zatrzymując się na noc w niewielkiej wiosce Waterloo Cross, skąd o świcie podjął wędrówkę na zachód.

Późnym popołudniem czwartego dnia od wyjazdu z klasztoru przybył do Breage Manor. Najpierw przejechał przez Helston i stamtąd drogą do Penzance, potem skręcił na południe, w polną dróżkę wiodącą do klifów. Początek alei dojazdowej nie rzucał się w oczy. Nijaka, wysypana żwirem droga wiła się między karłowatymi drzewami, a następnie wspinała na niewielkie, otwarte wzniesienie, by skończyć się przed frontowymi drzwiami.

Kupił tę posiadłość przed wielu laty, całkowicie pod wpływem kaprysu. Przemówiła do niego i ten jeden raz uległ impulsowi, nabywając ów prosty, lecz solidnie zbudowany dworek w głębi Kornwalii. W całym jego czterdziestodwuletnim życiu był to jedyny budynek mieszkalny, który posiadał na własność, jedyne miejsce, które skłaniałby się nazwać domem.

Dwór na planie prostokąta, solidny, niewyszukany, z miejscowych cegieł w przygaszonych odcieniach czerwieni, ochry i żółci, miał dwie kondygnacje plus poddasze pod ołowianym dachem. Okna głównych pokoi wychodziły na południe, na klify i morze.

Jadąc stępa aleją dojazdową, Thomas zlustrował dom i stwierdził, że dokładnie odpowiada obrazom z jego wspomnień. Nie zaglądał tu od lat – znacznie dłużej niż te pięć spędzone przezeń w klasztorze. Gattingowie, para, którą zainstalował tutaj w rolach gospodyni i dozorcy, ewidentnie nadal opiekowali się domem jak własnym. Szyby w oknach lśniły, schody wejściowe zamieciono i nawet z tej odległości połyskiwała mosiężna kołatka.

Thomas zatrzymał Srebrnego w miejscu, gdzie od podjazdu odbijała ścieżka do stajni, potem jednak, przez szacunek dla starszego małżeństwa, którego nie powiadomił o swym rychłym przyjeździe, popędził konia w pobliże schodów i zsiadł. Choć lewą stronę twarzy miał oszpeconą i kulał, Gattingowie go rozpoznają, nie chciał ich wszakże przestraszyć, wchodząc niezapowiedziany przez tylne drzwi.

Albo tarabaniąc się nieporadnie, jak by to w istocie wyglądało.

Wyjął laskę z uchwytu przy siodle, który zrobił dla niego klasztorny masztalerz, a następnie puścił wodze Srebrnego i przyglądał się, kiedy potężny siwek niespiesznie schodził z podjazdu, żeby poskubać szorstką trawę. Uspokojony, że koń zanadto się nie oddali, Thomas skierował się ku frontowym drzwiom.

Kiedy dotarł do niewielkiego ganku, miał świadomość, że powłóczy nogami ze zmęczenia – nic dziwnego, biorąc pod uwagę dystans, jaki przejechał, a do tego dochodził przecież fizyczny wysiłek związany z przełamywaniem ułomności. Jednakże w końcu się tu znalazł – w jedynym miejscu, które uważał za dom – i będzie mógł odpocząć, przynajmniej dopóki nie zgłosi się po niego los.

Pociągnął za wiszący obok drzwi sznur dzwonka.

W głębi domu rozległo się dzwonienie. Wyprostował się, usztywnił kręgosłup, pewniej chwycił srebrną rączkę laski i przygotował się na ponowne spotkanie z Gattingami.

Usłyszał zbliżające się kroki, szybkie i lekkie. Nim zdążył zrobić coś więcej, aniżeli odnotować, że to dziwne, drzwi się otworzyły.

W progu stanęła kobieta i ze spokojem zmierzyła go wzrokiem.

– Tak? Mogę panu w czymś pomóc?

Nigdy wcześniej jej nie widział. Thomas zamrugał, a potem zmarszczył brwi.

– Kim pani jest?

„Kim, u diabła, pani jest?” – te słowa w pierwszej chwili cisnęły mu się na usta, lecz lata spędzone w klasztorze nauczyły go zważać na to, co mówi.

Minimalnie wysunęła brodę. Była wysoka jak na kobietę, jedynie o pół głowy niższa od niego, z pewnością też nie na tyle młoda – bądź na tyle skromna – by wziąć ją za pokojówkę.

– Wydaje mi się, że to ja mam prawo o to zapytać.

– Zasadniczo nie, jednak ja. Jestem Thomas Glendower i ten dom należy do mnie.

Zamrugała. Nie umknęła spojrzeniem, lecz mocniej zacisnęła dłoń na krawędzi drzwi. Milczała przez kilka sekund, po czym odchrząknęła.

– Jako że obawiam się, iż pana nie znam – powiedziała – muszę zobaczyć jakiś dowód na potwierdzenie pańskiej tożsamości, zanim wpuszczę pana do środka.

Nadal marszczył brwi. Próbował ominąć ją wzrokiem i zajrzeć w głąb zacienionego holu.

– Gdzie są Gattingowie? Małżeństwo, które zostawiłem tutaj, by zajmowało się domem?

– Odeszli na emeryturę, już dwa lata temu. Najpierw przez dwa lata im pomagałam, toteż po ich odejściu przejęłam obowiązki. – Podejrzliwość w jej oczach, obecna tam, jak teraz sobie uzmysłowił, od samego początku, jeszcze narosła. – Prawdziwy pan Glendower by o tym wiedział. Sprawa została oficjalnie załatwiona z… z pańskim pośrednikiem w Londynie. Poinformowałby pana o zmianie.

Była dość bystra, żeby nie podać nazwiska. Ponieważ zaczęła zamykać drzwi, odpowiedział z więcej niż odrobiną zgryźliwości:

– Jeśli mówi pani o Draytonie, nie uznałby tej zmiany za na tyle ważną, żeby zawracać mi nią głowę. – Oszczędnym gestem omiótł swą okaleczoną postać. – Przez ostatnich pięć lat absorbowało mnie co innego.

Przynajmniej tym powstrzymał ją przed zamknięciem mu drzwi przed nosem. Zamiast tego przyglądała mu się bacznie coraz mroczniejszym wzrokiem; jej wargi – całkiem niczego sobie, nawiasem mówiąc – wolno zacisnęły się w cienką kreskę.

– Obawiam się, proszę pana, że tak czy owak będzie mi potrzebny jakiś dowód na potwierdzenie pańskiej tożsamości, zanim wpuszczę pana do domu.

Spróbuj spojrzeć na sytuację z punktu widzenia tej drugiej osoby. Nadal nastręczało mu to trudności w relacjach z mężczyznami; z kobietą był bez szans. Wpatrywał się w nią – a ona w niego. Nie zamierzała ustąpić. Zatem… zaprzągł do pracy umysł, a ten łatwo znalazł rozwiązanie.

– Ściera pani kurze w bibliotece?

Zamrugała.

– Tak.

– Stoi tam biurko, przy oknie z widokiem na boczny ogród.

– Owszem, ale każdy mógł zajrzeć i je zobaczyć.

– To prawda, jeśli jednak ściera pani kurze z biurka, wie pani, że środkowa szuflada jest zamknięta na klucz. – Uniósł rękę, żeby powstrzymać kobietę przed poinformowaniem go, że to częste w przypadku tego typu biurek. – Jeżeli podejdzie pani do biurka i stanie plecami do szuflady, po prawej zobaczy pani ciąg regałów z książkami, a na półce na wysokości – zmierzył ją wzrokiem – mniej więcej pani brody, w bliższym narożniku ujrzy pani zegar, kareciak. Z przodu u podstawy zegara mieści się niewielki prostokątny panel. Proszę lekko go nacisnąć, a wtedy otworzy się skrytka. Wewnątrz znajdzie pani klucz do szuflady biurka. Gdy ją pani otworzy, zobaczy pani w środku

oprawny w czarną skórę notes. W nim, na pierwszej stronie, znajdzie pani moje nazwisko wraz z datą, 1816. Na kolejnych stronach widnieją liczby obrazujące miesięczne wydobycie rudy cyny w dwóch miejscowych kopalniach, które wówczas dzierżawiłem. – Urwał, po czym uniósł brew. – Czy tyle pani wystarczy, by mnie zidentyfikować?

Zaciskając wargi, spokojnie patrzyła mu w oczy.

– Jeśli zechce pan tu poczekać – odparła z godnym pochwały opanowaniem – zweryfikuję pańskie informacje.

Z tymi słowy zamknęła drzwi.

Thomas westchnął, a potem usłyszał odgłos zasuwanego rygla i poczuł się znieważony.

Co sobie myślała? Że wdarłby się do domu siłą?

Jakby na potwierdzenie jego niesprawności rozbolała go lewa noga. Musiał ją odciążyć przynajmniej na kilka minut, inaczej ból stanie się rwący. Zszedłszy z powrotem po trzech płytkich stopniach, usiadł na ganku, wyciągnął nogi przed siebie i oparł laskę o lewe kolano.

Nie poznał nawet jej imienia, lecz mimo to czuł się urażony, że uznała go za zagrożenie. Jak mogła tak myśleć? Nie zdołałby nawet za nią pobiec. Gdyby spróbował, wystarczyłoby, że rzuciłaby mu coś pod nogi, a potknąłby się i runął na twarz.

Niektórym ludziom widok kalectwa sprawia przykrość, ona jednak, choć patrzyła na jego blizny, zdawała się ich nie zauważać – z pewnością nie potraktowała go z tego względu ulgowo. No i, prawdę mówiąc, nie wyglądał aż tak źle. Lewa strona jego twarzy ucierpiała, opadała mu powieka, kość policzkowa była lekko wklęsła, a przez szczękę biegła paskudna blizna, lecz prawy profil wyszedł z tej przygody jedynie z paroma pomniejszymi bliznami. Dlatego właśnie Thomas nie wątpił, że Gattingowie od razu go rozpoznają.

Reszta jego ciała przedstawiała sobą podobną szachownicę miejsc pokrytych paskudnymi bliznami i względnie nietkniętych, lecz skrywało je ubranie. Dłonie, po zabiegach Rolanda, przetrwały w stanie na tyle dobrym, by w normalnych okolicznościach nie zwracać niczyjej uwagi. Na zewnątrz o jego kalectwie w sposób oczywisty świadczyły jedynie lewa noga, sztywna od biodra w dół, oraz laska, której potrzebował, by utrzymać równowagę.

Próbując spojrzeć na siebie jej oczami, przyznawał, że pozostał sprawny pod względem seksualnym, ale, doprawdy, jakże mogła widzieć w nim zagrożenie?

Dotarł do tego punktu jałowych rozmyślań, kiedy uświadomił sobie, że stanowi obiekt obserwacji. Zerknąwszy w prawo, zobaczył dwoje dzieci – mniej więcej dziesięcioletniego chłopca i kilka lat od niego młodszą dziewczynkę – które popatrywały nań zza węgła.

Ponieważ nie schowały się, gdy je zauważył, wydedukował, że mają prawo tu przebywać… i że to właśnie one mogą być przyczyną ostrożności jego nowej gospodyni.

Dziewczynka nadal mu się przyglądała, niespeszona, podczas gdy chłopiec przeniósł wzrok na Srebrnego.

Nawet z tej odległości Thomas widział tęsknotę na jego twarzy.

– Możesz go pogłaskać, jeśli chcesz. Jest starszy i nie boi się ludzi. Nie ugryzie ani się nie spłoszy.

Chłopiec spojrzał na Thomasa; jego oczy, cała twarz rozjaśniły się z zadowolenia.

– Dziękuję.

Wyszedł zza domu i spokojnie zbliżył się do Srebrnego, który zobaczył go, lecz,

zgodnie z przewidywaniami Thomasa, nie spłoszył się i dał pogłaskać po długiej szyi, do czego chłopiec przystąpił ze stosowną rewerencją.

Thomas obserwował tę parkę, dziewczynka bowiem podążyła za bratem. Analizując rysy ich twarzy, nabrał pewności, że są rodzeństwem, w dodatku spokrewnionym z jego nową gospodynią. Odnotował czystość wymowy chłopca i uzmysłowił sobie, że także tę cechę dzieli on z kobietą, która otworzyła drzwi. Kimkolwiek byli, skądkolwiek tu przyszli, nie pochodzili z tych okolic.

– Ani też – wymamrotał Thomas – z pierwszej lepszej wiejskiej chaty.

Naturalnie mogło istnieć ku temu wiele przyczyn. Stanowisko gospodyni dżentelmena o pozycji pana Thomasa Glendowera byłoby do zaakceptowania dla damy z podupadłej ziemiańskiej rodziny.

Usłyszawszy, że do drzwi znowu, tym razem wolniej, zbliżają się kroki, Thomas chwycił laskę i podźwignął się na nogi. Odwrócił się ku drzwiom, akurat kiedy kobieta je otworzyła. W ręku trzymała jego czarny notatnik, otwarty na pierwszej stronie.

Rose popatrzyła na mężczyznę, który powiedział jej, jaką datę znajdzie w oprawnym w czarną skórę notesie w zamkniętej na klucz szufladzie biurka nieobecnego pracodawcy – szufladzie, jak wiedziała, nieotwieranej przez wszystkie lata spędzone przez nią w tym domu. Westchnęła w duchu, zamknęła notatnik i użyła go, by gestem zaprosić mężczyznę do środka, zarazem otwierając szeroko drzwi.

– Witam w domu, panie Glendower.

Wargi mu drgnęły, lecz jedynie skłonił głowę, nie okazując otwarcie triumfu.

– Może zaczniemy od nowa, pani…?

Opuściwszy rękę, Rose wyprostowała się dumnie.

– Sheridan. Pani Sheridan. Jestem wdową. – Spojrzała na Homera i Pepi, głaszczących konia Glendowera, i dodała: – Moje dzieci i ja zamieszkaliśmy tu z państwem Gatting cztery lata temu. Szukałam pracy, a oni się zestarzeli i potrzebowali pomocy.

– Rzeczywiście. Policzywszy lata, pojąłem już, że było to prawdopodobne. Nie zaglądałem tutaj od dłuższego czasu.

Dlaczego więc wrócił teraz? Jednak Rose wiedziała, że nie ma sensu pomstować na los. Pozostawało jej tylko wpuścić tego mężczyznę do środka, by na nowo objął dworek we władanie – ostatecznie należał do niego. Wyzbyła się co do tego wątpliwości. Pomijając datę w notesie, nigdy nie znalazłaby skrytki w zegarze, gdyby jej o niej nie powiedział. Przy ścieraniu kurzu często brała kareciak do ręki, lecz nigdy nie przyszło jej na myśl, że ma tajną przegródkę. A zegar stał w bibliotece od co najmniej czterech lat, skąd więc ten człowiek miałby wiedzieć? Bez wątpienia jest Thomasem Glendowerem, tak jak twierdził, ona zaś nie zabroni mu przecież wstępu do jego własnego domu. Przy czym sytuacja mogła się okazać znacznie gorsza.

Odstąpiwszy o krok, przytrzymała otwarte drzwi i czekała, kiedy, wspierając się na lasce, pokonywał ostatni stopień.

– Homer… mój syn… wniesie pańskie torby i zaprowadzi konia do stajni.

– Dziękuję. – Zatrzymał się przed nią, unosząc głowę.

Popatrzyła mu w oczy, melanż brązów i zieleni – i po jej kręgosłupie przewędrował dreszcz. Poczuła ucisk w piersi. Dlaczego, nie miała pojęcia. Tak czy owak, zyskała pewność, że za tymi oczami rezyduje umysł trzeźwy, uważny i przenikliwie lotny.

Nie była to pomocna okoliczność, niemniej Rose nie wyczuwała ze strony tego człowieka zagrożenia, na żadnym poziomie. W sprawach mężczyzn przywykła ufać swym instynktom, gdyż rzadko się myliły. Teraz zaś informowały Rose, że przybycie jej

dotąd nieobecnego pracodawcy nie stanowi katastrofy, za jaką w pierwszej chwili je uznała.

Choć twarz miał okaleczoną, prezentował się nieźle – w rzeczy samej jej nieuszkodzona część czystością rysów przywodziła na myśl anioła. Pomimo ułomności, ograniczającej mu ruchy, jego siła nadal nie ulegała wątpliwości. Może i był sponiewieranym archaniołem, lecz zachował moc.

Karcąc się w myślach za tak wydumane analogie, puściła drzwi, a te przymknęły się same.

– Proszę dać mi kilka minut, a przygotuję pański pokój. Spodziewam się, że życzyłby pan sobie ciepłej wody, żeby obmyć kurz z drogi.

Thomas skłonił głowę. Kiedy drzwi się za nim zamykały, postąpił dalej do środka i sięgnął po trzymany przez nią czarny notes. Musnął palcami jej palce, ona zaś wstrzymała oddech i prędko puściła notatnik.

Czyli… pociąg, który odnotował kilka chwil wcześniej, był prawdziwy, przy czym nie tylko on go odczuwał?

Odrobinę to nim wstrząsnęło. Nie spodziewał się… Wyprostował się, uniósł głowę, wziął głębszy oddech – i wychwycił kruchy, ulotny zapach róż.

Jego reakcja – natychmiastowa i intensywna – wstrząsnęła nim jeszcze bardziej.

Gwałtownie zepchnął ją w głąb – nie wolno mu przestraszyć tej kobiety; chciał, żeby zajmowała się dla niego domem, nie zaś umknęła w noc – i wsunął notes do kieszeni płaszcza.

– Będę w bibliotece – rzekł cicho.

Rzut oka na schody przekonał Thomasa, że nie podoła im, dopóki trochę nie odpocznie.

– Oczywiście, proszę pana. – Jego nowa gospodyni zamknęła drzwi i z werwą, rzeczowo poinformowała: – Obiad będzie gotowy o szóstej. Ponieważ nie spodziewałam się pana…

– Nic nie szkodzi, pani Sheridan. – Zaczął kuśtykać w kierunku biblioteki. – Ostatnie pięć lat spędziłem wśród mnichów. Jestem pewien, że pani kuchnia wręcz przerośnie moje oczekiwania.

Nie obejrzał się, przysiągłby jednak, że odprowadzała go spojrzeniem zwężonych oczu. Ignorując to, podobnie jak drażniący powab tajemnicy, jaką przedstawiali sobą ona i jej dzieci, otworzył drzwi biblioteki i wszedł do środka – aby na nowo objąć to pomieszczenie we władanie, a potem czekać, aż los go odnajdzie.

*

Umyty i w świeżym ubraniu, Thomas zszedł po schodach do salonu, gdzie dotarł pięć minut przed czasem. Dla rozrywki obejrzał z uwagą pokój. W przeszłości niewiele z niego korzystał, jeśli wszakże pamięć go nie zawodziła, nic się tu nie zmieniło.

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich pani Sheridan.

– Jeśli zechce pan przejść do jadalni, obiad czeka.

Skinął głową. Wspierając się ciężko na lasce – pokonanie schodów okazało się wyzwaniem, lecz był zdecydowany to przełamać – zbliżył się do drzwi i gestem zasygnalizował, żeby szła przodem. Podążył za nią przez hol. Lampa tutaj i te w jadalni dawały jednolite, dobre światło, dzięki czemu Thomas widział swoją gospodynię lepiej niż wcześniej. Kiedy dokuśtykał do szczytu stołu i usiadł, obserwował spod osłony rzęs,

jak ona podchodzi do kredensu, na którym stały półmiski. Miała na sobie suknię z jakiegoś ciemnobrązowego materiału, przyzwoitej jakości, lecz o surowym, wręcz represyjnym kroju, z wysokim kołnierzem i długimi, dopasowanymi rękawami. Włosy, gęste, lśniące loki barwy jasnego brązu, zebrała na karku w surowy węzeł.

Podniosła wazę z zupą i odwróciła się, a wtedy wbił wzrok w talerz. Wiedział już, że jej oczy są brązowe, obrębione gęstymi rzęsami i ładnie rozstawione pod ciemnymi, szlachetnymi łukami brwi. Cerę miała jasną, kremową z muśnięciami różu na policzkach, rysy delikatne, twarz w kształcie serca, z łagodnie zaokrągloną brodą.

Zauważył już jej prosty nos i pełne wargi barwy jasnego różu, kiedy jednak nachyliła się, podsuwając mu wazę, przekonał się, że podobnie jak wcześniej wargi te formują cienką, napiętą linię.

Ten widok… sprawił mu przykrość, co w pewnym sensie uznał za ciekawe. Rzadko przejmował się odczuciami innych, w każdym razie nie spontanicznie.

– Dziękuję. – Obsłużył się, korzystając z łyżki wazowej.

Kiedy brał się do jedzenia, pani Sheridan odniosła wazę na miejsce, a następnie odwróciła się i zaciskając przed sobą dłonie, zajęła stanowisko przy końcu kredensu, gotowa podać mu kolejne dania.

Przełknął łyżkę zupy, rozważając, jak najlepiej ująć to, co chciał przekazać.

– Zupa jest wyśmienita – rzekł w końcu. – Proszę przyjąć wyrazy uznania.

– Dziękuję.

– Jeśli mogę coś zasugerować, nie ma powodu, żeby mi pani usługiwała. Proszę postawić półmiski na stole w moim zasięgu, a potem może pani iść zjeść z dziećmi. – Posłał jej z ukosa pytające spojrzenie.

– Zakładam, że tych dwoje w tej właśnie chwili je obiad w kuchni?

Z wyrazu jej twarzy poznał, że odgadł trafnie. Szósta to była standardowa pora, o której zasiadano do obiadu na wsi, zwłaszcza w ziemiańskich domach. A on nabrał już pewności, że zarówno ona, jak i dzieci wywodzą się z drobnej szlachty.

Zawahała się i przez chwilę się zastanawiał, czy może zinterpretowała jego sugestię jako zniewagę, potem jednak zdał sobie sprawę, że zmaga się sama ze sobą, wewnętrznie rozdarta.

Uśmiechnął się w duchu.

– Naprawdę nie mam nic przeciw – dodał.

Jak również okropnie się czuję, siedząc, kiedy dama stoi. Przełknął te słowa, zanim mu się wymknęły, ale… zdał sobie sprawę, że tak właśnie odbiera tę sytuację, a to o czymś świadczyło. Zawsze trafnie oceniał ludzi, zwłaszcza ich pozycję społeczną. Ta umiejętność zardzewiała trochę wskutek nieużywania, lecz wyraźnie nadal ją posiadał.

– Jeśli rzeczywiście nie ma pan nic przeciw…

– Nie wysunąłbym takiej propozycji, gdybym miał.

– Dobrze.

Wzięła dwa zakryte półmiski i przeniosła na stół. Jeszcze dwa kursy w tę i z powrotem i miał w zasięgu
ręki wszystko, czego potrzebował, z przyprawami włącznie.

Mimo to zwlekała z odejściem, jakby niepewna, czy rzeczywiście zdoła sam się obsłużyć.

Przelotnie poirytowany – nawet jeśli był po części kaleką, to przecież nie aż tak nieporadnym – odprawił ją machnięciem ręki.

– Dziękuję, pani Sheridan. To wszystko.

Zesztywniała w reakcji na jego ton. Zaczęła się odwracać, opamiętała się jednak i dygnęła. Potem wyszła.

Zostawiła go, by wolno dokończył zupę, bawiąc się w myślach rozmaitymi scenariuszami na temat tego, kim była i dlaczego znalazła się tutaj – udawała gospodynię w wiejskim domu na odludziu.

Uporał się z zupą i zabrał do drugiego dania w postaci eskalopków jagnięcych, zanim uderzyła go cisza wokół. Kiedy to już nastąpiło, z każdą kolejną minutą narastał w nim niepokój, malało zadowolenie i poczucie zadomowienia. Nie był we dworze sam, lecz jedynie wytężywszy słuch, wychwytywał odgłosy z kuchni – jakiś brzęk, wytłumione słowa. Tak czy owak, jego świadomość skoncentrowała się na nich, na tamtym miejscu… Kilka minut zajęło mu zidentyfikowanie problemu, zrozumienie, co jest nie tak.

Rozwiązanie wydawało się oczywiste, niemniej się wahał – wiedział, jak zachowałby się dawny on, lecz nie był już tamtym człowiekiem i najwyraźniej miał odmienne potrzeby.

Poddał się uporczywemu impulsowi – ostatecznie nie byli to Gattingowie, których jego zachowanie bardziej by zszokowało – i na tacy, pozostawionej przez panią Sheridan na kredensie, ustawił swój talerz oraz wszystko, co uznał za niezbędne, by dokończyć posiłek, po czym, jedną ręką podnosząc tacę – opanował tę sztukę w klasztorze – drugą zaś chwytając laskę, ruszył do kuchni.

Naturalnie usłyszeli, że nadchodzi.

Przepchnął się przez obite zielonym suknem drzwi na tyłach głównego holu i krótkim korytarzem przeszedł do kuchni. Kiedy znalazł się w łukowym przejściu prowadzącym do przyzwoitych rozmiarów pomieszczenia, ujrzał stojący dokładnie pośrodku stół, a trzy siedzące z nożami i widelcami w dłoniach osoby zwróciły ku niemu zaskoczone i, przynajmniej w przypadku dzieci, szczerze zaciekawione twarze.

Po drugiej stronie stołu pani Sheridan odłożyła sztućce i odsunęła krzesło, szykując się, by wstać.

– Nie – odpowiedział na malujące się na jej twarzy pytanie, kiedy wykuśtykał z cienia w światło lampy. – Z jedzeniem wszystko w porządku. – Zatrzymał się przy bliższym końcu stołu i opuścił tacę na wyszorowany blat. – Prawda jest taka, że przez ostatnie pięć lat, kiedy dochodziłem do zdrowia w klasztorze, przywykłem jadać w refektarzu, w otoczeniu wielu mnichów. – Popatrzył pani Sheridan w oczy. – Właśnie odkryłem, że jedzenie w samotności mnie rozstraja, i zastanawiałem się, czy miałaby pani coś przeciw, gdybym dołączył do was tutaj i spożywał posiłki w waszym towarzystwie.

Była to prawda, lecz niecała. Powodowała nim także nienasycona ciekawość tej niewielkiej rodziny, którą odkrył pod swoim dachem.

Opadłszy z powrotem na krzesło, Rose wpatrywała się w niego i szybko ważyła, jakie ma możliwości. Jego prośba była niecodzienna, całkowicie odbiegała od normy, niemniej dwór należał do niego, jakże więc mogła mu odmówić? Potrzebowała tego miejsca, tej posady – bezpieczeństwa tego domu – dla siebie i jeszcze bardziej dla dzieci, nie zaryzykowałaby utraty tego z powodu równie błahej sprawy. Co więcej, wytłumaczył, że brakuje mu towarzystwa, a ona w pełni go rozumiała. Ile to już lat minęło, odkąd rozmawiała z kimś dorosłym? Tak, rozumiała owo usilne pragnienie towarzystwa, lecz zarazem… Zerknęła na dzieci.

Mieszkali tutaj od czterech lat, ich historia okrzepła, była logiczna. Homer, trzy lata starszy od sześcioletniej siostry, rozumiał już na tyle dużo, żeby zachować ostrożność, a sama Pepi zwyczajnie nie pamiętała dość, by narazić ich na autentyczne ryzyko

zdemaskowania.

Popatrzyła z uwagą na Glendowera, stwierdzając ponownie, że pomimo ułomności jego aparycja nadal stanowi widok miły dla oka. Nadal robi wrażenie. Skonsultowała się ze swymi instynktami, lecz, jak poprzednio, nic ich nie niepokoiło. Bez względu na okoliczności, nie wyczuwała ze strony tego mężczyzny zagrożenia. Skinęła głową.

– Jeśli takie ma pan życzenie, to oczywiście, zapraszamy. – Zerknęła na Homera. – Homerze, przynieś, proszę, krzesło dla pana Glendowera.

Uśmiechnięty, chłopiec ochoczo poderwał się z miejsca i przydźwigał spod ściany czwarte krzesło.

Glendower wziął je od niego z uśmiechem, dziękując skinieniem głowy, po czym usiadł naprzeciw Rose. Spojrzał na chłopca.

– Homer, czy tak?

– Tak, proszę pana – odparł promiennie Homer. – To ja.

– Skoro będziemy wspólnie jadać, możesz mi mówić Thomas. – Glendower przeniósł wzrok na Pepi, przypatrującą mu się równie ochoczo, choć z większą nieśmiałością. Uśmiechnął się swobodnie, z urokiem, którego okaleczenia na jego twarzy nijak nie umniejszyły. – A ty to?

Rose ciekawiło, czy Pepi uzna Glendowera za godnego odpowiedzi.

Po kilku sekundach mierzenia go wzrokiem, kiedy to Glendower po prostu czekał, niewzruszenie znosząc oględziny, dziewczynka podjęła decyzję.

– Pepi – zaświergotała rozpromieniona. – Prawie jak te jabłka.

Glendower uśmiechnął się szerzej. Z powagą skłonił głowę.

– Ogromnie miło mi cię poznać, Pepi. Proszę, mów mi Thomas.

– Będę – zapewniła go dziewczynka.

Spojrzenie Glendowera powędrowało w kierunku Rose; nim do niej dotarło, zaczęła ostentacyjnie przyglądać się temu, co przyniósł na tacy.

– Ma pan tu wszystko, czego panu trzeba? – Podniosła wzrok, napotykając jego uważne spojrzenie.

Ze swobodnym wyrazem twarzy Thomas przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, ale nie zanosiło się na to, by miała się złamać. Najwyraźniej więc nie będą mówić sobie po imieniu. Spojrzawszy na tacę, skinął głową.

– Tak, tak sądzę.

Nie leżało w jego interesie rozgniewać ją czy zirytować. Opróżnił tacę, ustawiając talerz przed sobą, a półmiski dalej na blacie, z czytelnym zaproszeniem, by Homer, Pepi oraz intrygująco wyniosła i pełna rezerwy pani Sheridan się częstowali.

Wszyscy skoncentrowali się znów na swoich talerzach.

Thomas czekał. Dziewczynka, Pepi – sześcio- lub siedmioletnia? – miała ten sam kolor i wspaniałą teksturę włosów co jej matka, a także podobne oczy. Rysy małej zdawały się młodszym echem rysów kobiety; podobieństwo między nimi dwiema było silne. Chłopiec miał ciemniejsze, prawie czarne włosy oraz ciemnoniebieskie oczy, trochę inaczej rozstawione w szerszej twarzy, jednak pomimo wyrazistszych rysów on również wdał się w matkę.

Dotąd Thomas miewał bardzo mało do czynienia z dziećmi, ale pamiętał, jak to jest być chłopcem. Dlatego stawiał na Homera – a ten go nie zawiódł.

– Naprawdę przez pięć lat mieszkałeś w klasztorze? – Z niebieskich oczu Homera biła ciekawość.

Pani Sheridan otworzyła usta, bez wątpienia chcąc zdusić w zarodku nadciągające

przesłuchanie.

Thomas ją ubiegł.

– Tak. Stał nad Kanałem Bristolskim. – Dawno się nauczył, że najlepszym sposobem na zachęcenie innych do zwierzeń jest podać informacje pierwszemu.

– Czy to były stare ruiny z duchami? – spytała Pepi.

Thomas zachęcił ją uśmiechem.

– Nie, zbudowano go zaledwie przed około trzydziestu laty. Mnisi przybyli z Francji w okresie wstrząsów politycznych, jakie zdarzyły się tam prawie pół wieku temu.

Teraz, kiedy szlak został przetarty, dzieci podążyły nim ochoczo, sypiąc pytaniami na temat życia w klasztorze. Przejawiały to, co Thomas uważał za zdrową ciekawość, on zaś z wielką chęcią ją zaspokajał.

Nadal czujna i ostrożna, Rose przyglądała się, jak pracodawca czaruje dzieci, ale nic w jego postawie jej nie niepokoiło. W rzeczy samej od czasu do czasu zastanawiał się chwilę, nim odpowiedział. Już to u niego zaobserwowała: jego odpowiedzi najczęściej były przemyślane.

Co do dzieci, jako że praktycznie zaprosił je do stawiania pytań, z zadowoleniem pozwoliła im je zadawać – tym sposobem sama mogła poznać odpowiedzi.

Była ich co najmniej tak ciekawa jak Homer i Pepi.

Kiedy otworzyła Thomasowi Glendowerowi drzwi, instynktownie skatalogowała jego strój, uczesanie, sposób poruszania się, maniery, dykcję i całą resztę – wszystkie oznaki jego pozycji społecznej – i zakwalifikowała go do wyższej sfery ziemiaństwa, być może z tytułem rycerskim lub baroneta w rodzinie. Zgadzało się to także z informacjami, jakie posiadała na temat Thomasa Glendowera. Teraz wszakże, kiedy rozmowa między nim a dziećmi toczyła się miarowo i niewymuszenie, dzięki czemu Rose miała czas baczniej przyjrzeć się jego odświeżonej aparycji oraz ubraniu, jakie założył na wieczór, odnotować staranną dykcję jego lekko chropawego głosu, jak również maniery i pewność siebie, które wydawały się nieodłączną częścią niego, musiała się zastanowić, czy jego korzeni nie należy szukać o szczebel bądź dwa wyżej.

Ku jej niejakiemu zaskoczeniu posiłek upłynął przyjemnie i bez zakłóceń.

A na koniec Glendower przypieczętował jej aprobatę, proponując, później zaś nalegając z wytrawną gracją, że pomoże jej i dzieciom sprzątnąć ze stołu, jak również umyć i schować naczynia.

– To zwyczajnie sprawiedliwe, jeśli mam jadać z wami. – Wygłosił ten komentarz do dzieci, lecz potem spojrzał pytająco na Rose.

Kiedy nie wyglądała na przekonaną, dodał z sugestią uśmiechu, jakby doskonale rozumiał jej stanowisko:

– Proszę to złożyć na karb moich lat w klasztorze: tam wszyscy uczestniczą w codziennych pracach.

Ponieważ dzieci patrzyły, nie sposób było mu odmówić, zatem we czworo wzięli się do sprzątania w kuchni.

Kiedy skończyli, dzieci poszły na górę do swoich pokoi, żeby poczytać. Rose przyniosła kosz z szyciem i postawiła obok swego krzesła. Gdy podniosła wzrok, Glendower ją obserwował. W odpowiedzi na jej pytające spojrzenie skłonił głowę.

– Będę w bibliotece, gdyby mnie pani potrzebowała – rzekł.

Przytaknęła, po czym spytała:

– Życzy pan sobie, żebym przyniosła tam panu herbatę?

– Później. – Spojrzał na zegar ścienny. – Może jakoś po dziewiątej?

Znowu przytaknęła.

– Przyniosę ją panu.

Odwrócił się i korzystając z laski, pokuśtykał ku łukowemu przejściu, lecz tam zatrzymał się i obejrzał na nią.

– Przypuszczam, że trochę potrwa, nim dostosuję się do życia poza klasztorem. Doceniłbym, gdyby udało się pani pobłażać tym moim zachowaniom, które mogą niekiedy wydać się ekscentryczne.

Popatrzyła mu w oczy.

– Dopóki te zachowania nie szkodzą dzieciom lub mnie, nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli dojść do porozumienia – odparła równie bezpośrednio.

Wygiął wargi w tym swoim wyjątkowo ujmującym uśmiechu. Skłoniwszy głowę, odwrócił się i odszedł.

Wbrew woli zaintrygowana Rose odprowadzała go wzrokiem, dumając nad zagadkowością pana Thomasa Glendowera.

*

Pierwszy dzień Thomasa we dworze okazał się zaiste bardziej interesujący od oczekiwań.

Wypijając filiżankę herbaty, którą pani Sheridan dostarczyła o uzgodnionej porze wraz z dwoma zdecydowanie pysznymi herbatnikami, raz jeszcze omiótł wzrokiem półki z niewielkim księgozbiorem, skompletowanym przezeń tak dawno temu. Choć niezbyt obszerny, obejmował wszystkie dzieła, które Thomas uważał za kluczowe.

Odstawił pustą filiżankę i wyjrzał przez okno, ale zapadła już noc, a księżyc ledwie przebłyskiwał zza chmur, praktycznie więc nic nie zobaczył.

Chwycił laskę, podźwignął się na niej i skierował do drzwi.

Schody były ciężką próbą. Musiał wstępować na stopień prawą stopą, wciągać na niego lewą i zaraz powtarzać te czynności od nowa. Niemniej jedynie dlatego, że już raz pokonał schody w obie strony, katorga okazała się lżejsza, wysiłek mniejszy.

Na górze zatrzymał się i zebrał siły, a następnie pokuśtykał korytarzem do swego pokoju, największej sypialni w domu, z oknami od południa. Wcześniej zostawił odciągnięte story. Zamknąwszy drzwi, nie zawracał sobie głowy zapalaniem lampy, lecz przeciął mroczne wnętrze i stanął przy oknie, by ponad klifami spojrzeć na ciemne, falujące morze.

Lanca księżycowego blasku uderzała z prawej strony nieba, tańcząc na falach i srebrząc ich grzbiety niesamowitą poświatą. Zebrane w kiście chmury, niczym plamy na czarnym jedwabiu, przesłaniały blade światło gwiazd.

Na tym odcinku wybrzeża morze często się burzyło – kipiąca szarozielona masa. Jednak tej nocy wiał łagodny wiatr, wody były spokojne.

Thomas patrzył i chłonął ów spokój.

Uległ naciskom losu i wykonał kolejny krok, wyszedł w świat, i tak oto znalazł się tutaj.

Pytanie „Co teraz?” kołatało mu się w głowie. Był tutaj, gotów, czekał, chętny wypełnić każde zadanie, jakie los wyznaczy mu na ostateczny akt pokuty.

Jednakże poza tym, że wkroczył w szeroki świat, nie wiedział, jak jeszcze mógłby szukać swej drogi.

Po pięciu kolejnych minutach wpatrywania się w morze, kiedy to nic więcej nie

przyszło mu do głowy, westchnął i odwrócił się do łóżka. W tym domu był w miarę bezpieczny, a jego niespodziewana gospodyni i jej dzieci – nauka życia wraz z nimi, funkcjonowania na nowo w świecie – na tę chwilę dostarczą mu dostatecznie interesującego wyzwania.

Jeśli zdoła im w jakikolwiek sposób pomóc, zrobi to.

Czekając na wezwanie od losu.

*

Po nocnym obchodzie domu, kiedy to odnotowała z aprobatą, że jej pracodawca wyniósł się już na górę, Rose wspięła się na najwyższe piętro; pokoje jej i dzieci mieściły się na poddaszu.

Zajrzała najpierw do Pepi, a następnie do Homera. Spali już, z anielską błogością na niewinnych buziach. Obdarzyła każde uśmiechem i otuliła, nie zakłócając snu.

Wcześniej, kiedy weszła na górę, żeby zagonić ich do łóżek, nie przestawali trajkotać o panu Glendowerze – Thomasie, jak teraz o nim mówili. Nie uważała za rozsądne samej rezygnować z oficjalnej formy w relacjach z nim, on zaś mądrze nie naciskał. Jednakże z dziećmi wykroczył już daleko poza status „zdystansowanego pracodawcy". Homer i Pepi z zapałem gromadzili wścibskie pytania, z których żadne, jak oceniła, nie powinno nastręczyć mu trudności, przy czym przyznawała, że sama jest ciekawa odpowiedzi.

Gdyby ktoś zagadnął ją wcześniej, jak wyobraża sobie swego nieobecnego pracodawcę, nie śniłaby o mężczyźnie tak złożonym i fascynującym.

Co dziwne, mimo że doskonale widoczna, jego ułomność ani przy pierwszym spotkaniu, ani później nie wpłynęła istotnie na to, jak ona lub dzieci go postrzegały – co, jak podejrzewała, wynikało z faktu, że on sam nie uważał siebie za złamanego bądź bezsilnego, w jakikolwiek sposób gorszego z powodu swego kalectwa. Ludzie reagowali na jego pewność siebie; dziś wieczorem zademonstrował to ponad wszelką wątpliwość.

Mimo to kiedy wślizgnęła się pod przykrycia i umościła w łóżku, zmusiła się, żeby w myślach cofnąć się o krok i ocenić, chłodno i logicznie, czy Thomas Glendower oraz jego pojawienie się w życiu jej rodziny w jakikolwiek sposób zagrażają jej tajemnicy.

Wykluczyła już możliwość, że mógłby osobiście zagrozić jej lub dzieciom. Jej instynkty przez lata zanadto się wyostrzyły, by wątpiła w ich werdykt, a na temat Thomasa Glendowera wypowiadały się z całkowitym przekonaniem: nie stanowił bezpośredniego zagrożenia dla niej ani dzieci.

Pomijając tę kwestię… Zważyła każdą możliwość, prześledziła każdy scenariusz wydarzeń, jaki zdołała sobie wyobrazić, i w końcu uznała, że jeśli już, pobyt we dworze właściciela posiadłości, kogoś, kto mimo wieloletniej nieobecności jest znany z nazwiska i reputacji, poprawia, nie zaś pogarsza ich sytuację.

W istocie stanowił dodatkową tarczę, wzmacniał i czynił bardziej nieprzeniknioną fasadę, którą Rose zbudowała, żeby ukryć siebie i dzieci. Jego obecność tutaj i akceptacja jej oraz dzieci jako tych, za których się podawali, uwiarygodniały kamuflaż.

Analizowała tę konkluzję przez kilka minut i wreszcie zaakceptowała jej słuszność.

Usatysfakcjonowana, umościła się na boku, naciągając przykrycie na ramię.

Powrót Thomasa Glendowera może się okazać bardzo dobrą rzeczą.

Spodziewałaby się po sobie zupełnie innych odczuć na myśl o prawie obcym mężczyźnie, który śpi pod tym samym dachem z nią i dziećmi.

Z krzywym, lekko zaintrygowanym uśmiechem Rose zamknęła oczy i odpłynęła w sen.

ROZDZIAŁ 2

Kolejnego ranka, zanim Rose przygotowała tacę ze śniadaniem, Thomas Glendower pojawił się w kuchni i zajął miejsce przy stole.

– Dzień dobry. – Skinął głową Homerowi i Pepi, którzy odpowiedzieli szerokimi uśmiechami, po czym spojrzał na Rose, stojącą przed piecem, jakby wrosła w podłogę. – Co jest na śniadanie?

Szperając prędko w pamięci, Rose uzmysłowiła sobie, że istotnie wspomniał o spożywaniu z nimi posiłków – wszystkich. Sięgnęła po dzbanek z kawą.

– Kawy na początek?

Przytaknął, toteż napełniła dlań filiżankę, a potem mu ją zaniosła.

Wyciągnął po nią obie dłonie. Ich palce otarły się o siebie i znowu poczuła zmysłowy dreszcz.

Który bezlitośnie zdusiła; jej plany stanowczo nie obejmowały zauroczenia pracodawcą.

Uniósł do ust filiżankę, jakby nieświadom swego wpływu, Rose zaś z ulgą wycofała się w okolice pieca.

– Jajka na bekonie będą za kilka minut. – Zerknęła na niego przez ramię. – Może być jajecznica czy wolałby pan sadzone?

– Jajecznica jak najbardziej mi odpowiada. – Popatrzył na Homera i Pepi. – Co wy dwoje dzisiaj porabiacie?

Opowiedzieli mu ze szczegółami, podczas gdy Rose wyłożyła bekon, żeby obciekł, a potem wlała na patelnię przygotowane zawczasu jajka.

Trzy minuty później postawiła przed nim talerz z kopcem puszystej złotej jajecznicy, przyozdobiony dodatkowo trzema plastrami lokalnego bekonu.

– Och, dobrze to wygląda. – Wziął nóż i widelec, po czym zajął się jedzeniem.

Rose podała mniejsze porcje Homerowi i Pepi i oni także zamilkli.

Usatysfakcjonowana, wślizgnęła się na swoje miejsce i dołączyła do degustacji. Zachowywała jednak czujność, odnosiła bowiem wrażenie, że wszystko przebiega zbyt łatwo, spodziewała się, że lada moment ujawni się jakiś haczyk, kłopotliwy aspekt sytuacji – lecz nic takiego nie następowało.

Musiała też przyznać, że jadając z nimi w kuchni, znacznie ułatwiał jej pracę.

Jakby dla zademonstrowania jeszcze jednej korzyści, po skończonym posiłku odsunął talerz, sięgnął po dzbanek z kawą, który postawiła na stole, nalał sobie drugą filiżankę, napił się, a następnie skupił na Rose spojrzenie piwnych oczu.

– Dziś przed południem muszę pojechać do Breage i potem dalej do Helston. Chciałaby pani, żebym coś przywiózł? Więcej jajek, masła, szynki?

Zamrugała.

– Artykuły spożywcze, jaja i mięso są dostarczane co tydzień… ostatnia dostawa była parę dni temu, ale… – Nie przewidziała jego przybycia i zużyła już co najmniej połowę jaj. – Rzeczywiście, może dałabym panu listę, tylko żebyśmy dotrwali do kolejnej

dostawy. Wtedy mogę zwiększyć zamówienia.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, na tyle długo, by zastanowiła się, co takiego powiedziała. Później skinął głową i odsunął krzesło.

– Naturalnie, proszę przygotować listę najpilniej potrzebnych produktów, ale może mi pani dać także spis stałych dostawców. Odwiedzę ich, przejrzę zamówienia i zwiększę je stosownie, tak że od następnego tygodnia dostawy będą już wystarczające. – Umilkł na chwilę, odpływając myślami, po czym znów skupił wzrok na twarzy Rose. – Wydaje mi się, że pierwotnie zarządziłem, by kupcy wysyłali rachunki Draytonowi. Czy ten system nadal funkcjonuje?

Potwierdziła, szukając sposobu, by zadać pytanie, które sprowokowała ta rozmowa.

Jak poprzednio wargi mu drgnęły – i pojęła, że zrozumiał, jakby czytał jej w myślach.

– Nie wiem, jak długo tutaj zostanę – rzekł. – Parę tygodni, może nawet miesięcy.

Zamrugała.

– Nie ma pan sprecyzowanych planów?

Ciągle patrząc jej w oczy, pokręcił głową.

– Nie. Można powiedzieć – dodał po chwili – że oczekuję pewnego wezwania, lecz trudno mi stwierdzić, kiedy nadejdzie.

Czyli potencjalnie będzie tu tkwił bez końca. Skłoniła głowę na znak akceptacji, bo cóż innego mogła zrobić?

Wstał, z uśmiechem skinął dzieciom na pożegnanie, po czym spojrzał na Rose.

– Spędzę teraz parę godzin w bibliotece. Znajdę panią przed wyjazdem.

Przytaknęła i odprowadziła go wzrokiem do łukowego przejścia i dalej, kiedy szedł korytarzem wiodącym do frontowej części domu. Nadal utykał, nadal posiłkował się laską, jednak, jak zauważyła, nie wspierał się na niej tak ciężko jak poprzedniego dnia.

Podczas gdy dzieci kończyły posiłek, a następnie pomagały jej sprzątnąć w kuchni, odtworzyła w myślach rozmowę z Glendowerem.

Rozumiała, że istnieje ryzyko, iż on odkryje prawdę albo przynajmniej w części przejrzy ich kamuflaż. Bez wątpienia był spostrzegawczy i wedle jej oceny dostatecznie inteligentny. Przenikliwie inteligentny; czytała to w jego oczach i tyle wystarczyło aż nadto, by zachowała czujność.

Mogli wyjechać, nim on dowie się za dużo, ale, z drugiej strony, zadomowili się we dworze, było im tu dobrze, a instynkty nadal mówiły Rose, że nie ma powodu się go obawiać – żadnego powodu, by przypuszczać, że gdyby poznał prawdę, zechciałby ich skrzywdzić.

W dodatku przez ostatnie pięć lat dobrowolnie mieszkał w klasztorze. Przypuszczalnie miał zdrowy pogląd na dobro i zło, na to, co słuszne, a co nie.

Kiedy naczynia zostały wytarte i schowane, odwróciła się do dzieci i uśmiechnęła do ich promiennych twarzyczek. Dla nich ciągle każdy dzień był przygodą.

– Chodźcie. – Pogładziła lśniące główki. – Bierzmy się do lekcji.

Dopóki nie zyska powodu, żeby postanowić inaczej, będą żyli tak jak dotąd, jednakże bez względu na podpowiedzi instynktów pozostanie czujna.

*

Dwie godziny później, uzbrojony w listy od Rose, Thomas pokuśtykał do stajni. Schludna ceglana konstrukcja przy końcu alei dojazdowej wyglądała na zadbaną; przypuszczał, że za porządek w niej odpowiada Homer.

Otworzywszy drewniane wrota, Thomas pokuśtykał do środka i przystanął w głównym przejściu, żeby ocenić sytuację. Jego siwek spokojnie, choć wyczekująco popatrywał nań z boksu najbliżej wejścia. W kolejnym boksie stał mniejszy koń, niewiele większy od kuca, bez wątpienia zaprzęgany do lekkiej dwukółki ulokowanej pod ścianą na tyłach stajni. Trzeci boks, aktualnie pusty, zimą ani chybi zajmowała krowa, którą widział skubiącą trawę na małej łące za tylnym ogrodem. Przy ścianie naprzeciw boksów piętrzyły się bele słomy i siana oraz kilka worków z obrokiem.

Zauważywszy zaraz przy wrotach namiastkę siodlarni, Thomas podszedł do drewnianego kozła, na którym spoczywało jego siodło. Wziął je jedną ręką, drugą zdjął z kołka uzdę i wodze, po czym ruszył osiodłać Srebrnego.

Właśnie poprawiał siodło na szerokim grzbiecie siwosza, kiedy usłyszał zbliżający się tupot stóp i przez wrota wpadł pędem Homer. Zatrzymał się z poślizgiem przed Thomasem i jego koniem.

Wierzchowiec parsknął. Thomas uśmiechnął się szeroko.

– Mamcia przysłała mnie do pomocy – wypalił Homer, patrząc okrągłymi oczami. Zamrugał i się wyprostował. – Ale sam już sobie poradziłeś.

– W istocie. – Dla równowagi opierając się o koński bok, Thomas z wprawą zaciągnął popręg. – Jak widzisz, jestem całkowicie zdolny podołać zadaniom tego rodzaju. – Zerknął na Homera; chłopiec wyglądał na z lekka przybitego. – Niemniej podziękuj matce, że o mnie pomyślała, a tobie dziękuję, że tak się spieszyłeś, żeby mi pomóc.

Homer się rozpromienił.

– Och, to z wielką chęcią. – Podszedł do siwka i pogłaskał go po nosie. – Przynajmniej mogłem na chwilkę wyjść na dwór.

Thomas zasępił się w duchu.

– Ile masz lat? – spytał, przypinając wodze. Minionego wieczoru pilnował się, żeby przy podejrzliwej i czujnej pani Sheridan nie zadawać za wielu pytań, nawet tych oczywistych.

– Dziewięć – odparł bez oporów Homer. – A Pepi dopiero sześć.

Thomas zawahał się, nim postawił kolejne pytanie.

– Dlaczego nie chodzicie do szkoły? Jeśli dobrze pamiętam, wiejska szkoła jest całkiem niedaleko, zaraz po tej stronie Breage.

Homer przytaknął bez niepokoju.

– Mamcia nas uczy. Kupuje książki, kiedy jedziemy do Helston albo Exeter. – Wzruszył ramionami. – Na razie jest chyba w porządku, ale… – Skrzywił się. – Pewnie mógłbym nauczyć się więcej, na przykład geografii albo łaciny, no i historii też. Nawet arytmetyki. W niej to już jestem tak dobry jak mamcia. I bardzo bym chciał się uczyć astronomii, o planetach i ciałach niebieskich.

Obserwując twarz chłopca, rejestrując zapał rozświetlający mu oczy i obecny w tonie głosu, Thomas odnotował, że Homer nie widzi niczego dziwnego w tym, że syn gospodyni miałby pobierać nauki z takich przedmiotów.

– Przejrzałeś książki w bibliotece? – Ruchem głowy wskazał dom.

– Nie. – Homer westchnął. – Mamcia nie pozwala nam tam wchodzić.

Thomas zebrał w garści wodze i wyprowadził siwka ze stajni. Homer szedł przy drugim boku konia. Zatrzymawszy wierzchowca, Thomas podał chłopcu laskę.

– Potrzymaj ją, kiedy będę wsiadał.

Homer wziął laskę i przyglądał się z jawnym zaciekawieniem, kiedy Thomas, stanąwszy nietypowo, bo z prawej strony konia, wykrzywiał ciało, żeby wsunąć nosek

prawego buta w strzemię; Srebrnego nauczono, by pozwalał się dosiadać z prawej, co było konieczne ze względu na kalectwo jeźdźca. Chwyciwszy się siodła, Thomas podciągnął się w górę, przerzucił sztywną lewą nogę nad końskim zadem i usiadł. Lewe strzemię zwisało niżej niż prawe, ale jeśli ktoś nie przyglądał się z uwagą, Thomas zdawał się jeździć konno równie swobodnie jak każdy inny mężczyzna.

Sięgnął po laskę.

– Dziękuję. – Wsunął ją w uchwyt i spojrzał na Homera. – Jeśli chcesz, po powrocie wybiorę dla ciebie kilka interesujących książek do przeczytania.

– Z twojej biblioteki? – spytał Homer i rozpromienił się, kiedy Thomas przytaknął. – Byłoby cudownie!

Thomas odpowiedział szerokim uśmiechem. Pamiętał, że sam przejawiał ogromny głód wiedzy. W jego przypadku głód ten został zaspokojony, takie prawo przysługiwało mu poniekąd z racji urodzenia. Gdy chodziło o Homera, Thomas mógł pomóc w poszerzeniu wiedzy chłopca. Miał więcej niż dostateczne kwalifikacje do roli jego tutora. Powinien był wszakże, jak podejrzewał, przedyskutować pomysł z panią Sheridan, zanim obudził w Homerze nadzieje.

Niemniej zdecydował już, że dopóki pozostanie we dworze, będzie na miarę swych możliwości pomagał Sheridanom, a zgoda na to, by Homer przeczytał kilka książek z biblioteki, z pewnością była całkowicie akceptowalnym sposobem realizacji tego celu.

Siwek niecierpliwie postąpił naprzód. Thomas ściągnął wodze, żeby skinąć głową Homerowi.

– Czyli uzgodnione. Wyszukam dla ciebie kilka książek, kiedy wrócę.

Następnie poluzował wodze i Srebrny ruszył. Prowadząc konia aleją dojazdową, Thomas słyszał za plecami gasnący okrzyk chłopięcej radości.

Siwosz był gotów na wycieczkę i spokojnie pogalopował drogą do Breage. Chociaż to Helston stanowiło cel Thomasa i mógłby dotrzeć do miasteczka bardziej bezpośrednią trasą, postanowił jechać przez Breage – żeby sobie po prostu popatrzyć.

Jak się okazało, piekarnia, którą pani Sheridan preferowała jako dostawcę mąki i innych produktów, znajdowała się w wiosce. Thomas zajechał tam i spędził kilka minut, polerując swój zardzewiały urok osobisty, kiedy zmieniał stałe zamówienie dla dworu.

Opuściwszy piekarnię, przystanął na ulicy. Omiótł wzrokiem kilka sklepów i samotną piwiarnię. Piekarzowa, z którą rozmawiał, przejawiała jedynie naturalną ciekawość w związku ze spotkaniem długo nieobecnego właściciela ziemskiego, oszpeconego bliznami i wyraźnie kulejącego. Na ile Thomas sobie przypominał, nigdy nie handlował z ludźmi ze wsi; nikt tutaj nie powinien go pamiętać z dawnych czasów.

Z 1816 roku, kiedy, jako o wiele młodszy mężczyzna, brał udział w intrydze mającej na celu takie zastraszenie lokalnych dzierżawców kopalni cyny, by odsprzedali mu swoje prawa. Ograniczył się do rozpuszczenia fałszywych pogłosek i to było to jedno jedyne niezbyt uczciwe przedsięwzięcie Thomasa Glendowera. We wszystkich innych uczestniczył pod prawdziwym nazwiskiem, tym powiązanym z jego aktualnie już martwym ja.

Zadowolony, że w Breage nie czyha żaden potencjalny problem – ani na niego, ani na Sheridanów – Thomas dosiadł znów konia i podążył drogą do Helston.

Nieco ponad sześć spokojnych, odprężających mil później kopyta Srebrnego zastukotały na moście nad rzeką Cober i Thomas poprowadził konia pnącą się ostro w górę Coinagehall Street. Jedynym miejscem w Helston, gdzie w 1816 roku spędził trochę czasu, była tawerna Niebieska Kotwica, do której lubili zaglądać górnicy.

Przejechał obok krytego strzechą budynku i kawałek dalej skręcił na dziedziniec stajenny hotelu Anioł, bardziej szacownego przybytku, usytuowanego wysoko na wzniesieniu i zarazem znacznie bliżej celu Thomasa, czyli urzędu pocztowego.

Pozostawiwszy Srebrnego pod opieką hotelowego masztalerza, Thomas przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował kroki na pocztę. Nadał listy do Draytona i Marwella w Londynie, jak również do Rolanda. Pogawędził miło z urzędnikiem za kontuarem, a następnie wszedł do trafiki tuż obok, gdzie uzgodnił, by egzemplarze najważniejszych londyńskich gazet finansowych oraz „Timesa" dostarczano mu codziennie, kiedy tylko przybędą ze stolicy. Ponieważ znajdował się w Kornwalii, będzie otrzymywał poranne wydania późnym popołudniem. Nie podobało mu się to opóźnienie, ale tak samo było w klasztorze i nauczył się pracować przy takim ograniczeniu.

Przez ostatnie lata przekształcił inwestycje Thomasa Glendowera w swego rodzaju fundusz filantropijny. Mimo że wyruszył na poszukiwanie pisanego mu zadania, ostatecznej pokuty, nie traktował tego jako wymówki, by zaprzestać koniecznego nadzoru nad rzeczonym funduszem. Podczas gdy czekał, aż los go odnajdzie, nadal miał pracę do wykonania, nie zamierzał siedzieć bezczynnie.

Pomijając inne kwestie, w przypadku kogoś takiego jak on bezczynność nieodmiennie prowadziła do kłopotów.

Jego umysł nigdy nie przestawał pracować, ważyć, spekulować. Co się stanie, jeśli postąpi tak lub tak? Jaki będzie wynik? Gdzie kryje się zysk? I czy okaże się tak wysoki, jak przewidywał? Nauczył się żyć z tą uporczywą aktywnością umysłową. W rzeczy samej dla niego stanowiła normę.

I, jak dawno temu ostrzegła go pewna dalekowzroczna starsza dama, tkwiło w tym niebezpieczeństwo. Jego umysł aż nazbyt biegle tworzył plany uzyskania finansowych korzyści, tyle że, niestety, bez należytego szacunku dla prawa, a tym bardziej moralności. Jeżeli takie plany pozostawały w jego głowie, nikomu nie działa się krzywda, niemniej kiedy już się uformowały, apetyt, by wypuścić je w świat, wprowadzić w życie i przekonać się o ich skuteczności… W tym krył się powab, stała, natarczywa pokusa, Thomas zaś otrzymał od życia twardą lekcję, że powinien jej się opierać.

Zaprzątanie umysłu legalnymi, wręcz pożądanymi przedsięwzięciami finansowymi dla niego było bardziej koniecznością niż wyborem.

Przystanąwszy na wąskim trotuarze przed trafiką, z wepchniętymi pod pachę wczorajszymi wydaniami gazet, Thomas wyjął zegarek z dewizką. Było już dobrze po dwunastej. Poczuł zadziwiająco silny impuls, żeby od razu wracać do dworu, niemniej kiedy by tam dotarł, pani Sheridan i dzieci skończyłyby już lunch, a przybywając głodny, z wołaniem o posiłek, zdenerwowałby gospodynię.

Wsunął zegarek z powrotem do kieszeni kamizelki, wyprostował się, mocniej chwycił laskę i przeszedł przez ulicę do hotelu Anioł, żeby skorzystać z jego ponoć wyśmienitej kuchni.

*

Nazajutrz Rose sprzątała kuchnię po przedpołudniowej herbacie, kiedy przez okno nad zlewem zobaczyła chodzącego wokół domu Glendowera.

Nie spacerował sobie tak po prostu; w ręku trzymał notatnik i zatrzymywał się raz po raz, lustrując budynek przymrużonymi oczami.

Obserwowała go zaciekawiona. Po jednych takich oględzinach wyjął z kieszeni

rajtroka ołówek i zapisał coś w notesie.

Miał na sobie bryczesy i buty do konnej jazdy, gładką płócienną koszulę, schludny, lecz prosto zawiązany halsztuk oraz rajtrok. Pierwotnie założyła, że znów wybiera się gdzieś konno, ale nie. Kiedy patrzyła, delikatna bryza zmierzwiła mu włosy; to właśnie złote pasma pośród jasnego brązu przykuły wcześniej jej wzrok i zwabiły ją do okna.

Stojąc przed zlewem ze ścierką w dłoni, wahała się, niezdecydowana. Chciała ustalić, co on robi, co planuje. Jej zadaniem było chronić dzieci i dlatego musiała wiedzieć o wszystkim, co potencjalnie mogło stanowić zagrożenie, sprowadzić na nich ryzyko zdemaskowania. Zarazem uczciwie przyznawała, przynajmniej przed sobą, że jej ciekawość w kwestii Glendowera w równym stopniu napędzana jest przez bardziej niepokojący, wręcz denerwujący impuls.

Nigdy wcześniej nie czuła pociągu do jakiegokolwiek dżentelmena. Bywała zainteresowana, być może, lecz ani razu nie doświadczyła tego co obecnie.

Nęciło ją, by zaryzykować zbliżenie, odkryć, czy zmysłowy dreszcz, jaki przeszył ją pod wpływem dotyku Glendowera, nadal tam jest.

Wiedziała, że tak. Za każdym razem, kiedy ich palce przypadkiem ocierały się o siebie, odczuwała ten uzależniający dreszcz przeszywający ją do szpiku kości.

Nie wiedziała jednak, czy Glendower cokolwiek czuje, nie mogła też winić jego zachowania, w najmniejszym stopniu. Nie wykonał żadnego ruchu, który nawet przy najdzikszym wysiłku wyobraźni dałoby się zinterpretować jako niestosowny, a tym bardziej uznać za umizgi.

Jak dotąd nie dał Rose żadnego powodu, by uwierzyła, że jej pragnie, pożąda, że w jakikolwiek sposób jej zagraża.

Czy postępowała źle, chcąc go… sprawdzić?

Czy postępowała perwersyjnie, chcąc dowiedzieć się więcej o nim jako o mężczyźnie, przez co ryzykowała utratę wszystkich korzyści, jakie przyniosła jego obecność? Nie tylko jej, ale także dzieciom?

Minionego wieczoru, kiedy po obiedzie dzieci poszły na górę, porozmawiał z nią na temat Homera i zaproponował, że znajdzie w swej bibliotece odpowiednie książki, aby pomóc uśmierzyć rozrastającą się w chłopcu tęsknotę za wiedzą – głód, którego Rose nie potrafiła zaspokoić. Glendower przedstawił ów gest jako drobiazg, coś, co mógł zrobić z łatwością i bezboleśnie, ale znaczył on wiele dla Homera, a zatem i dla niej. Wyraz twarzy chłopca, kiedy dziś rano po śniadaniu Glendower zabrał go do biblioteki, włożył mu w ramiona stos oprawnych w skórę tomów, a potem odprawił do jadalni, żeby tam usiadł i czytał przy dużym stole, z którego on sam dłużej nie korzystał, mówił wszystko.

Homer nie posiadał się z zachwytu.

Przepełniały ją wdzięczność i ulga, ale kiedy zaniosła dziś Glendowerowi do biblioteki tacę z przedpołudniową herbatą i usiłowała mu podziękować, zbył swój udział jako nieistotny, niegodny uwagi.

Nie spróbował wykorzystać jej wdzięczności w najmniejszym stopniu…

Rose przemieściła się, żeby nie stracić go z oczu, kiedy przesuwał się wzdłuż tylnej ściany domu. Znowu się zatrzymał, popatrzył na coś bacznie, po czym sporządził notatkę. Zmarszczyła brwi.

– Co on, u licha, robi?

Rzuciła ścierkę na ławę, wygładziła dłońmi spódnicę i przeciągnęła nimi po włosach, upewniając się, że jej kok jest nadal schludny. Następnie porwała z oparcia krzesła szal i ruszyła ku tylnym drzwiom.

Blask słońca powitał ją, kiedy wyłoniła się na podeście przed wejściem, ale wietrzyk był jeszcze chłodny. Wiosna wkradała się stopniowo, na razie tak naprawdę nie przybyła. Zarzucając szal na ramiona, Rose zstąpiła na wąską brukowaną ścieżkę prowadzącą do stajni, lecz natychmiast zboczyła z niej na szorstką trawę i wydłużyła krok w pogoni za zwierzyną, która zbliżała się właśnie do odległego narożnika domu.

Zerknął, kiedy Rose nadchodziła, ale zaraz wrócił do notatek.

Zatrzymała się kilka kroków od niego, odwróciła w stronę domu i zlustrowała fasadę, usiłując zobaczyć, co takiego przykuło jego uwagę.

– Rynny – wymamrotał, nie przerywając pisania, jakby czytał jej w myślach. – Wymagają oczyszczenia. Jeśli dobrze się pani przyjrzy, rośnie w nich trawa.

Osłoniła ręką oczy i przekonała się, że miał rację. Popatrzyła na niego.

– Takie rzeczy pan spisuje?

Przytaknął. Zamknął notes i znów spojrzał na budynek.

– Wszystkie drobne prace do wykonania.

Zacisnął dłoń na srebrnej rączce laski, którą na moment zostawił wspartą o udo, i podjął niespieszną wędrówkę wokół domu, oglądając każde okno, złącza rynien i inne elementy konstrukcyjne.

Rose podążała za nim.

– Jest tu jeden miejscowy, złota rączka, którego zwykle najmowaliśmy… Gattingowie i ja – powiedziała, kiedy zatrzymał się, żeby sprawdzić farbę na parapecie. – Rozsądny, rzetelny człowiek. Jeśli pan sobie życzy, kiedy sporządzi pan listę, mogłabym go wezwać.

Ku jej zaskoczeniu Glendower pokręcił głową.

– Nie – rzekł i, jakby po namyśle, dorzucił: – Wykonam te prace sam.

Rose zamrugała. Pomyślała o tym, jak wysoko znajdują się rynny, jak sztywno on się porusza… Zastanowiła się, z jakiego powodu dżentelmen mógłby chcieć się parać taką pracą…

Zatrzymał się znowu, tym razem by ocenić solidność kratownicy umocowanej do bocznej ściany domu.

Rose przystanęła kilka kroków od niego. Wpatrzona w jego twarz, przygryzła wargę, rozważając, jak ubrać w słowa nasuwające jej się pytanie.

Odstąpił od kratownicy, oparł laskę o nogę, po czym wyjął notes i ołówek.

Otworzył notes, a jego wargi wygięły się w ironicznym uśmiechu.

– Nie – powiedział ze wzrokiem utkwionym w stronie, na której pisał. – Mam dużo pieniędzy. – Zrobił krótką przerwę, następnie zaś, jakby wyczuł, że konieczne są dalsze wyjaśnienia, dodał: – Potrzebuję ćwiczeń, żeby zapobiec atrofii mięśni… żeby znów nie osłabły. Muszę ich stale używać, na wiele różnych sposobów.

Zaintrygował ją, niemniej…

– Ćwiczenia to jedno, a ciężka praca drugie.

Zaśmiał się i schował notes.

– Nie da się ukryć.

Wydawał się szczerze ubawiony, w najmniejszym stopniu nieobrażony tym, co inny pracodawca uznałby za zuchwałość.

Uspokojona Rose dotrzymywała mu kroku, kiedy szedł dalej, okrążając kolejny róg, żeby obejrzeć dom od frontu. Czekała z nadzieją na…

Zatrzymał się, by zmrużonymi oczami przyjrzeć się fasadzie.

– Klasztor należał do benedyktynów – rzekł. – Każdy, kto przebywał w jego murach, nawet osoba świecka, wnosił swój wkład w codzienne prace i naprawy, stosownie do

posiadanych talentów. – Spojrzał na nią przelotnie, zdążyła jednak dostrzec w jego oczach pogardę dla samego siebie. – Kiedy tam trafiłem, nie umiałem nic użytecznego, nie w tym sensie. Niemniej wielu uzdolnionych braci zgodziło się mnie uczyć. W konsekwencji odkryłem w sobie nieoczekiwane zdolności w sferze… można chyba powiedzieć, rzemiosła i napraw. Rękodzielniczej.

Podążyli niespiesznie dalej.

– Wiem, że nie jest to aktywność, jakiej zwykle oddają się dżentelmeni – podjął po chwili – ale czerpię z tego wielką satysfakcję. Z naprawiania różnych rzeczy.

Thomas słyszał te słowa, pierwszą podjętą przez siebie próbę wytłumaczenia komuś, dlaczego upodobał sobie takie zajęcia, i dotarło do niego, że istnieje związek, podstawowe podobieństwo między jego zwyczajową poranną aktywnością – inwestycjami i zarządzaniem funduszami, by stworzyć pieniądze, dzięki którym naprawi wiele spraw – a ulubionym sposobem spędzania popołudni. Dwie strony tego samego medalu, jedna intelektualna, druga wybitnie fizyczna.

Zatrzymał się dziesięć metrów od domu, na wysokości frontowych drzwi, i odwrócił, żeby spojrzeć na swą gospodynię.

– Dlatego – zakonkludował, patrząc w jej brązowe oczy – dokonam koniecznych napraw osobiście.

Przez chwilę odwzajemniała jego spojrzenie, a później skłoniła głowę. Także przystanęła i popatrzyła na dom.

– Ma pan koncepcję, w jakiej kolejności upora się z zadaniami?

Odwrócił się twarzą do budynku. Stali teraz pół kroku od siebie.

– Z malowaniem trzeba poczekać na lepszą pogodę, na razie więc spada na dół listy.

Wpatrzona w fasadę, nie zauważyła, że zmienił pozycję. Kiedy także odwracała się w stronę domu, otarła się ramieniem o jego ramię.

Zaiskrzyło. Tak to odebrał. Prawie że wyczuwał, jak trzeszczy powietrze między nimi.

Mięśnie mu zadrżały, bardziej podatne niż u większości mężczyzn ze względu na to, że zwykle je napinał. Mocno ścisnął rączkę laski, zbielały mu knykcie, kiedy zwalczał impuls, by zareagować. Bezlitośnie dławił instynktowne pragnienie, żeby podążyć za pokusą. Za nią.

Nic dobrego by z tego nie wynikło.

Zesztywniała, przestała oddychać – po tym poznał, że toczyła podobny bój, także odczuwała moc płomiennego spotkania.

Ukradkiem złapała płytki, cokolwiek drżący oddech i przesunęła się tak, by ich ramiona już się nie stykały.

– No cóż – powiedziała na lekkim bezdechu. Uniosła brodę wyżej i z większą determinacją oświadczyła: – Nie będę panu dłużej przeszkadzać.

Skłoniła głowę, nie patrząc mu w oczy, odwróciła się i wolno podążyła z powrotem wokół domu.

Odprowadzał ją wzrokiem i musiał zadać sobie pytanie, czy pomimo największych wysiłków ich obojga ta bitwa nie okaże się z góry przegrana.

Po kilku kolejnych chwilach tego typu rozważań popatrzył znów na dom.

Jeśli ona potrafiła zaprzeczyć temu, co narastało między nimi, potrafiła nadal tłumić swoją reakcję na niego, oczywiste, że także on mógł, i powinien, postąpić tak samo – i to właśnie zrobi.

*

Pod koniec pierwszego tygodnia, jaki upłynął od powrotu pana Thomasa Glendowera do Breage Manor, Rose wślizgnęła się na swoje miejsce przy nakrytym do obiadu stole i przysłuchiwała żywiołowej dyskusji toczącej się między Glendowerem – Thomasem, jak zwracały się do niego dzieci – a Homerem na temat tego, jak prawidłowo objaśnić czyjąś teorię, że Księżyc krąży wokół Ziemi.

Pepi, choć zajęta jedzeniem, także słuchała, aczkolwiek Rose poszłaby o zakład, że uwagę dziewczynki absorbuje głównie ożywienie okazywane zarówno przez Homera, jak i Thomasa – to znaczy Glendowera.

Rose opuściła wzrok na swój talerz z zupą, przełknęła pierwszą łyżkę i znów popatrzyła na drugi koniec stołu.

Oto siedział tutaj, tak zdumiewający – jej pracodawca, mężczyzna, który pomimo okaleczeń, oczywistej ułomności, szpecących go blizn, zdołał pochwycić oraz utrzymać jej uwagę i zainteresowanie – ona zaś czuła się… komfortowo. Spokojna, wręcz pogodna, instynktownie przekonana, ponad wszelką wątpliwość, że ta sytuacja jest… dobra.

Jego obecność w ich gronie wydawała się… po prostu właściwa.

Jak się okazało, hołdował regularnemu rytmowi dnia. Po wspólnym śniadaniu – jeszcze nigdy się nie spóźnił, a przeważnie schodził do kuchni nawet przed dziećmi – zamykał się w bibliotece i poświęcał przedpołudnie na pracę. Kiedy zanosiła mu herbatę, zwykle nadal analizował liczby i czytał gazety. Wyłoniwszy się wreszcie z biblioteki, spędzał mniej więcej pół godziny z Homerem w jadalni, którą opuszczali obaj, wezwani przez nią dzwonkiem na lunch.

Gdy pomógł im sprzątnąć ze stołu, wychodził na dwór, żeby pojechać gdzieś konno lub zająć się kolejną pozycją z listy drobnych prac wokół domu. Takie zachowanie demonstrowało wprawdzie pewną arogancję w tym sensie, że wyraźnie nie dbał o to, co pomyślą o nim inni, lecz Rose uważała jego postawę za godną pochwały i wspierała ją bez zastrzeżeń.

Oczywiście Homer to zauważył. Od przybycia Glendowera chłopiec zrewidował swoje poglądy na prace gospodarcze, jak wyrzucanie nawozu ze stajni, będące wcześniej przedmiotem sporów, i teraz najwyraźniej uważał tego rodzaju zajęcia za całkowicie do zaakceptowania, nieuwłaczające mężczyźnie.

Z początku Pepi, jak to miała w zwyczaju, jedynie słuchała albo z lalką w ramionach cicho podążała za Glendowerem, żeby obserwować go przy pracach wokół domu. Rose spodziewała się, że będzie ignorował małą, nie w jakiś lekceważący sposób, lecz po prostu dlatego, że chodziło o dziewczynkę, nic takiego jednak nie miało miejsca. W ostatnich dniach Pepi wracała pełna opowieści o tym, jak Thomas pozwalał jej trzymać gwoździe lub podawać mu młotek, jak pomogła mu wykonać dowolne zadanie, które aktualnie sobie wyznaczył.

Rose to zaskoczyło… podobnie jak fakt, że mimo iż jej nerwy elektryzował gwałtowny pociąg, ilekroć ona i Thomas przechodzili blisko siebie – przy czym nabierała coraz większych podejrzeń, że odgadł u niej tę przypadłość – im dwojgu udawało się przestawać ze sobą bez incydentów. W każdym razie takich, których nie zdołaliby oboje zignorować albo przynajmniej zgodnie udawać, że się nie zdarzyły.

Nie była całkiem pewna, co o tym sądzi, ale… ogólnie rzecz biorąc, po pierwszym tygodniu, jaki z nimi spędził, czuła się nadspodziewanie zadowolona.

Mogłaby wręcz przyznać się do radości z tego, że pojawił się w ich życiu.

Przy przeciwległym końcu stołu Thomas również odczuwał zadowolenie ze swych osiągnięć w tym pierwszym tygodniu. Stopniowo wpadał w rutynę codziennych

finansowych analiz, nauczania i fizycznej pracy, co bardzo mu odpowiadało. Podjął właściwą decyzję, przybywając do tego domu i pozostając w nim także wówczas, gdy nieoczekiwanie zastał tu nową gospodynię z dziećmi. Tutaj mógł w komforcie i spokoju czekać, aż los wezwie go, by dopełnił pokuty. Jeśli nawet nieco głębiej w jego czarnej duszy kryła się niecierpliwość związana z owym finalnym zadaniem, chęć, by je poznać, wypełnić i znaleźć… czymkolwiek było, to ku swemu zaskoczeniu skonstatował, że łagodnie absorbujące jego uwagę obecne zajęcia, ten dom, dzieci i powabna Sheridan zdają się mieć dostateczny ciężar, by utrzymać ową niecierpliwość pod powierzchnią.

Tutaj, teraz towarzyszyła mu jedynie świadomość dobrze spędzonego dnia oraz kojące, usypiające wrażenie spokoju.

Pepi skakała wokół stołu, zbierając puste talerze po zupie. Pani Sheridan rozłożyła talerze na drugie danie, a następnie przyniosła dużą brytfannę z zapiekanką.

Zająwszy na powrót swoje miejsce, dała Thomasowi znak, żeby sobie nałożył. To była jedna z tych chwil, kiedy chętnie by się spierał, zaakceptował jednak, że Rose sobie tego nie życzy. Jego instynkty obstawały przy tym, że ona – dama, bez względu na jej pozycję społeczną – powinna zostać obsłużona jako pierwsza, ale… dla jej spokoju nałożył sobie porcję, a później przekazał łyżkę Homerowi.

Mięso było wyśmienite; nie tylko zwiększył ilości dostarczanych do dworu produktów, ale zadbał też o ich lepszą jakość. Pani Sheridan zauważyła, naturalnie, nie skomentowała wszakże, a jedynie dopasowała potrawy do lepszych składników.

Kiedy przy stole zapadła przyjemna cisza, zakłócana jedynie pobrzękiwaniem sztućców o porcelanę i wymamrotaną przez Pepi prośbą, żeby Homer podał jej koszyk z chlebem, Thomas zerknął ponad blatem i napotkał utkwione w nim brązowe oczy pani Sheridan.

Patrzyli na siebie o sekundę dłużej, niż wydawało się to usprawiedliwione, po czym zgodnie opuścili wzrok na swoje talerze.

Thomas oparł się pragnieniu, by zmienić pozycję na krześle; zauważyłaby i… nie. Jego różane dni tutaj miały tylko ten jeden cierń – nieustający, niezaspokojony pociąg, który uparcie narastał. Wiedział, że tego rodzaju pociąg sam nie opadnie, w każdym razie dopóty, dopóki pozostawali z Rose pod jednym dachem, tak blisko siebie.

Jednakowoż jak dotąd udawało im się tłumić wszelkie porywy, utrzymać pokrywkę na czajniku, w którym powoli, miarowo, w sposób nieunikniony temperatura zbliżała się do stanu wrzenia.

Żywił nadzieję, że nim do tego dojdzie, otrzyma wezwanie od losu.

Ta myśl na powrót skoncentrowała jego uwagę na trzech pozostałych osobach przy stole. Zerknął na Homera, a potem na Pepi. Zagości w ich życiu, ich oraz ich matki, jedynie przez chwilę, choć jednak szczegółowo rozważał tę kwestię, z każdym mijającym dniem nabierał większej pewności, że obrał słuszną drogę, postanawiając wejść z nimi w interakcje i ofiarować każde możliwe wsparcie, każdą pomoc w tym krótkim czasie, jaki tu spędzi.

Ucząc Homera, i Pepi także, czego tylko zdołał, oraz prowadząc w miarę normalne życie i zarazem starając się nie rozpalić tego, co fermentowało między nim a ich matką…

Opróżniwszy talerz, z przyjemnie pełnym żołądkiem rozparł się na krześle i spojrzał ponad stołem.

– Bardzo udany obiad, pani Sheridan. Proszę przyjąć wyrazy uznania.

Roześmiała się, spontanicznie dając wyraz zadowoleniu, a choć udało mu się zachować na twarzy wyraz nonszalanckiego rozluźnienia, coś w nim zamarło.

Kiedy wymieniwszy uśmiechy z dziećmi, podniosła na niego wzrok, skłonił głowę, zmuszając się do łagodnego wygięcia warg i bacząc, by rzęsami przesłonić głód, który raptem narósł w jego oczach.

ROZDZIAŁ 3

Mijały dni, potem tygodnie. Miesiąc po swoim przybyciu Thomas siedział w bibliotece, nie zacząwszy jeszcze codziennej pracy nad finansami. Obrotowe krzesło ustawił oparciem do biurka, do czekających w stosach na blacie listów i gazet, i zatopiony w ponurych rozmyślaniach wyglądał przez okno.

Niecierpliwość nadal czaiła się w jego duszy, zarazem jednak, nawet teraz, odczuwał niejaki spokój, kojący wpływ prostych przyjemności, których doświadczał na co dzień. Każdego dnia pobytu tutaj, jako akceptowany członek tego niewielkiego gospodarstwa domowego.

Nie był pewien, czy powinien bawić się tak dobrze. Tak… beztrosko.

Dawny on posłuchałby wzbierającej niecierpliwości, uległ jej i znalazł sposób, żeby podążyć naprzód; bez wahania ruszyłby przed siebie i nagiął świat do swej woli – zmusił los, by dopasował się do ustalonego przezeń harmonogramu.

Jednakże człowiek, którym był teraz, nauczył się pokory, zaakceptował, że świat nie kręci się wokół niego. Jego przeznaczenie ani chybi zajmowało niską pozycję na liście spraw do rozstrzygnięcia – przez Boga czy los.

Zgłoszą się do niego w stosownym czasie.

Cierpliwość. Powinien wyrobić w sobie tę cnotę.

Być może na tym aktualnie polegała jego lekcja.

Rozważył ten wniosek. Choć pod pewnymi względami wydawał się samolubny, Thomas nie znajdował przeciw niemu realnych argumentów. Musiał czekać na wezwanie od losu, przy czym nabierał coraz większej pewności, że powinien robić to właśnie w Breage Manor. Łatając dwór, tak by pani Sheridan i dzieci były bezpieczne po jego wyjeździe. Ucząc Homera i poszerzając horyzonty Pepi.

Oraz kontynuując swoją pracę jako Thomas Glendower.

Zaakceptowawszy werdykt, okręcił się wraz z fotelem i na powrót skupił na stosie rozmaitych dokumentów. Przejrzał listy, wyjął księgę rachunkową i zatopił się w pracy. W legalnym pomnażaniu funduszy, a następnie wykorzystywaniu zysków, żeby wesprzeć tych, którzy sami wesprzeć się nie mogli, słabych, bezradnych, najbardziej potrzebujących.

Swego czasu poświęcił się temu zadaniu, chcąc zadośćuczynić za grzechy poprzedniego życia.

I nieoczekiwanie odnalazł równowagę, pokrzepienie oraz wyzuty z poczucia winy spokój.

*

Następny dzień toczył się podobnie jak poprzednie. Thomas spędził ranek w bibliotece, gdzie zwykle analizował informacje finansowe wyselekcjonowane z londyńskich gazet z poprzedniego dnia lub z korespondencji z Draytonem bądź innych źródeł, oceniał je

ponownie i gdy było trzeba, decydował o koniecznych zmianach w licznych portfelach, którymi zarządzał, po czym pisał do Draytona list z instrukcjami, żeby wykonał te decyzje.

Jednakże w świecie inwestycji ruch z zasady odbywał się powoli; przeważnie Thomas nie musiał pisać żadnych listów.

Dzisiaj był jeden z takich dni. Usatysfakcjonowany aktualnym stanem wszystkich funduszy, uporządkował papiery i oparł się wygodnie w obrotowym fotelu. Po chwili bezmyślnego wpatrywania się w biurko okręcił się wraz z fotelem i równie niewidzącym wzrokiem popatrzył przez okno.

Zwolniony z dyscypliny, jakiej wymaga analiza inwestycji, jego umysł, co było do przewidzenia, zwrócił się ku drugiej wielce intrygującej i aktualnej zagadce – gospodyni oraz jej dzieciom.

Pani Sheridan znacząco odbiegała od obrazu przeciętnej gospodyni w wiejskim dworze, arystokratycznej posiadłości lub nawet londyńskiej rezydencji. Dostrzegał w niej siłę, jak również bezpośredniość i bystrość umysłu, które nie współgrały z jakimkolwiek wyobrażeniem o służącej.

Rose. Pepi wymknęło się, że tak miała na imię pani Sheridan. Dzieci zwykle zwracały się do niej „mamciu”, co samo w sobie wydawało się dziwne. Biorąc pod uwagę ich źle skrywane szlacheckie pochodzenie, spodziewałby się raczej „mamy”, ale nie. A same dzieci…

Czemu ta niewielka rodzina o szlacheckich korzeniach żyła w taki sposób? Dlaczego Rose wybrała dla nich takie życie, bez wątpienia bowiem to ona stała za ową decyzją.

Ich konsekwentna izolacja była kolejną dziwną sprawą. Dzieci w tym wieku zwykle uczęszczają do szkoły, a lokalna znajdowała się niedaleko, lecz mimo to żadne z tych dwojga do niej nie chodziło. Co więcej, nie zadawały się z innymi dziećmi i, jakże to wymowne, nie miały takich oczekiwań.

Owszem, Homer wymagał już nauczania na wyższym poziomie, o szerokim zakresie, takiego, jakie zapewnia zwykle dobre gimnazjum lub prywatny tutor, ale Pepi była jeszcze mała i, jak podejrzewał Thomas, czułaby się szczęśliwa w gronie innych dziewczynek w tutejszej wiejskiej szkole… pomijając jej pozycję społeczną, która zdecydowanie nie była „wiejska”.

Z oddali dobiegł dźwięk dzwonka, wyrywając go z zadumy. To Rose – pani Sheridan – wzywała z kuchni wszystkich na poranną herbatę. Jeśli Thomas się nie pojawi, gospodyni przyniesie mu herbatę do biblioteki.

Okręcił fotel z powrotem, sięgnął po laskę i ruszył ku drzwiom.

Dotarł do kuchni tuż za Homerem; chłopiec był w jadalni, której zgodnie z sugestią Thomasa używał do nauki.

Homer zajął swoje krzesło, po czym, zamknięty w sobie i wyjątkowo markotny, sięgnął po kromkę chleba oraz masło. Pepi siedziała już przy stole, radośnie konsumując chleb suto posmarowany dżemem malinowym.

Rose odwróciła się od pieca z imbrykiem z herbatą w jednej ręce oraz dzbankiem mleka w drugiej. Na widok Glendowera skinęła głową. Postawiła imbryk i dzbanek na stole, po czym sięgnęła po filiżankę i talerz, które zdążyła już umieścić na tacy, żeby zanieść mu do biblioteki; ostatnimi czasy nigdy nie wiedziała, czy danego przedpołudnia on dołączy do nich w kuchni.

Postawiła przed nim talerz oraz filiżankę i nalała herbaty najpierw jemu, potem sobie, zanim wreszcie usiadła.

Homer sięgnął po mleko i napełnił kubek swój, a następnie Pepi.

– Uporałeś się z arytmetyką? – spytała Rose, kiedy odstawił dzbanek, świadoma zniechęcenia chłopca.

Homer wykrzywił się sztubacko.

– Tak. Ale arytmetyka jest taka nudna!

Rose otworzyła usta, lecz Thomas – Glendower – pochwycił jej wzrok, toteż zmilczała. I słuchała, jak on mówi:

– Pod pewnymi względami owszem, niemniej arytmetyka, wszystkie te nudne sprawy, stanowi podstawę tego, co robię jako inwestor.

Momentalnie zdobył niepodzielną uwagę Homera.

– Bez arytmetyki – ciągnął Glendower – nie mógłbym zarabiać pieniędzy. Także każdy właściciel ziemski codziennie posługuje się arytmetyką: analizuje zyski z upraw, plony w przeliczeniu na akr, ceny za swoje produkty rolne. Bez arytmetyki nie mógłby funkcjonować handel. Nie byłoby banków, sklepów, rządu. Niczego bez niej nie zbudujesz: domów, torów kolejowych, statków, nawet dróg, w każdym razie nie tak, jak należy. – Uwięziwszy spojrzenie Homera, Glendower skonkludował: – Jeśli spodziewasz się czegokolwiek w życiu dokonać, będziesz musiał opanować arytmetykę.

Rose z chęcią by go pocałowała. Popatrzyła na Homera – akurat w porę, by zobaczyć, że znowu się krzywi.

– Ale potrafię już dodawać i odejmować i znam na pamięć całą tabliczkę mnożenia. – Homer spojrzał błagalnie na Glendowera. – Musi być w tym coś więcej.

Glendower zamrugał, zerknął na Rose, a potem przeniósł znów wzrok na chłopca.

– Jest. Mnożenie i dzielenie na liczbach znacznie większych niż w twojej tabliczce mnożenia… w tym właśnie ma ci pomóc znajomość tabliczki. Najpierw tabliczka, potem zaawansowane mnożenie i dzielenie, a po nich jeszcze wiele poziomów manipulacji liczbami.

Rose ogarnęło przygnębienie, kiedy Homer i Glendower na nią spojrzeli. Dotarła do granic swej arytmetycznej wiedzy. Miała nadzieję, że poprowadzi Homera jeszcze przynajmniej przez kilka lat, ale prześcignął już jej umiejętności, w każdym razie w arytmetyce. Pod przenikliwie badawczym, żeby nie rzec przeszywającym spojrzeniem Glendowera miała ochotę się wić, lecz zmusiła się, by popatrzeć mu w oczy i spróbowała zebrać myśli.

Jakby zobaczył dość, by zrozumieć sytuację, Glendower oparł się wygodnie.

– Jak chyba wspominałem – powiedział, nadal spoglądając na Rose – czekam na wezwanie i zamierzam pozostać tutaj, dopóki nie nadejdzie. Nawet przy inwestycjach i pracach wokół domu zostaje mi trochę wolnego czasu… jak choćby teraz. – Popatrzył na chłopca, który spijał każde jego słowo. – Może, z pani pozwoleniem, pani Sheridan, pomógłbym w pogłębianiu studiów Homera?

Thomas pamiętał, jakie to było uczucie, gdy osiągnął granicę możliwości swego tutora w zakresie poszerzania jego horyzontów i dostarczania zajęcia poszukującemu umysłowi. Jakże inaczej potoczyłoby się jego życie – jak wielu ludzi nadal by żyło – gdyby wtedy ktoś się nim zainteresował i posterował nim od tamtego momentu. Tymczasem pozostawiono go samemu sobie, by znalazł własną ścieżkę i nią podążył, to zaś ostatecznie nie wyszło na dobre ani jemu, ani społeczeństwu.

A teraz oto Homer, pod wieloma względami podobny do niego sprzed wielu, wielu lat, znalazł się w tym samym punkcie, tyle że nawet w młodszym wieku, Thomas zaś miał czas i umiejętności, żeby odpowiednio nim pokierować.

Popatrzył przez stół na swoją gospodynię. Z możliwie zachęcającym wyrazem twarzy uniósł brew.

Nie przyjęła propozycji od razu – mimo że, wiedział to, dostrzegała problem, który dałoby się w ten sposób rozwiązać. Zamiast tego zaglądała Thomasowi badawczo w oczy, taksowała wzrokiem jego twarz. Nieomal słyszał, jak w jej głowie ścierają się sprzeczne myśli.

Nie chciała być mu nic dłużna. Z drugiej strony, dobro Homera uznawała za kwestię nadrzędną, dla niego gotowa była do poświęceń, czego z pewnością nieraz dowiodła.

Thomas zawahał się, a potem rozłożył na stole otwarte dłonie.

– Żadnych warunków. – Popatrzył na Homera i dodał, żeby odwrócić uwagę chłopca od tych słów:

– Będę cię uczył nie tylko arytmetyki, ale i wszelkich innych dyscyplin, musisz jednak obiecać, że będziesz ciężko pracował.

Z oczami jak spodki i wyrazem twarzy obwieszczającym, że ledwie śmie żywić nadzieję, Homer ochoczo pokiwał głową, po czym obaj spojrzeli na Rose.

Przez chwilę patrzyła Thomasowi w oczy.

– Jeśli na pewno może pan poświęcić czas… – powiedziała wreszcie.

Thomas uśmiechnął się swobodnie, z pewnością siebie.

– Mogę. – Skierował wzrok na Homera, który wychylał właśnie resztkę mleka, zjadłszy już dwie kromki chleba z dżemem. Kiedy chłopiec opuścił kubek, Thomas spytał: – Jesteś gotów zmierzyć się z kolejną porcją arytmetyki… tym razem niosącą większe wyzwanie?

– Tak! – Rozpromieniony Homer odsunął krzesło.

Thomas skinął głową gospodyni i podążył za podekscytowanym chłopcem do jadalni.

Tam poprosił, żeby Homer pokazał mu ostatnie zadane przez Rose wprawki – istotnie podstawowe i nudne – a następnie obmyślił serię ćwiczeń o wzrastającym miarowo stopniu zaawansowania, które poprowadzą chłopca krok po kroku na bardziej wymagające poziomy matematyki.

Zostawiwszy Homera przy pracy nad pierwszym zadaniem, Thomas przejrzał w myślach przedmioty, z którymi miał styczność w wieku chłopca. Przypomniał sobie książkę, która obudziła w nim zainteresowanie geografią, wrócił do biblioteki, wytropił upchnięty na najniższej półce egzemplarz i triumfalnie zaniósł go do jadalni.

Homer nadal pracował, zajmie mu to jeszcze jakąś godzinę.

Thomas położył tomik na stole. Kiedy chłopiec podniósł wzrok, wskazał go skinieniem głowy.

– Gdy byłem mniej więcej w twoim wieku, przeczytałem tę książkę: to opowieść przygodowa rozgrywająca się w Afryce. Możesz zabrać ją do swojego pokoju albo nawet na dwór. Nie jest to podręcznik, lecz po prostu książka, za sprawą której zapragniesz dowiedzieć się więcej.

Homer uśmiechnął się i przyciągnął książkę do siebie. Przeczytał tytuł, po czym spojrzał na Thomasa, przekrzywiając głowę.

– Uczyłeś się w domu, w ten sposób, czy chodziłeś do szkoły?

– Trochę tego i trochę tego. Moi rodzice umarli, kiedy miałem sześć lat, potem zamieszkałem z opiekunem. W twoim wieku miałem tutorów, ale niewiele później wysłano mnie do Harrow, a następnie studiowałem w Oksfordzie.

Oczy Homera się zaokrągliły.

– Też byłeś sierotą?

Thomas w duchu zmarszczył brwi.

– Byłem sierotą, tak – spróbował wytłumaczyć – ponieważ straciłem o b o j e rodziców. Moja matka umarła, tak samo jak ojciec. Ty masz przynajmniej matkę.

Homer wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym zamrugał. Z nieobecnym wzrokiem skinął głową i nachylił się nad zeszytem.

– Tak. Ja przynajmniej mam Ro… mamcię.

Nadal stojąc, Thomas zobaczył, że chłopiec zaciska wargi. Mądre posunięcie.

Spoglądając z góry na jego lśniącą głowę, Thomas odtworzył w myślach niedawną wymianę zdań.

Dzieci rzadko są dobrymi kłamcami.

*

Następnego popołudnia Thomas zarzucił na ramię siekierę i wyruszył do sadu, który, ogrodzony suchym murem, przylegał z boku do tylnego ogrodu, po przeciwnej stronie niż stajnie.

Nadal chodził o lasce, lecz bardziej z przyzwyczajenia niż konieczności; prawie się na niej nie wspierał, kiedy przecinał trawnik na tyłach domu. W miarę zbliżania się lata ciepła pogoda przytępiła ból w kościach i stawach, a rozmaite ćwiczenia, jakim oddawał się od powrotu, miarowo wzmacniały jego mięśnie i ścięgna.

Przeszedłszy przez wyrwę w kamiennym murze, Thomas przystanął i omiótł wzrokiem sad. Wszystkie rosnące tu drzewa, w sumie osiem, były stare, ale zadbane, wnioskując zaś z pąków na schludnie przyciętych gałęziach, siedem nadal cieszyło się dobrym zdrowiem i da w tym sezonie przyzwoite zbiory. Thomas pamiętał jak przez mgłę, że Gatting bardzo cenił te drzewa, a pani Sheridan najwyraźniej kontynuowała jego dzieło.

Jednak jabłoń, trzecia w rzędzie po prawej, padła ofiarą zarazy ogniowej.

Z siekierą na ramieniu Thomas podszedł do niej, mijając dwie śliwy damaszki i ignorując wiśnię, dwie grusze tudzież orzech w drugim rzędzie.

Przez lata w klasztorze starał się spędzać jak najwięcej czasu na świeżym powietrzu, czyli głównie w jednym z przyklasztornych ogrodów: zielnym, warzywnym lub sadzie. Nauczył się wtedy bardzo wiele, włącznie z tym, jak rozpoznać zarazę i jak najskuteczniej się ją leczy.

Zatrzymawszy się przed jabłonią, przyjrzał się jej bacznie, odnotowując ciemne plamy, rozlewające się miarowo na jakże wielu gałęziach.

Westchnął, upuścił laskę na trawę i zdjął z ramienia siekierę.

Pokuśtykał do przodu, schylił się i przeszedł pod nisko rosnącą gałęzią do miejsca, gdzie było dość wolnej przestrzeni, by pod dobrym kątem uderzyć w pień. Rozstawił nogi, uniósł siekierę…

– Nieeee!

Na ten krzyk opuścił siekierę i spojrzał w stronę domu.

Przez ogród pędziła Pepi, warkocze i fartuszek powiewały za nią.

– Nie! Thomasie, nie! Nie możesz ściąć mojego drzewa!

Był to lament pełen udręki. Thomas wyprostował się, opierając siekierę głowicą o ziemię.

Pepi wbiegła do sadu. Thomas zerknął na dom i skonstatował, że musiała go zobaczyć z okna swojej sypialni.

Dziewczynka pomknęła przez wysoką trawę i zatrzymała się niedaleko jego laski.

Z błagalną miną wbiła w jego twarz wielkie brązowe oczy.

– Proszę, Thomasie, nie możesz jej ściąć, to moja imienniczka. Dała mi imię.

Thomas zamrugał w duchu.

– Wydawało mi się, że masz na imię Philippa albo coś w tym stylu – powiedział po chwili.

Dziewczynka z emfazą potrząsnęła głową.

– Nie, ale lubię jabłka, więc kiedy musiałam sobie wybrać imię, wybrałam Pepi, od pepiny, takiej odmiany jak ta. – Skinieniem głowy wskazała jabłoń. – Dlatego to moje drzewo.

– Aha.

Jak zatem miała naprawdę na imię? I dlaczego musiała wybrać sobie inne? Thomas wpatrywał się w małą jeszcze przez chwilę, a potem spojrzał na jabłoń. Najwyraźniej w tym przypadku najskuteczniejsza terapia nie będzie tą najlepszą. Popatrzył na Pepi.

– Zachorowała, wiesz?

Pepi przytaknęła ze śmiertelną powagą. Przysunąwszy się bliżej, przeciągnęła rączką po zarażonej gałęzi.

– Nie jest zdrowa, prawda?

– Nie. – Trzymając siekierę głowicą w dół, Thomas znów przeszedł pod niską gałęzią, żeby stanąć obok dziewczynki. – I jeśli czegoś nie zrobimy, będzie chorować coraz bardziej, aż wreszcie umrze… przypuszczalnie przed końcem roku.

Pepi popatrzyła na niego jasnobrązowymi oczami, tak podobnymi do oczu Rose.

– Ale nie musimy jej ścinać, prawda? Nie możemy zrobić czegoś, żeby jej się poprawiło?

Thomas przez chwilę odwzajemniał jej spojrzenie, aż wreszcie westchnął w duchu i odwrócił się do jabłoni, dokonując ponownych oględzin i rejestrując, jak daleko rozprzestrzeniła się zaraza. Być może istniała szansa, bardzo drobna, że rozsądne przycięcie ocali drzewo. Czy lepiej spróbować, dając Pepi przypuszczalnie fałszywą nadzieję, czy też powinien nalegać, że jabłoń trzeba ściąć od razu?

Przebiegł wzrokiem pozostałe owocówki.

– Inne drzewa wyglądają na zdrowe, więc zaraza najpewniej atakuje wyłącznie jabłonie.

Raz jeszcze przyjrzał się choremu drzewu, świadom, że Pepi wpatruje się w jego twarz z nadzieją oraz wiarą, że jeżeli tylko istnieje sposób na uratowanie tej pepiny, Thomas go dla niej znajdzie.

– Jeśli ostrożnie zetniemy wszystkie obumierające gałęzie – powiedział, spoglądając na dziewczynkę – każdy kawałątek, który wygląda, jakby coś się z nim działo, a potem zabierzemy je stąd i spalimy, wówczas mamy drobną szansę… drobną, tylko tyle mogę ci obiecać… ocalić twoje drzewo.

Wpatrywała się w niego, a później ścisnęła jego dłoń.

– To spróbujemy? – spytała. – Proszę…

„My”. Przyszło mu do głowy, że mała więcej wyniesie z prób ratowania drzewa, jeśli będzie pomagać – gdyby zaś zdarzyło się najgorsze, przynajmniej będzie miała poczucie, że zrobiła, co w jej mocy.

– W porządku.

Zaklaskała w dłonie z piskiem. Na szczęście krótkim.

Skrył rozbawienie, zastanawiając się, jak długo potrwa jej entuzjazm w obliczu czekającej ich ciężkiej pracy. Wskazał brodą w kierunku stajni.

– Chodź. Zostawimy siekierę, a weźmiemy sekator i piłę.

Podskakiwała u jego boku, aż nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Odłożywszy siekierę, zgromadził narzędzia, które jego zdaniem mogły im się przydać, uzupełniając zestaw o płachtę starego, zachlapanego farbą impregnowanego płótna. Dał Pepi do poniesienia lżejszy sekator, pozostałe narzędzia zawinął w płótno, zarzucił sobie pakunek na ramię i razem wrócili do sadu.

Rozpostarł brezent w pewnej odległości od jabłoni, na łagodnym zboczu, które opadało do muru na tyłach sadu, podniósł z niego dwie piły oraz cięższy sekator i odłożył na bok, bliżej drzewa, a później wziął od Pepi mniejszy sekator.

– Oto, jak będziemy pracować – powiedział.

Wytłumaczył, że będzie ścinał gałęzie i podawał Pepi, a jej zadaniem jest zadbać, by każdy, najmniejszy choćby kawałek znalazł się na płachcie.

– To bardzo ważne, żeby całe zakażone drewno trafiło na nasz stos, a nic nie zostało w trawie w pobliżu jabłoni. Wówczas, kiedy już zetniemy wszystkie chore gałęzie, zaciągniemy je na płachcie w róg sadu i tam spalimy.

Pepi przytaknęła. Uniósł sekator, by odciąć pierwszą gałąź, ale wtedy dziewczynka prześlizgnęła się do pnia jabłoni. Kucnęła i przyłożyła dłoń do gładkiej kory.

– Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci się poprawiło i żebyś znowu mogła rosnąć zdrowo i rodzić dla nas piękne jabłka.

Poklepała drzewo, wstała i zajęła miejsce u boku Thomasa. Podniosła nań wzrok i skinęła głową.

– Teraz możemy zaczynać.

Całkowicie poważny Thomas odpowiedział skinieniem i uciął pierwszą gałąź.

Szybko ustalili rytm i miarowo pracowali wokół drzewa, z każdym okrążeniem wcinając się głębiej. Thomas stracił rachubę czasu, jednak w końcu, kiedy z gałęzi została mniej niż połowa pierwotnej długości, nie dostrzegał kolejnych śladów zarazy.

Wyprostował się, cofnął o krok i spojrzał znowu, dla pewności. Pepi stanęła obok niego.

– Widzisz jeszcze jakieś chore miejsca? – spytał.

Ostatecznie miała znacznie ostrzejszy wzrok.

Trzeba jej przyznać, że nie odpowiedziała od razu, lecz uważnie przyjrzała się drzewu. W końcu jednak westchnęła z satysfakcją.

– Nie. Chyba wszystkie usunęliśmy.

Thomas skinął głową.

– Świetnie. Bierzmy się do kolejnego zadania. Musimy zniszczyć chore gałęzie.

– Palimy! – zaśpiewała Pepi.

Z zachwytu na jej twarzy wnioskując, że mała jak każde dziecko uwielbia ogniska, Thomas uśmiechnął się szeroko i nachylił, by chwycić leżący niżej koniec płótna.

– Nie – powiedział, kiedy Pepi podeszła, żeby mu pomóc. – Ty idź z drugiej strony i unieś skraj. Tym sposobem, kiedy pociągnę płachtę w dół zbocza, żadna gałązka nie spadnie.

– O! – Zachwyt dziewczynki nie zmalał. – Tak, rozumiem.

Wspólnie zaciągnęli brezent w odległy zakątek sadu, gdzie było dużo wolnej przestrzeni na ognisko. Puściwszy swój koniec, Thomas okrążył płachtę i dołączył do Pepi, a następnie razem, do wtóru jej śmiechów, podczas gdy on tylko cicho szczerzył zęby, unieśli płótno, zrzucając z niego drewno.

Thomas spojrzał na nieuporządkowaną stertę gałęzi.

– Ułóżmy je jak do porządnego ogniska. Potem zbierzemy narzędzia, odniesiemy je do stajni i dopiero wtedy wrócimy tutaj i podłożymy ogień.

– Tak! – Pepi zatańczyła i prędko zaczęła zbierać pojedyncze gałęzie, rzucając je na szczyt stosu.

Thomas przemieścił kilka większych gałęzi, żeby stos zyskał lepszą konstrukcję, a potem nie przeszkadzał Pepi w tańcu i zabawie.

Radość dziewczynki mu się udzieliła.

Kiedy przygotowali ognisko, zgodnie z jego zarządzeniem odnieśli narzędzia do stajni. Tam wzięli ze skrzyni suche szczapki na podpałkę i wrócili w róg sadu.

Od jakiegoś czasu nie padało, a w większości ściętych przez nich gałęzi nie ruszyły jeszcze soki. Rozpalenie ogniska nie nastręczyło trudności.

Kiedy gałęzie się zajęły i płomienie z trzaskiem zaczęły wdzierać się w stertę drewna, Thomas cofnął się i sprawdził, czy Pepi stoi w bezpiecznej odległości, a później po prostu patrzył.

Kawałek po kawałku chciwe płomienie zdobywały teren, aż wreszcie z cichym rykiem stos buchnął ogniem.

Pepi odsuwała się stopniowo. Kiedy ogień na dobre pożerał chore gałęzie jabłoni, przysunęła się do Thomasa.

Znienacka wsunęła w jego dłoń drobną rączkę.

Zerknął w dół, kiedy jego palce zacisnęły się instynktownie. Nie nazbyt mocno, akurat na tyle, żeby ją trzymać, żeby zareagować…

Pepi westchnęła i oparła się o niego, wtulając głowę w jego bok.

Coś w nim znieruchomiało.

Takie niewinne, bezwarunkowe zaufanie… wstrząsnęło Thomasem.

Wziął płytki, nie całkiem równy oddech, uniósł głowę i patrzył w płomienie.

Minutę później usłyszał zza pleców:

– Co palicie?

Obejrzawszy się, zobaczył swoją gospodynię – matkę Pepi. Spojrzał na dziewczynkę i raptem stracił pewność co do rodzaju łączącego je pokrewieństwa.

Wyprostowawszy się, Pepi tylko się obejrzała, po czym zaczęła podskakiwać u jego boku.

– Thomas i ja palimy chore gałęzie mojej jabłoni. – Wskazała drzewo. – Widzisz? Musieliśmy ścinać i ścinać, żeby usunąć wszystkie chore gałęzie, a teraz – szerokim gestem omiotła ognisko – palimy je, żeby moja jabłoń wydobrzała i nie zaraziła się znowu.

Popatrzyła na Thomasa, napotkała jego wzrok, uśmiechnęła się promiennie i znów zagapiła w ogień.

Jej matka podeszła i stanęła obok dziewczynki; ponad głową Pepi spojrzała na Thomasa.

Przyglądała mu się bacznie, a potem skłoniła głowę. W jej jasnobrązowych oczach połyskiwała wdzięczność.

Oczach takich samych jak u Pepi, lecz mimo to… zastanawiał się.

Rose stała w milczeniu obok Pepi i obserwowała, jak stos gałęzi spala się miarowo.

Wzruszyło ją i przepełniło wdzięcznością, że Thomas – Glendower – okazał się tak miły, na tyle wczuł się w życzenia dziewczynki, jej dziecięce emocje, by zmienić plany. Widziała go wcześniej, kiedy szedł przez ogród z siekierą, potem jednak przeszła do bawialni we frontowej części domu. Słyszała, jak Pepi wybiega na dwór, ale nie zdawała

sobie sprawy, że do niego dołączyła.

Nie wiedziała, że zamierzał ściąć chorą jabłoń.

Lekki wietrzyk dmuchnął w nich dymem. Chciała podziękować Thomasowi, ale nie znajdowała stosownych słów.

Machnięciem dłoni wskazał ognisko.

– Ogień jest już na tyle mały, że spokojnie możemy to tak zostawić. – Odwrócił się, robiąc gest w stronę domu. – Powinniśmy wrócić do środka. – Popatrzył Rose w oczy. – Zapewne już pora na podwieczorek.

Uśmiechnęła się, zaczerpnęła tchu i skinęła głową.

– Tak, rzeczywiście… i dziękuję, Thomasie. – Zanim którekolwiek z nich zdążyło zastanowić się nad tym, że zwróciła się doń po imieniu, spojrzała z uśmiechem na Pepi. – Do herbaty są świeże kruche ciasteczka, śmietana i dżem jeżynowy. Po takiej pracy na pewno zgłodnieliście.

Pepi wydała okrzyk radości. Zamiast jednak popędzić do domu, jak spodziewała się Rose, dziewczynka pomknęła w górę zbocza, podniosła z trawy laskę Thomasa i przyniosła mu ją tanecznym krokiem.

– Chodź, Thomas. – Poczekała, aż weźmie od niej laskę, a potem chwyciła go za wolną rękę. Drugą złapała dłoń Rose i pociągnęła oboje w górę łagodnego wzniesienia. – Idziemy na herbatę!

Rose zerknęła na Thomasa – swego tajemniczego pracodawcę – omiotła wzrokiem jego profil, kiedy uśmiechał się do Pepi, i w milczeniu podporządkowała się planom dziewczynki.

*

Curtis, wielce szanowany właściciel cieszącej się w Londynie prawdopodobnie najlepszą sławą agencji detektywistycznej, przeszedł za swoje biurko. Odsuwając krzesło, zerknął na usadowionego przed biurkiem klienta.

– No i? – spytał Richard Percival. – Napisał pan, że ma wieści.

Elegancko ubrany, o arystokratycznych rysach twarzy, teraz uformowanych w maskę uprzejmego znudzenia – na której dało się jednak zaobserwować drobne pęknięcia – z ciemnymi włosami ułożonymi modnie, tak że wyglądały jak zmierzwione wiatrem, przy czym jeden ciemny lok zwisał przez środek brwi, na pierwszy rzut oka Percival wydawał się typowym przykładem dobrze urodzonego bon vivanta, za jakiego brano go zwykle w towarzystwie. Curtis wszakże znał go jako człowieka owładniętego obsesją; wiedział, ile lat i pieniędzy poświęcił Percival, jak szeroko zakrojone poszukiwania prowadził, żeby wytropić zaginionych krewnych.

Curtis znał także powód tej obsesji, toteż nie zaskoczyły go pragnienie i nadzieja skryte za lapidarnymi słowami owego człowieka.

– Wydaje nam się, że mogli się udać do Kornwalii.

– Do Kornwalii? – Percival zmrużył oczy. – Dlaczego, u diabła, zabrałaby ich akurat tam?

– Nie ma żadnych związków z tą okolicą? Dalekich krewnych, dawnej piastunki, kogoś w tym rodzaju?

Richard Percival zastanowił się, po czym wolno pokręcił głową.

– O nikim takim nie słyszałem i szczerze mówiąc, byłbym zdziwiony. Urodziła się i dorastała w Leicestershire.

– Kornwalia leży, mniej więcej, tak daleko od Lincolnshire, jak tylko można – podsunął po krótkim wahaniu Curtis. – Kiedy uciekła z Seddington Grange… niewykluczone, że umknęła najdalej, jak się dało, a potem się zatrzymała.

Richard Percival się skrzywił. Po chwili spojrzał na Curtisa.

– Powiedział pan, że w y d a j e wam się, iż udała się do Kornwalii. Na jakiej podstawie, no i czy jest pan pewien?

– Kobietę odpowiadającą jej rysopisowi, z dwojgiem dzieci, widziano w Exeter, ale było to parę lat temu, nie wiemy nawet, jak dawno dokładnie. Mamy pewność co do samej identyfikacji: mój tamtejszy człowiek zna się na swojej robocie. Natomiast czy nadal tam są… – Curtis wzruszył ramionami. – Przy tak zimnym tropie nie sposób tego stwierdzić.

Przez maskę Richarda Percivala przebiła się frustracja.

– Niech to diabli! Na pewno da się zadziałać mocniej, bardziej zdecydowanie.

Nieporuszony tym nietypowym wybuchem Curtis zwlekał chwilę, a potem, splatając dłonie na biurku, cicho przemówił:

– Pańskie instrukcje brzmiały… i nadal pozostają w mocy… że należy utrzymać sprawę w tajemnicy, nie robić zamieszania. – Curtis spojrzał w ciemnoniebieskie oczy Richarda Percivala. – Czy to się zmieniło? –

Odczekał moment, zanim dodał: – Ponieważ, tak, mogę uderzyć o wiele mocniej. Mogę rozesłać listy gończe, co skutecznością ustępuje jedynie obławie, jeśli tego pan chce.

Richard Percival wypuścił powietrze z płuc.

– Nie. Nie. – Po chwili wziął głęboki oddech i rzekł: – Jakikolwiek miała powód, żeby tamtej nocy z nimi uciec… dopóki ich nie odzyskam i nie poznam tego powodu… – Zwęziwszy oczy, zapatrzył się w przestrzeń, aż wreszcie wymamrotał: – Na ile to tylko możliwe, chcę utrzymać rzecz w absolutnym sekrecie.

Curtis skinął głową.

– Wobec tego jutro poślę tam więcej ludzi. Musimy działać wolno i ostrożnie, ale nasze informacje są takie, że opuścili Exeter i ruszyli na zachód. Do Kornwalii.

Richard Percival przez kilka sekund siedział w milczeniu, po czym wstał i lakonicznie przytaknął.

– Proszę posłać tam swoich ludzi… i powiadamiać mnie o wszystkim, co ustalą.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Curtis odprowadzał go wzrokiem. Nawet kiedy drzwi już się zamknęły, gapił się na nie przez pewien czas, nim w końcu westchnął, pokręcił głową i wrócił do pracy.

ROZDZIAŁ 4

Dni mijały, a ponieważ wezwanie od losu nie nadchodziło, Thomas odkrył, że szuka rzeczy do zrobienia, zadań, którymi zająłby ciało i umysł.

Przypomniawszy sobie Gattingów, którzy doglądali domu, odkąd zakupił go na początku 1816 roku, i w trakcie jego nieczęstych pobytów we dworze zawsze dbali o jego wygodę i spokój – dzięki czemu istotnie wypoczywał – uznał, że powinien złożyć im wizytę i podziękować za lata przykładnej służby.

Następnego ranka przy śniadaniu zapytał Rose – oni dwoje stopniowo zaczęli zwracać się do siebie po imieniu – gdzie mieszka starsze małżeństwo.

– W Porthleven, w niewielkim domku przy Shute Lane. To zaraz przy porcie, zanim ruszysz w górę wschodniego zbocza. Numer cztery.

Skinął głową, w myślach wizualizując sobie miasteczko takie, jakim widział je po raz ostatni; raczej się nie zmieniło.

– Zamierzam wybrać się dziś konno w tamte okolice, kiedy już przejrzę gazety. Chciałbym do nich zajrzeć i życzyć zdrowia.

Na twarzy Rose, kiedy odstawiła filiżankę, malowała się aprobata.

– Na pewno chcieliby cię zobaczyć… – Jej słowa stopniowo zamarły, ale potem otrząsnęła się i nieznacznie wzruszyła ramionami. – Choćby tylko dowiedzieć się, że żyjesz.

Uzmysłowiła sobie, że Gattingowie będą pamiętać go takiego, jakim był kiedyś. Uśmiechnął się z ironicznym zrozumieniem.

– W rzeczy samej.

Rose zarumieniła się lekko i sięgnęła po imbryk.

– Nie jesteś przecież bezradnym kaleką. Cokolwiek ci się przydarzyło, przetrwałeś, nadal żyjesz. Nadal robisz coś ze swoim życiem.

Przyglądał się jej, usiłując rozstrzygnąć, która część jej zapatrywań na niego najbardziej go konfunduje – oczywista ślepota na blizny, które zniekształcały mu lewą stronę twarzy, na jego utykanie, czy też wygłoszone z pewnością siebie twierdzenie, że Thomas nadal prowadzi aktywne życie, nadaje mu kształt – w domyśle – czyniąc je coś wartym.

We własnej ocenie trwał w zastoju. Nie tyle żył, ile egzystował, czekając, aż ostatecznie zapłaci za dawne grzechy.

Które z nich miało rację?

Czy też mieli ją oboje?

Odsuwając od siebie te rozpraszające rozważania, zerknął w lewo na lśniącą głowę Homera, a później popatrzył na Rose.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym zabrać na przejażdżkę także Homera. Na całodniową wycieczkę.

Zaobserwował, że chłopca rozpiera energia, dla której nie znajduje ujścia. Dzień ruchu dobrze by mu zrobił.

Homer poderwał głowę, pełen entuzjazmu. Wbił niebieskie oczy w Rose.

– Proszę. Moje prace też wykonam, nie zapomnę.

Rose się zawahała. Nie była odporna na błaganie w oczach Homera. Rozumiała i w gruncie rzeczy podzielała jego tęsknotę, by wyrwać się z ciasnoty czterech ścian. Pojmowała również, że chłopcy w jego wieku powinni spędzać więcej czasu poza domem, ale nie mogła ryzykować, że ktoś ją z nim zobaczy. Ich dwoje razem byłoby o wiele łatwiej zidentyfikować niż każde z nich z osobna. Jednakże nie mogła mu też pozwolić na samotne wypady…

Przeniosła wzrok na Thomasa i skinęła głową.

– W porządku.

Thomas zadba o bezpieczeństwo Homera, wiedziała to całą sobą. Zgoda na to, by zabrał chłopca na całodniową wycieczkę, idealne rozwiązywała jej problemy. Pomijając inne kwestie, jeśli ktoś ich zobaczy, przy tym, jak się do siebie odnosili, weźmie ich za ojca i syna.

Jeszcze jedna zmyłka, która zwiększy bezpieczeństwo jej i dzieci.

Homer wydał okrzyk radości.

Rose zerknęła na Pepi, która nieznacznie marszczyła czoło i zaczęła wysuwać dolną wargę. Spojrzała na Homera.

– Potraktuj zgodę na wyjazd z Thomasem jako nagrodę za pilną naukę… No i przecież zbliżają się twoje urodziny.

Homer wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wepchnął do ust ostatni kawałek grzanki, dopił mleko, po czym odsunął krzesło.

– Zajrzę do stajni. – Popatrzył na Thomasa. – Długo ci zajmie czytanie?

– Jakąś godzinę. – Thomas spojrzał na Rose. – Lunch zjemy tam, wrócimy na podwieczorek.

Skinęła krótko głową. Zerknąwszy znów na Pepi, zobaczyła bardziej ustępliwą, pogodzoną z faktami minkę. Wzmianka o urodzinach Homera podziałała.

Chłopiec pomknął do tylnych drzwi i wypadł z domu.

Thomas odsunął krzesło. Rose spojrzała na niego i uzmysłowiła sobie, że w ślad za nią skupił się na Pepi.

– Pepi – powiedział – zamierzałaś mi pokazać sukienkę, którą uszyłaś dla swojej lalki. Jeśli chcesz, mógłbym obejrzeć ją teraz. Mam chwilkę, zanim wyjedziemy.

Buzia dziewczynki się rozjaśniła. Mała pokiwała głową, głośno przełknęła resztkę mleka, posłała uśmiech Rose i odsunęła krzesło.

– Pójdę po Dolly, ona jeszcze śpi.

Thomas z powagą przytaknął.

– Będę w bibliotece, przyjdź tam razem z nią.

Pepi wybiegła z tupotem.

Ponad krótkim stołem Rose popatrzyła Thomasowi w oczy.

– Wykazałeś się… nie lada odwagą.

Jego wargi lekko drgnęły.

– Przeżyję.

Wstał od stołu i zaczął zbierać talerze.

Rose poszła w jego ślady, po czym zaniosła stos do zlewu.

Podążył za nią z resztą naczyń.

Wpadli już w domową rutynę: ona zmywała, on wycierał naczynia i odkładał na miejsce.

Miała pełną świadomość, że żadne z nich nie urodziło się do takich obowiązków, a jednak wypełniali je bez narzekań. Życie, podjęte przez nich decyzje, doprowadziły ich w to właśnie miejsce.

Wiedziała, że jest to prawdą w jej przypadku i intuicyjnie wyczuwała, że w jego także.

Niemniej tego ranka…

Stojąc przy zlewie, zanurzyła przyniesione talerze w wodzie i czekała, aż Thomas odstawi swój stos na roboczy blat obok jej ramienia.

Zrobił to i zawahał się, patrząc na nią, na jej profil. Czuła na twarzy jego spojrzenie.

Rozjarzyła się w niej świadomość – zmysłowa tęsknota, którą oboje tak starannie ukrywali, tłumili.

Mimo to dzięki samemu jej istnieniu Rose czuła, że żyje.

Czuła to tak, jak nigdy do tej pory.

Choć nic nie mogło z tego wyniknąć, nadal zapierało jej dech w piersi, nadal krew w niej śpiewała.

Zadarła brodę i popatrzyła na ogród za domem, walcząc z przymusem, by przenieść wzrok na niego, na jego twarz, jego fascynujące oczy. Oczy, które wydawały się tak czyste, tak otwarte – dające wgląd prosto w jego duszę.

W płucach czuła ucisk, zdołała jednak zaczerpnąć powietrza na tyle, by rzec:

– Zajmę się dziś tym wszystkim, a ty lepiej idź do biblioteki, inaczej Pepi będzie zawiedziona.

Nie poruszył się od razu.

– Nie mam pojęcia o lalkach – stwierdził po chwili.

Uśmiechnęła się.

– Ale wiesz co nieco o sukniach. – Zerknęła na niego z ukosa. – Sztuczka polega na tym, żeby udawać, iż lalka jest prawdziwą, tyle że znieruchomiałą damą, i komentować stosownie do tego.

– Aha. – Pokiwał głową, po czym nachylił się ku niej. – W takim razie pójdę wypełnić swój obowiązek.

Odsunął się i skierował do wyjścia.

Odwróciła się, zanim tam dotarł.

– Thomasie – powiedziała, a kiedy przystanął i spojrzał na nią, popatrzyła mu prosto w oczy. – Dziękuję. W imieniu swoim i dzieci. – *Lecz swoim przede wszystkim.*

Uśmiechnął się cynicznie.

– Podziękowania są zbyteczne. Nie złożyłbym takiej propozycji, gdybym nie chciał… gdybym nie sądził, że towarzystwo Homera sprawi mi równie wielką przyjemność, jak jemu ta wycieczka.

Zauważyła już, że zwykł pomniejszać swe dobre uczynki. Odpowiedziała równie cynicznym uniesieniem brwi.

– A Pepi?

Jego uśmiech się pogłębił.

– To, jak sądzę – rzekł, odwracając się – powinnaś postrzegać jako próbę utrzymania pokoju.

Prychnęła, z politowaniem pokręciła głową i sięgnęła po dzbanek.

*

Kilka godzin później Thomas poprowadził Srebrnego ze wzgórza do leżącego niżej

Porthleven, a Homer na kucu dotrzymywał mu tempa.

Jazda z dworu wzdłuż klifów przebiegła bez incydentów. Srebrny z chęcią by pogalopował, ale kuc nie nadążyłby za nim na swych krótkich nogach. Thomas musiał wstrzymywać siwka, który teraz, zdegustowany i po końsku nadąsany, wlókł się niemrawo.

Jednak strome zejście do portowej wioski zachęciło wszystkich, nawet Srebrnego, do podziwiania widoków.

Dzień wstał ładny, potem jednak nadciągnęło kilka obłoków, które sporadycznie przesłaniały słońce. Teraz, kiedy znaleźli się na brzegu morza, wiatr powiał silniej, ale nadal raczej igrał niż dął.

Wjechali do wioski wokół zachodniego cypla. Port i wieś leżały w głębokiej rozpadlinie między bliźniaczymi cyplami, gdzie ziemia opadała stromo, by spotkać się z wodami kanału.

Pobielone domy ciągnęły się wzdłuż brukowanej ulicy, która okrążała niewielki port. Wał ochronny wyrastał z zachodniego brzegu, przecinając wylot portu, i dawał licznym żaglówkom oraz łodziom rybackim, kołyszącym się na kotwicach w basenie portowym, osłonę przed niszczycielskimi niekiedy falami kanału. Po przeciwnej stronie ze wschodniego cypla wybiegał w morze falochron, wyginając się tak, by osłonić wejście do portu, wąską przerwę między końcem wału a nabrzeżem po wschodniej stronie.

Wioska wyrosła wokół kamiennych nabrzeży okalających port z trzech stron, przy czym większość domów rozproszyła się na długim zboczu wschodniego cypla.

Bez trudu odnaleźli Shute Lane, na wschodzie zaraz nad portem. Zatrzymali konie przed numerem czwartym, maleńką rybacką chatą z jaskrawymi wiosennymi kwiatami w skrzynce na oknie od frontu.

Gdy zapukali, drzwi otworzył Gatting. Teraz stary i pomarszczony, przygarbiony ciężko nad laską, zdołał ukryć szok na widok okaleczeń Thomasa, niemniej tak czy owak było jasne, że ucieszył się na jego widok.

Pierwotnie Thomas nie zamierzał wchodzić do środka, narzucać się parze staruszków, jak o tym myślał, jednak Gatting nie chciał słyszeć odmowy, a kiedy zawołał żonę, która dołączyła się do zaklinań, Thomas zdał sobie sprawę, że nie może – nie powinien – odmawiać.

Czasami jeszcze mu umykało, jakie zachowania są słuszne, a jakie nie.

W istocie przewodnictwo objął Homer. Odnotowawszy, jak Gattingowie reagują na chłopca, którego znali ze wspólnych lat we dworze, Thomas zdecydował, że się do niego dostosuje.

Usiedli obaj w ciasnym saloniku i pozwolili się ugościć. Homer i Gatting gawędzili, a w przerwach staruszek wypytywał Thomasa o plany w związku z dworem. Przybycie pani Gatting, nadal krągłej, o twarzy cherubina, z tacą, na której oprócz herbaty znalazł się również talerz z kawałkami babki piaskowej, odwróciło uwagę obecnych i ocaliło Thomasa przed koniecznością zmyślania zbyt wielu rzeczy.

Usadowiwszy się na drewnianej ławie z oparciem, pani Gatting pomstowała na los, który zesłał na Thomasa takie okaleczenia, jednak, jak to obserwował u prostych ludzi, rychło pogodziła się z faktami i uznała, że życie toczy się dalej. Przestała więc zwracać uwagę na jego blizny i ograniczoną sprawność, odnosząc się doń tak samo jak zawsze, z szacunkiem, choć zarazem odrobinę mu matkując.

Ogółem wizyta minęła gładko, w znacznie cieplejszej atmosferze, niż Thomas oczekiwał. Kiedy żegnali się z gospodarzami przy frontowych drzwiach, wcisnął

Gattingowi do ręki weksel.

– Niewielki dowód mojego uznania za wszystko, co przez te lata zrobiliście dla dworu, a tym samym i dla mnie.

Staruszkowie się rozpromienili.

– Dziękujemy panu – powiedział Gatting.

– I życzymy wszelkiej pomyślności – dodała jego żona.

Thomas uniósł rękę na pożegnanie i podążył za Homerem do miejsca, gdzie zostawili konie. Dosiadłszy siwka, skierował go w stronę portu. Udał, że nie zauważył szoku na twarzach Gattingów, kiedy uzmysłowili sobie, ile im podarował – a było to dostatecznie dużo, by wygodnie dożyli końca swych dni.

Kiedy jechali stępa wzdłuż kamiennego nabrzeża w tylnej części portu, Thomas popatrzył na Homera i odkrył, że ten zogromniałymi oczami wpatruje się w mrowie żaglówek kołyszących się na kotwicach w mniej więcej prostokątnym basenie portowym.

Czekał, ale chłopiec nie spojrzał na niego; był na wskroś zaabsorbowany. Patrząc znów przed siebie, Thomas przebiegł wzrokiem po łuku drogi wznoszącej się wzdłuż zachodniego nabrzeża – ich trasy do domu. Tuż za punktem, gdzie z cypla wyrastał wał ochronny, stała pobielona bryła gospody.

Thomas zerknął na Homera, nadal wpatrzonego w żaglówki.

– Zostawmy konie w gospodzie i przejdźmy się po wsi, zanim usiądziemy na lunch.

Homer radośnie pokiwał głową i popędził kuca, żeby dotrzymać tempa Thomasowi, kiedy ten skierował Srebrnego w stronę gospody.

W małej wiosce nie znalazło się wiele do oglądania. Thomas zatrzymał się u kowala, żeby kupić gwoździe, a potem zauważył niewielki sklep modniarski, uzbroił się wewnętrznie i wszedł do środka. Z pomocą Homera wybrał parę koronkowych mitenek dla Rose oraz trzy długości jasnej wstążki dla Pepi. Upchnąwszy pakunki do kieszeni rajtroka, podążył za chłopcem z powrotem na słońce.

Choć Homer był zbyt dobrze wychowany, żeby nalegać, sposób, w jaki jego spojrzenie mimowolnie zbaczało ku portowi, ku łodziom, mówił swoje. Rozumiejąc tę fascynację, Thomas machnął laską w głąb prowadzącej do portu uliczki.

– Może przejdziemy się na koniec wschodniego cypla, zanim ruszymy z powrotem do gospody?

Homer podniósł nań wzrok z szerokim uśmiechem.

– Tak. Chodźmy.

Obrali miarowe tempo. Po przejechaniu konno nawet krótkiego dystansu Thomas doceniał okazję, by rozprostować nogi. Wędrówka brukowanymi ulicami jako ćwiczenie bardzo się różniła od spacerów po mniej równym, lecz miękkim terenie wokół dworu; stąpał inaczej, angażował inne mięśnie.

Kiedy dotarli na koniec cypla, wiatr przegonił ostatnie chmury i z góry spłynęły promienie słońca, otulając ich ciepło. Przystanęli, żeby spojrzeć na port, omietli wzrokiem panoramę, od białych ścian i ołowianych dachów wioski przez zielone zbocze zachodniego cypla po bezmiar nieba i morza. Słońce połyskiwało na falach. Wysoko w górze mewy szybowały chybotliwie, unoszone prądami powietrznymi, a ich wrzaski tworzyły kontrapunkt dla pomruku fal, nieustającego szumu morza.

Thomas stał i patrzył, oddychając głęboko, aż poczuł, jak prześlizguje się przez niego niezwykłe zadowolenie. Zerknął na Homera – i odkrył, że chłopiec, nawet teraz, pozostaje skupiony na łodziach w porcie.

Ta graniczą z obsesją pasja przyprawiła Thomasa o uśmiech.

– Chodź. – Laską wskazał drogę powrotną. – Lunch wzywa.

Homer ochoczo się podporządkował, choć czy przyczyniła się do tego wzmianka o jedzeniu, czy fakt, że ich trasa znów prowadziła wokół portu – i żaglówek – tego Thomas nie umiał stwierdzić.

Pół godziny później siedzieli w gospodzie przy oknie, skąd rozciągał się widok na wał ochronny i sam port oraz kołyszące się łodzie.

Wielki kawał soczystego królika w cieście oraz szklanka lemoniady przez kilka minut z sukcesem konkurowały o uwagę Homera, lecz gdy chłopiec wyczyścił talerz, jego spojrzenie znowu powędrowało ku łodziom.

– Żeglowałeś kiedyś? – zapytał z uśmiechem Thomas, nadal zajęty swoją porcją. – Czy też twoje zainteresowanie wynika jedynie z fascynacji nieznanym?

Homer ledwie nań zerknął.

– Nie. – Wpatrzony w niewielką zakotwiczoną za wałem flotyllę, westchnął z żałosną tęsknotą, jaką potrafi zgromadzić w sobie jedynie dziecko. – Nigdy nie żeglowałem, w każdym razie niczego takiego nie pamiętam, ale tak bardzo bym chciał.

Minęło kilka chwil, po czym chłopiec spojrzał na Thomasa.

– A ty kiedyś pływałeś? To znaczy taką małą łodzią.

Odłożywszy widelec, Thomas przytaknął.

– Przed wypadkiem się zdarzało.

Oczy Homera zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Umiesz żeglować? Wiesz, co i jak?

Ubawiony Thomas sięgnął po kufel z piwem.

– Tak. Nauczyłem się dawno temu, ale takich rzeczy się nie zapomina.

– Mógłbyś mnie nauczyć? – Z rękami na stole, wbijając w Thomasa łakomy wzrok, Homer dodał błagalnie: – Proszę…

Thomas zachował neutralny wyraz twarzy, ważąc za i przeciw tej nieprzewidzianej sytuacji.

Zapał Homera narastał. Chłopiec spojrzał na port.

– Mają tam łodzie do wynajęcia… Widziałem, jak ludzie na nich wypływają. Tylko na krótko, dla zabawy.

Thomas nie znajdował powodu, by nie spełnić prośby, zwłaszcza że w istocie sam nie miałby nic przeciw wypadowi na małej łodzi. Już tak dawno nie czuł na twarzy morskiego powietrza, nie doświadczał radości, jaką daje mknięcie z wiatrem. Tak czy owak, usiłował postawić się na miejscu Rose – czy innego opiekuna – i sprawdzić, czy istnieje powód, dla którego nie powinien uczynić zadość życzeniu Homera, niemniej żadnego nie dostrzegał.

Chłopiec zaklinał go spojrzeniem.

– No i zbliżają się moje urodziny, to mógłby być twój prezent dla mnie.

Thomas zdusił śmiech; jego podopieczny nie był w ciemię bity. Nie dało się jednak ukryć, że ponieważ nie wiedział o nadchodzących urodzinach, nie przygotował prezentu.

– Dobrze.

Gdyby żywił jakiekolwiek wątpliwości co do tego, jak bardzo Homer pragnie się przepłynąć, wyraz twarzy chłopca by je zgładził.

– Dziękuję – wydusił prawie bezgłośnie Homer, nie posiadając się z zachwytu. Zerknął na łodzie, po czym znów spojrzał na Thomasa. – Możemy iść od razu?

Thomas przytaknął ze śmiechem i wstał.

Kiedy zapłacił za posiłek, wrócili do wioski, na główne nabrzeże. Po pięciu minutach

ożywionych targów z jednym ze starszych mężczyzn, którzy siedzieli tam, naprawiając sieci, Thomas wynajął niewielką łódź z jednym żaglem. Syn starego żeglarza podpłynął do żaglówki małą łodzią wiosłową, wciągnął kotwicę i przyholował łódkę do schodów prowadzących w dół z zachodniego nabrzeża.

Pomimo sztywnej nogi Thomas bez większego trudu wszedł do rozkołysanej żaglówki. Odłożył laskę i dał znak Homerowi, by do niego dołączył. Chłopiec znalazł się przy nim w okamgnieniu.

Syn żeglarza trzymał się w pobliżu, kiedy jednak posłuchał, jak Thomas instruuje Homera w zakresie podstaw manewrowania małą, jednożaglową łodzią, jego niepokój zniknął. Pozdrowiwszy Thomasa krótkim gestem, powiosłował z powrotem do głównego nabrzeża.

– No dobrze. – Zakończywszy instruktaż, Thomas usiadł na ławeczce. – Musimy ją wyprowadzić na wiosłach, przynajmniej poza wał. Kiedy znajdziemy się na morzu, wciągniemy wiosła na pokład i postawimy żagiel, najpierw jednak musimy sprawnie wyjść z portu. – Thomas poklepał miejsce po lewej stronie. – Do pewnego stopnia będę musiał panować nad oboma wiosłami, ale lewe ramię mam słabe, jeśli więc usiądziesz tutaj, możesz pracować lewym wiosłem, podczas gdy ja będę nawigował.

Homer z zapałem usiadł i chwycił za wiosło. Thomas pokazał mu, jak najlepiej rozmieścić ręce, po czym drugim wiosłem odepchnął ich od nabrzeża.

Przez chwilę dopasowywali rytm, lecz ich koordynacja prędko się poprawiała, tak więc pięć minut później wyszli z basenu portowego i opłynęli wał – a wtedy napotkali pierwszą prawdziwą falę.

– Och! – W oczach Homera, na całej jego twarzy zalśniła ekscytacja.

– Teraz chowamy wiosła. – Thomas sprawnie wciągnął prawe wiosło na pokład, a Homer szybko postąpił tak samo z lewym.

Thomas przeniósł się na tylną ławkę, chwycił rumpel i wskazał maszt.

– Ciągnij tę linę, mocno, ale w stałym tempie.

Homer posłuchał i żagiel wolno – miarowo – powędrował w górę.

– Wystarczy! – zawołał Thomas. – Zawiąż ją tak, jak ci pokazywałem, i chodź, usiądź przy mnie, a potem zobaczymy.

Odpowiednio ustawił żagiel, a ten załopotał, wydął się i łódź ruszyła, tnąc fale czysto i gładko, nabierając prędkości.

– O, tak. – Oczy Homera błyszczały.

Thomas uśmiechnął się szeroko, całkowicie podzielając odczucia chłopca.

Dzień był idealny na żeglowanie, z wiatrem akurat na tyle silnym, by ślizgali się po niemalże gładkiej powierzchni morza. Fale ustały, z góry spływały na nich promienie słońca, kiedy mknęli wzdłuż brzegu Mount’s Bay ku klifom Trewavas Head.

Nie potrzebowali słów, by dzielić się odczuwaną przez nich obu radością; wystarczyła wymiana spojrzeń. Wyraz twarzy Homera, rodzący się na niej zachwyt i rozradowanie, uspokoiły Thomasa, że podjął właściwą decyzję – w rzeczy samej reakcje chłopca okazały się znakomitą nagrodą.

Kiedy opadła pierwsza fala sensualnej uciechy, Thomas pokazał Homerowi różne żeglarskie sztuczki, nauczył go, jak zrobić zwrot, a później znowu rozpędzić łódź. Halsowali i mknęli z wiatrem przez ponad godzinę, nim skierowali się z powrotem do portu.

Zanim oddali łódź, odebrali konie i znaleźli się znowu na drodze wzdłuż klifów, zrobiło się już dobrze po południu, ale Thomas szacował, że jeśli nie będą się guzdrać, nie

spóźnią się na herbatę.

Do połowy drogi powrotnej Homer non stop gadał, potem jednak zamilkł. Thomas zerknął na niego i uspokoił się na widok nadal wyraźnej, lecz teraz połączonej z rozkojarzeniem radości na twarzy chłopca. Homer przerzucił się z gawędy w marzenia na jawie.

Uśmiechnięty Thomas skierował znów wzrok przed siebie i jechał, nie zmieniając tempa.

*

Do kuchni weszli akurat w chwili, gdy Rose stawiała na stole dzbanek z herbatą.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Doskonale. Upiekłam słodkie bułeczki – wskazała półmisek pośrodku stołu – a zdecydowanie najlepiej smakują prosto z pieca.

Pepi siedziała już przy stole. Radośnie wyszczerzyła zęby do Thomasa i Homera, po czym sięgnęła po bułeczkę.

Rose tymczasem otaksowała wzrokiem najpierw Thomasa, a następnie Homera, rejestrując ich zmierzwione, potargane wiatrem włosy i cokolwiek mokre ubrania. Popatrzyła chłopcu w oczy.

– Dobrze się bawiliście?

Sięgnęła po swoją filiżankę i spodek, kiedy Homer – odsuwając krzesło i siadając z rozmarzeniem w oczach – odparł:

– Było cudownie! Thomas wziął mnie na żagle i bawiliśmy się po prostu przewspaniale.

– Co takiego?! – Rose odwróciła się ku nim gwałtownie.

Zaskoczony Thomas patrzył, jak krew odpływa jej z policzków.

Filiżanka zagrzechotała na spodku. Rose unieruchomiła ją w oszołomieniu i odstawiła komplet. Ze skrajnym przerażeniem wpatrywała się najpierw w Homera, a potem w Thomasa, który zdążył zająć swoje miejsce przy stole.

– Zabrałeś go na łódź? – spytała ochryple, zaciskając dłonie na oparciu krzesła. – Na żagle?

Thomas nie miał pojęcia, co się stało. Podjął świadomy wysiłek, żeby zdławić instynkt, który nakazywał mu skłamać, niemniej tyle już się nauczył.

– Tak. – Zrobił krótką przerwę. – Dzień był idealny na żeglowanie, morze spokojne, wiatr niezbyt mocny, a Homer powiedział, że nigdy tego nie próbował, więc…

– Jak mogłeś?! – Rose przeniosła wzrok na Homera. Mówiła zdławionym głosem, ewidentnie wytrącona z równowagi. – Wiesz, co o tym sądzę… i dlaczego.

Thomas popatrzył na Homera.

Daleki od rejterady chłopiec odpowiedział na oskarżycielskie spojrzenie Rose spokojnie, bez śladu skruchy. Zacisnął wargi, lecz w końcu wyjaśnił:

– Musiałem się dowiedzieć, czy mi się spodoba, i teraz już wiem, że tak. – Ostatnie słowa wypowiedział z emfazą, a później powtórzył: – Wspaniale się bawiłem.

Thomas odebrał te słowa jako prośbę do Rose, by zrozumiała, jakie to było dla Homera ważne.

Ona jednak tylko gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Nie o to chodzi! – powiedziała.

– Owszem, o to. – Homer ani myślał ustąpić. Jego usta i cała twarz się ściągnęły,

a potem, patrząc Rose w oczy, głosem twardszym niż kiedykolwiek dotąd oznajmił: – Nie umrę tak jak oni.

Cisza spadła na kuchnię i uwięziła wszystkich. Thomas uzmysłowił sobie, że wstrzymuje oddech. Zerknąwszy na Pepi, przekonał się, że dziewczynka zwiesiła głowę. Jej palce, jeszcze przed momentem kruszące bułeczkę, znieruchomiały. Zamarły.

Spojrzał na Rose. Wpatrywała się w Homera, jakby wyrosła mu druga głowa.

Chłopiec zaś patrzył na nią z uporem i determinacją.

Kuchnia zdawała się balansować na ostrzu noża.

Thomas westchnął w duchu. Oparł przedramiona na stole i przeniósł wzrok z Homera na Rose.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co chodzi? – spytał neutralnym tonem.

Jego głos dotarł do Rose. Spojrzała na niego i zamrugała, po czym wzięła płytki oddech.

– Ojciec Homera i… pewna zaprzyjaźniona osoba zginęli w wypadku na jachcie – powiedziała. Znowu nabrała powietrza, wyprostowała się i popatrzyła na chłopca. – Dlatego tak się zdenerwowałam.

Thomas wiedział, że usłyszał część prawdy, był jednak pewien, że to nie wszystko. Tak czy inaczej…

– Całkiem znośny ze mnie żeglarz, o sporym doświadczeniu, a pogoda dziś wyjątkowo dopisała. Ani Homerowi, ani mnie nie groziło najmniejsze choćby niebezpieczeństwo.

Jego próba załagodzenia sytuacji się nie powiodła. Oczy Rose zapłonęły.

– A gdyby jednak coś wam zagroziło tam, na otwartym morzu… – zaatakowała go, wykonując gwałtowny gest w stronę wybrzeża. – Taki jesteś pewien – spojrzała na jego wykrzywiony lewy bark i osłabione ramię – że dałbyś radę uratować was obu?

Doznał szoku, że te słowa aż tak go ubodły, jednak w obliczu jej oczywistego – nawet jeśli nieuzasadnionego – wzburzenia powściągnął gniew.

– Gdybym sądził – odparł, stanowczo narzucając sobie spokojny, neutralny ton – że istnieje jakiekolwiek prawdopodobieństwo, iż Homerowi zagrozi coś, przed czym nie mógłbym go skutecznie ochronić, nie zgodziłbym się na ten wypad.

Zanim zdążył dodać to, co uważał w tej sprawie za najistotniejsze – że nic nieprzewidzianego im nie zagroziło, ani też się nie zdarzyło – Homer odsunął krzesło i wstał.

Niezachwianie patrzył Rose w oczy.

– Wiem, że się boisz, gdy żegluję, ale musiałem to zrobić… Przynajmniej spróbować, jak to jest. Dzisiaj nadarzyła się okazja i z niej skorzystałem. Nie zamierzam przepraszać, że poprosiłem Thomasa, żeby mnie zabrał, ponieważ nie jest mi przykro z tego powodu. Natomiast jest mi przykro, że nadal tak ci to przeszkadza, skoro wydarzyło się jedynie tyle, że obaj wspaniale spędziliśmy czas.

Homer odstąpił od stołu i się odwrócił. Popatrzył przepraszająco na Thomasa, lecz mimo to opuścił kuchnię.

Thomas przeniósł wzrok na Rose i obserwował ją, kiedy z pozbawioną wyrazu twarzą spoglądała w ślad za chłopcem.

Jej oczy wezbrały taką mieszaniną emocji, że Thomas nie potrafił żadnej z nich odczytać.

Minęła sekunda, po czym przeniósł wzrok na Pepi. Sięgnął po bułeczkę.

– Czego dokonałyście dziś z Dolly?

Pepi popatrzyła nań z ukosa, wyprostowała się na krześle, poprawiła lalkę na swoich

kolanach i rozpoczęła opowieść.

Tymczasem Rose z drżeniem zaczerpnęła powietrza i wolno opadła na krzesło.

Chwilę później podniosła imbryk i nalała sobie herbaty.

*

Thomas dał Homerowi kilka godzin, zanim wyruszył go poszukać. Znalazł chłopca w jednym z jego ulubionych miejsc, usadowionego na przełazie z boku sadu, skąd ponad polami spoglądał w stronę morza. Przynajmniej teraz Thomas rozumiał fascynację, z jaką Homer wpatrywał się w widoczne w oddali bezkresne, pomarszczone wody Mount's Bay.

Schylając się pod wypuszczającymi liście gałęziami, Thomas zbliżył się do przełazu. Nie odezwał się ani słowem, po prostu oparł się o mur obok chłopca i także podziwiał widok.

W końcu, zgodnie z przewidywaniami, Homer się poruszył.

– Musiałem się dowiedzieć, rozumiesz? – odezwał się, nie odrywając wzroku od pól, przy czym nadal siedział z podciągniętymi kolanami, wokół których mocno zaplótł ramiona.

Mówił dalej, tłumaczył swoje działania, przedkładał wymówki.

Thomas słuchał, nie przerywając, a w uszach pobrzmiewały mu własne młodzieńcze usprawiedliwienia rozmaitych uchybień.

W końcu Homer zamilkł. Oparł brodę na ramionach i czekał na odpowiedź Thomasa.

Thomas się zastanowił; w kontaktach z dziećmi miał raczej skromne doświadczenie. Ostatecznie uznał, że może zaofiarować chłopcu wyłącznie prawdę.

– Twoje pragnienie żeglowania jest uzasadnione, ale wybrałeś złą drogę jego realizacji.

Po chwili Homer popatrzył na niego. Pytająco, lekko zdezorientowany.

Nie czekając na wyraźniejsze zaproszenie, Thomas rozwinął myśl, z ironiczną autokrytyką, do jakiej zdolny bywa tylko ktoś obarczony tą samą wadą.

– Manipulowanie innymi, aby dostać to, czego chcesz, wykorzystywanie ich ignorancji, nawet jeśli działania, do których ich nakłaniasz, nie czynią krzywdy im ani nikomu innemu, jest złe.

Wzrok Homera stał się nieobecny, kiedy chłopiec próbował przetrawić wyjaśnienie. W końcu westchnął.

– Przepraszam, że tobą manipulowałem – powiedział cicho.

Thomasa ogarnęło zdumienie, że sam nigdy nie zdobył się na wypowiedzenie takich słów. Świadomość tego jedynie wzmogła jego szacunek dla prostej uczciwości Homera. Skinął głową, lecz zwlekał chwilę, rozważając kolejną wypowiedź.

– Tym razem ci odpuszczę, w przyszłości jednak nie próbuj więcej manipulować mną, Rose ani też nikim innym.

Chłopiec był dostatecznie bystry, żeby wychwycić osobisty ton w ostatnich słowach Thomasa. Popatrzył nań ze zdziwieniem.

Thomas pozwolił sobie na uśmiech. Wsparł przedramiona o mur i przez chwilę zbierał myśli.

– Jeśli czegoś chcesz – podjął – jest w pełni akceptowalne, wręcz godne pochwały, gdy uczynisz z tego swój cel. Cel, do którego wytrwale dążysz, nie bacząc na przeciwności… dopóki robisz to otwarcie, nie uciekając się do podstępów i oszustw. Dopóki przyznajesz się do swoich zamierzeń. Jeżeli będziesz trzymał się tej ścieżki, wówczas po zdobyciu tego, czego pragniesz, nie poczujesz się jak złodziej… nie odniesiesz wrażenia, że choć

osiągnięcie celu powinno przepełnić cię euforią, zwycięstwo wydaje się zbrukane, a twoje dokonanie nie dostarcza ci niezmąconej radości.

Homer dumał nad tym przez kilka minut, po czym oczy nieco mu się rozszerzyły, wargi zaś uformowały bezgłośne „o".

– Czyli nadal mogę naciskać na Ro… mamcię, żeby pozwoliła mi żeglować? – spytał po kolejnej chwili.

Thomas uśmiechnął się szeroko. Wyprostował się i zmierzwił i tak już potargane włosy chłopca.

– Tak… ale jeśli jesteś mądry, odczekasz kilka miesięcy.

W oddali rozbrzmiał dzwonek – Rose wzywała na obiad.

Thomas spojrzał na Homera.

– Chodź. Lepiej się umyjmy i doprowadźmy do porządku. Musimy zachowywać się nadzwyczaj poprawnie, dopóki Ro… twoja mamcia nam nie wybaczy, co, jeśli nic się dodatkowo nie pokomplikuje, nastąpi wkrótce.

Błysnąwszy zębami w odpowiedzi, Homer zgramolił się z przełazu. Wylądował w trawie obok Thomasa, zawahał się krótko – po czym opasał go ramionami w talii i objął z całej siły.

– Dziękuję.

Choć jego rajtrok wytłumił to słowo, Thomas je usłyszał. Przez sekundę nie wiedział, jak się zachować, lecz potem uległ impulsowi, położył dłoń na ramieniu chłopca i delikatnie uścisnął.

Po pełnej napięcia chwili Homer zaczerpnął powietrza i puścił Thomasa.

Ten poluzował uchwyt, lecz nadal luźno obejmował wąskie ramiona chłopca.

Homer dopasował swobodne, nieskrępowane kroki do nieregularnego chodu Thomasa i razem podążyli z powrotem do domu.

*

Thomas poczekał, aż dzieci znajdą się w łóżkach, zanim udał się zmierzyć ze swym drugim Waterloo.

Znalazł Rose w kuchni, usadowioną na krześle w kącie przy palenisku, z głową pochyloną nad sukienką Pepi, w której zaszywała rozdarcie.

Przystanął w wejściu, ale nie podniosła wzroku; rytm pracy igły pozostał niezakłócony.

Zacisnął wargi i z jedną dłonią w kieszeni rajtroka, w drugiej mocno trzymając laskę, pokuśtykał przez pomieszczenie. Zatrzymał się przy zlewie i przez okno nad nim wyjrzał na ciemne pola, gdzie blask księżyca nieuchwytnie obrysowywał srebrem kontury każdego liścia, każdego źdźbła trawy.

Rozmyślał wcześniej nad tym, co chce powiedzieć, ale znalezienie właściwych słów okazało się niełatwe. Wypowiedzenie ich było jeszcze trudniejsze. W końcu, kiedy poczuł, że Rose muska spojrzeniem jego profil, zaczerpnął powietrza.

– Podobnie jak Homerowi – zaczął – sprawia mi trudność przepraszanie za coś, czego nie miałem powodu nie robić. Z tym zastrzeżeniem, jest mi naprawdę przykro, że zabierając go na żagle, mimowolnie tak bardzo cię zdenerwowałem. Nigdy nie było to moim zamiarem… Taka ewentualność nawet nie przyszła mi do głowy. Teraz zdaję sobie sprawę, że zapewne powinienem był postąpić… ostrożniej. Zapytać Homera, konkretnie, czy jeśli wezmę go na żagle, złamię jakiś twój zakaz, ale…

Umilkł na chwilę, lecz zaraz się zmusił, by kontynuować.

– Nie radzę sobie za dobrze w relacjach z ludźmi. Nie myślę… nie mam nawyku myśleć o tym, jak moje działania wpłyną na innych, jak się na nich odbiją. Za każdym razem muszę przystanąć i świadomie nakazać sobie wziąć ten element pod rozwagę. To wada, wiem o tym, dlatego staram się zatrzymać i przeanalizować wszystko, zanim podejmę działanie. Postąpiłem tak w przypadku wyprawy z Homerem na żagle. Brakowało mi jednak informacji, która by mnie powstrzymała przed zabraniem go. Nie wiedziałem, że mu zabroniłaś.

Znów zrobił przerwę, żeby rozważyć dalsze słowa.

– Rzekłszy to wszystko – podjął – chciałem przeprosić za dzisiejsze nieporozumienie i zapewnić cię, że gdy następnym razem wyniknie podobna sytuacja, nie wyrażę na nic zgody, dopóki się nie dowiem, czy aprobujesz to, co chcą zrobić Homer lub Pepi, cokolwiek to będzie.

Nie wiedział, dlaczego uspokojenie jej co do tego i możliwość kontynuowania relacji z dziećmi postrzegał jako tak ważne; po prostu tak było.

Jawiło mu się wysoce pożądanym, jeśli nie wręcz niezbędnym, także i to, by utrzymać Rose w swej orbicie, odzyskać jej przychylność.

Usłyszał jej westchnienie, zaszeleścił materiał. Chwilę później stanęła obok niego.

Podobnie jak on wyjrzała w noc.

– Przyjmuję przeprosiny… i sama muszę przeprosić. – Musnęła wzrokiem jego profil, lewy, poznaczony bliznami, przez moment czuł na sobie jej spojrzenie, a potem nabrała powietrza, popatrzyła przed siebie i ciągnęła: – Głupotą z mojej strony było wyobrażać sobie, choćby przez sekundę, że działałbyś za moimi plecami, organizując taki wypad. Nie mogłeś wiedzieć, co myślę o Homerze i żaglach: moje oczekiwania wobec ciebie były nielogiczne i przepraszam, że na ciebie naskoczyłam. – Zrobiła krótką przerwę. – I jeszcze bardziej przepraszam – podjęła ciszej – za moje zupełnie niewybaczalne komentarze o tym, czy dałbyś radę zadbać o jego bezpieczeństwo. Przyglądałam się, gdy tygodniami pracowałeś przy domu, a ten przytyk był całkowicie nieusprawiedliwiony i nie na miejscu.

Kiedy umilkła, Thomas rozważył, czy powinien teraz oznajmić, że przyjmuje te ostatnie przeprosiny, niemniej były one jedynie stwierdzeniem faktu.

Nim zdecydował się na jakąś odpowiedź, podniosła głowę i podjęła:

– Homer i Pepi, jak z pewnością odgadłeś, są dla mnie bardzo ważni. Poświęciłam życie trosce o nich, dlatego… bywam wobec nich nadmiernie opiekuńcza. Wiem jednak, że mogę ci ufać… że mogę zaufać, iż ich ochronisz.

Przytaknął.

– W to możesz wierzyć bez zastrzeżeń. Nigdy bym nie pozwolił, żeby coś im się stało.

Pod wpływem jego tonu spłynęła z niej część napięcia. Linia jej ramion i pleców, do tej pory sztywno wyprostowanych, zmiękła.

Thomas wahał się chwilę.

– Abyśmy mieli jasność w kwestii tego, co się wydarzyło i jak obecnie wygląda sytuacja, kiedy rozmawiałem z Homerem przy przełazie – na pewno ich tam widziała – wytłumaczyłem mu, że choć ma prawo chcieć żeglować i ostatecznie to on sam będzie odpowiedzialny za swoje życie, manipulowanie innymi, żeby dostać to, czego sobie życzył, było niewłaściwe, oraz że ogólnie manipulowanie mną, tobą czy kimkolwiek, skoro już o tym mowa, nie jest rozsądnym pomysłem.

Rose odwróciła się, żeby nań spojrzeć. W przyćmionym świetle lampy na kuchennym stole wyczytała z jego oczu szczerość, prostą uczciwość. Odtworzyła w myślach jego

słowa i wolno skłoniła głowę.

– Jakkolwiek nie mogę się zgodzić co do żeglowania, doceniam twoje argumenty. – Patrzyła mu w oczy jeszcze przez chwilę, po czym dodała: – Dziękuję, że z nim porozmawiałeś.

W tej chwili doskonale rozumiała, że Homer przywiąże większą wagę do słów Thomasa niż jej własnych.

Zaczęła się odwracać, Thomas powstrzymał ją jednak, przelotnie dotykając jej ramienia.

– Zatem – w półcieniu pochwycił jej wzrok – czy między nami… znowu panuje zgoda?

Stali blisko siebie. Czuła promieniujące z jego ciała ciepło, subtelnie krzepiące, zmysłowo rozpraszające. Pomimo okaleczeń zachował prezencję; fizyczne niedoskonałości jej nie zakłócały, wręcz za ich sprawą wywierał na Rose silniejsze wrażenie.

Raptownie uzmysłowiła sobie, że fakt, iż pomimo oszpecenia, pomimo kalectwa, nadal oddziałuje na nią w ten sposób, jedynie podkreśla siłę pociągu, jaki do niego czuła – pociągu, który był w stanie pokonać tego rodzaju przeszkody, sięgnąć ponad ograniczenia i pochwycić ją w sidła tak mocno.

Ta refleksja jedynie wzmocniła w niej świadomość jego osoby i wszystkiego, co się z nim wiązało.

Przyczyniła się też do tego, że opadłe już z Rose napięcie zostało zastąpione całkiem innym.

Jej oddech stał się płytki, niemniej Thomasowi należała się odpowiedź. Zwilżyła wargi, zobaczyła, że on opuszcza na nie wzrok, i gwałtownie skinęła głową.

– Tak. – Przeklinając w duchu niemożność złapania oddechu, czego, miała nadzieję, nie zauważył, wmusiła w płuca więcej powietrza i znów popatrzyła mu w oczy. – Tak, zgoda, jak do tej pory.

– To dobrze. – W tych słowach pobrzmiewała głęboka, niemal dudniąca pieszczota.

Nie znała jego przeszłości, lecz instynkt podpowiadał jej, że miał aż nadto doświadczenia, by orientować się, jak na nią oddziałuje.

Do tej pory zawsze się wycofywał, kiedy wszakże stali tak blisko siebie w kuchni, nocą, raptem nie wiedziała już, czego chce – czy żeby się cofnął, czy też tym razem zrobił krok naprzód.

Jej fascynacja nim stawała się niebezpieczna.

Oderwał wzrok od jej warg i znów się zawahał. Pojęła, że analizuje sytuację, jak dopiero co jej to wyjaśnił. Właśnie ta czynność kryła się za dziwnymi, krótkimi chwilami, gdy zwlekał z reakcją.

Potem odsunął się nieco, a w niej coś oklapło. Zapadło się.

Oczekiwanie. Radosna niecierpliwość. Nadzieja. Tego typu sprawy.

Odstąpił dalej, sięgnął do kieszeni i wyjął dwie paczuszki.

– To dla ciebie i Pepi. – Wyciągnął je ku niej.

Wzięła je i popatrzyła na niego.

– Dlaczego…?

Wzruszył ramionami.

– Homer i ja zażywaliśmy przyjemności, ale was tam nie było… kupienie wam jakiegoś drobiazgu wydawało się zwyczajnie sprawiedliwe. – Mocniej zacisnął dłoń na lasce i zrobił krok w tył. – Różowa jest dla Pepi.

– Dziękuję. – Podniosła wzrok, kiedy się odwrócił. – Położę ją rano obok jej talerza.

Nie oglądając się, skłonił głowę.

– Dziękuję.

Nie, to ja dziękuję. Przelotnie narosło w niej rozdrażnienie; nie przyjmował podziękowań albo robił to niechętnie, nawet kiedy w pełni mu się należały.

Wodziła palcem po krawędzi zielonej paczuszki, która, drogą eliminacji, przypadła jej, kiedy ustał stukot jego laski. Podniosła wzrok i zobaczyła, że zatrzymał się w łukowym przejściu.

Jakby wyczuwając, że pozyskał jej uwagę, przekrzywił głowę.

– Z próbami okiełznania – rzekł, nie oglądając się – lub choćby ograniczania chłopca o umyśle takim jak u Homera nieodłącznie wiąże się niebezpieczeństwo. – Umilkł, lecz tym razem na krótko. – W jego wieku bardzo go przypominałem, byłem rzutki, inteligentny, zawsze spragniony wiedzy. Zaufaj mi więc, kiedy mówię, że znam jak mało kto pułapki czyhające na chłopca o umyśle tak bystrym i złaknionym wyzwań.

Rose zamrugała, czekała, ale nie dodał nic więcej. Zacisnął dłoń na lasce i podążył korytarzem. Pochłonęły go cienie, głuchy stukot laski pobrzmiewał uspokajająco, kiedy Thomas przecinał hol, a następnie wolno wspinał się po schodach.

Przez długą chwilę Rose stała i nasłuchiwała, z podarkiem od niego w ręku, stopniowo chmurząc się w duchu, kiedy odtwarzała jego ostatnią wypowiedź, jej ton.

Dopiero gdy usłyszała, że zamykają się drzwi jego sypialni, poruszyła się i wróciła na krzesło – i wtedy też zdała sobie sprawę, że ów nieujawniany mars nie dotyczył Homera ani jej samej, lecz właśnie Thomasa.

ROZDZIAŁ 5

Kilka dni później Thomas stał na skraju trawnika od frontu, ze szkicownikiem w ręku i z laską opartą o udo, projektując nowe rabaty, które miały poprawić wygląd domu, kiedy jego uszu dobiegł chrzęst kół toczących się po żwirze alei dojazdowej.

Popatrzył w tym kierunku, marszcząc w duchu brwi, uzmysłowił sobie bowiem, że nie był to dzień dostawy zaopatrzenia, a ponadto odgłos nie kojarzył się z ciężkimi platformami dostawców.

Opuścił szkicownik, chwycił laskę i odwrócił się w stronę podjazdu.

Lekka dwukółka wytoczyła się zza pasa rosnących gęsto drzew, które osłaniały dwór przed widokiem z alei dojazdowej. W pojeździe siedziało dwóch mężczyzn. Jeszcze zanim woźnica wstrzymał konie obok Thomasa, ten rozpoznał, z jakiego pokroju ludźmi ma do czynienia.

Nie tylko widywał już takich osobników, lecz swego czasu korzystał z ich usług. Doskonale wiedział, w czym się specjalizują.

– Dzieńdoberek szanownemu panu. – Mężczyzna bliżej Thomasa, pasażer, uchylił kapelusza.

Zarówno on, jak i jego towarzysz byli mężczyznami w średnim wieku, statecznie ubranymi, z gatunku tych, których mija się na ulicy dowolnego miasta i natychmiast o nich zapomina.

Chyba że ktoś zajrzy im w oczy i odnotuje nieustającą czujność, skupienie na obserwacji otoczenia – chleb powszedni w ich zawodzie – które szybko przekształciły się w zakorzeniony nawyk.

Thomas odwzajemnił uprzejme powitanie, ale jak to było w zwyczaju tu, na zachodzie, po prostu czekał, żeby się dowiedzieć, czego ci dwaj chcą; miejscowi nie marnowali słów.

Tymczasem mężczyźni lustrowali fasadę dworu. Pasażer skinieniem głowy wskazał budynek.

– Pan jest właścicielem?

Thomas poczekał, aż obaj przybyli znów na niego spojrzą.

– A panowie to?

Jego ton i sposób bycia odpowiedziały na ich pytanie tudzież nie zanadto subtelnie przypomniały im, że nie wywodzą się z jego warstwy społecznej i nie mają prawa czegokolwiek od niego żądać. Choćby jedynie podania nazwiska.

Mężczyźni natychmiast wycofali się w pełną szacunku uprzejmość.

– Bardzo szanownego pana przepraszamy – powiedział woźnica. – Tyle że szukamy pewnych osób i zastanawialiśmy się, czy pan lub ktokolwiek tutaj mógłby znać miejsce ich pobytu.

Tak jak Thomas podejrzewał, byli to wywiadowcy, ludzie wynajęci do odnalezienia kogoś, kto, z dowolnego powodu, nie życzył sobie zostać odnalezionym.

– Rozumiem – stwierdził powściągliwie. Uniósł brwi z niejakim zainteresowaniem. – A kogo panowie szukają?

– Młodej damy… znaczy, była dosyć młoda, ale to jakiś czas temu, oraz dwójki dzieci. Dziewięcioletniego chłopca i trochę młodszej dziewczynki. – Woźnica miał wzbudzającą zaufanie twarz, która zachęcała do zwierzeń. – Przed czterema laty zniknęli z Leicestershire i uważa się, że mogli się udać w te strony. Tak przynajmniej kilka lat temu.

Thomas zmienił postawę, z rozmysłem tworząc wrażenie, że się rozluźnił – kłamstwo bez słów.

– Dlaczego ich panowie szukają? – Jego ton świadczył jedynie o leniwym zaciekawieniu.

– Wygląda na to, że chłopiec ma odziedziczyć majątek ziemski, ale prawdopodobnie o tym nie wie – odparł pasażer.

– Próbujemy ich odnaleźć, żeby przekazać wieści – dodał woźnica.

Thomas zmarszczył brwi, jakby przeszukiwał pamięć – jakby połknął tę najstarszą przynętę z arsenału wywiadowców.

– Dama z dwojgiem dzieci, wszyscy są z Leicestershire… – Po dłuższej chwili pokręcił wolno głową i znowu popatrzył na mężczyzn. – Chyba nie znam nikogo, kto pasowałby do opisu.

Woźnica przez cały ten czas trzymał konia krótko. Zwierzę poruszyło się teraz, ukradkiem postępując do przodu.

Thomas przyglądał się, jak mężczyzna uspokaja konia. Zatem ci ludzie nie zjawili się tutaj przypadkiem – ktoś wspomniał im o jego gospodyni i jej dzieciach.

Okiełznawszy konia, woźnica posłał Thomasowi ostre, znacznie bardziej indagujące spojrzenie, aczkolwiek jego ton pozostał neutralny, pełen uprzejmego szacunku, kiedy spytał:

– A pańska gospodyni i jej dzieci? Słyszeliśmy, że to mogą być szukane przez nas osoby.

Thomas uśmiechnął się i zadbał, żeby ten uśmiech sięgnął oczu, tak by nic nie zaalarmowało mężczyzn, w końcu doskonale wyszkolonych obserwatorów, że reakcja nie jest absolutnie szczera.

– Ach, rozumiem, skąd to zamieszanie. Moja gospodyni pasowałaby wiekiem, jej dzieci także, ale jest wdową, przy tym urodzoną w tych stronach, podobnie jak dzieci. Rodzina pochodzi z okolic Penzance i wiem na pewno, że nigdy nie wybrali się poza granice hrabstwa. Jej mąż służył w marynarce, ona zaś jest krewną moich poprzednich dozorców, toteż przejęła po nich obowiązki, kiedy się zestarzeli.

Mężczyźni się zawahali; jego przekonanie i pewność siebie zachwiały ich przeświadczeniem.

Po chwili pasażer się poruszył.

– Mówiono nam jednak, że ta pańska gospodyni ładnie się wysławia, jak dama.

Thomas przytaknął nieco bardziej szorstko.

– Owszem. Wywodzi się z ziemiaństwa, ale popełniła mezalians. W konsekwencji teraz, kiedy straciła męża, trzyma się zewnętrznych oznak swej wcześniejszej pozycji, gdyż oczywiście zwiększa to jej szanse na znalezienie lepszej posady… na przykład w charakterze mojej gospodyni.

Umilkł, zastanawiając się, czy powinien zaproponować, że przyprowadzi gospodynię, niemniej dżentelmen o jego pozycji nie posuwałby się tak daleko w celu dowiedzenia swych racji. Zamiast tego więc zamknął dłonie na lasce, wyprostował się i oznajmił:

– Gdyby istniała najmniejsza możliwość, że chodzi właśnie o poszukiwaną przez

panów damę, a jej syn to chłopiec, który ma odziedziczyć majątek, wezwałbym ich, żeby z panami porozmawiali, ponieważ jednak wiem, że nie są wspomnianymi osobami… że ich korzenie są zupełnie odmienne od opisanych przez panów… nie widzę powodu, by ich niepokoić.

Uznał, że uderzył dokładnie we właściwą nutę.

Mężczyźni podzielali to odczucie; niemal było widać, jak uszło z nich powietrze.

– Nie przychodzi panu do głowy nikt inny z okolicy, kto pasowałby do opisu? – spytał z rezygnacją pasażer.

Raz jeszcze Thomas udał, że się zastanawia, zanim pokręcił głową.

– Nie. – Zrobił krótką pauzę. – Przypuszczam, że ktoś zlecił panom te poszukiwania. Czy oni, owi zleceniodawcy, są pewni, że kobieta i dzieci nadal przebywają w tych stronach?

Unosząc lejce, woźnica się skrzywił.

– Jak słyszałem, dżentelmen w ogóle za wiele nie wie, ale agencja dotarła ich tropem aż tutaj, a od tamtej pory nigdzie ich nie widziano, więc… – Wzruszył ramionami, po czym uprzejmie skinął Thomasowi głową. – Dziękujemy szanownemu panu za pomoc.

Pasażer powtórzył ów gest.

Thomas stał i przyglądał się, kiedy zawracali dwukółkę, by ruszyć z powrotem aleją dojazdową.

Nieco wcześniej zauważył, że Rose, skryta za zasłoną, obserwuje scenę z okna salonu. Nie spojrzał w jej stronę.

Myślał szybko przez kilka chwil, a następnie uniósł szkicownik i wrócił do poprzedniego zajęcia.

Nie potrafił ocenić, czy wywiadowcy przełknęli jego kłamstwa bez zastrzeżeń; tak mu się wydawało, ale nie chciał ryzykować – narażać bezpieczeństwa Rose, Homera i Pepi – robiąc cokolwiek, co zaalarmowałoby tych ludzi, gdyby zachowali na tyle dużo podejrzeń, żeby zatrzymać dwukółkę w alei i chyłkiem prześlizgnąć się przez zarośla w celu sprawdzenia, jak zareagował na ich wieści.

Nie. Był zbyt doświadczonym manipulatorem, starym wygą, gdy szło o tworzenie iluzji, za sprawą których ludzie wierzyli w to, o czym chciał ich przekonać, żeby nie zagrać napisanej przez siebie roli do końca.

Pozostał w ogrodzie od frontu jeszcze przez pół godziny, udając, że rozplanowuje rabaty.

I przez cały ten czas w jego umyśle kotłowały się wszelkie możliwe odpowiedzi na obecnie krytyczne pytanie o tożsamość jego gospodyni i jej dzieci oraz powód, dla którego schronili się w tym dworze.

W końcu zamknął szkicownik, chwycił laskę i niespiesznie podążył ku głównemu wejściu.

Nie zaskoczyło go, że w holu zastał Rose.

– Ci mężczyźni… kto to był? – spytała ostro, nie poczekawszy nawet, aż Thomas zamknie drzwi.

Odwrócił się od drzwi i przyjrzał jej, rejestrując napięcie widoczne w każdej linii jej ciała, ściągające rysy, wyostrzające ton głosu. Wolno ruszył w jej stronę. Zatrzymał się o krok od niej.

– To byli wywiadowcy – rzekł cicho. – Polują – znając ten gatunek, wybrał adekwatne określenie – na damę, która uciekła z Leicestershire z dwojgiem dzieci.

Rose cała krew odpłynęła z twarzy.

– Powiedziałem im – ciągnął spokojnie – że choć moja gospodyni i jej dzieci na pozór odpowiadają opisowi poszukiwanych przez nich osób, wiem na pewno, że jej rodzina pochodzi z okolic Penzance oraz że nigdy nie opuszczała hrabstwa, podobnie jak dzieci.

Rose odnosiła wrażenie, że jej świat się rozpada; całe poczucie bezpieczeństwa i komfortu uleciało. Przepadło. Ledwie była w stanie oddychać, kiedy rozszerzonymi oczami lustrowała twarz Thomasa… Do jej spanikowanego umysłu stopniowo dotarło znaczenie jego słów.

Skłamał i ochronił ich.

Spokój w jego piwnych oczach, przyczajony za nimi przenikliwy umysł, wystarczająco zaświadczały o tym, że gdy chodziło o tożsamość trzech poszukiwanych przez tych mężczyzn osób, Thomas znał prawdę.

Zaczerpnęła powietrza i zmusiła się, by zapytać:

– Uwierzyli ci?

Zawahał się, ona zaś wiedziała, że rozstrzygał, co powinien jej powiedzieć – jakie słowa będą słuszne.

– Na razie – rzekł w końcu. – Przynajmniej odjechali.

Absolutna prawda – nic więcej, nic mniej.

Z wysiłkiem odetchnęła i skinęła głową.

– Dziękuję.

Minęło kilka sekund. Patrząc mu w oczy, wiedziała, że czekał, aż powie coś więcej, wytłumaczy… jednak nie miała takiego prawa; to nie na niej skupiało się zagrożenie.

Kiedy stała tak przed nim w milczeniu, uśmiechnął się krzywo i skłonił głowę.

– Wszyscy mamy jakieś sekrety, pani Sheridan.

Następnie przesunął się i wyminął ją, kuśtykając ku schodom.

Rose spoglądała w ślad za nim, zbita z tropu.

*

Przez resztę dnia i część wieczoru Rose w nieskończoność odtwarzała w myślach tę ich wymianę zdań. Początkowa oszałamiająca ulga na wieść o tym, że mężczyźni uwierzyli zapewnieniom Thomasa i odjechali, prędko przygasła, kiedy do Rose dotarło, że w którymś momencie ci ludzie, albo im podobni, powrócą.

Przybędą zapolować na nią i dzieci, a następnym razem Thomasa może zabraknąć na miejscu, żeby ich zmylił.

Posłużył za tarczę chroniącą ją i dzieci.

Wspomniał wcześniej, że przyjechał tutaj jedynie po to, by oczekiwać na wezwanie, które mogło nadejść w każdej chwili.

Nieobecna myślami, mamrotała coś tylko przy lunchu, a potem obiedzie, nim wreszcie wyprawiła dzieci do łóżek.

Później spacerowała w swojej małej sypialni na poddaszu, rozważając, co zrobić, jak powinien wyglądać jej kolejny krok. Poprzednio, ilekroć coś im zagroziło, na pierwszy sygnał zabierała dzieci i uciekała. Nawet w tej chwili jakiś pogrzebany głęboko w niej instynkt ponaglał, żeby zagarnęła tych dwoje i umknęła w noc.

Jednak tym razem zainterweniował Thomas. Jego działania podarowały Rose czas na zastanowienie. Ułożenie planów.

Należało opuścić dwór. Zaczęła już wierzyć, że nigdy nie będą zmuszeni stąd uciekać, obudziła się w niej nadzieja, że uda im się żyć tu spokojnie do czasu, gdy przyjdzie pora,

by wrócić do własnego świata i stoczyć czekającą tam na nich bitwę, niemniej złożona przez nią dawno temu przysięga aż nazbyt wyraźnie rozbrzmiewała w jej myślach, tak więc Rose nie zaryzykuje całego włożonego przez siebie wysiłku, wszystkich poświęceń, jakie poczyniła przez ostatnie cztery lata, dla niepewnej nadziei. Opuszczą to miejsce, ale dzięki bezwarunkowemu wsparciu Thomasa nie muszą robić tego w panicznym pośpiechu.

W rzeczy samej, chcąc jak najlepiej wykorzystać dar Thomasa, powinna obmyślić, jak zamaskować ich wyjazd, tak by wyglądał na niegodne uwagi zdarzenie, prostą przeprowadzkę z prozaicznych powodów, nie zaś gwałtowną ucieczkę. Tak po prostu umykać, kiedy ogary prawie zwęszyły ich trop… nie. Lepiej zrobi, jeśli ułoży plan, ruszy głową.

Przystanęła na chwilę, zweryfikowała słuszność tego wniosku i poczuła się nieco spokojniej. Pewniej. Decyzja została podjęta, przynajmniej w teorii, praktycznymi szczegółami zajmie się wkrótce.

Najpierw jednak…

Skierowała się do drzwi. Zawiązała narzucony na ramiona szal, a następnie poszła zajrzeć do Pepi. Dziewczynka spała głęboko, we śnie jej twarz przybrała iście anielski wyraz.

Rose zamknęła drzwi pokoju Pepi, upewniła się, że także Homer mocno śpi, po czym, zdecydowana, wyruszyła na poszukiwanie Thomasa.

Schody z poddasza zawiodły ją na koniec korytarza na piętrze. Podążyła nim żwawo. Nie wzięła świecy, ale chociaż zapadła już noc, przez duże okna u obu końców korytarza wlewało się dość światła księżyca i gwiazd, by stąpała pewnie pośród cieni.

Choć nie mogła niczego wytłumaczyć – ze względu na dobro Homera musiała strzec sekretu – pragnęła należycie podziękować Thomasowi za jego bezwarunkowe wsparcie. Nie chciała nawet myśleć o tym, co w tej chwili działoby się z nią i dziećmi, gdyby tak spokojnie nie skłamał w ich imieniu. W dodatku, na ile widziała, skłamał bez śladu wahania. Winna mu była co najmniej uniżone podziękowania, a także, skoro wiedział, że ona istotnie skrywa tajemnice, zapewnienie, że nie zwierza mu się z nich nie dlatego, iż mu nie ufa, lecz ponieważ nie ma prawa dzielić się nie swoim sekretem.

Zbliżała się do głównych schodów, kiedy jej uszu dobiegł znajomy, regularny stukot. Zwolniła, a potem zatrzymała się i czekała, aż Thomas dotrze na piętro.

Zrobił to i ruszył korytarzem, nie od razu zdając sobie sprawę z jej obecności.

Z tego, że stoi mu na drodze.

Rose uznała, że okoliczności sprzyjają jej bardziej, niż na to liczyła. Lepiej tutaj niż w bibliotece. Gdyby próbowała go przyszpilić, kiedy miał do dyspozycji cały pokój… nie; ograniczona przestrzeń korytarza działała na jej korzyść.

Uniosła głowę, podparła się pod boki i czekała tam, gdzie się zatrzymała, na środku korytarza, w miejscu, gdzie płytka komoda z jednej strony, a konsola z drugiej dodatkowo zawężały przejście.

Spostrzegł ją i przystanął. Po chwili ruszył dalej. Ze spokojnego ciężaru jego spojrzenia, które czuła na sobie pomimo ciemności, wywnioskowała, że odgadł, iż nie pozwoli mu przejść, dopóki nie powie wszystkiego, co zamierzała.

Zatrzymał się przed nią i nieomal usłyszała, jak westchnął w duchu. Uniósł brew.

– Tak?

Odnotowała, że nie zwrócił się do niej po imieniu, ale nie dopuściła, by ją to odstraszyło. Utkwiła wzrok w jego skrytych w cieniu oczach i zaczerpnęła powietrza.

– Chcę ci stosownie podziękować – oznajmiła – za to, co dziś zrobiłeś…

Przerwał jej obcesowym machnięciem ręki.

– Już mi podziękowałaś, na ile pamiętam.

– Nie, nie podziękowałam. Nie tak, jak należy.

– Twoje podziękowania były więcej niż wystarczające. Nie ma potrzeby…

– Jest taka potrzeba.

Zajrzał jej w oczy. Rose czuła ciężar jego woli, napierającej na jej wolę z niemalże fizyczną siłą, lecz ani myślała ustąpić. Wytrwała na pozycji i odpowiedziała podobnym spojrzeniem, jego uporowi przeciwstawiając swoją determinację.

Zacisnął wargi. Po chwili sugestywnego milczenia z wysiłkiem zaczerpnął powietrza.

– Pani Sheridan – powiedział chłodniej, niemniej ostry ton, który mógłby się tu pojawić, pozostał nieobecny; usiłował zmusić ją do odwrotu, ale nie chciał ranić. – Proszę pozwolić, że wyjaśnię, iż postąpiłem dziś tak, a nie inaczej nie dlatego, by zebrać podziękowania. Zachowałem się tak, ponieważ było to właściwe, i nie potrzebuję ani nie chcę wdzięczności…

– Ależ jesteś irytujący! – Rose w końcu wybuchła. W minionych tygodniach przywykła, że stale pomniejszał swoje zasługi, lecz dziś ani myślała tego słuchać. – Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że kiedy ludzie ci dziękują, robią to, ponieważ jest im to potrzebne? I że powinieneś przyjąć podziękowania ze stosownym wdziękiem, tym samym zwalniając drugą osobę z poczucia, że na wieki pozostaje twoim dłużnikiem?

Jeszcze zanim te słowa wybrzmiały między nimi, przypomniała sobie jego wyznanie sprzed kilku dni, usłyszała tamte podawane z wahaniem zdania: *Nie radzę sobie za dobrze w relacjach z ludźmi. Nie myślę… nie mam nawyku myśleć o tym, jak moje działania wpłyną na innych, jak się na nich odbiją.*

Przyglądała się, jak z jego twarzy znika wszelki wyraz, a później umknął wzrokiem i pojęła, że trafiła w sedno. Rzeczywiście nie wiedział, nie dostrzegał… Złagodniała.

– Postępujesz tak nieustannie – kontynuowała ciszej – odmawiasz przyjęcia choćby najmniejszych, najskromniejszych podziękowań. Obchodzisz je, robisz uniki, ale też, co więcej, bez przerwy bagatelizujesz czynione przez siebie dobro. Machnięciem ręki zbywasz swoje czyny, zaprzeczasz ich wadze… umniejszasz wkład, jaki wnosisz w życie innych… – Wszystko to było prawdą. Wpatrywała się weń skonfundowana. – Dlaczego?

Nie od razu popatrzył jej w oczy, lecz później jego rysy stwardniały i podniósł wzrok.

– Jeśli skończyłaś…?

Jego słowa… nie były zimne. Kryła się pod nimi jakaś emocja, wzburzona, kipiąca, lecz bezlitośnie dławiona.

Kiedy Rose zamrugała i spróbowała wyczuć, o co chodzi, zajrzeć w głąb jego duszy, zrozumieć, uciekł spojrzeniem i przemieścił się tak, by przecisnąć się obok niej.

– Nie. – Zuchwale zagrodziła mu drogę. Znaleźli się twarzą w twarz, tak blisko, że surdutem ocierał się o węzeł jej szala. – Nie skończyłam. – Gniew na niego, z jego powodu, oraz liczne inne emocje łomotały jej we krwi. – Jest jeszcze to.

Ujęła w dłonie jego policzki, pociągnęła go kilka centymetrów w dół i przywarła wargami do jego warg.

Niech go diabli – nie był nic niewart!

Całowała go, dociskała wargi do jego warg, zdeterminowana przekazać uczucia, które odrzucił, wyrazić płynące z głębi serca podziękowania, tak, lecz również wdzięczność za ulgę, jaką jej przyniósł, oraz uznanie dla niezliczonych drobnych aktów dobroci, którymi hojnie obdarowywał ją i dzieci.

Może nie wiedział, jak się zachować w relacjach z ludźmi, ale się starał, i to nie bez sukcesu.

Tyle mogła mu powiedzieć – a ponieważ nie słuchałby jej słów, przekazała mu to inaczej.

Ignorując dziwne w dotyku blizny pod swą prawą dłonią, odważnie postąpiła tak, jak jeszcze nigdy w życiu, i włożyła w pocałunek całe serce i duszę.

Działanie śmiałe, nierozważne, lecz na wielu poziomach tak bardzo konieczne.

Odpowiedział.

Serce zabiło jej szybciej – dosłownie podskoczyło w piersi – kiedy poczuła, jak jego wargi, tak nieoczekiwanie gładkie i podatne, się rozluźniają.

Zaledwie na parę sekund.

Potem znieruchomiał, zatrzymał się, przywołał do porządku.

O nie! Nie dopuści do tego.

Z gładkim rozmysłem – determinacją, stanowczością, które nie mogły mu umknąć – przystąpiła do niego i pocałowała go mocniej.

Tama pękła.

Rose ogarnęła radość.

A Thomas stracił kontakt z rzeczywistością.

Oszołomionego, zadziwionego, porwała go fala uczucia, emocji napędzanych rozpaczliwą tęsknotą, z której obecności nie zdawał sobie nawet dotąd sprawy.

Skąd się to wszystko wzięło? Jakim sposobem to uwolniła?

Nie znał odpowiedzi. Znał wyłącznie doznanie jej ruchliwych warg – domagających się reakcji, której nie mógł jej dłużej odmawiać.

Czuł jedynie ciepło jej ciała tuż przy swoim, składającego syrenią obietnicę wsparcia pośród pustkowia, jakim stało się jego życie.

Niepodlegające dłużej jego rozkazom, jego wargi się rozchyliły; bez wysiłku – bez namysłu czy zamiaru, jakiegokolwiek udziału świadomej woli – przejął kontrolę nad pocałunkiem, aż to on całował ją z całą tęsknotą, całą potrzebą, które dławił i tłumił w minionych miesiącach.

Od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Rose.

Z oddali dobiegł go wytłumiony łoskot, Thomas uzmysłowił sobie, że to upadła jego laska. Nic go to nie obeszło. Kierowane, jak się zdawało, własną wolą, jego ramiona delikatnie, lecz zarazem zaborczo zamknęły się wokół niej.

Wokół Rose.

Jakaś tkwiąca w nim nadal niepewność kazała mu się zastanowić, czy Rose się nie cofnie, ale nie – przywarła do niego, zatopiła się w nim, podobnie jak on niesiona na fali tej chwili.

Niesiona namiętnością, tak lekkomyślnie uwolnioną i teraz bez ograniczeń przepływającą między nimi.

W zwycięskim zatraceniu poddała mu swe usta, a on je zawłaszczył. Ucztował. Sycił się, chłonął, i wreszcie, kiedy nalegała, plądrował, ona zaś brała, dawała i podburzała, jej mocne dłonie chwytały, trzymały, sterowały, nadawały kierunek.

Nie zwalniając. Nie odpuszczając – nawet na chwilę.

Zaznawał już zmysłowych przyjemności, ale teraz to było coś więcej – coś szlachetniejszego, zasadniczo cennego.

Ich usta stapiały się w jedno, przy czym towarzyszyła mu na każdym etapie tej drogi, ponaglała, kiedy chciał zrobić przerwę, aby się delektować, pragnęła więcej, brała więcej,

całkowicie rozpraszając myśli obojga.

Pocałunek stał się dziki, wymknął się spod kontroli. Fizyczne pragnienie wezbrało, narosło, pochwyciło ich i zatopiło w nieoczekiwanym żarze.

Ich języki splątywały się i tańczyły, pojedynkowały i nęciły; wargi brały w niewolę, dręczyły.

Pożądanie rozbłysło z żywiołową siłą. Wirując, wyrosło z ich wnętrz, splotło się z namiętnością i zapłonęło.

Płomienie rozkwitły – w nim, podobnie jak i w niej.

Sądził już, że utracił ów fundamentalny ogień, ale nie, był tam. Drzemał, tlił się jako nieśmiały żar, dopóki Rose go nie rozdmuchała.

Naparła bliżej i płomienie ryknęły.

Trawiła go pożoga, rzeki ognistej potrzeby spływały jego żyłami. Naprężył ramiona, przyciągając Rose w pełni do siebie; przekrzywił głowę i powiódł pocałunek dalej. Głębiej.

Jakby wziął ją za rękę i poprowadził w płomienie.

Rose podążyła za nim ochoczo, żadna myśl nie zdołałaby przeciwstawić się radości z wiedzy, że on jej pragnie. To nie ulegało dłużej wątpliwości; twardy członek napierający na jej brzuch zaświadczał o autentyczności jego entuzjazmu.

Pragnął jej, ona zaś, dobry Boże, aż dotąd nie zdawała sobie tak naprawdę sprawy, jak bardzo sama go pożąda. Nie pojmowała, że jej reakcje na niego były po prostu symptomami owej chciwej, żarłocznej, napędzającej ją potrzeby.

Prześlizgnęła się dłońmi wyżej, wsunęła palce w jego włosy, wyciągnęła się w górę i wyszła na spotkanie jego języka, rozkoszowała się i zachwycała owym nieskrępowanym pojedynkiem. Tego właśnie w istocie łaknęła.

Tej bliskości.

Z nim.

Żar i namiętność, potrzeba i paląca konieczność stopiły się w jedno i zawirowały w niej, a potem łomotały w jej żyłach. Pożądanie trawiło ją, spopielając myśli. Pozostał w niej tylko jeden impuls – więcej.

Thomas nie potrafił się odnaleźć w szalonym zamęcie ich potrzeb. Uzmysłowił to sobie znienacka; w rezultacie poczuł ukłucie paniki, świadomość, że jest tak dogłębnie pozbawiony kontroli, wstrząsnęła nim – przelotnie, ale tyle wystarczyło.

Snop zrozumienia przeniknął mgłę pożądania i przypomniał mu, kim każde z nich było.

On, oszpecony pod tak wieloma względami, i ona…

Czy namiętność, którą obdarzała go tak ciepło i swobodnie, była prawdziwa? Czy też ofiarowała mu to wszystko niejako pod przymusem, ponieważ był jej pracodawcą? W zamian za ochronę.

Część jego logicznego, racjonalnego umysłu bezlitośnie wyszydziła taki koncept – przecież to Rose zagrodziła mu drogę – jednak reszta jego rozchwianego jestestwa, znacznie bardziej podatna teraz na zranienie, nie była – nie mogła być – pewna.

Owa niepewność – myśl, że Rose może tak naprawdę czuć co innego, niż zakładał – skłoniła go do zastanowienia. W rezultacie uzmysłowił sobie…

Uzmysłowił sobie, że przekroczyli pewną granicę, zrobili wyłom w barierze, w gruncie rzeczy niemalże ją unicestwili.

Odsłonili się, oboje…

Wziął głębszy oddech i przerwał pocałunek.

Przemocą oderwał wargi od jej warg i uniósł głowę, pokonując opór Rose.

Zamrugała i otworzyła oczy, a potem w mroku napotkała jego spojrzenie. Pozostali intymnie blisko, ich wargi dzieliły centymetry, oddechy mieszały się ze sobą.

Przez kilka uderzeń serca zaglądał jej w oczy. Później, niezdolny się powstrzymać, uniósł rękę i delikatnie, ze zmysłami boleśnie łaknącymi dotyku, poznania, wolno przeciągnął wierzchnią stroną palca po jej doskonałym policzku.

I poczuł.

Tak znacznie więcej niż kiedykolwiek dotąd. Starcie nieznanych emocji nim wstrząsnęło.

Wziął nierówny oddech, jego pierś się uniosła, napierając na ponętne krągłości jej biustu.

Nawet kiedy jego zmysły się uspokoiły, czuł się nader chwiejnie, jakby zerwał jakąś wewnętrzną cumę i teraz dryfował.

Pozbawiony kontroli.

Nie panując nad sytuacją.

Już nie ten człowiek, którym był niegdyś, lecz zarazem niepewien człowieka, którym się stał.

Również, jak się zdawało, na tym polu.

Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości – nadal musiał dopełnić pokuty i dopóki tego nie zrobi, jego życie nie należało do niego.

Nie wiedział nawet, czy potem będzie jeszcze miał jakieś życie.

Nie chciał wypuszczać jej z objęć, ale… wolno rozluźnił ramiona, aż stanęła na własnych nogach. Utrata jej ciepła ponownie nim wstrząsnęła, pohamował jednak impuls, ostry i intensywny, by przyciągnąć ją do siebie z powrotem.

Oszołomiona pocałunkiem, wpatrywała się w niego przez jakiś czas – niepewna, nie rozumiejąc – lecz teraz zobaczył, że w jej oczach pojawia się konfuzja.

Otworzyła usta, ale ją ubiegł.

– To było… niestosowne – powiedział.

Zamrugała.

– Niestosowne – powtórzyła po chwili dziwnym tonem.

Pojął, że znów popełnił błąd.

– Oczywiście nie z twojej strony – pospieszył z wyjaśnieniem – tylko z mojej.

Zaglądała mu w oczy, jej konfuzja jedynie narastała.

Mimowolnie przeczesał palcami włosy – gest, który ujawniał tyle słabości, tyle niepewności i wrażliwości, że jego umysł ogarnęło przerażenie.

– Nie chodzi o ciebie. – Opuścił rękę i szybko wykonał ruch między nimi obojgiem. – To, co narosło między nami – temu nawet on nie mógł obecnie zaprzeczyć – nie jest możliwe. Do niczego nie prowadzi, nie z twojego powodu, lecz z mojego. – Umilkł, po czym zmusił się, żeby dodać: – Ze względu na to, jakim człowiekiem jestem.

Przekrzywiła głowę, nie odrywając wzroku od jego oczu.

– A jakim to człowiekiem jesteś, że nie mogę cię pożądać? – spytała po chwili, głosem nadal zmysłowym i niskim.

Wiedział, że nie wolno mu się zawahać.

– Człowiekiem bez przyszłości, o duszy bezpowrotnie zbrukanej. I jako taki nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

Rose patrzyła mu w oczy i ważyła jego słowa. Widziała, wyczuwała, w jego statecznym spojrzeniu, nieustępliwym wyrazie twarzy, że w nie wierzył – że uważał je za

prawdę.

Nie była pewna, czy sama tak sądzi.

Na pewnym poziomie rozumiała, co robił – pomimo ich obopólnych potrzeb i pragnień odrzucał ją, ich razem, dla jej własnego dobra.

Ponieważ zaś miała dwoje dzieci, które przyrzekła chronić, wypadało jej wziąć taką postawę pod należytą rozwagę.

Jednakże… musiała wiedzieć.

– Nie jesteś odpowiednim mężczyzną nawet dla wiejskiej gospodyni? – spytała, unosząc brew.

Jego oczy pociemniały.

– Oboje wiemy, że nie jesteś przeciętną wiejską gospodynią.

Mimo że podejrzewała, iż to odgadł, oświadczenie zbiło ją z tropu, z większą mocą przypomniało o dwóch niewinnych istotach pod jej opieką.

Jakby czytając jej w myślach, podjął tym samym mrocznym, jakże osobistym tonem:

– I zwłaszcza w twoim przypadku, kiedy sprawujesz pieczę nad dwojgiem dzieci… nie. To między nami nie może zaistnieć. Zdecydowanie nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną.

Thomas dostrzegł u niej zrozumienie – że nie tylko przez wzgląd na nią odrzucał wszystko, co mogłoby się zdarzyć – i spróbował zakończyć spór.

– Ty masz swoje życie i dzieci, które musisz chronić, podczas gdy ja…

Znienacka spłynęło nań olśnienie, z taką siłą, że potrafił jedynie stać i gapić się na Rose.

Kiedy uniosła brew, coraz bardziej zakłopotana jego nagłym milczeniem, zmusił się, by znaleźć jakieś słowa…

– Ja muszę odnaleźć własną drogę – dokończył cokolwiek kulawo.

Czyżby już ją odnalazł? Czy przez cały czas miał ją pod nosem?

Nie umiał zebrać myśli, nie w jej obecności, kiedy stała przed nim, wyglądając tak, jakby zamierzała się spierać, a w jego żyłach nadal pulsowała żądza.

– Bez względu na argumenty – rzekł nieco szorstko – nie dam się przekonać. – Rozejrzał się, zlokalizował laskę, schylił się po nią, po czym znów stanął przed Rose. – Czy zechciałabyś mnie przepuścić? – Kiedy nie zareagowała od razu, zgrzytnął zębami i dodał niemal błagalnie: – Proszę, zejdź mi z drogi.

Rose usłyszała szczerość w tej prośbie. Nim zdążyła się zastanowić, odstępowała na bok – pozwalając, by ją wyminął.

Stała plecami do ściany korytarza i patrzyła, jak on oddala się do swojej sypialni, otwiera drzwi i wchodzi do środka.

Drzwi zamknęły się cicho.

Nadal zwlekała.

I analizowała żar, tęsknotę, czystą potrzebę, które ciągle krążyły w jej żyłach. Wiedza, że on podziela te odczucia, stanowiła potężną zachętę do jeszcze większej nierozwagi, jednakże… miał rację, przypominając Rose, że jej życie, z jej własnego wyboru, nie należy aktualnie do niej.

Musiała pomyśleć, odniosła też wrażenie, pomimo jego bezkompromisowej deklaracji, że i jemu przyda się czas na ponowną ocenę sytuacji.

Po kilku kolejnych sekundach wpatrywania się w jego drzwi odwróciła się i zmusiła, żeby pójść korytarzem i po schodach w dół, do kuchni.

*

Godzina szycia przy stygnącym piecu przynajmniej ostudziła żar w jej krwi.

Wreszcie Rose zgasiła lampę i wspięła się po schodach do swej sypialni, po drodze nie pozwalając sobie nawet na zerknięcie w kierunku drzwi Thomasa; słusznie zrobił, że się wycofał – istotnie musiała pomyśleć.

W tym celu wypadało poczekać, aż jej umysł się rozjaśni, aż rozproszy się mgła pożądania.

Rozebrała się, włożyła koszulę nocną i oddała się wieczornemu rytuałowi szczotkowania swych długich włosów. Uporawszy się z tym, przeszła do łóżka i wślizgnęła się pod przykrycie.

Umościła się na plecach, okrywając się po samą brodę, wpatrzyła w sufit i dopiero wtedy zezwoliła umysłowi zająć się bieżącym problemem, przy czym z ulgą odkryła, że przynajmniej zdystansowała się do sprawy na tyle, by spojrzeć na nią w miarę beznamiętnie.

„W miarę beznamiętnie” to było, jak podejrzewała, wszystko, na co mogła liczyć. W tych okolicznościach prawdziwa obiektywność i chłodny racjonalizm raczej nie będą jej dane.

Od czego zacząć? Najstosowniej chyba od niego i jego zapatrywań. Po krótkim zastanowieniu uznała, że nie czuje się zaskoczona, iż wyrysował między nimi linię – oświadczył, wyraźnie w to wierząc, że nie jest odpowiednim dżentelmenem dla niej. Taka deklaracja pozostawała w pełni spójna z tym, co Rose wiedziała o nim jako mężczyźnie.

Czego wydawał się nie rozumieć, to że przez taką postawę jedynie zyskiwał w jej oczach na atrakcyjności – jawił się jej jako tym bardziej dla niej odpowiedni. Tak, jego nieustanne… nie tyle samowyrzeczenia, ile wyrzekanie się siebie, nawyk pomniejszania własnej osoby irytowały, niemniej… czy ta reakcja Rose nie wynikała z faktu, że coś do niego czuła? I dlatego obchodziło ją, że nie cenił się tak, jak według niej powinien?

Jak ona go ceniła.

Nie uświadamiała sobie tego wcześniej, ale tak, tak właśnie było. Jej irytacja brała się wyłącznie stąd, że jej na nim zależało. W pewnym sensie emocjonalna więź między nimi już istniała.

Trzeba przyznać, że jeśli Rose miała jakąś wadę, była nią nadmierna opiekuńczość – stawała się zapalczywie opiekuńcza wobec osób, na których jej zależało. Jak dzieci. I najwyraźniej Thomas dołączył do tego ekskluzywnego kręgu – życzył sobie tego czy nie.

Wpatrzona niewidzącym wzrokiem w sufit poczuła, że jej wargi układają się w krzywy uśmiech. Oczywiste, że sobie tego nie życzył, ale nie on tu decydował.

Jej umysł, oswobodzony, kontynuował ponowną analizę wszystkiego, co o nim wiedziała, co miała okazję zobaczyć – wszystkiego, co ujawniły jego poczynania. Życie nauczyło ją, że dokonując osądu ludzkiej natury, należy polegać raczej na czynach niż słowach, a czyny Thomasa… Być może za każdym razem musiał pomyśleć, jak się zachować wobec innych, lecz tak czy owak jego działania wobec niej i dzieci, wszystkie bez wyjątku, wynikały z chęci wsparcia ich i troski. Oraz opiekuńczości.

Jego zwyczaj stawiania innych na pierwszym miejscu nie był cechą, której kobieta taka jak Rose mogłaby nie docenić. Właśnie ona, bardziej niż inne, potrzebowała całkowitej pewności, że mężczyzna, dowolny mężczyzna, w którego orbicie zainteresowania się znajdzie, będzie się troszczył o dzieci, przynajmniej na tyle, by wesprzeć ją w opiece nad nimi.

Thomas, wiedziała o tym, postąpiłby tak bezwarunkowo. Stałby u jej boku, broniąc ich.

Nie musiała się obawiać, że budując związek z nim, narazi dzieci na niebezpieczeństwo. W rzeczy samej znajdowała argumenty przemawiające za czymś wręcz przeciwnym.

Budować związek z Thomasem. Oto było zasadnicze pytanie – powinna czy nie?

Dokonana przez nią ocena jego osoby wskazywała, że nic nie stoi temu na przeszkodzie. Obecna nadal w jej krwi tęsknota, szept pokusy, ilekroć o nim pomyślała, ulotne wspomnienie dotyku jego warg potężnie zachęcały, by posunęła się dalej.

W pewnym sensie odstawał od otoczenia. Z tego, co zaobserwowała, był równie dobrze urodzony jak ona. Jego zamożność, światowość, wykształcenie – to były atrybuty mężczyzny o pozycji równej jej własnej. Oboje, każde z własnych powodów, oderwali się od swej prawdziwej warstwy społecznej, i to także ich łączyło – odcięcie od naturalnego środowiska, konieczność poruszania się w szerokim świecie bez wygód i ochrony, które w innych okolicznościach zapewniłaby im ich prawdziwa pozycja, związany z tym przymus polegania na własnej inteligencji, fortelach.

Pomijając fizyczny pociąg, dzielili owo podejście do świata oraz jasność i determinację, jakie ono rodziło.

Nie wiedziała, jak Thomas ją postrzega, niemniej tak czy owak znał ją, tę prawdziwą Rose, jak nie zdarzyło się to nigdy żadnemu pretendentowi do jej ręki. On ujrzał kobietę, podczas gdy tamci widzieli w niej wyłącznie pionek pomocny w realizacji ambicji towarzyskich.

I odwrotnie, Thomas był pierwszym mężczyzną, na którego spojrzała, zobaczyła wyraźnie, odnotowując wszystkie jego wady – i którego nadal chciała. Nigdy dotąd nie pragnęła mężczyzny, nawet w trakcie lat spędzonych w wytwornym towarzystwie, kiedy to w domniemaniu szukała męża.

Ale co z jego przeszłością? Przeszłością, która, jak twierdził, zbrukała mu duszę – nieodwracalnie, na ile Rose zrozumiała… czy też on tak sądził. Biorąc pod uwagę jego zwyczaj oczerniania się, nie była gotowa zaakceptować tego jako bezspornego faktu, a ponadto z zasady wierzyła w rehabilitację, w to, że ludzie mogą, bez względu na swe uchybienia, zadośćuczynić za nie i się zmienić.

Jeśli naprawdę się postarają. A on się starał. Jego postępowanie wobec dzieci, wobec Gattingów, wobec niej – kupił dla niej koronkowe mitenki jedynie dlatego, że odpoczywał, podczas gdy ona pracowała – zaświadczało o wysiłkach, by czynić dobro.

By niejako żyć podług anielskich zasad.

Owszem, jego przeszłość pozostawała tajemnicą, przy czym rzeczywiście mogła okazać się tak czarna, jak to przedstawiał, lecz Rose również skrywała sekret i, co bardziej istotne, oboje musieli radzić sobie z tu i teraz, z mężczyzną, którym był obecnie, i kobietą, którą ona się stała.

Kobietą dwudziestodziewięcioletnią, tęskniącą za tym, czego nigdy nie zaznała.

Za cudem, którego, gdy w końcu powróci do swego drugiego życia, nie będzie miała więcej szansy doświadczyć.

Przez długie chwile dumała nad tym, co czuła – choć raz uwolniła wszystkie spętane tęsknoty swej duszy, marzenia porzucone, by chronić dzieci. Nigdy tego nie pożałuje, a jednak…

Wreszcie otrząsnęła się i na powrót skupiła na wymagającej podjęcia decyzji.

Rozważywszy wszystko, stała przed prostym wyborem. Mężczyzn przybyłych do dworu tego ranka bez wątpienia wypadało uznać za heroldów, pewnego dnia pojawią się

kolejni. Nie dało się wykluczyć, że w niezbyt odległej przyszłości ona i dzieci będą zmuszone opuścić te okolice, a wtedy Rose czeka rozstanie z Thomasem.

Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, musiała wszakże pogodzić się z taką ewentualnością.

Mogła zatem podjąć działanie, uczepić się szansy na doświadczenie fizycznej intymności z jedynym mężczyzną, jaki kiedykolwiek oddziaływał na nią w ten sposób – więcej, wywoływał w niej tak potężną tęsknotę, że na samą myśl o nim pożądanie pełzało jej pod skórą.

Albo mogła wahać się i patrzeć, jak ta szansa prześlizguje jej się przez palce, a potem rozpaczać za tym, czego nigdy już nie zazna.

Przeszłość nauczyła ją, i to nauczyła dobrze, że nie warto polegać na tym, co przyniesie jutro, a czerpanie z dnia bieżącego, ile tylko się da, w jej przypadku jest zawsze najlepszym wyborem.

A zatem… odetchnęła głęboko, po czym wolno wypuściła powietrze z płuc. I poczuła, jak zadomawia się w niej pewność.

Kolejna decyzja podjęta. Jeśli chodzi o Thomasa, Rose będzie cieszyć się chwilą, nie troszcząc się o jutro.

ROZDZIAŁ 6

Po interludium na korytarzu Thomas spodziewał się między nim a Rose pewnej niezręczności. Tymczasem… kiedy dołączył do niej w kuchni przed śniadaniem, uśmiechnęła się do niego dokładnie tak jak zawsze, a chociaż zachowywał czujność przez resztę dnia, nie wykrył najmniejszej sugestii, by odczuwała skrępowanie w związku z tamtym niemądrym pocałunkiem.

Nie był pewien, co o tym sądzić.

Nadal dumał nad meandrami kobiecego umysłu, kiedy zapadła noc i udał się do swego pokoju na spoczynek.

Położył się na plecach i czekając na sen, siłą oderwał umysł od rzeczy nieuchwytnych, po czym skupił się na innym, znacznie bardziej przełomowym odkryciu, jakie pojawiło się w ślad za pocałunkiem. Rose i dzieci były jego celem – to z ich powodu został oszczędzony. Jakikolwiek problem ich nękał, rozwiązanie tej sprawy i ochronienie ich stanowiły zadanie, które wyznaczono mu jako ostateczną pokutę.

Jakież to podobne do losu, by umieścić poszukiwany przez Thomasa cel pod samym jego nosem, a później czekać, podśmiewając się z cicha, aż się o niego potknie.

Lecz skoro już tak się stało – i odczuwał to jako tak słuszne, że nie tracił czasu na wątpliwości – należało skoncentrować się na zadaniu, wypełnić je. Tędy wiodła droga do ostatecznego spokoju.

Pierwszy krok – musiał dowiedzieć się, na czym polega ich problem. Biorąc pod uwagę wczorajszą wizytę wywiadowców, bezpośredni apel do Rose miał szansę dostarczyć mu potrzebnych informacji.

Drzwi sypialni się otworzyły.

Marszcząc brwi, uniósł głowę i skryty w cieniu baldachimu popatrzył w ich stronę.

Akurat kiedy się zamykały.

Popychane przez Rose, która w koszuli nocnej i peniuarze, ze świecą w ręku, podążyła pewnie w kierunku łóżka, osłaniając dłonią płomień, zupełnie jakby dołączała do Thomasa co noc.

Świeca iluminowała jej twarz, noszącą wyraz spokojnej pewności, nałożonej na stalową determinację, którą dostrzegał u niej od samego początku.

Zareagował – jego ciało, umysł i dusza – ale nie w sposób dopuszczający protest. Potrzeba, wściekły głód, z jakimi jej pragnął, zapierały mu dech w piersi.

Kiedy tak się to rozwinęło, że uczyniło go równie bezradnym?

Niezdolny choćby tylko zamaskować chciwe pragnienie w oczach, obserwował, jak ona się zbliża, i oniemiały czekał, by się przekonać, co nastąpi, podczas gdy w jego umyśle wirowały rozmaite możliwości.

Rose wiedziała, co robi, i była zdeterminowana utrzymać obrany kierunek. Kiedy dotarła do łóżka, postawiła świecę na szafce obok wezgłowia, spojrzała na Thomasa – w jego połyskujące piwne oczy – po czym nachyliła się i zdmuchnęła płomień.

Poruszając się płynnie, spokojnie, z rozmysłem zignorowała nagłe rozedrganie

nerwów, rozwiązała peniuar i zrzuciła go z ramion. Gdy opadł na podłogę, sięgnęła po kołdrę. Uniosła ją. Thomas leżał pośrodku materaca.

– Przesuń się – poleciła i wślizgnęła się do łóżka.

Przemieścił się – odrobinę. Zderzyli się ramionami, a wtedy ułożył się na boku, nadal wpatrując się w nią w oszołomieniu.

Niemalże widziała kotłujące się w jego głowie myśli, bitwę w kwestii tego, czy protestować, czy dać spokój.

– Co robisz? – spytał w końcu zduszonym głosem.

Przekręciła się na bok, żeby wygodniej jej było patrzeć mu w oczy.

– To – oznajmiła śmiało – o czym oboje myśleliśmy przez cały dzień: ty, gromadząc powody przeciw, ja, zbierając argumenty za. – Wyciągnęła rękę w kierunku jego głowy. – Uznałam, że moje argumenty przebijają twoje powody.

– Poczekaj.

Chwycił ją, ewidentnie zamierzając powstrzymać, ale w następstwie tego kontaktu znieruchomiał, po czym jego ciepłe dłonie otuliły ramiona Rose, ręce zaś nie podporządkowały się jego woli – przytrzymały ją, tuliły, zamiast zaprzeć się, żeby ją odepchnąć.

Ośmielona, z lekkim uśmiechem prześlizgnęła dłonią po jego barku, ujęła go za kark i przysunęła się jeszcze bliżej, układając wzdłuż jego ciała. Choć nadal rozdzielały ich warstwy materiału koszul nocnych, na ten kontakt jej nerwy zareagowały pełnym oczekiwania drżeniem, sutki stwardniały, krew się rozgrzała, pożądanie zakipiało pod skórą, gotowe zapłonąć.

On także nie pozostał odporny. Z sykiem zaczerpnął powietrza, opuścił przelotnie powieki, rysy jego twarzy stężały, zacisnął wargi, jakby modlił się o siłę, kiedy wszakże otworzył oczy, to nie odrzucenie w nich wyczytała.

Jej pewność siebie okrzepła. Pochwyciła jego wzrok.

– Dlaczego? Dlaczego mielibyśmy czekać, skoro oboje tego chcemy, a folgując naszym potrzebom, zaspokajając je, nie skrzywdzimy nikogo?

Rozpalony jej dotykiem, obietnicą nieodłącznie związaną z faktem, że przyszła do jego łóżka, że to gibkie, jakże kobiece ciało napierało nań lekko, Thomas po raz pierwszy w życiu nie był w stanie myśleć. Wcale. Jego umysł się zaciął, przytłoczony żądzą, namiętnością, rwącym potokiem uczuć.

Z których część była mu na tyle obca, że powinny zbić go z tropu, a jednak nic nie wydawało się dość silne, by odwrócić jego uwagę, rywalizować z szalejącymi w jego krwi impulsami.

Krzykliwie domagającymi się Rose, wyzwolenia, ulgi.

Wszystkiego, co mu obiecywała.

W mroku zaglądała mu w oczy. Nie miał pojęcia, co w nich wyczytała, niemniej jej usta wygięły się, zaledwie odrobinę, w uśmiechu, który odbierał jako wyraz kobiecego triumfu, potem zaś wyciągnęła się i soczystymi wargami sięgnęła do jego warg.

Zatrzymała się, kiedy dzielił ich zaledwie oddech.

– Pragnę cię – szepnęła. – Pragnę twojej namiętności, twojego pożądania, wszystkiego, co do mnie czujesz. Przestań to powstrzymywać.

Później go pocałowała.

Nie mocno. Nawet nie pożądliwie. Gdyby zrobiła jedno lub drugie, może zdołałby się oprzeć.

Tymczasem ona wślizgnęła się w pocałunek, stopiła ich usta w jedno i zabrała go ze

sobą.

Soczysta, wspaniała, wabiła go, a on podążał za nią. Niespiesznie, lecz z rozmysłem nęciła, on zaś ofiarował jej wszystko, czego pragnęła. Spełniał każde jej życzenie.

Chwycił ją mocniej i przyciągnął, a następnie puścił, zmienił pozycję i na pół przesunął ją nad siebie, dzięki czemu mógł powieść dłońmi po jej gibkich plecach, linii kręgosłupa, wcięciu w talii, rozłożystych biodrach, krągłościach pośladków.

Ich nogi splotły się ze sobą, koszule nocne podjechały w górę, tak że naga skóra ocierała się o nagą skórę. Doznanie jej gładkich kończyn ślizgających się po jego szorstkich, oprószonych włosami, przyprawiło go o wewnętrzny dreszcz.

Wplątała palce w jego włosy, przeczesała gęste loki, a potem puściła, by na oślep błądzić nimi po jego twarzy. Po jego bliznach.

Nie zawahała się, jej dotyk nie stał się raptem niepewny. Badała jego blizny z taką samą nieskrywaną ciekawością, jaką okazywała w kwestii każdego innego fragmentu jego ciała. Traktowała je jako kolejny element, kolejną cechę, której zamierzała się nauczyć.

Ten bezczelnie ciekawski dotyk go rozgromił.

Przetoczył ją na plecy, podążając za nią tak, by ani przez chwilę nie ustał ów cudowny nacisk jednego ciała na drugie. Dzięki nowej pozycji mógł pieścić długą linię jej szyi, przesunąć dłoń niżej i pochwycić jędrny pagórek piersi, ująć w palce twardy sutek i ścisnąć.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, wygięła ciało w łuk.

– Więcej – szepnęła, minimalnie odsuwając wargi od jego warg. – Pokaż mi wszystko.

Nie wyobrażał sobie, że przystałaby na cokolwiek mniej, ale to żądanie – jasne i zdecydowane – pokonało wszelkie zalegające w nim jeszcze wahanie i podporządkował się z zapałem.

Pośród głodnych pocałunków, coraz bardziej desperackich pieszczot, rozpalali się mocniej i mocniej, intensywność zakazanego zbliżenia okazała się zbyt potężna, by się jej wyprzeć.

Zbyt paląca, żeby choć wyobrazili sobie, że się wycofają, pożoga wzbierała, szalała, porwała ich, spopielając wszelką myśl, wszelką wolę, wszelką zdolność, by się jej przeciwstawić.

Przeciwstawić się mocy, która wezbrała i narosła, żywiołowej sile napędzającej ich oboje.

Ciche szepty zachęty – jej, jego – rozbrzmiewały w ciemności, kiedy, nie pomyślawszy nawet, by odrzucić szczodre dary, podążyli naprzód razem, zestrojeni, ich ręce szukały i znajdowały, palce chwytały, dłonie rzeźbiły i ugniatały.

Pieścił każde zagłębienie, każdą gładką krągłość. Nigdy dotąd nie czuł się tak zaabsorbowany, tak zafascynowany. Tak skoncentrowany.

Ona, jej ciało, obietnica w jej ciemnych oczach, rzuciły na niego czar. Rad tkwił w tym potrzasku.

Śmiała i chętna, odwzajemniała jego dary, naśladowała ruchy, jej ekscytacja narastała, podsycając jego własną.

Radosne oczekiwanie zatopiło w nich szpony.

Przeciągnęło nimi.

Paląco.

Odpowiedział na wezwanie Rose oraz tej siły, która obecnie stanowczo nadawała im kierunek.

Wspomagany i zachęcany przez nią, zdjął z niej koszulę nocną i zatrzymał się w zatraceniu, by się delektować. Uczyć się na nowo, wzrokiem i dotykiem, poznać jeszcze intymniej, czcić pełniej.

Złożyć hołd.

Prześledzić jej obnażone krągłości wargami, smakować językiem jej skórę, zawłaszczyć każdą krągłość, każde zagłębienie i oddać się we władzę jej odurzającego smaku i zapachu.

Rose nie mogła złapać tchu; to nie ciemność przyćmiła jej wzrok, lecz potrzeba – wszystkie jej zmysły skupiły się na nim, na nich oraz ich podróży. Rozpostarł się przed nią krajobraz namiętności, powołany do życia przez niego, ofiarujący wszystkie olśniewające odcienie połyskliwego pożądania, migotliwą sieć doznań snutą zręcznymi ruchami jego dłoni na jej wilgotnej skórze, naciskiem jego warg, szorstkim dotykiem języka, gorącym, mokrym żarem ust, gdy zamknął je na jej sutku i ssał.

Krzyknęła, jej ciało wygięło się w łuk; grał na jej zmysłach, na jej nerwach, maestro aranżujący symfonię rozkoszy. Przyjemność, która ją wypełniała, dręczyła, wstrząsała nią.

Jej zmysły rozpostarły się, chciwie spijając każde doznanie – żar jego twardego ciała, namaszczenie, z jakim jej dotykał, płonący nadal w jego oczach głód.

Jednak pomimo napięcia grającego w nich, aż drżały im nerwy, traktował Rose z zaborczą łagodnością, która paliła ją do głębi duszy.

Między nimi było więcej – o wiele, wiele więcej – niż wcześniej przypuszczała.

Tak znacznie więcej w tym, co jej pokazywał.

Czego ją uczył.

O niej, tak, lecz bardziej nawet o sobie samym.

O oddaniu, które ujawniał tak sugestywnie, kiedy ją pieścił, podniecał – z miłością.

Potrzeba odwzajemnienia uczucia narastała w niej… aż Rose nie mogła dłużej opierać się przymusowi.

Chciała więcej – chciała okazać mu swą miłość.

Zebranie woli kosztowało ją nieco wysiłku, ale dokonała tego, zamknęła palce w jego włosach i pociągnęła, aż uniósł głowę, oderwał wargi od miękkiej skóry jej brzucha i popatrzył jej w oczy.

– Moja kolej.

Thomas nie był pewien, czy to rozsądny pomysł; jego opanowanie trzymało się na włosku, a jej namiętność, uwolniona, z łatwością mogła je zerwać.

Uniósł się nad nią i płynnie pojmał jej wargi, próbując odwrócić uwagę dalszymi pieszczotami, ona wszakże za pośrednictwem kilku gorących, treściwych zwrotów i własnych śmiałych pieszczot jasno dała do zrozumienia, że nie pozwoli, aby był jedynym suplikantem. Drobnymi dłońmi, uciekając się do kobiecych sztuczek, nalegała nieustępliwie, aż wreszcie, niechętny, lecz niezdolny jej odmówić, nawet w tej kwestii, nawet na tym etapie, kiedy ledwie powstrzymywana namiętność drżała niecierpliwie, bezlitośnie ściągnął wodze i pohamował się, zaczerpnął powietrza, a potem zdjął koszulę nocną.

To była uczciwość; przyrzekł, że wytrwa na tym kursie, a nie mógłby bardziej się przed nią obnażyć, aniżeli pokazując jej wszystkie swoje blizny.

Przewidywał odrazę, w najlepszym wypadku wahanie.

Tymczasem, bez najmniejszej sugestii odrzucenia w oczach, obejrzała pokiereszowaną skórę poniżej jego lewego barku i masę splątanych, paskudnych blizn szpecących mu

lewy bok aż do węzła ciemniejszych blizn nad lewym biodrem, skąd ich wypukłe grzbiety wędrowały w dół po osłabionej lewej nodze. Przyjrzała się im badawczo, a potem wyciągnęła rękę i powiodła po nich palcami.

Ciało miał tu uszkodzone; sądził, że te obszary zostały pozbawione czucia. Tymczasem… na zdewastowanej skórze odczuł każde muśnięcie opuszek jej palców.

Wstrzymał oddech, kiedy z niezachwianym zdecydowaniem zawłaszczyła nawet to – najbardziej zniszczone partie jego ciała.

Później opuściła głowę i zaczęła całować. Z miłością sunęła ustami po wybrzuszeniach i węzłach…

Te doznania go przeszywały. Zamknął oczy i zadrżał.

Kontynuowała swe działania, aż był zgubiony, jego umysł zanurzył się w doznaniu, rozsądek zmiotły wirujące emocje, zalały burzliwe fale.

Fale, które wywoływała ona, lecz podsycali oboje.

Nigdy nie doświadczył czegoś takiego, niemniej ten nowy on nie był dotąd z kobietą. Nie otworzył się dotąd na tę wspaniałość.

Na owo druzgocące porozumienie.

Żywiołową intymność, sięgającą do głębi duszy.

Nie miał wcześniej pojęcia, że taka wspaniałość istnieje, że w ogóle jest możliwa.

Wreszcie ich obopólna potrzeba płonęła zbyt jasno, by się jej oprzeć; przymus w ich krwi zanadto palił, by go zignorować, zwlekać.

Dawniej był to taki prosty akt, lecz wykręcone biodro uczyniło Thomasa nieporadnym. Bez słów, jedynie dotykiem i subtelną zmianą pozycji, zniwelowała tę niedogodność, smukłą nogą oplotła jego uda poniżej pośladków i ponagliła go, żeby w nią wszedł.

Niezdolny złapać tchu, a tym bardziej myśleć, naparł w jej żar, w ciasne objęcia jej ciała.

Nie zdawał sobie sprawy, nie zdołał zatrzymać się w porę – i przedarł się przez barierę, której obecności nigdy by się nie spodziewał.

Niewielka nadal funkcjonująca część jego umysłu zamarła zszokowana, kiedy Rose wygięła się pod nim w łuk, spinając się i zaciskając wokół jego sztywnego członka, teraz uwięzionego w niej głęboko. Z odrzuconą w tył głową zakwiliła krótko z bólu, zatopiła paznokcie w jego ramionach.

Rose nie była w stanie myśleć, nie była w stanie oddychać – umiała jedynie odczuwać. Tak wiele, że kompletnie ją to przytłoczyło. Zakładała… ewidentnie się myliła, lecz nie to było teraz ważne.

Wcześniejsze doznanie jego ciała, skóra przy skórze, okazało się cielesnym szokiem, który wchłonęła bez tchu, z uderzającym do głowy, radosnym wyczekiwaniem. Kiedy ulokował się nad nią swoim ciężarem, odebrała to jako równie słuszne, równie pożądane. Na wskroś obiecujące.

Uwielbiała żar, gorącą wilgoć, jaką pożądanie pokryło ich skórę.

Co do jego sztywnego, dobrze ukrwionego członka… Kiedy zamknęła na nim dłoń, a Thomas jęknął, poczuła się jak bogini.

I zapragnęła mieć go w sobie, nareszcie zrozumiała naglącą potrzebę, która prowadzi kobiety do tego, że kładą się z mężczyznami, tęsknotę wzbierającą niczym ziejąca, paląca pustka, którą koniecznie trzeba wypełnić.

Pomogła mu, niemalże oszalała od bliskości owej chwili, zdjęta potrzebą, zdesperowana wskutek głodu, który wyłącznie on, jak się zdawało, mógł zaspokoić.

I zrobił to.

Ponagliła go do tego, on zaś jednym potężnym pchnięciem wdarł się w jej ciało i wypełnił ją.

Całkowicie, doszczętnie.

Ta ciężka inwazja, szokujące rozciągnięcie, ostry ból…

Nie spodziewała się żadnego z powyższych, a już zwłaszcza palącej intymności – rozumiała teraz znaczenie tego słowa jak nigdy wcześniej. To właśnie owa intymność w swych niezliczonych aspektach zalała jej umysł i trzymała ją w potrzasku.

Ból zmalał, prędko uległ zmianie, przytłoczony przez coś całkiem innego.

Przez inne pragnienie, ostrzejszą potrzebę, kiedy znalazła się tak blisko pożądanego ponad wszystko doświadczenia.

Czuła go w sobie, twardego i nieustępliwego, czuła jego żar, muskularną siłę ciała, które otaczało ją ze wszystkich stron, trzymało w potrzasku, unieruchamiało.

Stapiało się z nią w jedno.

Dwa mocne uderzenia serca później się odprężyła. Odrobinę.

Zaświtało w niej zadziwienie i rozluźniła mięśnie jeszcze trochę.

Wsparty nad nią na ramionach, naprężając każdy mięsień i bezwzględnie nakazując sobie wytrwać w bezruchu, Thomas wpatrywał się w nią… i nie potrafił zebrać myśli nawet na tyle, żeby ustalić, co czuje.

Jakby wyczuła jego spojrzenie, minimalnie rozchyliła powieki, ukazując pociemniałe oczy, połyskujące nieugaszoną namiętnością.

Przyłożyła dłoń do jego policzka.

– Później – szepnęła głosem ochrypłym z palącej potrzeby. – Proszę…

Wiedział, o co go prosi, i nie potrafił jej odmówić. Nie potrafił odmówić potrzebie, łomocącej mu we krwi.

Nachylił głowę i otarł się wargami o jej wargi.

– Później – zgodził się, a potem cofnął i pchnął znowu, zagarniając oboje w ogień.

W oczekujący na nich żar, wirującą przyjemność.

W zmysłową rozkosz, jakiej nie doświadczył nigdy dotąd, przy czym wiedział, że wynika to z faktu, iż kobietą w jego ramionach jest ona. Rose.

Nigdy nie zaznał intymności tak fizycznej, do tego stopnia zdolnej oddziaływać na każdą cząstkę jego świadomości, zawłaszczyć każdy mroczny zakątek duszy. Zerwać wszelkie parawany i zasłony, aż został obnażony bez reszty, jakże podatny na zranienie, obolały z potrzeby… potrzeby, której ona się poddała, którą zaspokajała swą namiętnością, otwarta, bezpośrednia i szczera – ofiarowując mu tę szczerość w nagrodę za jego własną.

Patrząc mu w oczy, zaplotła mu ręce na szyi, wyciągnęła się i stopiła wargi z jego wargami. Uzupełniła jego namiętność o swoją, jej ciało swobodnie, bezwstydnie wychodziło naprzeciw każdemu pchnięciu, dopasowywała się do niego, dzieliła z nim każdą desperacką chwilę, popędzając go, beztrosko gnając przed siebie.

Okryła jego nagą potrzebę swą namiętnością, rozszalały głód nakarmiła pożądaniem.

On zaś robił to samo dla niej, dawał otwarcie, uczciwie, bez zastrzeżeń czy wahania. Po prostu dawał.

Podążała za jego przewodnictwem, dawali i brali nawzajem w narastającym zatraceniu.

Aż znali jedynie grzmot krwi w żyłach.

Aż roznieciła się desperacja, łapczywie chwytali powietrze, sięgali, napędzali się nawzajem.

Aż wyrósł przed nimi szczyt i przemknęli nad nim, i dalej, połączeni, kiedy ich zmysły

zalewały cudowne doznania, umysły przytłaczała przenikająca do szpiku kości przyjemność.

Ostatnie pchnięcie, ostatnia głęboka penetracja i ekstaza się przełamała, przeszywająco jasna fala runęła na nich i rozbiła się, oślepiając ich zmysły.

Spił jej krzyk spełnienia, jęknął w odpowiedzi, a ten dźwięk rozbrzmiał w nich obojgu.

I spadli.

W pustkę nieopisanej rozkoszy, gdzie nie istniało nic poza biciem ich serc.

Dygotali, drżeli, kiedy intensywność orgazmu wolno, jakże wolno przygasała.

Upływały chwile wypełnione ich nierównymi oddechami i zwalniającym łomotem serc.

Wreszcie z trudem zaczerpnął powietrza, dźwignął się z niej, wycofał z zaciśniętego na nim kurczowo żaru jej ciała, po czym opadł na materac u jej boku.

Wtuliła się w niego; wahał się zaledwie sekundę, a potem przyciągnął ją do siebie.

Zaspokojenie spłynęło na nich oboje.

*

Jakiś czas później powrócił do rzeczywistości, ale zmysły poinformowały go, że ona nadal śpi, zaspokojona. Wtulona w niego. Ufna.

Jego.

Przez ociężały umysł przewędrowała mu zbłąkana myśl: czy to także stanowiło część jego pokuty?

Czy wszystko to – a nie był na tyle głupi, żeby oszukiwać się co do natury owej mocy, która powstała między nimi i napędzała ich poczynania, nadając intymnemu zbliżeniu siłę kataklizmu – wchodziło w skład jego zadania?

Czy miłość do Rose należało uznać za jeden z elementów niezbędnych, by odkupił winy?

Pod pewnymi względami wydawało się to… bardzo egoistycznym wnioskiem. A jednak…

Teraz, kiedy ją kochał, kiedy pojął, że ją kocha… co się stanie, jak się poczuje, gdy dopełni pokuty i los lub Bóg osądzą jego duszę?

*

Rose zdryfowała ku świadomości akurat na tyle, by zarejestrować, że otulają ją ciepło i komfort. Przez długie minuty rozkoszowała się doznaniem, stopniowo jednak jej umysł wyłonił się z mgły snu i przypomniała sobie… gdzie się znajduje, w czyich ramionach leży.

I dlaczego.

Przepłynął przez nią strumień uczuć, rwąca rzeka srebrzystych i złotych, krystalicznych wspomnień chwil, które dzielili – często tak boleśnie kruchych, tak naładowanych emocjami, że samo ich wspominanie ją poruszyło, przepełniło pokorą. Respektem.

Tak wiele się wydarzyło. Tak wiele się zmieniło.

Jej ciało, trzeba to przyznać, wydawało się inne, jakby rozśpiewane, dopełnione, zadowolone. Niemniej była to zaledwie drobna, utrzymująca się nadal pozostałość niedawnego przeżycia.

Nie miała wcześniej pojęcia, że dwoje ludzi może osiągnąć taką głębię uczuć, zbudować tak potężną więź.

Niemniej czuła to, kiedy dotykali się nawzajem, widziała w jego oczach, słyszała w nierównych oddechach, rozrastało się to w niej, przymuszało do działania.

Stopili się ze sobą fizycznie i emocjonalnie, nierozerwalnie związali, nie dało się temu zaprzeczyć.

I nie mogłaby tego żałować. Świadomość, że zdołała doświadczyć w życiu takiej cudowności, przepełniała ją radością z decyzji, by przyjść do jego pokoju.

Niemniej teraz, gdy już go dotknęła, gdy poznała go intymnie, dzięki czemu spokojna, niewzruszona siła zakiełkowała, rozrosła się i zaistniała, jakże prawdziwa, przy czym, Rose była tego pewna, nadal żyła w nich obojgu, wzmacniając ich wewnętrznie, dając pewność przerastającą jej najśmielsze marzenia…

Ani myślała jej utracić, utracić Thomasa.

On i ten cud byli zbyt cenni.

Instynktownie zacisnęła ramiona, jakby się go trzymała.

Poruszył się i uświadomiła sobie, że nie śpi.

Wyczuła, że przekrzywił głowę, by na nią spojrzeć. Uniosła powieki i w mroku nocy napotkała jego wzrok.

Przyglądał się jej przez chwilę.

– Czyimi dziećmi są Homer i Pepi? – spytał.

Rose zamrugała, spróbowała nasrożyć brwi i odkryła, że przybranie marsowej miny nadal przekracza jej możliwości.

– Jak… och. – Na jej policzki wkradł się rumieniec. Zmusiła się, żeby spojrzeć Thomasowi w oczy. – Biorąc pod uwagę mój wiek, nie sądziłam, że będzie to tak oczywiste.

Wolno uniósł brwi.

– Że byłaś dziewicą? – Kiedy ostrzegawczo zacisnęła wargi, prychnął. – Dostatecznie oczywiste. – Umilkł na moment, taksując ją znów wzrokiem, po czym oznajmił: – Skoro zawędrowaliśmy tak daleko w odkrywaniu siebie nawzajem, pora chyba, żebyś zaufała mi także w pozostałych sprawach.

Rose patrzyła mu w oczy i czekała, aż odezwie się jej zwykła, zażarta opiekuńczość i go odetnie, lecz zamiast tego odkryła, że się z nim zgadza. Chronił dzieci, dbał o nie na niezliczone, nie zawsze oczywiste sposoby, a zaledwie wczoraj rażąco nakłamał, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Zależało mu na nich, nie wątpiła w to. Ufała mu, tej nocy zaufała mu swym ciałem, a także, nawet jeśli o tym nie wiedział, zaufała mu już sercem.

– W porządku.

Zamilkła, a Thomas czekał.

W końcu odwróciła się częściowo na plecy i umościła wygodniej.

– Są dziećmi mojej matki i ojczyma – powiedziała i znów popatrzyła mu w oczy. – Moja matka i ojczym nie żyją… Zostali zamordowani… choć wątpię, czy wiele osób jest świadomych tego ostatniego faktu.

Thomas zamarł.

– Zacznij od początku – poinstruował. – Jak się naprawdę nazywasz, kim byli twoi rodzice, gdzie się urodziłaś? Kiedy twoja matka wyszła ponownie za mąż?

Westchnęła, ale się podporządkowała.

– Nazywam się Rosalind Mary Heffernan. Córka Garetha i Corinne. Mój ojciec pochodził z drobnej szlachty, matka także. Byłam ich jedynym dzieckiem i żyliśmy szczęśliwie w naszym domu w Ashby Folville w Leicestershire, dopóki ojciec niespodziewanie nie zachorował. Umarł, kiedy miałam piętnaście lat. Matka go

opłakiwała, lecz nadal była młoda. Cztery lata później zakochała się ponownie i poślubiła Roberta Percivala, wicehrabiego Seddingtona z Seddington Grange w Lincolnshire. Lubiłam Roberta, a on mnie. Nasza trójka dobrze się dogadywała. – Zawahała się. – Tutaj nie ma wiele więcej do dodania.

– Wspomniałaś o swoim wieku, dając do zrozumienia, że jest zaawansowany. Ile masz lat?

Tym razem westchnęła głośniej.

– Dwadzieścia dziewięć. I zanim spytasz, tak, oprowadzano mnie po salach balowych jako pasierbicę wicehrabiego Seddingtona, prędko jednak nauczyłam się, że moje pochodzenie, bliższe ziemiaństwu niż arystokracji, oznacza, iż w tym kręgu towarzyskim niedoszli absztyfikanci postrzegają mnie wyłącznie jako pionek, dzięki któremu mogą zdobyć majątek, jak również związać się z rodem Percivalów. Nie byłam pod wrażeniem.

Na tym poprzestała. Akceptując wytyczoną przez jej ton granicę, Thomas skoncentrował się na bardziej naglącym pytaniu.

– Dlaczego sądzisz, że twoja matka i ojczym zostali zamordowani?

Odpłynęła wzrokiem, jakby spoglądała w dal.

– Robert był zapalonym żeglarzem, a tamtego dnia zabrał mamę na przejażdżkę do Grimsby. Mama niedomagała. Urodzenie Williama odbiło się na jej zdrowiu, urodzenie Alice jeszcze pogorszyło sprawy. Robert robił, co w jego mocy, żeby podnieść ją na duchu, często zabierał ją na przejażdżki. Dlatego ich wyprawa do Grimsby nie zaskakiwała, a ponieważ Robert trzymał tam swój jacht, nie było nic dziwnego w tym, że wybrał się popływać… natomiast dziwiło, że mama weszła na łódź. – Rose zerknęła na Thomasa. – Cierpiała na potworną chorobę morską. Wystarczyło, by stanęła na pokładzie. Kiedy tylko usłyszałam, że utonęli, zaplątani w żagle wywróconego do góry dnem jachtu, wiedziałam, że coś się nie zgadza, ale… przy całym tym szoku, smutku i żałobie, kiedy trzeba było pocieszać dzieci, nie miałam sposobności przemyśleć tematu, nie wspominając o postawieniu pytań… zresztą nawet gdybym to zrobiła, skoro zabrakło mamy i Roberta, nikt by mnie nie wysłuchał. Uznano by, że histeryzuję z rozpaczy.

Thomas się nie odezwał.

– Jednak później – podjęła po chwili Rose – wieczorem w dniu pogrzebu, kiedy już obwieszczono, że William przechodzi pod kuratelę Richarda Percivala, brata mojego ojczyma, podsłuchałam rozmowę Richarda z jednym z jego kompanów: opisywał, jak otruł moją matkę i Roberta, a następnie upozorował wszystko tak, by ich śmierć wyglądała na wypadek pod żaglami. – Zaczerpnęła powietrza. – Jako brat Roberta… jedyny brat… Richard dziedziczy po Williamie. Usłyszałam, jak oświadcza, że teraz jego celem jest zabić także Williama, aby odziedziczyć posiadłość.

Thomas wyczuł, że stężała. Przełknęła ślinę.

– W domu – ciągnęła – nie było nikogo więcej: żadnej osoby, do której mogłabym się zwrócić, a która posłuchałaby mnie, a nie po prostu opowiedziała o wszystkim Richardowi, nikogo, kto by przed nim nie drżał. Z jego słów jasno wynikało, że nie chce czekać, lecz planuje zaatakować Williama jak najszybciej… toteż uciekłam. Poszłam na górę, opatuliłam dzieci… William miał wtedy pięć lat, Alice zaledwie dwa… i zabrałam je ze sobą. Musiałam, żeby ocalić Williama. I Alice również: wiem, że przeznaczono dla niej znaczny posag.

Umysł Thomasa chłonął kolejne fakty, umieszczając fragmenty układanki we właściwych miejscach.

– A co z tobą?

– Mój ojciec był zamożny, czekają na mnie moje własne pieniądze, ale skoro Richard nas szukał, nie mogłam ryzykować próby czerpania z tych funduszy. Wszystkimi rodzinnymi interesami tego rodzaju zarządza ten sam prawnik, niejaki pan Foley z Londynu, ja zaś nie miałam powodu zakładać, że nie sprzymierzyłby się z Richardem… w tych okolicznościach byłoby zaskakujące, gdyby postąpił inaczej.

– William i Alice… Homer i Pepi?

Przytaknęła.

– William Randolph Percival, czwarty wicehrabia Seddington z Seddington Grange w pobliżu Market Rasen, oraz Alice Eileen Percival. Uzmysłowiłam sobie, że przez jakiś czas będę musiała się z nimi ukrywać… przynajmniej dopóki William nie podrośnie na tyle, by zrozumieć zagrożenie, mieć się na baczności i móc nalegać, by zorganizowano dla niego ochronę. Wiedziałam, że Richard nie zostawi nas w spokoju, lecz ruszy w pościg i nie przestanie szukać, spytałam więc Williama i Alice, jakie chcieliby przybrać imiona. William wybrał swego ówczesnego bohatera, Homera, Alice zaś… cóż, była jeszcze maleńka, ale uwielbiała jabłka i nauczyła się już słowa „pepina”. W tamtym czasie było jej ulubionym, stąd Pepi.

Thomas rozważył te informacje oraz wszystko, co z nich wynika…

– Mężczyźni, którzy was szukali, mówili, że pochodzicie wszyscy z Leicestershire, ale Seddington Grange znajduje się w Lincolnshire.

Przytaknęła.

– Richard bez wątpienia założył, że pojadę do domu albo przynajmniej w okolice najlepiej mi znane: gdzieś blisko miejsca mojego urodzenia, domu ojca w Leicestershire.

Thomas przyglądał się jej bacznie.

– Ale byłaś na to za sprytna.

Na jej wargach zaigrał blady uśmiech.

– Wiedziałam, że tam będzie szukał najpierw, tam i wzdłuż drogi do Londynu, toteż udałam się na zachód. Najpierw do Doncaster, dalej skierowaliśmy się na Manchester i wkrótce potem do Chester. Miałam trochę pieniędzy, tak że mogłam zapłacić za noclegi, pojmowałam jednak, że w końcu będziemy musieli gdzieś się zatrzymać, a pieniądze się wyczerpią, zaczęłam więc szukać pracy… takiej, żeby mieć dzieci cały czas przy sobie. Z Chester podążyliśmy na południe, z zasady unikając dużych miast. Trwało to miesiące, lecz wreszcie dotarliśmy na południowe wybrzeże, do Porthleven. Do tego czasu zostało mi marne kilka szylingów i znalazłam się nieomal w rozpaczy, ale trafiliśmy akurat na dzień targowy i na targu wpadłam na Elsie, siostrę pani Gatting. Usłyszała, jak wypytuję o pracę, i powiedziała, że jej siostrze oraz szwagrowi przyda się pomoc w jakimś dworze.

Rose wzięła głęboki oddech.

– To był – rzekła na wydechu – nasz prawdziwy łut szczęścia. Elsie wyjaśniła mi, jak dostać się do dworu, i przyszłam tu z dziećmi. Kiedy tylko ujrzałam ten dom… – Westchnęła. – Był doskonały. Na uboczu, lecz wygodny. Zrobiłabym wszystko, żeby móc zostać tutaj z Williamem i Alice… a Gattingowie potraktowali mnie jak wybawienie i wyglądało na to, że znaleźliśmy tymczasową przystań.

Thomas przygarnął ją do siebie odrobinę bliżej i oparł policzek o jej włosy.

– Kiedy pierwszy raz zobaczyłem dwór, poczułem dokładnie to samo. Nie planowałem kupna domu, ale pod wpływem tej fascynacji z miejsca go nabyłem.

A gdyby tego nie zrobił? Gdyby dawno temu oparł się nietypowemu dlań kaprysowi?

Roland miał rację. Los – lub Bóg, nieistotne – działa na cudowne sposoby.

Gdyby potrzebował kolejnych argumentów na to, że uwolnienie Rose i dzieci od

zagrożenia ze strony Richarda Percivala jest przeznaczonym mu zadaniem, ostateczną pokutą, dla której został oszczędzony – tym jednym zadaniem, które wyłącznie on mógł wypełnić – dostarczyła mu ich swoją opowieścią.

A co do pytania, czy miłość do niej stanowiła część tego przeznaczenia… zakochał się, mimowolnie uległ miłości, w nagrodę zaś Rose mu zaufała i powierzyła swą opowieść – powierzyła życie swoje i dzieci.

Wszystkie zdarzenia zdawały się łączyć w całość, typowa układanka skomponowana ręką losu.

Rose zmieniła pozycję i spojrzała na niego.

– I tym sposobem znaleźliśmy się tutaj – podsumowała.

A co z tobą? Nie wypowiedziała tych słów, lecz Thomas wyczytał je z jej oczu.

Zawahał się, ale… musiał uszanować jej zaufanie. Odwzajemnić się tym samym.

– Kiedyś… byłem kimś innym.

Uniosła brwi. Przez sekundę zaglądała mu w oczy, po czym odwróciła się tak, by patrzeć mu prosto w twarz.

– Opowiedz.

Zrobił to. Zrelacjonował wszystko – całe swe dawne życie, pełen katalog grzechów przeciw innym, różnorakich występków. Mówił o swej arogancji i pysze, o tym, jak ostatecznie zdał sobie sprawę, jakim łotrem się stał, o swoim upadku… i otrzymanym od losu wstrzymaniu egzekucji.

– Było tak… jakbym nagle się obudził, po raz pierwszy naprawdę otworzył oczy. Naprawdę widział… Być może dlatego, że zbliżyłem się do tych dwóch mnichów, zobaczyłem w nich siebie, czy raczej człowieka, jakim mógłbym się stać, toteż potrafiłem docenić ich reakcje i spojrzałem na siebie ich oczami, na człowieka, który, choć nie taki konkretnie miał zamiar, wprawił w ruch tamte wydarzenia… Pomogli mi zrozumieć, kim się stałem. A kiedy już to zrozumiałem… po prostu musiałem postąpić właściwie, na ile tylko leżało to w mojej mocy. – Umilkł na chwilę, po czym dodał ciszej: – Nie mogłem dłużej tak żyć.

Zapadła cisza. Rose się nie poruszyła, nie naciskała. W końcu wziął głęboki oddech i podjął opowieść. Ponieważ znała go jako Thomasa Glendowera, mężczyznę, który ostatnie pięć lat spędził w klasztorze, zaczął wcześniej od tego momentu i teraz kontynuował, cofając się w czasie. Przypominało to odwijanie wełny z grubego motka.

Nie pominął żadnego istotnego faktu, niemniej pobyt w klasztorze ukazał mu także grzech koloryzowania własnych postępków; trzymał się prawdy i nie starał zaprezentować jako ktoś gorszy, niż był w istocie – nie przydawał sobie znaczenia – jak również upewnił się, że Rose rozumie, iż nigdy własnoręcznie nie zabił człowieka. W rzeczy samej nie zamierzał doprowadzić do czyjejkolwiek śmierci.

– Nigdy nie umiałem odróżnić dobra od zła instynktownie, jak większość ludzi. Zabrakło mi odpowiedniej… podbudowy, można by chyba rzec. Przypuszczam, że odpowiada za to mój opiekun… Sprawował nade mną kuratelę, odkąd moi rodzice umarli, gdy miałem sześć lat. Nauczył mnie, że jeśli czegoś chcę, mam prawo to dostać oraz że uchodzi za w pełni akceptowalne, bym robił, cokolwiek okaże się konieczne, żeby daną rzecz zdobyć. On sam tak postępował… w ten sposób żył.

– Co się z nim stało?

– Uznano go winnym straszliwych zbrodni i w efekcie przystawił sobie pistolet do skroni. – Zamilkł na krótko. – Jednak mimo wszystko, nawet znajdując się pod jego wpływem… nie tyle wiedziałem, ile podejrzewałem, że aranżując sprawy w taki sposób,

by toczyły się zgodnie z moim życzeniem, nie żyję… do końca tak, jak powinienem. Że nie jest to w pełni moralne czy społecznie akceptowane. Pewna starsza dama mnie przejrzała, dostrzegła moją prawdziwą twarz… Znała niegdyś moich rodziców, dzięki czemu dobrze, w rzeczy samej doskonale, orientowała się w moich skłonnościach. Przestrzegała mnie, uważałem jednak, że wiem lepiej, i zignorowałem jej słowa… słowa mądrości, co powinienem był pojąć, ale tak się nie stało.

Następnie opisał, jak narodził się Thomas Glendower. Żeby dopełnić opowieści, wspomniał także o swych bieżących inwestycjach, przyznając się do rozmaitych funduszy i fundacji, które założył i którymi aktywnie administrował, wyjaśnił, jak korzysta z wrodzonych talentów, by możliwie dogłębnie zadośćuczynić za dawne występki.

Wyznanie nieoczekiwanie sprowadziło nań katharsis. Jeszcze nigdy nie wyrecytował przed kimś wszystkich swoich przewin naraz, lecz zdanie się na łaskę Rose… wydawało się właściwe.

Gdy zakończył przydługą spowiedź, Rose przez kilka chwil taksowała go wzrokiem, po czym stwierdziła po prostu:

– Naprawdę nie jesteś już tamtym człowiekiem.

Rozgrzeszenie – cenne, na jakie nie spodziewał się zasłużyć.

Na chwilę zamknął oczy, po czym otworzył je znowu. Nasuwały mu się kolejne pytania na temat bieżącej sytuacji Rose i dzieci, mogły jednak poczekać do jutra; otrzymał dość materiału do przyswojenia, przetrawienia i rozważenia, ale…

– Mam nadzieję – rzekł neutralnym tonem, utkwiwszy w niej wzrok – że teraz, gdy poznałaś moją historię, zrozumiesz, jak istotne jest dla mnie, by pomóc tobie i dzieciom, dlaczego uważam za sprawę nadrzędną, by wesprzeć was w walce przeciw zagrożeniu życia Williama.

Pomoc tobie i dzieciom to moje przeznaczenie. Proszę, nie odmawiaj mi tego ostatecznego odkupienia.

Rose patrzyła mu w oczy i uzmysłowiła sobie, że widzi go na wskroś, aż do głębi duszy. Skinęła głową, najpierw odruchowo, potem bardziej stanowczo.

– Tak. Rozumiem.

Rozumiała zachowanie tego wielce skomplikowanego mężczyzny o wiele, wiele lepiej niż dotąd.

Nie był święty, ale też nigdy takiego nie udawał. Był, kim był – i to u boku tego mężczyzny widziała siebie, jak kroczy w przyszłość.

Przyszłość na razie niepewną, o którą jednak będą walczyć. Razem.

O tak, tak właśnie zrobi. To mogła zaakceptować.

Jakby wyczytał tę decyzję z jej oczu.

– Będę musiał dowiedzieć się więcej – rzekł – abyśmy mogli przeanalizować dostępne rozwiązania, ale to może zaczekać do jutra.

Przytaknęła.

– Zgoda. – Umościła się ponownie, wtulając się głębiej w jego objęcia. – Porozmawiamy jutro, lecz przez resztę tej nocy… – Zerknęła w górę, a potem delikatnie powiodła dłonią po okaleczonej stronie jego twarzy. Teraz, kiedy wiedziała, skąd wzięły się jego blizny, stały się dla niej piękne same w sobie. Wyciągnęła się i musnęła jego wargi swoimi w niewymownie delikatnym pocałunku. – Przez resztę dzisiejszej nocy pozwól mi spać w swoich ramionach.

Thomas obserwował ją, gdy się mościła, a później opuszczała powieki.

Serce w nim rosło.

Zamknął oczy i poddał się – losowi, Rose, ciepłu, które wniosła w jego zimne życie. Obietnicy rozgrzeszenia.

ROZDZIAŁ 7

Thomas zmusił się, by wykonać zwykłą poranną pracę, mówiąc sobie, że nie tylko Rose i dzieciom przysługuje prawo do płodów jego umysłu.

Obudzili się z Rose wcześnie, potem szybko zjadł śniadanie; o dziesiątej porządkował już swoje papiery. Zajrzał do Homera – Williama, to imię lepiej doń pasowało – i upewnił się, że chłopiec ma odpowiednio dużo wymagających zadań arytmetycznych, by zagwarantowały mu zajęcie, następnie zaś udał się na poszukiwanie Rose.

Rosalind, ale dla niego ona już zawsze pozostanie Rose.

Znalazł ją w kuchni i nakłonił, żeby poszła z nim do biblioteki.

Także i tym razem przewidywał, że w wyniku intymnego zbliżenia będą się czuli w swoim towarzystwie choć trochę niezręcznie, lecz ponownie nic takiego się nie zdarzyło. Popatrzył na nią, odwzajemniła spojrzenie ze zwykłą spokojną bezpośredniością… i byli jak jedno. Całkowicie otwarci i pewni siebie nawzajem, jakby poprzez poznanie fizyczne jakimś sposobem poznali się także w głębszym sensie.

Co bardzo ułatwiało dalsze relacje.

Gestem ręki wskazał jej krzesło, które ustawił wcześniej przed biurkiem. Okrążył biurko, oparł o nie laskę i zajął swój fotel.

– Musimy ocenić dostępne rozwiązania i zdecydować, co zrobimy.

Rose skryła uśmiech; dwa razy „my” w jednym zdaniu. Zapewnienie o jego zaangażowaniu plus oświadczenie woli. Przysunęła krzesło bliżej biurka i skinęła głową.

– Ci mężczyźni… Nawet jeśli nie wrócą, w końcu pojawią się inni.

– W rzeczy samej. – Thomas położył na podkładce czystą kartkę i sięgnął po ołówek. – Niemniej skoro nie wrócili od razu, to gdy się połączy to, co im powiedziałem, z faktem, że niewielu miejscowych zna dobrze ciebie i dzieci, podejrzewam, że upłynie kilka dni, może wręcz tygodni, nim ktokolwiek znów tutaj zajrzy. – Ponad biurkiem popatrzył jej w oczy. – W takiej sytuacji najbardziej poprawimy naszą pozycję, jeśli zbierzemy możliwie dużo informacji o przeciwniku… o naszych wrogach. A pierwszy krok to sporządzenie listy wszystkich pytań, jakie przyjdą nam do głowy, rzeczy, których musimy się o nich dowiedzieć, żeby po pierwsze nie dać się złapać oraz po drugie wykonać przeciw nim ruch i przełamać zagrożenie, jakie stwarzają.

Rose nachyliła się do przodu, opierając przedramiona na blacie.

– W tym przypadku wrogiem jest Richard Percival.

Thomas przytaknął i zapisał nazwisko.

– Co możesz mi o nim powiedzieć?

Na jej czole pojawiła się zmarszczka.

– Nie tak dużo, jak bym chciała… Matka i ojczym nie zachęcali go do składania wizyt.

– Nie aprobowali go?

Uniosła brwi.

– Wcześniej niewiele o tym myślałam, ale tak, tak to wyglądało, choć zawsze kładłam tę sytuację… faktyczną banicję Richarda… na karb jego reputacji bon vivanta.

Kobieciarza, hazardzisty… ogólnie rzec biorąc, dżentelmena z rodzaju tych, których nie zachęca się, by spędzali czas z panną na wydaniu. Zwłaszcza –
dodała z przekąsem – panną bez szczególnie pokaźnego posagu.

– Czyli potrzebuje pieniędzy?

Rozważyła to, po czym się skrzywiła.

– Można się chyba co do tego zgodzić, w rzeczywistości jednak nie wiem nic o jego sytuacji finansowej. Na przykład nigdy nie słyszałam, żeby zwracał się do Roberta z prośbą o dodatkowe fundusze. – Zrobiła krótką przerwę. – Oczywiście mogło się tak zdarzyć, tyle że wiadomość po prostu do mnie nie dotarła.

Thomas oparł się wygodnie, wpatrzony w dotychczasowe zapiski.

Rose przyglądała mu się, kiedy myślał, i po raz pierwszy od ucieczki z Seddington Grange w wietrzną noc poczuła przypływ nadziei, realnej i mocnej. Nadziei, że uchroni Williama przed niebezpieczeństwem i w końcu ujrzy go na miejscu jego ojca, jako czwartego wicehrabiego Seddingtona.

Przysięgła matce, że będzie się troszczyć o dzieci. Miała dwadzieścia lat, kiedy urodził się William, a ponieważ po porodzie matka czuła się bardzo chora, Rose przejęła jej obowiązki, stając się *de facto* matką dla Williama. Podobnie wyglądało to potem z Alice. Ogromnie kochała oboje, a złożona przysięga jedynie wzmacniała to uczucie. William i Alice byli wszystkim, co zostało Rose po matce, jak również po Robercie Percivalu, mężczyźnie, którego podziwiała, który otworzył serce przed nią, córką z pierwszego małżeństwa jego żony.

Thomas poruszył się i spojrzał jej w oczy.

– Byłaś obecna, gdy odczytywano testament twojego ojczyma? – Kiedy przytaknęła, spytał: – I Richard Percival został wyznaczony na jedynego opiekuna prawnego Williama?

Rose zamrugała.

– Tak… nie. Poczekaj. – Po chwili wypuściła powietrze z płuc, zamknęła oczy i cofnęła się myślami do tamtego potwornego okresu, do oficjalnego zgromadzenia w bibliotece po stypie. Nadal z opuszczonymi powiekami wymamrotała: – Prawnik, pan Foley, stał przy biurku i czytał na głos testament… Richard został… g ł ó w n y m opiekunem prawnym. – Zmarszczyła brwi. – To pamiętam, ale nie przypominam sobie dalszego ciągu, tego co było zaraz potem, bo William pociągnął mnie za rękaw i odwróciłam się do niego. Chciał wiedzieć, co to takiego opiekun prawny. – Usiłowała przypomnieć sobie więcej, lecz w końcu potrząsnęła głową i otworzyła oczy. – Nie potrafię wyjaśnić, co rozumiano przez „główny”, gdyż nie usłyszałam reszty ustępu.

Thomas skrzywił się, a później pochylił do przodu.

– No dobrze. Przychodzą mi do głowy dwa wielce istotne pytania, pierwsze dwa, na które musimy poznać odpowiedź. – Z ołówkiem w gotowości pochwycił jej wzrok. – Niemniej należy działać ostrożnie. Aktualnie nikt powiązany z Richardem Percivalem nie ma solidnej koncepcji, gdzie was szukać; według tych dwóch, którzy się tu zjawili, „być może w Kornwalii”. Jednak gdy puszczę zapytania przez agencje w żaden sposób niepowiązane z tobą, a tak zamierzam zrobić, to jeśli Richard Percival zda sobie sprawę, że ktoś interesuje się tego rodzaju zagadnieniami… No cóż, ja wiedziałbym, jak tropem pytań dotrzeć do osoby, która je zadała. Do mnie, tutaj. Do ciebie i dzieci.

– Mówisz mi, że ryzykowna jest sama próba zdobycia informacji potrzebnych nam, by wykonać ruch przeciw Richardowi Percivalowi.

Thomas przytaknął.

Rose zastanowiła się nad tą kwestią.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedziała – ale jeżeli nie zrobimy nic, nie podejmiemy żadnego wysiłku, żeby przeciwstawić się Richardowi, wówczas dzieci potencjalnie znajdą się w końcu w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Jako że Richard jest opiekunem prawnym Williama, a przypuszczalnie również Alice, kiedy nas odnajdzie, nie będę w stanie ich przed nim ochronić. Wywiezie ich, dokąd zechce. Nie będę mogła z nimi zostać, aby ich bronić.

Thomas nic nie powiedział, lecz ze spokojem odwzajemniał jej spojrzenie.

Rose skinęła głową.

– Zanotuj nasze pierwsze dwa pytania. Trzeba brać się do dzieła, jeśli mamy kiedykolwiek uwolnić Williama od zagrożenia ze strony Richarda Percivala.

Przyglądała się, gdy zapisywał dwie linijki.

– A tak na marginesie – odezwała się – jak brzmią te dwa najistotniejsze pytania?

Nie podniósł wzroku, ale jego wargi wygięły się w uśmiechu.

– Pierwsze i najpilniejsze, to czy tyka już oficjalny zegar w sprawie domniemanej śmierci Williama: czy ktoś złożył wniosek o uznanie go za zmarłego, w następstwie czego majątek mógłby zostać przekazany dalej. Jeśli tak się stało, potwierdzi to, że komuś zależy, by po nim dziedziczyć, że dziedziczenie stanowi w tej sprawie zasadniczy czynnik. – Thomas umilkł na chwilę. – Uciekłaś z Williamem ponad cztery lata temu, niewykluczone więc, że na zegarze zostały mniej niż trzy lata. Jednak czas nie jest tu tak ważny. Liczy się fakt złożenia wniosku, a my musimy koniecznie ustalić, kto się o to postarał, jeśli chcemy zrozumieć, co się dzieje.

Odchylił się na oparcie, przebiegł wzrokiem swoje zapiski i popukał ołówkiem w kartkę.

– Nasze drugie pytanie dotyczy ustalenia, kto konkretnie sprawuje kuratelę nad Williamem. Termin „główny opiekun” sugeruje, że twój ojczym był na tyle mądry, żeby ograniczyć prawa swego brata w odniesieniu do Williama, jednak, co zrozumiałe, nie chciał zajmować drastycznego, potencjalnie publicznego stanowiska, wykluczając Richarda z opieki nad chłopcem, która w przekonaniu całego towarzystwa to jemu winna przypaść w udziale.

Thomas podniósł na nią wzrok.

– Czy takie zachowanie pasowałoby do twojego ojczyma? Starałby się jak najlepiej zabezpieczyć dzieci, wzdragając się zarazem przed jakąkolwiek nazbyt publiczną deklaracją, że nie ufa bratu?

– Tak, Robert myślałby w ten sposób – potwierdziła Rose. – Zawsze dbał o honor rodu.

Thomas skłonił głowę i dalej sporządzał notatki, na których oprze później listy.

– Jeżeli kogoś jeszcze wyznaczono na współopiekuna, albo przynajmniej opiekuna pomocniczego, kto by to mógł być?

Rose zastanowiła się, po czym na jej twarzy pojawił się grymas.

– Jedyny członek rodziny, który przychodzi mi na myśl, to stryj Roberta, Marmaduke Percival, on jednak, jak zapewne sobie wyobrażasz, nie jest najmłodszy, a przy tym, na ile wiem, nigdy nie przejawiał zainteresowania dziećmi. Co do pozostałych… chociaż nie orientuję się za dobrze w rodzinnych powiązaniach Percivalów, poznałam wszystkich tych, którzy przybyli na ślub mamy i Roberta, no i, oczywiście, wszystkich uczestników pogrzebu, ale są to dalecy kuzyni, przeważnie również ze starszego pokolenia. Żaden z nich nie był z Robertem blisko.

Thomas przerwał pisanie i spojrzał na Rose.

– Za twoim pozwoleniem zapytam także, czy pojawiły się sugestie, że z majątku Williama są wyprowadzane pieniądze.

Zamrugała.

– A to możliwe? Założyłam, że pozostanie nietknięty.

– Powinien, ale… opiekun lub w tym przypadku opiekunowie mogliby zabiegać o uwolnienie części przynoszonych przez posiadłość dochodów na pokrycie wydatków związanych z koniecznością zarządzania majątkiem Williama pod jego nieobecność. – Wzruszył ramionami. – Coś w tym stylu. Stosunkowo łatwo sfabrykować wiarygodnie brzmiącą wymówkę i od tego prawnika, Foleya, któremu nie ufasz, zależy, czy majątek nie jest już ostrożnie uszczuplany.

Rose wyglądała na lekko zszokowaną.

– Nigdy nie sądziłam… – Jej twarz stężała. – Czy możemy to powstrzymać?

Spojrzał jej w oczy.

– Jedynie poprzez powrót Williama.

Rose patrzyła nań przez chwilę, a potem wskazała na jego notatki.

– Wobec tego bierz się do pisania.

Thomas uśmiechnął się nieznacznie, zaraz jednak spoważniał, przeglądając zapiski. Sięgnął po czystą kartkę i zamienił ołówek na pióro.

– Zwrócę się do mojego przedstawiciela biznesowego oraz, niezależnie, do mojego prawnika. Obaj są sprawdzeni, nawykli spełniać moje prośby z zachowaniem absolutnej dyskrecji. Wiedzą, że w tego rodzaju sprawach ich poszukiwania nie mogą wywołać fal, ba, nawet drobnych zmarszczek na wodzie. – Spojrzał na zegar, a potem na Rose. – Napiszę listy teraz, a po lunchu pojadę do Helston je nadać. Dotrą do Londynu jutro, a później… zobaczymy.

Rose przytaknęła i wstała.

Zawahała się, spoglądając na pochyloną brązowoblond głowę Thomasa. Na końcu języka zawisło jej „Dziękuję”, ale… tego rodzaju wdzięczność odgrodziłaby go od niej i dzieci, tego zaś nie chciała.

Pracowali teraz razem, stał się częścią rodziny.

Bardziej pokrzepiona na duchu niż kiedykolwiek od momentu, gdy usłyszała o śmierci matki i ojczyma, odwróciła się i pozostawiła Thomasa z jego zadaniem.

*

– No i? – spytał Richard Percival.

– Znaleźliśmy kilkoro potencjalnych kandydatów, więcej niż dwoje – odparł spokojnie Curtis. – Potrzebujemy kogoś, kto ich zidentyfikuje… przynajmniej kobietę, a także, jeśli to w ogóle możliwe, chłopca. – Przyglądał się, jak na dotychczas ponurym obliczu jego zleceniodawcy pojawia się entuzjazm. – Czy może nam pan kogoś podesłać… pamiętając o tym, że ta osoba musi dochować tajemnicy?

– Jak najbardziej. – Richard Percival spojrzał mu w oczy. – Lokaja mojego brata. Chociaż nie potrzebuję jego usług, zatrzymałem tego człowieka u siebie. Rozpozna ją z całą pewnością, pomimo upływu lat powinien też poznać chłopca, dosłownie na pierwszy rzut oka.

– Doskonale. – Curtis poczuł, że budzą się w nim instynkty, jak zawsze gdy polowanie dobiegało końca. A to polowanie okazało się nieoczekiwanie długie i trudne. Ich zwierzyna, jak się przekonali, przejawiała zaskakująco dużo sprytu. Zerknął na Percivala

i zdecydował się złamać zasadę, by nie zachęcać klientów, dopóki nie ma łupu w worku; ten mężczyzna wytrwał znacznie dłużej, niż Curtis się po nim spodziewał. – Nie chcę robić panu zbyt wielkich nadziei, ale ta taktyka zaczyna przynosić rezultaty. Chyba zbliżamy się do końca wyścigu, naprawdę osaczamy zwierzynę.

Richard Percival patrzył mu w oczy, a na jego twarzy malowała się potężna mieszanina emocji.

– Boże, mam nadzieję. – W jego tonie wyczuwało się wyczerpanie i desperację. – Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się utrzymać z dala te hieny.

*

Odpowiedzi na pierwszą serię pytań Thomasa przybyły po dziesięciu dniach, dostarczone przez chłopca, któremu płacił za przywożenie poczty z Helston każdego popołudnia.

Thomas przyjął przesyłki w drzwiach frontowych, jak zwykle wręczył chłopcu monetę, a potem chwilę odprowadzał go wzrokiem, nim zawrócił do środka. Zamknąwszy drzwi, zobaczył, że Rose wyszła z kuchni. Stała w tylnej części holu i wycierała ręce w fartuch, obserwując i czekając.

Zerknął przez otwarte drzwi jadalni; Homer – zgodzili się z Rose, że ze względów bezpieczeństwa William powinien nadal używać tego imienia – czytał przy stole.

Thomas gestem skierował Rose do biblioteki, pokuśtykał za nią i zamknął drzwi.

Odwróciła się, a jej wzrok powędrował ku trzymanym przezeń listom.

– Odpowiedzi?

– Tak sądzę. – Podszedł do biurka, oparł laskę o krawędź blatu od frontu, obejrzał listy, po czym odłożył ten od Draytona, otworzył zaś korespondencję od Marwella. – Ten jest od mojego prawnika. – Prędko przebiegł wzrokiem treść, a później podał kartkę Rose. Kiedy czytała, podsumował: – Williama zgłoszono jako zaginionego, w domniemaniu zmarłego, wkrótce po jego zniknięciu. Na ile Marwellowi udało się ustalić, nie upłynął nawet miesiąc, zatem tak, Percivalowi pilno przejąć spadek.

Rose dotarła do końca listu i podniosła wzrok.

– Ale nie zdobędzie go, dopóki William nie zostanie oficjalnie uznany za zmarłego, to zaś nie nastąpi przed upływem siedmiu lat. – Zmarszczyła brwi. – Zgadza się, prawda? Pamiętam przypadek żołnierza, który zaginął w czasie wojny, a jego rodzina musiała odczekać siedem lat.

Thomas przytaknął. Przysiadł na skraju biurka.

– Zasadniczo się zgadza, ale to nie znaczy, że Richard Percival nie musi znaleźć Williama i dopilnować, by nigdy nie pojawił się znowu, żywy. Gdyby się pojawił, dziedziczenie zostałoby unieważnione. Coś takiego jest możliwe, choć, oczywiście, rzadko się zdarza. – Umilkł na chwilę, a później, patrząc jej w oczy, ciągnął: – Jednakże, co ważniejsze, bez względu na zasadę siedmiu lat, jeśli Richard Percival rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, postara się zadbać o to, by jak najszybciej znaleziono ciało Williama, dzięki czemu uzyska natychmiastowy dostęp do majątku i jego funduszy.

Rose nie zrobiła kwaśnej miny, kiedy tak bez ogródek wyłożył jej fakty, nie potrzebowała ochrony przed rzeczywistością. Opuściła wzrok na list.

– Twój prawnik, pan Marwell, pisze, że współopiekunem Williama jest Marmaduke Percival. – Skrzywiła się. – Wątpię w sens zwracania się do niego. Nie jest przesadnie bystry, a Richard ma o wiele silniejszą osobowość. Marmaduke może by i grzmiał, ale nie

zdołałby skutecznie przeciwstawić się Richardowi.

Ostatnia linijka listu przyprawiła ją o ukradkowe westchnienie.

– A Foley nadal prowadzi sprawy majątku, co oznacza, że kontroluje także moje finanse.

Thomas przyjrzał się jej bacznie.

– Nie ufasz Foleyowi z jakiegoś konkretnego powodu czy chodzi tylko o przeczucie?

Nadąsała się pogardliwie.

– Wypadałoby przyznać, że to drugie, w końcu miałam z nim bardzo niewiele do czynienia. Ale jest potwornie konserwatywnym sztywniakiem i z łatwością wyobrażam go sobie, jak robi wszystko, a nawet więcej, żeby uchronić rodowe nazwisko przed skandalem, podczas gdy bystry Richard manewruje ową niezłomną lojalnością w taki sposób, by służyła jego celom.

Thomas przyglądał się jej przez chwilę, a później sięgnął po drugi list i złamał pieczęć. Przebiegł wzrokiem treść.

– Drayton, mój przedstawiciel biznesowy – raportował – pisze, że jak na razie nie trafił na dowody czy sygnały, że dokonano najazdu na fundusze posiadłości.

Rose skinęła głową.

– Przypuszczalnie obecność Marmaduke'a jako współopiekuna nakłoniła Richarda do ostrożności w kwestii uszczuplania majątku.

Thomas się nie spierał. Wziął od Rose list, wstał i okrążył biurko.

– Odpiszę im i – siadając, zerknął na zegar – jutro zawiozę listy do Helston. – Sięgnął po czystą kartkę.

Rose opadła na krzesło przed biurkiem.

– O co spytamy tym razem?

– Po pierwsze, poinstruuję Draytona, żeby zaczął badać finanse Richarda Percivala. – Thomas popatrzył jej w oczy. – Potrzebujemy bardziej sprecyzowanej wskazówki co do motywu, dla którego Richard zabił brata i szwagierkę, a następnie wziął na cel Williama. Musimy wiedzieć i być w stanie wykazać, dlaczego tak mu zależy na odziedziczeniu posiadłości. – Spoglądając jej w oczy, zawahał się, po czym dodał ciszej: – Zamierzam też poprosić Marwella, żeby sprawdził reputację Foleya.

Rose uniosła brwi, lecz ostatecznie przytaknęła i wstała.

– Muszę zająć się obiadem, zostawię cię z listami.

Thomas odprowadził ją wzrokiem, a później przyciągnął do siebie list od Marwella i raz jeszcze zapoznał się ze wzmianką o Foleyu. Rose nie ufała temu człowiekowi, tymczasem jego wyśmienity prawnik nawet między wierszami nie próbował go ostrzec przed Foleyem. Niemniej Thomas podejrzewał, że Marwell postrzega kolegę po fachu w nieco innym świetle niż ona. Warto było się upewnić, który pogląd jest prawidłowy. Na ile rozumiał, Rose spotkała Foleya zaledwie kilkakrotnie, po raz ostatni, gdy miała dwadzieścia pięć lat, i zawsze w obecności starszych od niej mężczyzn z rodziny. Foley, jeśli istotnie był tak konserwatywny, jak go opisała, ignorowałby ją kompletnie – lub przynajmniej próbował. Co mogło tłumaczyć negatywną opinię Rose na jego temat.

Tak czy owak, jako prawnik Williama Foley odgrywał w tym dramacie istotną rolę, a Thomas wolał wiedzieć jak najwięcej o wszystkich graczach, zanim wykona przeciw nim ruch.

Wziął pióro, obejrzał stalówkę, a stwierdziwszy, że jest dostatecznie ostra, zanurzył ją w kałamarzu i zaczął pisać.

*

Następnego ranka Thomas wjechał do Helston z gotowymi do wysłania listami zawierającymi drugą serię pytań. Dotarł do miasta niewiele przed jedenastą; Srebrny poniósł go pod górę długą Coinagehall Street, skąd skręcili w łukową bramę dziedzińca stajennego hotelu Anioł. Pozostawiwszy konia pod opieką hotelowych stajennych, którzy traktowali go już jak stałego klienta, Thomas wyszedł na ulicę i skręcił w prawo do urzędu pocztowego, zlokalizowanego nieco dalej po skosie.

Jacyś mężczyźni – kolejni wywiadowcy – stali zbici w ciasną gromadę przed pocztą.

Nie zmieniając tempa, Thomas zboczył na ganek hotelu Anioł, jakby to tutaj od początku zmierzał. Kiedy znalazł się pod dachem, ponownie spojrzał na zgromadzenie po drugiej stronie ulicy; co najmniej dwunastu wywiadowców tłoczyło się wokół mężczyzny ubranego inaczej niż oni, o innym sposobie bycia. Odwróciwszy się, Thomas omiótł wzrokiem długi ganek i spostrzegł dwóch starców, którzy zwykle chronili się tu, żeby jakoś spędzić dzień. Sączyli po dużym piwie i także obserwowali zamieszanie po drugiej stronie ulicy.

Podpierając się laską, Thomas podążył w ich kierunku.

Starcy rozpoznali go i skinęli głowami na powitanie; Thomas dbał, żeby gawędzić z miejscowymi, ilekroć przyjeżdżał do miasteczka – ten stary zwyczaj teraz, podobnie jak dawniej, miał okazać się bardzo przydatny.

Odwzajemniwszy pozdrowienie, zatrzymał się w miejscu, gdzie nie zasłaniał mężczyznom widoku na zgromadzenie dalej na ulicy. Oparł się o poręcz ganku i przez kilka chwili uczestniczył w milczącej obserwacji, a potem ruchem głowy wskazał wywiadowców.

– Wiadomo, o co chodzi?

– Chyba wrócili dalej szukać jakiejś dziewuchy i jej dwójki dzieci – odparł jeden z mężczyzn. – Z tydzień temu czy coś koło tego dwóch się było pytać, ale odeszli z niczym. A tera ta banda przyjechała z rana. Przywieźli ze sobą tamtego kurdupla, coby rozpoznał damulę i jej synka.

Fred chrząknął.

– Pewnikiem zwędzili co cennego, skoro jakieś panisko płaci za całą tę bandę.

– A juści – zgodził się pierwszy mężczyzna. – Widać, że właścicielowi, ktokolwiek by to był, bardzo się pali odzyskać fanta. Tylu ludzi to już prawie obławę można zrobić jak się patrzy.

Szczera prawda… a na wzmiankę o „panisku” Thomas uzmysłowił sobie, kim jest wspomniany „kurdupel”. Skoncentrował się na mężczyźnie, tak cichym i pełnym rezerwy, schludnym i pedantycznym, zapamiętując jego wygląd, aby później opisać go Rose i upewnić się co do jego tożsamości.

Wywiadowcy ewidentnie szykowali się do odjazdu, ale ich uwaga wydawała się skierowana na wschód, z dala od Breage.

– Ciekawe, dokąd się wybierają. – Thomas zerknął na Freda.

Nadal obserwując grupę, starzec wzruszył ramionami.

– Słyszał żem, jak gadali o Lizard. Chcą tam sprawdzić jakieś kobiety z dzieciakami, a potem wrócą tutej… wzięli na noc pokoje w hotelu… i jutro planują jechać na zachód, szukając po drodze.

Thomas rozważył, czy kontynuować swoje przedsięwzięcie. W grupie na ulicy nie widział mężczyzn, którzy przyjechali do dworu, lecz mogli przecież znajdować się

w budynku poczty. Nie trzeba, żeby go rozpoznali i przypomnieli sobie, że jego gospodyni i jej dzieci pasowałyby do opisu poszukiwanych osób, gdyby nie fakt, iż według zapewnień Thomasa cała rodzina pochodziła z tych okolic.

Nada listy później.

Poruszył się i wyprostował, mocniej chwytając laskę.

– Ciekawe czasy.

Skinąwszy głową swym informatorom, który to gest odwzajemnili, podążył z powrotem gankiem, wszedł do hotelu i przez salę barową oraz wydzieloną komfortową salkę dotarł do drzwi na dziedziniec stajenny.

*

Thomas zjawił się we dworze akurat w porę, żeby zjeść w kuchni lunch z Rose i dziećmi.

Słowem nie wspomniał o niepokojących odkryciach w Helston ani nie dopuścił, by choć część wynikłego z nich napięcia ujawniła się w jego mimice czy ruchach.

Po posiłku zostawił Rose przy sprzątaniu ze stołu, a sam udał się z Homerem do jadalni. Spędził kilka minut, obmyślając zestaw prostych zdań do przetłumaczenia z łaciny, po czym zostawił chłopca zaabsorbowanego zadaniem i wrócił do kuchni.

Rose stała przy zlewie, obserwując Pepi, która bawiła się lalkami w ogrodzie. Zbliżywszy się, Thomas spojrzał ponad jej ramieniem; Pepi siedziała naprzeciw dwóch lalek i podawała im miseczki… Zestaw do herbaty?

Bezwiednie położył dłoń na dolnej części pleców Rose.

Przez chwilę napierała na jego rękę, a potem westchnęła, wyprostowała się i zwróciła twarzą do niego. Spokojnie popatrzyła mu w oczy.

– O jakich wieściach z Helston jeszcze mi nie powiedziałeś?

Nie spodziewałby się, że tak łatwo go przejrzeć… Zawahał się krótko.

– Przybyła kolejna grupa wywiadowców – rzekł. – Tym razem ze dwunastu. Wybierali się dzisiaj na półwysep Lizard, żeby sprawdzić informacje o kobietach z dwojgiem dzieci. – Spoglądał jej w oczy. – Towarzyszył im mężczyzna, z wyglądu lokaj. – Szybko i zwięźle opisał tego człowieka.

Rose bezwzględnie zdławiła panikę; ani ona, ani dzieci nie mogły sobie na nią pozwolić, poza tym obecnie mieli po swojej stronie Thomasa. Przyciągnęła sobie krzesło i opadła na nie powoli.

– To chyba osobisty lokaj Roberta.

Przyciągnąwszy drugie krzesło, Thomas usiadł naprzeciw niej, laskę oparł o nogi.

– Czyli by cię rozpoznał?

Przytaknęła.

– Zdecydowanie. I niemal na pewno Williama także. – Po chwili spojrzała na Thomasa. – Mówiłeś, że dzisiaj szukają na półwyspie. A potem?

– Na noc wrócą do Helston i przy założeniu, że nie namierzą zwierzyny, a wiemy, że tak będzie, planują jutro sprawdzić na zachodzie.

Rose panika ścisnęła w piersi. Zdławiła impuls, by poderwać się na nogi, i zaczerpnęła powietrza.

– Musimy natychmiast stąd wyjechać – oświadczyła.

Popatrzyła na Thomasa. Spokojny, poważny, odwzajemnił spojrzenie i skinął głową.

– Owszem, musimy. Musimy udać się do Londynu i rozwiązać tę sprawę.

Zamrugała. My? Ale nie zamierzała się z tym spierać. Z drugiej strony…

– Do Londynu?

Potwierdził. Pewnie, stanowczo.

– Ty i dzieci nie możecie stale uciekać. Dopóki nie mieliście znikąd pomocy, żadnego wsparcia ani środków, jakimi ja dysponuję, twoja pierwotna strategia była rozsądna: jak najdłużej utrzymać Williama poza zasięgiem Richarda Percivala, tak by chłopiec osiągnął wiek, kiedy będzie mógł przynajmniej wypowiadać się we własnym imieniu i liczyć na to, że zostanie wysłuchany. Biorąc pod uwagę początkowe okoliczności, było to najlepsze, co mogłaś zrobić, lecz okoliczności się zmieniły. Teraz ja zaangażowałem się w sprawę, przy czym jestem w stanie przeciwstawić Richardowi Percivalowi i jego knowaniom właściwe środki… tak by obnażyć jego intrygę, włącznie z zamordowaniem twojej matki i ojczyma, i tym sposobem raz na zawsze usunąć zagrożenie życia Williama.

Rose spoglądała w oczy Thomasa i w ich orzechowej głębi znajdowała wyłącznie pewność.

– Wydajesz się bardzo pewny swego.

– Bo jestem. – Zrobił krótką przerwę. – Nie spodziewam się, że zdemaskowanie Richarda i zabezpieczenie Williama będą łatwe, ale są to cele do osiągnięcia. Jednakże aby tego dokonać, musimy pojechać do Londynu.

Pamiętając o tym, co opowiedział jej o swoim poprzednim życiu, Rose nie widziała powodu, by wątpić w jego ocenę sytuacji. Mimo to nadal się wahała, zastanawiała…

– Ani chybi zdajesz sobie sprawę, z czym może się wiązać zdemaskowanie Richarda. – Nabrała tchu i zmusiła się, by spytać: – Jesteś pewien?

Nie odwrócił wzroku.

– Tak. A jeśli nie chciałaś mnie w swoim życiu, jeśli wolałaś trzymać mnie od tego z dala, nie powinnaś była przychodzić do mojego łóżka tamtej nocy.

Ani każdej kolejnej. Rose nie potrzebowała dalszych wyjaśnień; jego emocje i wszystko, co obecnie czuł do niej i dzieci, wyzierało z jego oczu.

Doświadczyła zarazem pokory i trwogi.

Musiała zaakceptować, że Thomas zna zagrożenia, prawdopodobnie o wiele lepiej niż ona, lecz podjął decyzję i z zaangażowaniem podąża obranym kursem. Oddany ich sprawie.

Roli obrońcy jej i dzieci.

Wiedziała, że postrzegał tę rolę jako swego rodzaju ostateczną pokutę, lecz tak czy owak ani myślała się od niego odwracać, porzucać wszystko, co w nim dostrzegała. Co jej ofiarował.

Wolno skinęła głową.

– Zatem… do Londynu. – Wyjrzała przez okno, by się upewnić, że Pepi nadal radośnie bawi się na trawie. – Skoro wielu ludzi przeszukuje okolicę i w dodatku odgradza nas obecnie od Londynu, a my nie wiemy nawet, czy widziana dziś przez ciebie grupa to już wszyscy, wynajęcie powozu i podróż z dwojgiem dzieci… – Popatrzyła Thomasowi w oczy. – Przybędą tutaj, zorientują się, że wyjechaliśmy, odgadną, że to nas szukają, i ruszą w pościg. Dopadną nas jeszcze na trakcie.

Ku jej pewnemu zaskoczeniu Thomas potaknął, nie wyglądał jednak na zdeprymowanego. Wprost przeciwnie. Zdawał się pełen zapału.

– W istocie – rzekł, odwzajemniając jej spojrzenie. – A gdybym był Richardem Percivalem, czy też osobą, która steruje poszukiwaniami w jego imieniu, rozmieściłbym ludzi wzdłuż głównego traktu do Londynu, tak by mieli oczy otwarte, na wypadek gdyby

grupa poszukiwawcza tutaj wykurzyła zwierzynę i nakłoniła ją… nas… do ucieczki. – Uśmiechnął się wręcz radośnie. – Dlatego nie udamy się do Londynu tą drogą. – Patrzył na nią. – Zaufaj mi. Wiem, jak wymknąć się z sieci.

Skonfundowana Rose zmarszczyła brwi.

– Jak?

Z szerszym uśmiechem chwycił laskę i wstał.

– Wybierzemy trasę, której nie uwzględnił i nie obserwuje. Jeśli nawet zda sobie sprawę, którędy podążyliśmy, nie zdoła łatwo nas wyprzedzić.

ROZDZIAŁ 8

Opuścili dwór w środku nocy.

Kiedy Thomas wyłuszczył swój plan, a potem we dwoje dopracowali szczegóły, Rose zawołała dzieci na wczesny podwieczorek i wspólnie wytłumaczyli im, co zamierzają zrobić.

Naturalnie Homer i Pepi zapatrywali się na przedsięwzięcie jak na wielką przygodę.

Resztę popołudnia i wieczoru spędzili, zamykając dom, a następnie pakując, co się dało, do sakw i toreb z myślą o podróży na końskim grzbiecie. Kiedy uporali się z pakowaniem, Rose nakarmiła wszystkich, po czym posłała dzieci do łóżek, żeby choć trochę się przespały.

Ona i Thomas posprzątali w kuchni i pochowali naczynia. Później Thomas udał się do biblioteki, żeby napisać do swego przedstawiciela biznesowego oraz prawnika kolejne listy z instrukcjami, które nada nazajutrz wraz z dwoma dotąd niewysłanymi. Rose zostawiła go przy tym zadaniu, sama zaś obeszła dom, sprawdzając okna, zaciągając story i przeglądając w myślach spis rzeczy do zrobienia przed wyjazdem.

O pierwszej w nocy obudzili dzieci i z torbami w rękach, w podróżnych strojach, przeszli do stajni.

Thomas i ożywiony po drzemce Homer osiodłali konie. Rose dosiadła po męsku kuca, biorąc tak wiele sakw i toreb, ile zwierzę było w stanie udźwignąć. Jadący na Srebrnym Thomas ulokował pozostałe sakwy na szerokim grzbiecie swego wierzchowca, a następnie wziął przed siebie Pepi. Homer wspiął się za niego, chudymi ramionami oplatając go w talii.

Gdy gotowi do drogi stali na niewielkim podwórzu przed wrotami stajni, Thomas pochwycił spojrzenie Rose.

– Nie ma powodu się spieszyć. Mamy do pokonania jedynie dwadzieścia mil, a temu podołamy z łatwością, nawet stępa.

Rose skinęła głową.

– Jedź pierwszy. Będę za tobą.

Thomas przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem zawrócił Srebrnego i puścił go kłusem aleją dojazdową, skąd skręcił w pole i jechał dalej, kierując się lekko na północny wschód, przez pokrytą cętkami księżycowego blasku okolicę.

*

Wjechali do Falmouth, kiedy miasto nadal spało. Przemierzyli dystans w dobrym czasie; nie wybiła jeszcze czwarta, gdy Thomas załomotał do głównych drzwi hotelu Siedem Gwiazd.

Dawniej już się tu zatrzymywał. Był to drogi przybytek, z rodzaju tych, gdzie służba migiem zanosi
bagaże i dogadza każdemu podróżnemu, który skłania się zapłacić za pokój wygórowaną

cenę.

Zgodnie z jego przewidywaniami, pobudzony do działania personel pognał słać łóżka i podgrzewać mleko dla dzieci. Konie odprowadzono do stajni. Thomas rozmówił się z masztalerzem, ustalając, że zwierzęta pozostaną w niej do czasu, aż po nie wróci, nieważne, jak długo to potrwa.

Wpisał ich do księgi hotelowej jako rodzinę – męża i żonę z dwojgiem dzieci – i wkrótce zaprowadzono ich do apartamentu od frontu, z widokiem na port.

Zaaprobowawszy lokum, Thomas odprawił służbę. Rose zaprowadziła Homera i Pepi do mniejszej sypialni. Przez otwarte drzwi przyglądał się, gdy pomagała sennym już dzieciom się rozebrać, nim zapędziła je do łóżek.

Zanim się odwróciła i dołączyła do niego, w ocenie Thomasa już spały.

Rose cicho zamknęła drzwi. Podążył za nią przez apartament do drugiej sypialni.

Zamknąwszy za sobą drzwi, obserwował ją, gdy szperała w sakwie, by wyjąć koszulę nocną i szczotkę do włosów.

Położyła obie rzeczy na toaletce i zaczęła wyciągać szpilki z włosów, aż lśniąca masa zakołysała się swobodnie.

Kiedy podszedł bliżej, wabiony, jak zawsze, obietnicą jej ciepła, westchnęła i spojrzała nań z ukosa.

– Jestem zmęczona, ale chyba nie zdołam zasnąć.

Usunęła ostatnią szpilkę i potrząsnęła włosami.

Ubiegając ją, sięgnął po szczotkę.

– Przestań myśleć. – Odstawił laskę na bok i płynnie przeciągnął szczotką po włosach Rose. – Po prostu zamknij oczy i pozwól, żebym wyszczotkował ci włosy, a później się przebierzemy, położymy do łóżka i zwyczajnie wypoczniemy.

Rose podporządkowała się, zahipnotyzowana delikatnymi szarpnięciami, kiedy powoli, miarowo sunął szczotką po jej włosach.

Ostatecznie posłuchała także dalszej części rady; wślizgnęła się pod prześcieradła i odwróciła w jego ramiona, a on ją trzymał.

Na dworze świt zaczynał rozjaśniać niebo, ale Thomas zawczasu zaciągnął story. Leżała w jego objęciach, z głową na jego piersi, usypiana i kojona przez powolne, miarowe uderzenia jego serca.

Znalazła się u progu snu, kiedy poczuła, że Thomas poruszył głową, a potem musnął wargami jej czoło.

– Ty i dzieci zawsze będziecie ze mną bezpieczni – wymamrotał. – Śpij.

Tak też zrobiła.

*

Późnym rankiem następnego dnia Thomas zamówił treściwe śniadanie, które spożyli w bawialni apartamentu, z dala od ciekawskich spojrzeń.

Kiedy służba zabrała naczynia i stolik, Thomas włożył płaszcz, wziął laskę i popatrzył Rose w oczy.

– Przejdę się najpierw po biurach spedycyjnych.

Na ile było to możliwe, musieli zdobyć miejsca na statku odchodzącym dzisiaj.

– Mogę iść z tobą? – Homer, który do tej pory bawił się z Pepi na podłodze, wstał nieporadnie.

Thomas zerknął na Rose. Omówili wcześniej rozmaite zagrożenia, a jej zadanie tego

ranka polegało na zajęciu czymś dzieci w bezpiecznych wnętrzach apartamentu.

Ich bezpieczeństwo stanowiło jeden z głównych powodów, dla których wybrał Siedem Gwiazd; nikt nie mógł ot, tak wejść tu sobie po schodach, a wszelkie zapytania o zatrzymujących się gości spotkałyby się z bezbarwnymi spojrzeniami. Co więcej, tak luksusowy hotel byłby ostatnim miejscem, gdzie komuś przyszłoby do głowy szukać kobiety, niegdyś młodej damy, a ostatnio zwykłej służącej, która ucieka w panice z dwojgiem dzieci.

Rose spróbowała pochwycić spojrzenie Homera.

– Zabrałam talię kart, możemy zagrać, w cokolwiek zechcesz.

Homer zerknął na nią, lecz zaraz znów popatrzył na Thomasa.

– Ale…

Thomas widział zachłanną, naglącą ciekawość w oczach chłopca – i zrozumiał. Jednakże… Opadł na sofę obok Rose, aby zrównać się wzrokiem z Homerem.

– Próbujemy wymknąć się ludziom, którzy szukają ciebie, Rose i Pepi. Mnie żaden z nich raczej nie rozpozna, ale przywieźli ze sobą mężczyznę, który może rozpoznać ciebie, a nie mamy pewności, czy nie przybyli już tutaj naszym śladem albo czy po prostu nie będą akurat tędy przejeżdżać, dlatego zależy nam, żebyś został z Rose w apartamencie, gdzie jest bezpiecznie i nikt cię nie zobaczy. – W przypływie natchnienia Thomas spojrzał na Pepi, obserwującą scenę z podłogi, po czym znów utkwił wzrok w Homerze. – Zależy nam, żebyś został tutaj i pomagał Rose, zgoda?

Chłopiec zerknął na Rose, po czym westchnął i pokiwał głową.

– Ale potem zobaczę statki, prawda?

Thomas wyprostował się z uśmiechem.

– Jeśli zdobędę dla nas miejsca na rejs w porze wieczornego odpływu, zobaczysz wszystkie statki w porcie.

Usatysfakcjonowany Homer odwzajemnił uśmiech, a potem odwrócił się i znów usiadł na podłodze, wracając do gry w hacele z Pepi.

Thomas i Rose wymienili spojrzenia.

– Postaram się uwinąć jak najprędzej, ale muszę zajść też na pocztę.

Skinęła głową.

– Powodzenia.

Wychodząc, zobaczył, jak siada na podłodze obok dzieci.

Thomas zszedł po schodach i opuścił hotel, a później żwawszym krokiem ruszył ulicą w kierunku nabrzeży, rozkoszując się bryzą i ostrym zapachem morza. Był już kiedyś w Falmouth; wiedział, dokąd zmierza.

Znalazł to, czego szukał, w trzecim z kolei biurze spedycyjnym.

– Owszem, proszę pana. – Agent spedycyjny nie odrywał oczu od banknotów, które Thomas trzymał uszykowane w ręku. – Dopisało panu szczęście: kajuta rufowa na *Andoverze* jest wolna. Prawdę mówiąc, straciłem już nadzieję, że ktoś ją weźmie. Statek odchodzi po południu, zatem pan i pańska rodzina musielibyście znaleźć się na pokładzie ledwie za parę godzin.

– Zaokrętowanie się na czas nie stanowi dla nas problemu. – Thomas wyciągnął jeszcze parę banknotów z pliku w drugiej ręce i dołożył do stosu. – Jak długo potrwa rejs do Southampton?

– *Andover* znajdzie się w cieśninie Solent z samego rana za cztery dni od dzisiaj, proszę pana.

– Doskonale.

Sfinalizował transakcję i opuścił biuro z czterema biletami na podróż *Andoverem* do Southampton w obszernej kajucie rufowej i przyległej do niej mniejszej, które zarezerwował dla siebie i swojej rodziny.

Rozglądał się, zmierzając przez miasto na pocztę, ale nigdzie nie spostrzegł wywiadowców. Przeciętni ludzie ich nie zauważali, dla niego jednak takie osoby się wyróżniały. Zanim dotarł do celu, zyskał rozsądną pewność, że nikt z polującej na nich grupy nie przebywa aktualnie w mieście.

Wymykając się z dworu tak dyskretnie, kupili sobie dzień, jeden spokojny dzień, ale nie mógł być pewien, jak będzie dalej. Nie dało się wykluczyć, że wywiadowcy odtworzą trasę z dworu do portu, kiedy jednak znajdą się na ruchliwych ulicach, niełatwo będzie ich wyśledzić, a ponieważ przybyli tak wczesnym rankiem, mało kto poza dyskretnym personelem hotelu ich widział. Przy odrobinie szczęścia znikną stąd bez śladu wraz z popołudniowym odpływem.

Jeśli szczęście naprawdę im dopisze, miną dni, zanim wywiadowcy połapią się, co się wydarzyło, a do tego czasu on, Rose i dzieci – jego mała rodzina – wtopią się w anonimowość stolicy.

Wszedł do urzędu pocztowego, zatrzymał się przy ladzie, żeby dopisać ostatnie instrukcje w listach z minionego wieczoru, a następnie zapieczętował je, dołączył do tych, które zamierzał wysłać z Helston, i pokuśtykał do kontuaru.

Uiścił opłatę pocztową, powierzając cztery przesyłki opiece poczmistrza, chwycił laskę i niespiesznie opuścił urząd. Przystanąwszy na stopniach, popatrzył na port, na liczne kołyszące się na kotwicy statki. Po chwili drgnął, odwrócił się i, usatysfakcjonowany osiągnięciami tego ranka, podążył z powrotem do hotelu.

*

Najbardziej niebezpiecznym punktem dnia były przenosiny z hotelu na statek.

Mimo niewielkiej odległości Thomas nalegał na wynajęcie hotelowego powozu; przekupił woźnicę, żeby zawiózł ich do samego portu, do miejsca, gdzie trap *Andovera* opierał się o nabrzeże.

Oczywiście takie wejście przyciągało nie lada uwagę, i to nie tylko w postaci głośnych przekleństw dźwigających ciężkie bele oraz beczki robotników portowych, którzy musieli usuwać się powozowi z drogi.

Homer i Pepi wyglądali przez okna, dogłębnie zafascynowani.

Rose posłała Thomasowi przerażone spojrzenie – z czytelnym komentarzem „Czy aby na pewno był to dobry pomysł?” – ale on tylko z uśmiechem ścisnął jej dłoń.

– Zaufaj mi. W takim stylu przybywają arystokraci, nie zaś gospodyni uciekająca z dwojgiem dzieci.

Na widok jej miny uśmiechnął się szerzej.

Powóz się zatrzymał, Thomas pchnął drzwi i zstąpił na nabrzeże. Przystanął, rozejrzał się wyniośle, z wyższością, a następnie podał rękę Rose. Kiedy pomagał jej wysiąść, pochwycił wzrok Homera i Pepi.

– Zachowujcie się wzorowo – wymamrotał.

Dzieci przytaknęły, a potem w ślad za Rose wygramoliły się z powozu.

Rose trzymała głowę wysoko, zebrała spódnice i z – jak oceniła – godną pochwały wyniosłością, ledwie omiótłszy wzrokiem otoczenie, skorzystała z asysty Thomasa, by wejść po trapie. Płaszcze jej, Homera i Pepi były na tyle dobrej jakości, że mogli śmiało

uchodzić za żonę i dzieci pomniejszego potomka arystokratycznego rodu… którym, kiedy teraz o tym myślała, Thomas w istocie był, jeśli poprawnie zrozumiała jego opowieść.

Choć jednak zasadniczo żadne z nich czworga nie grało – w gruncie rzeczy zachowywali się zgodnie ze swą prawdziwą pozycją – oznaczało to dla nich wejście na powrót w role, które odłożyli do lamusa lata temu.

Z niejakim wysiłkiem przypomniała sobie ton, jakim wypadało rozmawiać z kapitanem, korpulentnym, dobrodusznym mężczyzną, który czekał u szczytu trapu, żeby z ukłonem powitać ich na pokładzie.

Przywitawszy się z Thomasem i dziećmi, kapitan raz jeszcze ukłonił się Rose.

– Gdyby szanowna pani zechciała tędy, steward zaprowadzi państwa do kajuty.

– Dziękujemy, kapitanie. – Rose z wdziękiem skłoniła głowę i łaskawie podążyła we wskazanym kierunku, do miejsca, gdzie schludny osobnik w uniformie przedsiębiorstwa żeglugowego czekał przy drzwiach, za którymi zaczynały się schody.

Kajuta rufowa okazała się miłym zaskoczeniem, bardziej przestronna, niż Rose oczekiwała, przy czym w jednym jej narożniku znajdowały się drzwi do przyległej, mniejszej kajuty z dwiema wąskimi kojami. Dzieci ruszyły prosto do szerokich okien na rufie i wspięły się na siedzisko pod nimi, żeby podziwiać widoki, potem jednak Pepi spostrzegła koje i z piskiem pognała zająć dolną.

Homer popatrzył w tę stronę, ale nie pobiegł za nią.

– Ja wezmę górną! – zawołał, po czym znów skupił się na mrowiu statków w porcie.

Kiedy tylko tragarze, którzy wnieśli ich nieliczne torby, wycofali się i zamknęli drzwi, Rose westchnęła. Zastanawiała się przez chwilę, a później spojrzała na Thomasa po drugiej stronie pomieszczenia.

– Martwiłam się, że odziedziczyłam przypadłość mamy, ale czuję się dość dobrze.

Thomas uśmiechnął się i skierował wzrok na Homera.

– Ci dwoje najwyraźniej także.

Chłopiec posłał mu uśmiech i wrócił do oglądania statków. Po dłuższej chwili odwrócił się i popatrzył najpierw na Thomasa, a potem na Rose.

– Możemy wyjść na pokład się rozejrzeć?

Rose spojrzała na Thomasa.

– Kiedy odbijemy – odparł po krótkim wahaniu – wówczas tak, wyjdziemy na górę. Kapitan zapewne wpuści nas na kasztel. – Thomas wskazał sufit. – Znajduje się bezpośrednio nad nami i stamtąd, zza nadburcia, będziesz mógł obserwować, jak Falmouth zostaje w tyle. – Wyjrzał przez okno. – Jest popołudnie, więc powinniśmy mieć dobry widok.

Rzeczywiście właśnie tak zrobili. Rose opierała się o poręcz falszburty na końcu kasztelu rufowego z Homerem u jednego boku, a Pepi u drugiego, podczas gdy Thomas stał z tyłu, osłaniając ją i dziewczynkę przed smagającym wiatrem, i przyglądała się, jak Falmouth oraz ryzyko natychmiastowego pościgu zostają w oddali.

Stali tak w przyjacielskim milczeniu, aż w końcu podnosząca się nad morzem mgła przesłoniła widok.

Thomas poruszył się i spojrzał Rose w oczy.

– Zamówiłem obiad do kajuty. Zejdziemy na dół?

Jako że nie było już nic widać, a powietrze robiło się zimne i wilgotne, dzieci nie protestowały. Ruszyły przodem, Rose zaś przyjęła ramię Thomasa, który poprowadził ją do zejścia na dolny pokład.

Jego ramię okazało się twarde i silne, niezłomne. Ciepło i siła jego ciała tuż obok

ostatecznie przypieczętowały poczucie bezpieczeństwa i komfortu, które ukradkiem nią owładnęło. Opadły z niej wszystkie naglące troski, wywołane nimi napięcie malało, aż całkiem zniknęło wraz z pozostawionym w oddali Falmouth.

– Dziękuję – powiedziała, nasycając to słowo wszystkim, co czuła. Podniosła na Thomasa wzrok, akurat kiedy otwierał usta. – Nie, nic nie mów. – Patrzyła mu w oczy. – Po prostu… na razie ci dziękuję.

To rzekłszy, spojrzała przed siebie, a następnie puściła go, żeby pierwszy zszedł po schodkach.

*

Na razie. Wątpiła, by zrozumiał jej zamiary, domyślił się, jakie sposoby późniejszych podziękowań przyszły jej do głowy.

Kiedy koncept już w niej rozkwitł, jego powab stale narastał.

Poczekała, aż zapadnie noc. Do czasu, gdy zapędziła do mniejszej kajuty dzieci, ziewające i ledwie trzymające się na nogach, a następnie otuliła je bezpiecznie w kojach. Po emocjach minionego dnia, w połączeniu z morskim powietrzem, spały, ledwie przyłożyły głowy do poduszek.

Wróciwszy do kajuty rufowej, cicho zamknęła za sobą drzwi. Po drugiej stronie pomieszczenia Thomas stał przy łożu w formie szerokiej półki umocowanej do ściany kajuty. Laskę oparł o pobliskie siedzisko pod oknem, zdjął surdut i odłożył na bok.

Znalazła się przy nim, kiedy w ślad za surdutem rzucał kamizelkę i sięgał właśnie do halsztuka.

– Pozwól, że ja to zrobię.

Znieruchomiał, spojrzał jej w oczy, kiedy zaś, przystąpiwszy blisko, rozplątała prosty węzeł, otoczył ją ramionami w talii i zabrał się do rozsznurowywania sukni.

Ściągnęła mu z szyi długi pas płótna i wypuściła z palców, tak że opadł na surdut i kamizelkę. Blizny szpecące lewą stronę jego twarzy i głowy, na pół ukryte pod gęstymi włosami, sięgały w dół szyi. Zahipnotyzowana, niezdolna oprzeć się pokusie, powoli, delikatnie powiodła po nich palcami.

Wolno zaczerpnął powietrza, pierś mu napęczniała, a potem odwrócił głowę i wycisnął pocałunek we wnętrzu jej dłoni.

Przygarnął ją bliżej.

Chwyciła go za kark, wspięła się na palce i ich wargi się spotkały.

Pocałunek był długi, niespieszny; pewni siebie i spokojni, rozkoszowali się nim oboje.

Odkąd z rozmysłem weszła do jego łoża, sypiała w nim co noc. Choć wyczuwała, że za każdym razem bił się z myślami, czy na to pozwolić, tak czy owak dostosowywał się do jej życzeń.

Ulegał pokusie, którą – co już zrozumiała – przedstawiała swoją osobą.

Dodająca pewności wiedza.

Dotrzymywała mu tempa, wślizgując się w namiętność, pożądanie powstało i zaśpiewało w ich żyłach. Ubrania z szelestem spływały na podłogę. Minęli już etap niepotrzebnej skromności, czuli się swobodnie zarówno z ciałem partnera, jak i własnym.

Kiedy jednak stanęli nadzy, namiętnie objęci, a on uniósł głowę i chciał pociągnąć ją do łóżka, powstrzymała go, stanowczo wspierając dłoń na jego klatce piersiowej.

– Nie. Moja kolej.

Thomas spojrzał na nią, wolno uniósł brwi.

Uśmiechnęła się zmysłowo, jak syrena.

– Moja kolej napisać scenariusz do naszej gry – wymamrotała.

Nie był pewien, co o tym sądzić. Zaglądając jej w oczy, odniósł silne wrażenie, że przyświeca jej jakiś cel, ale… tej nocy nic im nie groziło, leniwe kołysanie pokładu pod stopami uspokajało, że przez kilka dni znajdą się poza zasięgiem niebezpieczeństwa.

Ta podróż stanowiła nieoczekiwaną przerwę, ich prywatną ciszę przed burzą, kiedy bowiem dotrą do Londynu, w sposób nieunikniony wpadną znów w samo serce akcji, w kocioł nieodgadnionych przyszłych zdarzeń, i zagrożenie narośnie.

Jednak dziś w nocy i przez parę najbliższych dni byli bezpieczni, wolni.

Mogli sobie folgować, jak tylko zechcą.

Niemal niezauważalnym skinieniem głowy wyraził zgodę.

– Zatem… – Musnął wargami jej wargi, różane i opuchnięte od pocałunków. – Co zamierzasz?

Uśmiechnęła się miękko, zadowolona z siebie, ale nie odpowiedziała.

Nie słowami.

Powieki opadały jej ciężko, długie rzęsy przesłaniały oczy, w których jak zwykle jawnie tliła się namiętność, kiedy przywarła do niego, rozpraszając go całkowicie jedwabistą skórą i miękkimi krągłościami. Chwyciła go mocniej, palcami naciskała na jego mięśnie, blizny, a później nachyliła głowę i przylgnęła wargami do jego barku, sunęła wzdłuż linii obojczyka, zboczyła, by polizać i obmyć sutek, a w końcu wziąć go w gorącą wilgoć ust.

Z dłońmi na jej biodrach opuścił powieki i pozwolił zmysłom nurzać się we wzbudzanej przez nią przyjemności. Pocałunkami i pieszczotami, głaszcząc, gładząc, zawłaszczając drapieżnie, otworzyła mu oczy na inny wymiar tego, co między nimi narosło i ewidentnie się potęgowało.

Pokazała mu swą namiętność, swą zaborczość.

Pokazała mu, że pragnie go równie mocno jak on jej.

Że swym pragnieniem podsyca jego własne; jego reakcja na te zabiegi, na akceptację i jawne pożądanie, które przeniknęło do jej dotyku, paląc go, wyciskając na nim piętno, zupełnie go zaskoczyła. Przytłoczyła i wypełniła mu umysł.

Był niezdolny do jakiegokolwiek protestu, kiedy opadła przed nim na kolana.

Niezdolny myśleć, kiedy jej ciepły, przepełniony obietnicą oddech owionął mu żołądź.

Mocno chwycił jej głowę, zacisnął palce w jej włosach i mknął na fali czystej rozkoszy, którą przywołała i leniwymi, lecz przemyślanymi ruchami palców, boleśnie delikatnym pocieraniem warg, posyłała, rozszalałą, przez jego ciało.

Rose owinęła palce wokół jego rozpalonego członka; oddychając płytko, uwięziona w tej chwili, spętana zmysłową magią, własnym dziełem, dotykała i pieściła.

A on znieruchomiał, schwytany w wysnutą przez nią zmysłową sieć.

Omyło ją uczucie triumfu, nader kobiecego.

Ośmielona, wolno polizała szeroką żołądź i skosztowała go, cierpkiego i słonego; doznanie rozpaliło w niej krew.

Nachyliła się, zamknęła wargi na aksamitnej główce i powoli, rozkoszując się, wciągnęła go głębiej.

Gwałtownie zaczerpnął powietrza i zadrżał.

Odrzucił w tył głowę, mocniej zacisnął palce we włosach Rose. Każdy mięsień w jego ciele się naprężył, żyły nabrzmiały.

Uśmiechając się w duchu, w poczuciu kobiecego zwycięstwa, skupiła się na swoim

zadaniu.

Dziękowanie mu słowami miało swoje ograniczenia; nawet jeśli, odkąd zrobiła mu wykład na temat uprzejmego przyjmowania podziękowań, pozwalał jej wypowiadać tego rodzaju słowa, nawet jeśli teraz słuchał, w gruncie rzeczy jej nie słyszał. Nie wierzył, że zasłużył sobie na taką wdzięczność, ponieważ jego działania – tak sądził – motywowała potrzeba odpokutowania za przeszłość.

Rozumiała, że po części jest to prawda, ale czy cała? Cała jego prawda?

Czy też jakaś część owej potrzeby chronienia ich, dbania o nich, wypływała ze szlachetniejszego, czystszego źródła?

W sercu, w duszy, czuła, że to ostatnie odpowiada rzeczywistości, dlatego hojnie obdarowywała go podziękowaniami, na jakie w jej ocenie zasługiwał za wszystkie swoje akty dobroci.

Za wszystkie nieistotne drobiazgi, bez wpływu na to, czy ocalą Williama, o które jednak Thomas mimo to dbał. Bardzo się przy tym starając, robił to dla nich.

Ponieważ mu zależało.

Za to mu dziękowała, w taki sposób, by po prostu musiał to poczuć, wchłonąć i przyjąć.

Kiedy wreszcie rzucił przez zęby: „Dość”, kciukiem złamał pieczęć jej warg i wyzwolił się z żaru ust, zakołysała się, podniosła płynnie, ujęła dłoń, którą ku niej wyciągnął, i dołączyła do niego w łóżku.

Doszli razem pośród żaru i namiętności, kiedy pożądanie płonęło miarowo, a głód nie był już tak naglący i niekontrolowany, choć pozostał niezachwianie głęboki, bezkresny, niebotyczny.

Pewni, spokojni, mknęli na falach przyjemności, dali im się porwać na szczyt rozkoszy i dalej w ekstazę.

W pożogę, która ich stopiła, roztrzaskała im zmysły, rozbiła na kawałki rzeczywistość, a później wykuła ich na nowo.

I zostawiła wirujących w pustce, aż kołysani na złotym morzu przygasającej rozkoszy wpłynęli do raju.

Mężczyzna i kobieta spleceni w objęciach, wyczerpani i zaspokojeni, zadowoleni, pogodzeni z tą chwilą.

*

Dotarli do Londynu wczesnym wieczorem. Dzięki pomyślnym wiatrom *Andover* wpłynął w cieśninę Solent i na wody Southampton wcześniej, niż zakładano. Na dalszą podróż Thomas wynajął czterokonny powóz i pokonali dystans w dobrym czasie.

Dni na morzu upłynęły im wygodnie i bez incydentów. Pepi zadowalała się zabawą lalkami w kajucie, podczas gdy Rose i Thomas, wolni od naglących trosk, relaksowali się, spacerując na świeżym powietrzu, rozmawiając i starając się jak najlepiej wykorzystać te chwile. Homer znalazł się w swoim żywiole. Za sprawą pełnych entuzjazmu pytań i uprzejmych manier szybko stał się ulubieńcem załogi; większą część rejsu spędził, poznając tajniki żeglugi nowoczesnym statkiem.

Ostatni odcinek podróży, cieśniną Solent i do Southampton, jedna z najruchliwszych tras żeglugowych na świecie, zafascynował wszystkich; było tu tyle statków do oglądania, tyle różnych typów żagli połyskiwało bielą na tle niebieskoszarego morza, mieniącego się srebrzyście o poranku.

Kiedy zeszli na ląd, żegnani ukłonami przez rozpromienionego kapitana, Thomas poprowadził ich do pobliskiego hotelu, ponownie z gatunku tych droższych. Zorganizowawszy powóz na podróż do Londynu, zaskoczył Rose, gdyż wynajął pokój, w którym zostawili bagaże, a następnie zabrał ją i dzieci na zakupy.

Jak wyjaśnił, ponieważ mieli zagłębić się w londyńskie towarzystwo, gdzie w pewnym momencie zechcą odzyskać prawdziwą tożsamość, potrzebowali ubrań, które podeprą owo roszczenie. Rose nie pomyślała o tej konieczności, on jednak okazał się przewidujący.

Teraz, w nowej, twarzowej ciemnobrązowej pelisie obszytej złotą wstążką, Rose przyglądała się fasadom domów przy Kensington High Street, a następnie spojrzała na drzewa Hyde Parku naprzeciw nich, widoczne przez okna po drugiej stronie powozu. Londyn. Dotarli tu bezpiecznie, wygodnie, nienękani żadnymi niebezpieczeństwami czy wyzwaniami.

Wszystko dzięki Thomasowi.

Zerknęła na niego; siedział obok niej, podobnie jak ona kołysany lekko w rytm jazdy. Również miał na sobie nowe ubranie, dobrze skrojony jasnoszary surdut, spodnie w ciemniejszym odcieniu oraz kamizelkę w srebrne i szare pasy.

Zapytany, powiedział Rose, że za pośrednictwem wysłanych z Falmouth listów zadbał o pokoje dla nich w jednym z londyńskich hoteli. Nie wspomniał, o który hotel chodzi ani gdzie on się mieści.

Ponieważ nie znała Londynu zbyt dobrze – spędziła tu zaledwie dwa sezony towarzyskie, kiedy to mieszkała w Seddington House w Mayfair – nie dopominała się o szczegóły. Po ostatnich miesiącach, a już zwłaszcza ostatnim tygodniu, ufała Thomasowi, że zorganizuje wszystko najlepiej jak można, pod każdym względem.

W stosownym czasie powóz skręcił w Park Lane, a później toczył się spokojniejszymi ulicami Mayfair. Przejechał niespiesznie północnym skrajem Grosvenor Square, skręcił w lewo w Duke Street, po czym zwolnił jeszcze bardziej i zatrzymał się przy krawężniku przed wielkimi, szklonymi podwójnymi drzwiami. Złote litery na szkle obwieszczały, że znaleźli się przed wejściem do hotelu Pevensey.

Hotel sprostał oczekiwaniom Rose. Stonowany elegancki wystrój, grube dywany na wypolerowanych podłogach i otulająca foyer cisza zaświadczały o elitaryzmie tego miejsca.

Trzymając Pepi i Homera przy sobie, Rose rozejrzała się, podczas gdy obok Thomas podpisał się w księdze hotelowej i od pełnego szacunku kierownika uzyskał klucz do zarezerwowanego dla nich apartamentu.

Zadowolony z poczynionych przez Draytona przygotowań, Thomas przyjął dwa oczekujące na niego listy. Odwrócił się od kontuaru, skinął głową bagażowym, którzy czekali, by zanieść do apartamentu nowe torby i pudła, po czym zagarnął Rose oraz dzieci i skierował ich ku schodom. Kierownik przekazał nadzór nad recepcją koledze i cicho podążył za bagażowymi.

Apartament znajdował się na pierwszym piętrze, od strony Duke Street. Thomas szybko omiótł wzrokiem kwaterę i oznajmił, że czuje się usatysfakcjonowany. Instruowani przez Rose, bagażowi rozmieścili torby we właściwych pokojach, a potem zarówno oni, jak i kierownik wycofali się z ukłonami.

Drzwi się zamknęły. Thomas spojrzał na Rose i uniósł brew.

Uśmiechnęła się, zdejmując nowe rękawiczki.

– Tak, nada się wyśmienicie.

Zawahał się, zerknął ku wejściu do mniejszej sypialni, w której zniknęli już Homer i Pepi, po czym spojrzał na Rose.

– Słyną z tego, że dbają o prywatność gości, co oznacza, że ty i dzieci powinniście być tu bezpieczni, w każdym razie na tyle, na ile to tylko możliwe. Zresztą wasze nazwiska nie widnieją w księdze hotelowej, zatem poza sytuacją, gdy ktoś rozpozna ciebie lub Homera, nie ma powodu, by ktokolwiek przyszedł was tu szukać.

Rose przytaknęła. Opadłszy na sofę, spojrzała znacząco na listy w jego ręku.

– Co zawierają?

Thomas usiadł obok niej, odłożył jeden list na bok i złamał pieczęć drugiego.

– Ten jest od Draytona, to on zarezerwował apartament. – Przebiegł wzrokiem treść. – Pisze, że zaczął badać finanse Richarda Percivala, lecz na razie nie odkrył niczego godnego uwagi. Jednakowoż, jak stwierdza, to dopiero pierwsze kroki.

Odłożył list i wziął drugi.

– Ten jest od Marwella, mojego prawnika – powiedział, czytając. Umilkł na chwilę. – Jeśli sobie przypominasz, poprosiłem go o opinię na temat Foleya.

Rose odwzajemniła jego przelotne spojrzenie i przytaknęła.

– Co pisze?

– Że Foley jest wiarygodny: nieugięty wyznawca bezwzględnie konserwatywnego podejścia do prawa. W ocenie Marwella Foley w pełni zasługuje na zaufanie.

Kiedy Thomas spojrzał na nią z uniesionymi brwiami, Rose się skrzywiła. Zastanawiała się chwilę, odtwarzając w myślach swe nieliczne spotkania z podstarzałym prawnikiem, lecz w końcu mimo wszystko pokręciła głową.

– Niech sobie będzie godny zaufania, ale to nie znaczy, że nie założy, iż każde słowo Richarda Percivala odpowiada prawdzie, a jakakolwiek sugestia, że Richard jest łajdakiem, musi być niedorzecznym wymysłem.

Thomas przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem skłonił głowę.

– Niestety, tutaj możesz mieć rację. Z mojego doświadczenia wynika, że łajdaków istotnie niekiedy reprezentują ludzie na wskroś prawi.

Uzmysłowiwszy sobie, że nawiązywał do swego dawnego ja, Rose uścisnęła jego dłoń.

Słysząc tupot stóp, oboje popatrzyli przed siebie, akurat gdy do saloniku wpadli Homer i Pepi.

– Czy jest już pora obiadu? – spytał Homer.

*

Hotel okazał się tak komfortowy, jak wyobrażała sobie Rose.

Dzieci miały osobne łóżka w mniejszej sypialni i podobnie jak na statku zasnęły kamiennym snem, ledwie wsunęły się pod przykrycia.

Rose zamknęła cicho drzwi, przecięła salonik i wraz z Thomasem udała się do większej sypialni.

Rozebrali się, on po jednej stronie łóżka, ona po drugiej. Włożyła koszulę nocną, podeszła do toaletki i wzięła szczotkę do włosów. Czesząc je, uśmiechała się do siebie; nadal na poły się spodziewała, że podłoga zakołysze jej się pod stopami.

W końcu odłożyła szczotkę, odwróciła się i zobaczyła, że Thomas leży już w łóżku, przykryty do połowy klatki piersiowej, z założonymi za głowę ramionami, i patrzy na nią ze spokojem, w lekkiej zadumie.

Uśmiechnęła się nieznacznie, przeszła do łóżka, zgasiła lampę na stoliku nocnym

i wślizgnęła się pod przykrycia.

Odwróciła się ku niemu. Rozplótł ramiona i otoczył ją nimi, kiedy mościła się przy nim. Uniosła ku niemu twarz, a on nakrył jej wargi swoimi, po czym zatopili się w nigdy niesłabnącej radości pocałunku… lecz tym razem utajony opór, który wyczuwała w nim od samego początku, okrzepł.

Zamanifestował się.

Podczas gdy ona naparłaby bliżej, on się cofnął – powstrzymał ją. Ich nogi splatały się ze sobą, ciała stykały, obejmowali się ramionami, a jednak natychmiast pojawiła się między nimi wolna przestrzeń.

Popatrzył jej w oczy; mimo mroku czuła ciężar tego spojrzenia. Zaczerpnął powietrza.

– Musimy… porozmawiać – rzekł cicho. Umilkł na chwilę, przyglądając jej się badawczo. – Pragnę cię, wiesz o tym. Ale… – Jego wzrok znieruchomiał. – Nie mogę zaofiarować ci żadnej przyszłości… żadnej pewności. – Odgarnął jej z policzka pasmo włosów; jego dłoń, palce zwlekały, otulając jej twarz. – Z chęcią obiecałbym ci gwiazdkę z nieba, wspólną przyszłość, wspólne życie… ale nie mogę. Po prostu nie mogę. Nie wiem, co uszykował dla mnie los… A jeśli zajdziesz w ciążę?

Coś w niej podskoczyło; jej serce napęczniało, choć zarazem wydawało się zmiażdżone… a potem wezbrały w niej emocje, determinacja i siła woli, i uspokoiły ją. Dały jej oparcie i ją wzmocniły. Patrząc mu w oczy, ujęła w dłonie jego twarz, tak by nie mógł umknąć wzrokiem.

– Zrozum jedno. – Mówiła wolno, a determinacja ujawniała się w jej tonie. – Nic mnie to nie obchodzi. –

Zrobiła przerwę, aby każde słowo dotarło do niego i weń wniknęło. – Interesuje mnie to, co zrodziło się między nami, my. – Zaczerpnęła powietrza i zmusiła się, by przyznać: – Nie, nie wiem, dokąd może nas to zaprowadzić, lecz z chęcią podążę naprzód i się dowiem… i jak najlepiej wykorzystam to, co nadejdzie. Jeśli zaś oznacza to, że w ostateczności się rozstaniemy… i żebyś mnie źle nie zrozumiał, będę walczyć przeciw temu do samego końca… ale jeśli zdarzy się tak, że nie będziemy mieć innego wyboru, ja zaś wyrokiem losu zostanę przy nadziei, z naszym wspólnym dzieckiem, wówczas aż do śmierci będę to dziecko kochać i traktować jak największy skarb.

Zamilkła na chwilę; jej słowa, wypowiedziane z takim przekonaniem, niemal rozbrzmiewały echem w ciemnościach. Nadal patrzyła mu oczy, starając się odgadnąć jego myśli.

– Mam dość pieniędzy, żebyś nie musiał się martwić – dodała. – Kiedy już odzyskam moją tożsamość, będę w stanie wieść więcej niż wygodne życie i troszczyć się o nasze ewentualne dziecko.

Nie próbował uciec spojrzeniem.

– Ale będziesz sama.

Odpowiedź nasunęła jej się od razu.

– Dopóki się nie zjawiłeś, zawsze byłam sama.

Thomas słyszał jej słowa, jak również wszystko, czego nie powiedziała. Jej pragnienie, jej determinację, by spędzić życie z nim, jeśli tylko okaże się to możliwe. Nie był temu przeciwny – skądże! Spędzić z nią resztę życia, zestarzeć się z nią – mieć z nią dzieci – to było aktualnie jego najbardziej utęsknione marzenie.

Marzenie, którego urzeczywistnienia nie dotrwa, był tego pewien. W taki czy inny sposób nie będzie mu dane poświęcić się jego realizacji.

Chyba to rozumiała; jak wiele razy wcześniej potrafiła wejrzeć w jego duszę głębiej niż

on sam.

Zmieniła pozycję, nadal patrząc mu w oczy, splotła się z nim palcami dłoni, ścisnęła mocno.

– Podaruj mi swoje dzisiaj. – Uniosła się, pochyliła nad nim, zaglądając mu w twarz, w oczy, i wyszeptała: – A jeśli los zabierze twoje jutro, przynajmniej będziemy mieli… to. – Zniżyła głowę i otarła się wargami o jego wargi, a potem zatopiła w pocałunku.

On zaś podążył za nią.

Trzymał ją, kochał, podążał za jej przewodnictwem, czerpiąc ze wspólnego dzisiaj, a jutro pozostawiając w rękach losu.

ROZDZIAŁ 9

Cztery dni później Thomas oparł się o płot kamienicy przy Albemarle Street i przyjrzał budynkowi po przeciwnej stronie ulicy, dwoje drzwi dalej.

Leniwie wywijając laską, jakby czekał na przyjaciela, ponownie przeanalizował wydarzenia ostatnich dni, czy raczej brak jakichkolwiek znaczących osiągnięć. Pomimo wysiłków Draytona żadne z jego ustaleń w kwestii finansów Richarda Percivala nie mogło zostać choćby w przybliżeniu zinterpretowane jako wystarczający motyw morderstwa. Thomas osobiście zdołał potwierdzić jedynie tyle, że gdy pytać w odpowiednich miejscach, nie stanowiło tajemnicy, iż Percival od lat z zaangażowaniem poszukuje bratanka.

To nie ulegało wątpliwości, co znaczyło, że zagrożenie życia Williama pozostaje jak najbardziej aktualne.

Thomas nie miał możliwości ustalić, kogo Richard Percival wynajął do polowania na chłopca; mógł naciskać jedynie do pewnego punktu, jeśli nie chciał zaalarmować tych, których szukał – a do tego akurat mu się nie spieszyło. Gdyby ktokolwiek nabrał na tyle podejrzeń, żeby śledzić Thomasa, w końcu trafiłby jego tropem do Williama. Naturalnie Thomas rutynowo upewniał się, czy nie jest śledzony, ale każdy popełnia błędy, on również.

Od strony prawnej także nie nastąpił postęp, mimo że Marwell trwał w gotowości, by spełnić każde życzenie Thomasa.

Thomas życzył sobie… żeby nie doszło do obecnej sytuacji, niemniej odkąd pogodził się z koniecznością przyjazdu do Londynu, podejrzewał, że takie posunięcie okaże się nieuniknione.

Odepchnął się od ogrodzenia, spojrzał w lewo i w prawo, po czym niespiesznie przeciął ulicę. Wspiął się po schodach domu z numerem dwadzieścia cztery, zatrzymał przed drzwiami, uspokoił umysł i pociągnął za sznur dzwonka.

Drzwi otworzył mu niewysoki, nieco pulchny – Thomas przemknął wzrokiem po stroju mężczyzny – nie kamerdyner, lecz majordomus. Mężczyzna popatrzył na przybysza z uprzejmym zapytaniem w oczach.

– Słucham pana?

– Czy zastałem pana Adaira?

Majordomus nie wahał się ani sekundy.

– Nie jestem pewien, proszę pana, ale mogę zapytać. Kogo mam zaanonsować?

Thomas z rozmysłem wybrał godzinę dziesiątą, najwcześniejszą dopuszczalną porę na kurtuazyjną wizytę, na tyle zarazem wczesną, by było mało prawdopodobne, że pan domu już gdzieś wyszedł. Sięgnąwszy do kieszeni, Thomas wyjął bilet wizytowy.

– Pan Adair będzie wiedział, kim jestem.

Majordomus wziął bilet; nieznacznie zmarszczył brwi, kiedy zauważył drugie nazwisko, nagryzmolone przez Thomasa w narożniku. Później jednak odstąpił, przytrzymując drzwi szeroko otwarte.

– Gdyby zechciał pan poczekać w holu, zapytam.

Odpowiedni bilet wizytowy zwykle wystarczył, żeby dostać się przynajmniej za próg. Skłoniwszy głowę, Thomas wszedł i stanął z boku eleganckiego pomieszczenia. Majordomus ukłonił się i oddalił, znikając w korytarzu prowadzącym do tylnej części domu.

Z dłońmi zaciśniętymi na rączce laski Thomas rozglądał się leniwie, odnotowując nie tylko elegancję wystroju, lecz także drobne akcenty, które bez wątpienia stanowiły wkład żony Adaira. Kiedy ich ścieżki przecięły się pięć lat temu, Adair, trzeci syn hrabiego Cothelstone'a, był ciągle kawalerem. Zdążył się jednak ożenić z Penelope Ashford, córką poprzedniego, a siostrą obecnego wicehrabiego Calvertona, poprzez małżeństwa dwojga rodzeństwa powiązaną z potężnym klanem Cynsterów.

Jednakże to nie towarzyskie powiązania Adaira sprowadziły Thomasa pod jego drzwi, lecz nietypowe przymierze z inspektorem Basilem Stokesem ze Scotland Yardu. Oprócz tego, że trzymał rękę na pulsie w sprawach finansowych, Thomas starał się pozostawać na bieżąco ze zmianami w życiu osób, które znał jako dawny on – żeby móc ich unikać, niemniej, jak w wielu innych przypadkach w tej sprawie, los odwrócił jego zamiar o sto osiemdziesiąt stopni.

Aby skutecznie zdemaskować Richarda Percivala i odsunąć zagrożenie od Williama, a tym samym wypełnić zadanie, dla którego los go oszczędził – zadanie, które wyłącznie Thomas mógł wykonać – potrzebował pomocy takiego rodzaju, do jakiej sam nie miał dostępu, natomiast Adair, jeśli wierzyć gazetom, i owszem.

Jeżeli Thomas się zastanawiał, czy Adair będzie go pamiętać, nagłe dudnienie kroków w korytarzu wystarczyło za odpowiedź – jednakże towarzyszące temu lżejsze, drobiące stąpnięcia go zaskoczyły.

Adair – starszy, odrobinę surowszy, zdecydowanie bardziej dojrzały niż dawniej, ale nadal jasnowłosy, wysoki i szczupły, w dużym stopniu taki, jakim Thomas go zapamiętał – ukazał się u wylotu korytarza z biletem wizytowym gościa w ręku.

Wpatrzył się w Thomasa z niedowierzaniem.

Z drugiej strony holu Thomas spokojnie odpowiedział na to wyzywające spojrzenie.

Adair zwolnił, na jego twarzy pojawiła się konfuzja. Zatrzymawszy się, spojrzał na bilet, a potem na gościa.

– Pan Thomas Glendower, jak mniemam? – spytał po chwili oszołomienia.

Swego czasu znali się z Adairem na tyle dobrze, by Thomas miał pewność, że mężczyzna go rozpozna. Ukłonił się najgłębiej, jak był w stanie, nie ryzykując utraty równowagi.

– W rzeczy samej.

Wraz z Adairem nadeszła ciemnowłosa dama drobnej postury. Przystanęła obok niego, mocno trzymając go za rękaw, jak wyczuwał Thomas, bardziej by zagwarantować, że mąż zabierze ją ze sobą, niż powodowana chęcią pohamowania go. Teraz przeniosła wzrok z Adaira na Thomasa, puściła małżonka i spokojnie podążyła naprzód.

– Dzień dobry, panie Glendower. – Wyciągnęła rękę. – Jestem panią Adair.

Thomas zerknął na Adaira, lecz ten ciągle wpatrywał się w niego jak oniemiały, nie tyle z zaskoczenia, ile dlatego, że myślał na pełnych obrotach, zbyt tym zaabsorbowany, by uczynić jakikolwiek gest w stronę gościa. Zatem Thomas spojrzał w ciemne oczy Penelope Adair, ujął jej drobną dłoń i ukłonił się nad nią.

– Bardzo mi miło, pani Adair. Niemniej przybyłem zobaczyć się z pani mężem.

Penelope Adair się uśmiechnęła – i Thomas zdał sobie sprawę, że źle ją ocenił. Za tym

uśmiechem kryła się stal.

– W istocie. Wnoszę, że życzy pan sobie skonsultować się z moim mężem, a w takim wypadku czeka pana rozmowa z nami obojgiem. – Śmiało ujęła Thomasa pod ramię i ze stosownym gestem skierowała ku drzwiom po jego lewej stronie. – Przejdźmy do salonu i usiądźmy wygodnie, a wtedy wszystko nam pan opowie. Następnie zdecydujemy, czy zdołamy panu pomóc.

Thomas potulnie przyjął reprymendę, dał się zaprowadzić do salonu i zainstalować w fotelu obok kominka.

Adair zamarudził w holu, żeby pomówić z majordomusem; Thomas nie musiał słyszeć słów, by odgadnąć, jak brzmiały instrukcje pana domu. Potem Adair podążył za nimi do pokoju, nadal z nieznacznym marsem na czole – i nic dziwnego. Człowiek, którego od dawna uważał za martwego, pojawił się właśnie u niego w holu, może i okaleczony, lecz jak najbardziej żywy.

Kiedy jego żona z szelestem modnych spódnic usiadła na sofie, Adair zagłębił się w fotelu obok niej, naprzeciw Thomasa. Popukał krawędzią jego biletu wizytowego o podłokietnik.

– Co pan tutaj robi? – zapytał po prostu.

Thomas wytrzymał nader niebieskie spojrzenie Adaira.

– Przyszedłem zdać się na pańską łaskę.

Mars ujawnił się na twarzy Adaira.

– Dlaczego?

– Ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy. Nie dla siebie, lecz dla trzech osób, które… są mi drogie. – Przyznanie się do słabości nie przyszło mu łatwo, wyczuwał jednak, że nie byłoby dobrym pomysłem ukrywać choćby tylko tyle.

Penelope Adair nachyliła się do przodu, spoglądając przenikliwie.

– Proszę nam opowiedzieć.

Thomas przypatrywał się jej przez chwilę, a później uporządkował myśli i zaczął.

– Dwa miesiące temu, po pięciu latach spędzonych w klasztorze na wybrzeżu zatoki Bridgewater, gdzie leczyłem się z ran – gestem omiótł swoją twarz, słabszą stronę tułowia i nogę – wróciłem do domu, który posiadałem jako Thomas Glendower, niewielkiego dworu w Breage, w Kornwalii, nieco na zachód od Helston. Dawno temu umieściłem tam w charakterze dozorców starsze małżeństwo, jednak podczas mojej nieobecności ci ludzie przeszli na emeryturę, tak więc gdy dotarłem na miejsce, odkryłem, że mam nową gospodynię, wdowę z dwojgiem dzieci. W trakcie kolejnych mniej więcej sześciu tygodni dowiedziałem się, że wdowa nie jest tak naprawdę wdową, lecz damą, która zwie się Rosalind Heffernan, pasierbicą nieżyjącego Roberta Percivala, wicehrabiego Seddington, ojca wspomnianych dzieci, przyrodniego rodzeństwa Rosalind: dziewięcioletniego chłopca, Williama Percivala, czwartego wicehrabiego Seddingtona, oraz jego sześcioletniej siostry Alice.

– Fascynujące. – Penelope Adair wyglądała na zaintrygowaną. – Dlaczego ukrywali się w Kornwalii?

Thomas skłonił głowę w jej kierunku; rzeczywiście, było to najistotniejsze pytanie.

– Cztery lata temu Robert Percival i jego żona Corinne, która od jakiegoś czasu niedomagała, wyruszyli na całodniową wycieczkę z Seddington Grange, usytuowanego, jak mi mówiono, w pobliżu Market Rasen w Lincolnshire. Wygląda na to, że pojechali do Grimsby, gdzie Percival, zapalony żeglarz, trzymał swój jacht. Nazajutrz oboje znaleziono utopionych, ich ciała zaplątały się w żagle jachtu, który przewrócił się do góry

dnem niedaleko Grimsby. Zdarzenie zostało uznane za nieszczęśliwy wypadek. – Zrobił krótką przerwę. – Rose… Rosalind… jest o dwadzieścia lat młodsza od Williama, a ponieważ jej matka niedomagała po narodzinach chłopca, potem zaś jeszcze bardziej po narodzinach Alice, Rose w znacznym zakresie przejęła codzienną opiekę nad dziećmi. Kiedy nadeszła wieść o śmierci Percivalów, Rose nie tylko musiała borykać się z własnym smutkiem, ale także pocieszać rodzeństwo. Odbył się pogrzeb i wieczorem tego samego dnia przypadkiem podsłuchała, jak Richard Percival, młodszy brat Roberta, przechwala się przed jednym z przyjaciół, jak zaaranżował śmierć Roberta i Corinne oraz planuje pozbyć się Williama, aby odziedziczyć majątek ziemski.

– No, no! – Penelope opadła na oparcie sofy. Zerknęła na Adaira, który słuchał uważnie, z kamienną twarzą. – Ten przypadek z pewnością zasługuje na śledztwo.

Adair nadal ze spokojem patrzył na Thomasa.

– Co zrobiła Rose?

– W posiadłości nie mieszkał w tamtym czasie żaden członek rodziny Percivalów, nikt, kogo Rose znałaby na tyle, by mu zaufać. Jako podówczas dwudziestoczteroletnia panna, w dodatku spoza rodu, wątpiła, czy zdoła przekonać rodzinnego prawnika, a tym bardziej, czy ktokolwiek da wiarę jej słowu w opozycji do słowa Richarda Percivala, którego testament brata ustanowił głównym opiekunem Williama. Krótko mówiąc, obawiała się, że straci Williama i Alice… dzieci, które przyrzekła swojej matce otaczać troską i chronić… I to straci je na rzecz zabójcy ich rodziców. Co więcej, wyznanie Percivala wyjaśniało pewną niespójność, jaką Rose dostrzegła w orzeczeniu, że śmierć nastąpiła przez utonięcie w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Jej matka, Corinne, cierpiała na wyjątkowo silną chorobę morską, wystarczyło, że postawiła stopę na pokładzie jachtu, a natychmiast dostawała torsji.

– Skoro więc Corinne już nie czuła się zbyt dobrze – powiedziała Penelope – dlaczegóż jej mąż miałby choć sugerować wycieczkę na jachcie?

– No właśnie. – Thomas umilkł na chwilę, po czym spojrzał w intensywnie niebieskie oczy Adaira. – Rose zabrała dzieci i uciekła. Tej samej nocy. Miała dość gotówki, żeby przetrwać przez jakiś czas, ale wiedziała, że Richard będzie ich szukał. Co też robił. Jednakowoż unikała okolic, które sprawdziłby w pierwszej kolejności. Z czasem dotarła do Kornwalii i tam przypadkiem znalazła posadę jako pomoc przy moich starzejących się dozorcach. Po dwóch latach przeszli na emeryturę, a ona pozostała we dworze jako gospodyni. Dwór okazał się idealnym schronieniem: stoi na uboczu, ponieważ zaś starszemu małżeństwu dowożono zaopatrzenie, Rose, a tym bardziej dzieci, nie musieli pokazywać się w okolicznych wsiach. Miejscowi wiedzieli, że mieszkają tam we troje, ale w tej części kraju każdy pilnuje własnego nosa.

– Idealne schronienie, dopóki nie przybył pan, właściciel.

Thomas odwzajemnił spojrzenie Adaira.

– Nawet wtedy – rzekł – fikcja została utrzymana i byli bezpieczni… dopóki nie pojawili się ludzie Richarda Percivala, zadając pytania.

– Znalazł ich? – Penelope się wyprostowała.

– Nie, jeszcze nie. Wygląda na to, że korzysta z usług wywiadowców. – Thomas spojrzał na Adaira. – Zna pan ten typ. – Otrzymawszy potwierdzenie, kontynuował: – Wynajmowałem takich ludzi w przeszłości i w tych dwóch, którzy pojawili się we dworze, rozpoznałem członków bractwa. Kiedy pozbyłem się ich dzięki wiarygodnemu kłamstwu pozwalającemu przynajmniej zyskać na czasie… po tym zdarzeniu Rose ze wszystkiego mi się zwierzyła. Następnie wykorzystałem moje kontakty tutaj,

w Londynie, żeby zweryfikować sporą część jej historii. Śmierć jej rodziców przebiegła tak, jak to opisała. Ona i dzieci rzeczywiście zniknęli w noc pogrzebu. Percival zatrudnił wywiadowców i jest głównym opiekunem Williama, dzieląc się tym obowiązkiem z bratem dziadka chłopca, człowiekiem w podeszłym już wieku i ponoć nieudolnym. – Thomas umilkł na chwilę. – Zacząłem badać finanse Percivala, szukając motywu, który wyjaśniałby, dlaczego musi odziedziczyć posiadłość. Wtedy jednak do Helston przybyli kolejni wywiadowcy, tym razem około dwunastu, w dodatku przywożąc ze sobą osobistego lokaja Roberta Percivala, człowieka według Rose zdolnego rozpoznać zarówno ją, jak i Williama.

– Łaskawe nieba! – Penelope nieomal podskoczyła. – Jak uciekliście? Bo domyślam się, że wam się udało?

Thomas skłonił głowę.

– Zobaczyłem wywiadowców, zanim oni spostrzegli mnie, dowiedziałem się też, że mamy dobę zapasu, gdyż tamtego pierwszego dnia szukali w innej okolicy. Zgodziliśmy się z Rose, że musimy przyjechać do Londynu, tutaj zmierzyć się z wyzwaniem i rozwiązać problem… że musimy zdemaskować intrygę Richarda Percivala, wykazać, iż zamordował Roberta i Corinne Percivalów, i w ten sposób usunąć zagrożenie dla życia Williama.

– No, no, morderstwo i groźba śmierci?

Thomas spojrzał w stronę otwartych teraz drzwi, na potężnego, ciemnowłosego mężczyznę o posępnej twarzy, który swą sylwetką wypełniał ościeżnicę. Nie miał dotąd okazji poznać Stokesa. Odruchowo sięgnął po laskę, żeby wstać, ale inspektor machnięciem ręki dał mu znak, by pozostał na miejscu. Jego ciemnoszare oczy, chłodne, o stalowym wyrazie, przyglądały się bacznie Thomasowi.

Następnie, z miną całkowicie beznamiętną, Stokes skłonił głowę.

– Panie Glendower – podszedł bliżej – jak sądzę, morderstwo i groźby to moja domena. Wygląda na to, że potrzebuje pan moich usług.

Thomas przyglądał się, jak Stokes skinieniem głowy wita się z Penelope i Adairem, a następnie, ze swobodą wynikłą z długiej znajomości, zasiada na sofie obok pani domu. Ani Adair, ani Stokes nie uścisnęli dłoni Thomasowi, ale też nie oczekiwał tego.

– Zanim podejmie pan opowieść – rzekł Adair – proszę pozwolić, że wprowadzę pana Stokesa w szczegóły do tego momentu.

Thomas skłonił głowę i oparł się wygodnie, słuchając, kiedy Adair zwięźle relacjonował ujawnione dotąd przezeń informacje.

W tym czasie Penelope wstała i podeszła pociągnąć za sznur dzwonka, gdy zaś pojawił się majordomus, poprosiła o herbatę.

Minęły lata, odkąd Thomas po raz ostatni popijał herbatę w wytwornym salonie; przyjąwszy filiżankę od Penelope, odkrył, że czuje się cynicznie ubawiony, przede wszystkim samym sobą. Niemniej w taki właśnie sposób załatwiano sprawy w otoczeniu ludzi pokroju Adaira – z należytą ogładą.

Na zakończenie rzeczowej relacji Adair popatrzył na Thomasa z uniesioną brwią, ewidentnie pytając, czy nie pominął niczego ważnego. Thomas skinął głową.

– Tak, to wszystko. – Przeniósł wzrok na Stokesa. – Kiedy podjęliśmy decyzję o wyjeździe do Londynu i ściganiu Percivala, Rose i ja zabezpieczyliśmy dwór, zabraliśmy dzieci i niewiele po północy wyruszyliśmy do Falmouth, gdzie zorganizowałem dla nas miejsca na statku odchodzącym tego samego popołudnia do Southampton. Zaokrętowaliśmy się i po spokojnym rejsie, a następnie podróży powozem,

kilka dni temu dotarliśmy do Londynu.

– Czyli Percival nie ma pojęcia, że pan, Rose i dzieci jesteście w mieście? – spytał Stokes.

Thomas się skrzywił.

– Tego nie mogę być pewien, ale od naszego przybycia do Falmouth budowałem obraz całkowicie nieprzystający do opisu poszukiwanej przez wywiadowców grupy. – Popatrzył inspektorowi w oczy.

– Dość dobrze radzę sobie z ukrywaniem tożsamości… Wiem, jak stwarzać pozory.

Stokes prychnął. Przez chwilę mierzył Thomasa wzrokiem.

– Dlaczego, konkretnie, pan tu przyszedł? – spytał, przekrzywiając głowę. – Do Adaira.

Thomas zawahał się, niepewny, po jak cienkim lodzie stąpa. Niemniej zdecydował się już na całkowitą szczerość; co dziwne, ostatnio w relacjach z większością ludzi takie podejście zdawało się przynosić najlepsze rezultaty.

– Ponieważ uzmysłowiłem sobie, że bez względu na to, co odkryję na temat Percivala, jego motywów, dotychczasowych działań i zamiarów wobec Williama, z powodu mojej przeszłości nie będę w stanie zrobić z tych informacji stosownego użytku, zdemaskować Percivala, tak by dłużej nie zagrażał Rose i dzieciom. –

Spokojnie patrzył w stalowe oczy Stokesa. – To mój cel: zagwarantować Rose i dzieciom bezpieczeństwo. Aby ten cel osiągnąć… jestem gotów oddać się w pańskie ręce, w ręce sądu, jako człowiek, którym byłem dawniej. – Umilkł na chwilę. – Jedyne, o co proszę, to żeby wstrzymał się pan z aresztowaniem mnie do czasu, aż zagrożenie ze strony Percivala zniknie i Rose oraz dzieci będą bezpieczni.

Stokes wpatrywał się w mężczyznę, którego nigdy nie spodziewał się ujrzeć. Myśli wirowały mu w głowie, żonglował możliwościami, sortował informacje, bardzo bliski – przynajmniej na pozór – kompletnego pomieszania. Zerknął z ukosa na Adaira i odkrył, że przyjaciel czeka, by pochwycić jego spojrzenie. Coś takiego, doprawdy!

To właśnie Adair i Stokes poszukiwali ciała Malcolma Sinclaira, to oni znaleźli list pozostawiony przezeń w wynajętym domu, oni skorzystali z uszykowanego dla nich tropu i trafili do mordercy, którego Malcolm związał i zamknął w piwnicy, oni następnie podążyli za jego wskazówkami do miejscowego prawnika w Somerset, któremu powierzył napisany przez siebie testament… całe lata temu.

Stokes i Adair znali treść owego testamentu. Adair walnie przyczynił się do zagwarantowania, że jego postanowienia zostaną wcielone w życie. Aby tego dokonać, musiał zwerbować do sprawy kilku znajomych arystokratów, a oni – co do jednego – pomogli. Ponieważ tak należało postąpić.

Z kolei Stokes wywiązał się ze swojego zadania, zbierając dowody na poparcie oficjalnego oświadczenia, że żaden człowiek nie przeżyłby tego, co zaplanował dla siebie Sinclair; od oświadczenia Stokesa w tej sprawie – że Malcolm Sinclair bezsprzecznie nie żyje – zależało urzędowe zatwierdzenie testamentu.

Zarówno Stokes, jak i Adair – a także Penelope, która poznała później szczegóły – wiedzieli, jak dalece Malcolm Sinclair zadbał o to, by w pełni, a wręcz z nawiązką zapłacić za grzechy, które… popełnił w sposób niejako niezamierzony.

Popatrzywszy znów na tego człowieka, jeśli nawet nie w doskonałym zdrowiu, to w każdym razie w miarę sprawnego i niewątpliwie oddychającego, usadowionego w fotelu naprzeciw, Stokes oparł się impulsowi, by przeciągnąć dłońmi po twarzy. Ostatnim, czego potrzebował, była próba aresztowania trupa… nie widział jednak

powodu, by już teraz tłumaczyć to Thomasowi Glendowerowi.

Wziął głęboki oddech i skinął głową.

– Dobrze. Odłóżmy kwestię pańskiego aresztowania na później, a skupmy się na Richardzie Percivalu i jego poczynaniach. W pierwszej kolejności będę musiał przesłuchać tę Rose… pannę Heffernan. Gdzie zatem ukrył pan ją i dzieci?

– W hotelu Pevensey – odparł bez wahania Thomas. – Apartament numer pięć.

Stokes uniósł brwi.

Adair pokiwał głową.

– Dobry wybór. – Kiedy Stokes na niego zerknął, dodał: – Będą tam tak bezpieczni, jak to tylko możliwe. W tym przypadku dyskrecja przekłada się na ochronę.

– Aha. – Przytaknąwszy na znak zrozumienia, Stokes skoncentrował się znów na Thomasie. – Kiedy będę miał już zeznanie panny Heffernan potwierdzające szczegóły, które nam pan przekazał, zyskam solidną podstawę do wszczęcia śledztwa. – Umilkł na chwilę. – Wnoszę, że jak dotąd nie dowiedział się pan niczego, co pozwoliłoby się domyślać, czemu Percival musi dziedziczyć?

Thomas pokręcił głową.

– To główny punkt na mojej liście rzeczy do ustalenia.

– Może będziemy w stanie wspomóc pana na tym polu. – Adair wymienił spojrzenia z żoną, po czym wyjaśnił: – Montague z firmy Montague i Synowie czasami współpracuje z nami przy sprawach, w których jego wiedza specjalistyczna może okazać się przydatna.

– Montague. – Thomas uniósł brwi. – Ten, który prowadzi interesy Cynsterów?

Adair przytaknął.

– Ten sam. Jego również interesują śledztwa.

– Podobnie jak jego żonę, Violet. – Kiedy Thomas spojrzał na nią zaskoczony, Penelope obdarowała go kolejnym ze swych znamionujących żelazną wolę uśmiechów. – My wszystkie… to znaczy żona Stokesa, Griselda, Violet i ja… – Beztrosko machnęła ręką. – Angażujemy się w śledztwa, kiedy zachodzi taka konieczność. Na przykład dziś po południu odwiedzę Rose i dzieci, żeby jej przekazać, iż może zwrócić się do mnie lub którejś z pozostałych, jeśli tylko będzie potrzebowała pomocy w sprawach bardziej domowej natury.

Thomas przemyślał tę zaskakującą informację, po czym skłonił głowę.

– Dziękuję.

W nagrodę otrzymał radosny uśmiech.

– Zleciłem już – kontynuował, przenosząc wzrok na Adaira – zbadanie finansów Percivala mojemu przedstawicielowi biznesowemu, Draytonowi. Na razie nie dotarł daleko, ale jestem pewien, że Montague ma… szersze pole manewru. Poinstruuję Draytona, żeby współpracował z firmą Montague'a. – Umilkł na chwilę. – Mało prawdopodobne, by zasób wiedzy Montague'a całkowicie obejmował kontakty Draytona, jeśli więc będą pracować razem, powinniśmy zyskać większą szansę na odkrycie ewentualnych wskazówek w finansach Percivala.

Adair przytaknął. Spojrzał na Stokesa.

– W tego rodzaju sprawie niemal na pewno to tutaj należy szukać motywu. Główną korzyścią, jaką Percival uzyska z dziedziczenia, jest dostęp do pieniędzy, bezpośrednio i poprzez kredyt pod hipotekę posiadłości.

– Jedyna inna korzyść płynęłaby z samego tytułu. – Penelope zmarszczyła brwi. – A jedyny powód, który w tym wypadku grałby rolę, to jego chęć ożenku, o tym wszakże

nic nie słyszałam. – Popatrzyła na Stokesa, a potem na Thomasa. – Ale zapytam osoby, które z całą pewnością będą wiedzieć.

Stokes skinął głową.

– Zrób tak, najlepiej wyeliminować ten motyw, jeśli to tylko możliwe. Tymczasem chyba mogę oddelegować paru konstabli i sierżanta, żeby mieli Richarda Percivala na oku. – Spojrzał na Thomasa, unosząc brew. – Orientuje się pan, gdzie on mieszka?

Thomas zaprzeczył.

Stokes wzruszył ramionami.

– Nieważne. To będzie pierwsze zadanie sierżanta: ustalić adres.

Adair mu potakiwał.

– Ponieważ wygląda na to, że William stoi na drodze Richardowi Percivalowi, który ewidentnie prze do dziedziczenia. Obserwacja Percivala może zaprocentować na kilka różnych sposobów. – Popatrzył na Stokesa. – Może się dowiemy, z usług której agencji detektywistycznej korzysta, dzięki czemu przynajmniej zyskamy kolejnych świadków jego działań przeciw Rose i Williamowi.

– Istotnie. Świadkowie tego, że aktywnie wprowadzał zamiar w życie, mogą okazać się kluczowi. – Stokes zmarszczył brwi, po czym dodał: – Poza tym z natychmiastowych działań przychodzi mi do głowy jedynie sprawdzenie, czy uda nam się przesłuchać prawnika Percivalów. – Spojrzał na Thomasa, unosząc brew.

– Foleya – podpowiedział Thomas. – Z Gray's Inn. Rose mu nie ufa, ale w zasadzie go nie zna. Mój prawnik zapewnia, że Foley jest wiarygodny, choć opisuje go jako sztywnego konserwatystę, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego Rose odbiera go tak, a nie inaczej.

Stokes przytaknął.

– Będę musiał wystąpić do sędziego o nakaz, żeby nakłonić Foleya do rozmowy na temat interesów jego klienta, ale kiedy już przesłucham Rose, powinienem mieć ku temu dostateczne podstawy.

– Przejdę się z tobą do Foleya – wtrącił Adair. – Pomijając kwestię ewentualnych dodatkowych pytań, sama moja obecność może pomóc.

Stokes sapnął na znak zgody.

Thomas odstawił filiżankę ze spodkiem na stolik obok fotela.

– Jedna sprawa. Wiem, że to przedwczesne, niemniej nawet jeśli wykażemy, że Richard Percival tropił Williama, że wisi nad nim finansowy przymus, czyli ma powód życzyć sobie śmierci chłopca, żeby po nim dziedziczyć, a ponadto dysponujemy zeznaniem Rose na temat tego, iż cztery lata temu słyszała go opowiadającego, jak zorganizował morderstwo swego brata i szwagierki… – Thomas powiódł wzrokiem po obecnych. – Czy tyle wystarczy?

Kiedy nikt nie pospieszył z odpowiedzią, podjął:

– Nawet jeśli przedstawimy motyw, to poza zeznaniem Rose nie mamy nic, co definitywnie dowodziłoby, że Richard Percival jest winien jakiegokolwiek przestępstwa. A zeznanie Rose można łatwo podważyć: dwudziestoczteroletnia panna, oszalała z rozpaczy, sądzi, że słyszała… słowa, co do których Percival będzie się upierał, że słyszeć ich nie mogła. Jaki sędzia czy sąd skaże na takiej podstawie?

Stokes się skrzywił.

– Będziemy musieli poszukać w Lincolnshire świadków, którzy mogą go powiązać z morderstwami na jachcie.

– Jeśli byli jacyś świadkowie – rzekł cicho Thomas.

Adair wypuścił powietrze z płuc.

– Niestety, masz rację. Cztery lata po zdarzeniu… to bardzo zwietrzały trop.

– Ale – powiedziała Penelope – jeśli zapomnimy na chwilę o wcześniejszym morderstwie, wówczas krytyczną kwestią, z którą musimy sobie poradzić, jest to, że William nadal stoi Richardowi na drodze do realizacji jego pragnienia. – Popatrzyła na Thomasa. – Aktualnie to chłopiec stanowi cel Richarda, co oznacza, że w ostateczności moglibyśmy wykorzystać Williama jako przynętę, by przygotować pułapkę. – Jej oczy się zaokrągliły. – W rzeczy samej być może w ten sposób najszybciej zgromadzimy niezbite dowody przeciw Richardowi Percivalowi.

– Nie – oświadczył zdecydowanie Thomas. – Nigdy bym nie pozwolił, żeby William posłużył jako przynęta. Jest inteligentny i pojętny, ale ma tylko dziewięć lat.

Ku jego zaskoczeniu, Penelope obdarzyła go czule protekcjonalnym uśmiechem.

– Oczywiście, że nie. Nie mielibyśmy tam Williama we własnej osobie. Jedynie stworzylibyśmy pozory, że chłopiec, cel Percivala, znajduje się na wyciągnięcie ręki. – Spojrzała na Stokesa. – Przypuszczam, że tyle by wystarczyło.

Inspektor odchrząknął.

– Nie będzie to aż tak proste, ale… – Skłonił głowę. – Muszę się zgodzić, że kiedy zgromadzimy już wszystkie dostępne informacje, może do tego dojść. – Popatrzył na Thomasa. – Jeśli Percival rzeczywiście szuka tak wytrwale, wówczas na wieść, że Williama widziano w jakimś konkretnym miejscu, ani chybi zaraz tam popędzi.

Adair się skrzywił.

– To swego rodzaju prowokacja… nigdy nie najlepsza metoda… ale zgadzam się. Możemy nie mieć wyboru. Nie powinniśmy odrzucać tego rozwiązania. – Popatrzył na Thomasa. – Jeśli odpowiednio rzecz zainscenizujemy, może uda nam się wykazać zamysł Percivala na tyle jasno, że żaden sędzia, dysponujący także innymi dowodami, nie przymknie oka na sprawę.

Thomas nie krył niechęci do pomysłu, w końcu jednak z ociąganiem skinął głową.

– Dobrze. Zatem mamy naszkicowany plan działania. Na początek zgromadzimy wszystkie informacje na temat Percivala i jego sytuacji, do jakich zdołamy dotrzeć.

Chwycił laskę i wstał. Pozostali także się podnieśli. Thomas popatrzył im w oczy, a później skłonił głowę.

– Dziękuję.

Odwzajemnili ów gest, po czym cała grupa przeszła do holu.

Ustaliwszy, o której godzinie jego troje rozmówców zajrzy do hotelu, żeby poznać Rose i dzieci, Thomas właśnie miał się odwrócić, kiedy – ku jego wielkiemu zaskoczeniu – Stokes wyciągnął dłoń.

– Do zobaczenia – powiedział.

Ukrywając zdumienie, Thomas uścisnął dłoń inspektora.

Potem również Adair wyciągnął do niego dłoń.

– Oprócz Stokesa przyjdziemy Penelope i ja, a także Montague, jeśli znajdzie czas… Proszę ostrzec pannę Heffernan i uspokoić ją, że nie gryziemy.

– Oczywiście, że nie. – Penelope zgromiła męża wzrokiem, a następnie z promiennym uśmiechem odwróciła się do Thomasa.

Kiedy Glendower nader poprawnie chwycił jej palce, Penelope spostrzegła, że Stokes bierze od Mostyna swój kapelusz.

– Stokes, jeśli możesz chwilkę poczekać, chciałabym, żebyś wziął coś dla Griseldy.

Stokes skinął głową i został.

Penelope obdarzyła Thomasa Glendowera uśmiechem szczerej radości.

– Miłego dnia, panie Glendower, i do zobaczenia po południu.

Z ostatnim, pełnym wdzięku ukłonem Glendower odwrócił się do drzwi i, skinąwszy uprzejmie głową Mostynowi, który mu je otworzył, pokuśtykał po schodach w dół.

Penelope odprowadzała gościa wzrokiem z niegasnącym uśmiechem na ustach, a potem zasygnalizowała Mostynowi, żeby zamknął drzwi.

Przez chwilę stała i delektowała się wzbierającym entuzjazmem w związku z nową, nader fascynującą sprawą.

– Co mam wziąć dla Griseldy? – zapytał Stokes.

Penelope zamrugała i wróciła do rzeczywistości.

– Och, skłamałam. Chciałam cię zatrzymać, aby się upewnić, że zarówno ty, jak i Barnaby rozumiecie, kim jest pan Thomas Glendower.

Oparłszy się plecami o ościeżnicę drzwi do salonu, z dłońmi w kieszeniach spodni, Barnaby uśmiechnął się do niej leniwie.

– Zatem… kim jest?

– Jest… – Po sekundzie Penelope zamachała rękami. – Ledwie wiem, od czego zacząć. Jest znany jako dżentelmen niezwykle bogaty, który jednak stroni od świata: nigdy nie pokazuje się publicznie. Oczywiście teraz znamy powód. Niemniej utworzył fundusz na rzecz naszego przytułku dla sierot i zarządza nim… To nasz największy fundusz, przynoszący jedną trzecią naszych dochodów. Tam właśnie po raz pierwszy usłyszałam to nazwisko. Później dowiedziałam się, że podobnie postąpił w przypadku tego nowego szpitala na południe od rzeki, a następnie odkryłam, że ufundował… – Wyliczała kolejne organizacje dobroczynne, fundacje i instytucje na palcach jednej ręki, potem drugiej, nim znów wróciła do pierwszej, by zakończyć słowami: – I jest największym indywidualnym darczyńcą British Museum.

Po chwili pełnej oszołomienia ciszy Stokes popatrzył na Barnaby’ego.

– Czyli chyba wiemy, jak spędzał czas przez ostatnie pięć lat.

Już bez protekcjonalnego uśmiechu Barnaby odepchnął się od ościeżnicy.

– Tak czy owak, to imponujące. – Zawahał się, po czym uniósł brew. – Ciekawe, co Montague sądzi o panu Thomasie Glendowerze.

– Dowiesz się dziś wieczorem – oznajmiła Penelope. – Obiad tutaj o siódmej, panowie. Wyślę wiadomość Griseldzie i Violet, jak również Montague’owi, więc się nie spóźnijcie.

*

O trzeciej tego popołudnia w odpowiedzi na uprzejme pukanie Thomas otworzył drzwi apartamentu i odstąpił, żeby wpuścić do środka Penelope, Adaira, Stokesa oraz konserwatywnie ubranego mężczyznę, którego uznał za wielkiego Montague’a.

Opowiedział Rose o swym wcześniejszym spotkaniu i uprzedził o wizycie. Czekała, siedząc na jednej z dwóch sof; teraz podniosła się i nerwowo wygładziła spódnice.

Penelope Adair z – najwyraźniej typową dla niej – otwartością podeszła do Rose, uśmiechając się ciepło i szczerze.

– Ogromnie miło mi panią poznać, panno Heffernan. Chciałabym też powiedzieć, że jestem bardzo zobowiązana pani i panu Glendowerowi – gestem wskazała Thomasa – za tak intrygującą sprawę. Jeśli o mnie chodzi, cieszy mnie takie urozmaicenie.

Rose przelotnie spojrzała w oczy stojącego po drugiej stronie pokoju Thomasa, po czym uścisnęła palce Penelope.

– Proszę mi mówić Rose – powiedziała cicho.

Uśmiech Penelope stał się szerszy.

– Jak bez wątpienia już odgadłaś, ja jestem Penelope Adair.

Thomas zamknął drzwi, ale nie musiał dokonywać pozostałych prezentacji. Penelope beztrosko go w tym wyręczyła, a potem spojrzała na dzieci, które obserwowały scenę z krzeseł przy stole w dalekim kącie pokoju.

– A to będą…

Wreszcie Penelope przystopowała i spojrzała na Thomasa.

Podporządkował się kornie.

– Pozwolą państwo, że przedstawię. – Zachęcone jego skinieniem, dzieci podeszły, nie kryjąc ciekawości. – Panna Pepi i panicz Homer.

Pepi dygnęła chybotliwie. Ukłon Homera był pewniejszy.

Penelope opromieniła oboje uśmiechem.

– Odrabiacie lekcje?

– Tak, proszę pani – odparli chórem.

– W istocie. – Rose skierowała dzieci z powrotem do książek. – Obiecaliśmy z Thomasem, że zagramy z nimi w jakąś grę, kiedy skończą.

Gdy przypomniano im o nagrodzie, dzieci wycofały się i ponownie usadowiły przy stole.

Odwróciwszy się do Rose, Penelope uniosła brew.

Rose zaprosiła ją gestem, by usiadła na sofie, po czym do niej dołączyła.

– Sądzimy – wyjaśniła cicho, podczas gdy Penelope odkładała na bok swój czepek i torebkę, a dżentelmeni lokowali się w fotelach oraz na drugiej sofie – że lepiej, by na razie pozostali przy pseudonimach, które wybrali sobie cztery lata temu, kiedy opuściliśmy Seddington Grange. – Popatrzyła na Stokesa. – Używanie prawdziwych imion byłoby ryzykowne, a oni polubili swoje pseudonimy.

Wyciągając z kieszeni płaszcza czarny notes, Stokes przytaknął.

– Powrót do dawnych imion nie przyniósłby im na razie żadnej korzyści. – Szybko omiótł wzrokiem obecnych, po czym spojrzał na Rose. – Jeśli nie ma pani nic przeciw, panno Heffernan…

– Proszę. Po prostu Rose. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Ja także lepiej się czuję z pseudonimem.

Stokes swobodnie skinął głową, wyraz jego oczu uspokajał.

– Rose. Chciałbym omówić szczegóły zdarzeń w Lincolnshire przed czterema laty, pomogłoby jednak, gdybyśmy mogli zacząć wcześniej: od ślubu pani matki z Robertem Percivalem, kiedy zamieszkała pani w Seddington Grange.

Rose przelotnie uniosła brwi. Rozumiała, dlaczego Thomas zdecydował się na taki krok, a jeśli nawet nie ogarniała jeszcze w pełni wszystkich jego następstw, doceniała korzyść w postaci wsparcia ze strony Stokesa – oraz Adaira i Montague’a. Skinęła głową i sięgnęła myślami w przeszłość.

– Miałam piętnaście lat, kiedy mój ojciec zachorował i umarł, a dziewiętnaście, kiedy matka ponownie wyszła za mąż. Robert zalecał się do niej przez kilka miesięcy, przy czym czułam się dobrze w jego towarzystwie. Był miły, troskliwy i bardzo mnie cieszyło, że mama znalazła kogoś, komu autentycznie na niej zależało.

– Czyli nie zdenerwowało pani, że matka wyszła za mąż po raz drugi.

– Nie, skądże. Czułam ulgę. – Umilkła na chwilę, po czym dodała: – Mama nie była silna pod względem fizycznym, zatem pojawienie się Roberta, jego zabiegi o to, by

otoczyć nas opieką, z mojego punktu widzenia stanowiły szczęśliwą okoliczność.

– Dziewiętnaście lat – powiedziała Penelope. – Zadebiutowałaś w towarzystwie?

Zerknąwszy na nią, Rose przytaknęła.

– Kolejnego roku. Spędziłam w Londynie dwa sezony, ale… – Wargi jej drgnęły. – Można powiedzieć, że nie cieszyłam się wzięciem. – Popatrzyła na Stokesa. – Później urodził się William, a mama nigdy nie odzyskała w pełni sił po porodzie. Pomagałam jej się nim zajmować i, przyznam, jako że nie zapałałam miłością do towarzyskich rozrywek, sezonów, małżeńskiego targu i całej reszty, używałam opieki nad nim, a potem nad Alice jako wymówki, by unikać towarzyskich spotkań.

– Zatem – rzekł Stokes – czy uprawnione będzie stwierdzenie, że w czasie, kiedy zdarzył się wypadek, życie pani, dzieci, pani matki i ojczyma upływało szczęśliwie, bez zgrzytów czy napięć?

– Tak. – Rose stanowczo skinęła głową. – Dokładnie tak bym nas opisała… a potem zginęli. – Opowiedzenie tego Thomasowi było prostsze; nie musiała podawać szczegółów, przeżywać wszystkiego na nowo, przywoływać wspomnień. Powoli zaczerpnęła powietrza. Stokes, co mu się chwaliło, nie popędzał jej, rozumiała wszakże, czego chciał się dowiedzieć. – Mama niedomagała i często leżała przez cały dzień. Jednak tego ranka, kiedy wyjechali, miała jeden ze swoich dobrych dni, toteż Robert postanowił zabrać ją na dłuższą wycieczkę… Świeże powietrze zawsze jej służyło. Zamówili w kuchni kosz piknikowy, a my troje – ruchem głowy wskazała dzieci – staliśmy na frontowych schodach, machając im na pożegnanie. Robert powoził kariolką, mama się śmiała.

Popatrzyła na Stokesa. Z pochyloną głową robił notatki.

– Kiedy zdała pani sobie sprawę, że coś jest nie tak? – spytał cicho, nie podnosząc wzroku.

– Kiedy nie wrócili na obiad. – Urwała, sięgając do wspomnień. – Fisk, kamerdyner, pchnął gońca do Grimsby. Robert napomknął, że pojadą w tamtym kierunku.

– I…? – łagodnie ponagliła Penelope.

Rose z drżeniem zaczerpnęła powietrza i pokręciła głową.

– Nie mieliśmy żadnych wieści aż do następnego dnia. Około jedenastej główny konstabl Grimsby przybył z wiadomością. Rybacy wychodzący w morze tego ranka spostrzegli jacht i znaleźli ciała. Wiedziałam już wtedy – ciągnęła mocniejszym głosem, pochwyciwszy wzrok Stokesa, kiedy przelotnie na nią spojrzał – że coś się nie zgadza, że przynajmniej mama żadną miarą nie mogłaby się utopić, nie znalazłaby się na jachcie, ale… – Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. – Musiałam pocieszać Williama i Alice. – Zerknęła na tych dwoje. Nachyleni nad zeszytami, pilnie odrabiali lekcje; siedzieli na tyle daleko, że nie mogli nic słyszeć. – Nie rozumieli wszystkiego, ale jakimś sposobem wiedzieli, że rodzice odeszli na zawsze, że nigdy więcej już ich nie zobaczą, i byli… bezgranicznie smutni. – Umilkła na chwilę, a potem złożyła dłonie i wzięła głęboki oddech. – To były trudne dni.

Potężne niedopowiedzenie; toczyła bój z własnym smutkiem, spotęgowanym przez konfuzję, i zajmowała się Alice, która, wówczas dwuletnia, wpadła w histerię… Rose odepchnęła od siebie te wspomnienia. Poczuła, że Penelope ściska jej dłoń, i posłała jej słaby uśmiech.

– Co się stało z kariolką?

Pytanie zadał Adair. Pomogło Rose na powrót się skupić.

– Znaleziono ją na cyplu, ale konie wędrowały swobodnie, nie mieliśmy więc pojęcia,

gdzie faktycznie się zatrzymali. Niemniej zjedli prowiant.

– Czy ktokolwiek widział, jak wypływają? – spytał Adair.

Rose zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ale to niekoniecznie zaskakujące. Jeśli wypłynęli po południu, rybacy znajdowali się już wtedy daleko na morzu, a wracając o zmierzchu, mogli nie zauważyć przewróconego jachtu.

– Zatem – Stokes przeanalizował swoje notatki – następnie odbył się pogrzeb. – Podniósł wzrok na Rose. – Czy w trakcie ceremonii lub stypy zaszło coś szczególnego?

Odtworzywszy wspomnienia, Rose pokręciła głową.

– Nie. Panowała bardzo ponura atmosfera. Nikt nie spodziewał się ich śmierci, nie w tak młodym wieku. Dla wszystkich był to szok. Oboje bardzo lubiano, poza tym Robert spędził tam całe życie.

– Kto z rodziny uczestniczył w uroczystościach?

– Percivalowie: Richard, młodszy brat Roberta, oraz stryj Roberta, Marmaduke ze swoim synem Rogerem. Poza tym przybyło mnóstwo dalszych krewnych i powinowatych, ale – Rose wzruszyła ramionami – nikt, kogo bym tak naprawdę znała. Poza Richardem i Marmadukiem nikt nie zdecydował się zostać na noc.

– A to, że oni zostali, ma sens – uzupełnił cicho Thomas. – Richarda i Marmaduke'a wyznaczono na współopiekunów Williama i Alice. Chociaż Richard został głównym opiekunem, on i Marmaduke musieliby omówić różne kwestie organizacyjne i podjąć decyzje.

Notując zapamiętale, Stokes pokiwał głową, a później spojrzał na Rose.

– Proszę opowiedzieć, co robiła pani po wyjściu żałobników, ze wszystkimi szczegółami, jakie zdoła pani sobie przypomnieć.

Wyprostowawszy się, Rose uniosła głowę i wróciła myślami do tamtego dnia.

– Kolejne godziny spędziłam w pokoju dziecinnym. Nie wiem, kto został na obiad… nie schodziłam, dotrzymywałam towarzystwa dzieciom. Potem… Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Był wieczór, jeszcze nie tak późno, pomyślałam więc, że zacznę pisać listy do dalszych znajomych mamy, żeby powiadomić ich o jej śmierci. – Przełknęła ślinę. – Mama trzymała notes z adresami w szufladzie sekretery w pokoju zwanym gabinetem, przylegającym do salonu. Robert nigdy nie używał go w tym charakterze… Tę funkcję pełniła biblioteka, ponieważ toczące się tam rozmowy było słychać w salonie. Te dwa pokoje miały wspólny komin. Weszłam do salonu i zmierzałam do drzwi gabinetu, kiedy usłyszałam głosy, dobiegające z kominka. – Popatrzyła Stokesowi w oczy. – Z gabinetu.

Kiedy inspektor skinął zachęcająco głową, podjęła:

– Komin zniekształcał głosy, ale tylko nieznacznie, rozróżniałam każde słowo. – Zaczerpnęła tchu. – Usłyszałam, jak Richard mówi, że… – Zamrugała, a później, mocniejszym głosem, gdy w jej głowie ponownie rozbrzmiały tamte zdania, ciągnęła: – Powiedział, że ich zabił, mamę i Roberta. Pysznił się, jak doskonale udało mu się upozorować wszystko tak, by ich śmierć wyglądała na utonięcie. Pieczołowicie wytłumaczył, jak zawinął ciała w żagle, żeby na pewno zostały znalezione… – Urwała, po czym spojrzała na Thomasa. – Nie pojmowałam wtedy, jakie to ma znaczenie, ale teraz już rozumiem. Zależało mu, żeby odkryto ciała, gdyż w przeciwnym razie musiałby czekać siedem lat na uznanie Roberta za zmarłego.

Po chwili Stokes machnął ołówkiem.

– Proszę wrócić do tamtego momentu i opowiedzieć mi dokładnie, co pani słyszała, co pani zrobiła.

– Jeśli mogę – wtrącił Adair, po czym przeniósł wzrok na Rose. – Z kim rozmawiał Percival?

Skrzywiła się.

– Nie wiem, niemniej z miasta przyjechało na pogrzeb kilku jego przyjaciół. Ponieważ nie dołączyłam do nich przy obiedzie, nie wiem, kto został.

– Wróćmy do tamtego momentu – nalegał Stokes. Kiedy Rose na niego spojrzała, zerknął w notatki.

– Usłyszała pani, jak Richard się przechwala, że zawinął ciała w żagle, tak by na pewno je znaleziono. Co dalej?

– Dalej – podjęła, a tamta wypowiedź wyraźnie rozbrzmiewała w jej głowie, echo sprzed lat – powiedział, że teraz musi jedynie wyeliminować Williama… właśnie tego słowa użył, „wyeliminować”… i posiadłość będzie jego, przy czym planował wykonać ruch raczej prędzej niż później. Jego przyjaciel, ktokolwiek to był, roześmiał się i życzył mu powodzenia. – Rose skoncentrowała się znów na Stokesie. – Aby opuścić gabinet, musieli przejść przez salon. Nie mogłam ryzykować, że mnie w nim zastaną. Odwróciłam się i po cichu wyszłam. Ponieważ żaden za mną nie ruszył, zakładam, iż nie zorientowali się, że tam byłam, że ich podsłuchałam.

Pisząc szybko, Stokes uniósł palec. Wreszcie oderwał ołówek od kartki i spojrzał na Rose.

– Jak dobrze znała pani Richarda Percivala?

– Bardzo słabo. Mama przestrzegła mnie, żebym trzymała się od niego z daleka, a Robert… był przy tym obecny… zgodził się z nią. Skądinąd dość zapalczywie. Wtedy przyjęłam, że ostrzeżenie wynika z faktu, iż uważają mnie za podatną na wpływy i boją się, że mogłabym ulec urokowi Richarda czy coś w tym rodzaju. Był… jest notorycznym kobieciarzem. Jednak patrząc z dystansu, może ostrzegali mnie w bardziej ogólnym sensie. – Zmarszczyła brwi, po czym spojrzała na Stokesa. – Tak czy inaczej, ponieważ mieszkałam z nimi i nie widziałam powodu, by postępować wbrew ich radom, ani też nie przejawiałam takich skłonności, nie spędzałam wiele czasu z Richardem, czy to w trakcie rodzinnych spotkań, czy na gruncie towarzyskim. Trzeba mu przyznać, że on z kolei jakby mnie nie zauważał.

W Thomasie odezwał się instynkt, na jego czole zagościł mars, ale wtedy Stokes zapytał:

– Biorąc pod uwagę, że zna pani Richarda Percivala raczej słabo, czy może pani być pewna, że to jego słyszała? Nie widziała go pani, a przy tym sama pani przyznała, że komin zniekształcił jego głos.

Trzeba jej oddać, że Rose zwlekała chwilę, wnikając w głąb swej pamięci, lecz w końcu odparła:

– To prawda, ale zniekształcenie nie było tak znaczne, by autentycznie zamaskować głos… na przykład nie pomyliłabym Marmaduke’a z Richardem, a jak mówiłam, jedynie oni dwaj z rodziny zdecydowali się zostać na noc. No i, oczywiście, jako brat Roberta, to Richard dziedziczy po Williamie. Pamiętając o tym, co usłyszałam: że musi jeszcze tylko wyeliminować Williama i posiadłość będzie jego… – Z uniesionymi brwiami popatrzyła na Stokesa. – Wyłącznie Richard mógł to powiedzieć.

Stokes rozchmurzył się i uśmiechnął z niemal dziką satysfakcją.

– I dokładnie tak brzmi prawidłowa odpowiedź. Tych słów nie mógł wyrzec nikt poza Richardem. – Skinął głową. – Proszę mi zatem opowiedzieć, przy czym odtąd może pani pomijać szczegóły… zapytam, jeśli będę potrzebował więcej informacji… co zrobiła pani

dalej.

Rose spełniła prośbę; Thomas słuchał, kiedy opisywała ucieczkę z Seddington Grange i późniejszą podróż przez kraj z dziećmi, w bardzo podobnych słowach jak wcześniej jemu.

Gdy skończyła, Stokes zamknął notes.

– W porządku. To dobry początek i – spojrzał na pozostałych – mogę potwierdzić, że Richard Percival mieszka w kamienicy przy Hertford Street, na jej wschodnim końcu. Trzech moich ludzi obserwuje dom: dostali rozkazy, by mieć oko na Percivala i śledzić go, jeśli gdzieś wyjdzie.

Rose dostrzegalnie ulżyło.

Następnie pytania zadawał Montague, upewniając się najpierw co do członków rodziny Percivalów – Richarda, Marmaduke'a i jego syna Rogera – z których każdy mieszkał w Londynie. Spojrzał na Thomasa.

– Kazałem już moim ludziom zacząć grzebać w finansach Richarda Percivala, rozumiem jednak, że pan też zdążył co nieco ustalić?

Thomas przytaknął.

Stokes i Adair, nachyleni ku sobie głowami, omawiali szczegóły postępowania z prawnikiem rodziny Percivalów, Foleyem. Słysząc pytanie Montague'a, Adair podniósł wzrok.

– Może dodamy do tego co nieco po rozmowie z Foleyem. Spróbujemy wydobyć od niego informację, kto strzeże posiadłości… – Urwał, żeby wyjaśnić Montague'owi: – Człowiek pana Glendowera ustalił, że majątek wydaje się nietknięty, a przy założeniu, że Richard Percival potrzebuje pieniędzy, okoliczność,
iż nie zdołał splądrować skarbca posiadłości, sugeruje, że ktoś, przypuszczalnie Marmaduke Percival, być może z pomocą samego Foleya, blokuje takie próby. – Adair zerknął na Thomasa. – Jeśli uda nam się to potwierdzić, znajdziemy się na dobrej drodze, by udowodnić motyw.

Stokes odchrząknął.

– To wytłumaczy również, dlaczego Percivalowi tak pilno dopaść zaginionego bratanka. Skoro nie potrafi przekonać pozostałych wykonawców testamentu do uwolnienia funduszy, zależy mu, żeby William umarł, a jego ciało znaleziono.

– Dokładnie tak – rzekł Adair.

Thomas pochwycił spojrzenie Montague'a.

– Poinstruuję mojego przedstawiciela biznesowego, pana Draytona z Threadneedle Street, żeby przesyłał panu raporty. Lepiej skomasujmy wysiłki, zamiast pracować równolegle i być może tracić cenny czas.

– W rzeczy samej. – Montague skłonił głowę. – Współpraca z panem Draytonem to będzie dla mnie zaszczyt. – Popatrzył na pozostałych. – Dogłębne zbadanie interesów dżentelmena takiego jak Percival zajmie co najmniej kilka dni.

Tymczasem Rose, jak odnotował Thomas, rozmawiała z Penelope. Z kierunku rzucanych przez damy spojrzeń wywnioskował, że tematem dyskusji są dzieci i ich dobrostan. I rzeczywiście, kiedy mężczyźni umilkli, Penelope zwróciła się ku nim.

– Rose i ja omawiałyśmy trudności, jakie wiążą się z trzymaniem dzieci przez cały czas w zamknięciu. Oczywiste, że nie możemy ryzykować przechadzki z nimi, ale zastanawiałam się, czy nie dałoby się wykorzystać mojego powozu.

Popatrzyła znacząco na Adaira.

Który odpowiedział uniesieniem brwi.

– Powóz, wraz z obstawą, są do twojej dyspozycji.

– Cudownie. – Penelope się rozpromieniła. Spojrzała na Rose. – Będziemy absolutnie bezpieczni: wezmę wszystkich trzech ludzi z obstawy. Może zajrzę tu jutro z rana i wybierzemy się na przejażdżkę po mieście, zatrzymując się, gdzie nam się spodoba, dokąd tylko zawiedzie nas fantazja, gdziekolwiek coś przykuje nasz wzrok, zanim prędko ruszymy dalej. – Penelope przeniosła wzrok na Thomasa. – Przez cały ten czas pilnie strzeżeni.

Thomas bynajmniej nie był przekonany, czy taka wycieczka to mądry pomysł, ale szybkie spojrzenie na Stokesa, Adaira i Montague'a ukazało mu, że panowie traktują zapewnienia Penelope jako wiarygodne.

Wychwycił też dostatecznie wiele strzępów rozmowy dam, by uzmysłowić sobie, że Rose rozluźnia się przy wylewnej Penelope, i mógł jedynie odczuwać wdzięczność za wsparcie i przyjaźń tak szczodrze oferowane przez żonę Adaira… toteż trzymał język za zębami i zignorował opiekuńcze zapędy, które ściskały mu pierś jak w imadle.

Nie licząc ostatnich paru tygodni, było to dla niego całkiem nowe doznanie.

Kiedy wszyscy poczuli się usatysfakcjonowani, palące pytania doczekały się odpowiedzi i uzgodniono najbliższe posunięcia, goście wstali i szykowali się do wyjścia.

Stokes opuścił apartament jako pierwszy, za nim podążył Montague. Podczas gdy Rose żegnała się z Penelope, Adair z uśmiechem odwrócił się do Thomasa.

– To autentyczna obstawa. Stangret, stajenny i lokaj. Sprawdziłem ich osobiście.

Thomas odczytał przesłanie w utkwionych w nim niebieskich oczach.

– Pańska żona często naraża się na niebezpieczeństwo?

– Za często jak na mój gust. – Adair spojrzał na rzeczoną damę. – Ale Penelope nie byłaby sobą, gdyby tego nie robiła, tak więc… – Wzruszył ramionami, znów popatrzył Thomasowi w oczy i pozdrowił go gestem. – Damy panu znać, czego się dowiedzieliśmy.

Thomas skłonił się i obserwował, gdy Adair pogodnie żegnał się z Rose, a następnie mocno chwycił żonę za łokieć i posterował nią ku drzwiom.

Rose, nadal uśmiechnięta, zamknęła je za nimi. Odwróciwszy się, napotkała wzrok Thomasa i westchnęła z ulgą; w jej uśmiechu pojawiła się wdzięczność.

– Poszło lepiej, niż na to liczyłam.

Zawahał się, a później skinieniem głowy wskazał drzwi.

– Lubisz ją.

Nie było to pytanie, w każdym razie nie to, którym na pozór się wydawało.

Rozumiejąc, Rose przytaknęła.

– Jest córką wicehrabiego, lecz angażuje się w śledztwa i robi mnóstwo innych rzeczy, na przykład tłumaczy ze starożytnych języków, a ponadto ona i Adair mają małego synka. – Rose umilkła na chwilę, po czym, kierując uwagę ku Homerowi i Pepi, dodała w zadumie: – Wydaje mi się, że trochę czasu spędzonego w jej towarzystwie dobrze zrobi zarówno mnie, jak i dzieciom.

ROZDZIAŁ 10

– Thomas Glendower to legenda – poinformował Montague towarzystwo zebrane wokół stołu w jadalni przy Albemarle Street tego samego wieczoru. – Zarządza niezliczonymi funduszami, bez wyjątku zasilającymi rozmaite organizacje dobroczynne, ale nie dość, że stworzył potężne przedsięwzięcie filantropijne, jego umiejętność czerpania i pomnażania funduszy nie ma sobie równych. Jemu pieniądze dosłownie rosną na drzewach.

– Jak to robi? – spytała Violet, jego żona. – Zakładam, że mówimy o interesach zgodnych z prawem?

– W rzeczy samej: wszystko całkowicie legalne i jawne. Każdy może bez trudu przeanalizować jego działania i liczni ludzie biznesu oraz wszyscy zapaleni inwestorzy z pewnością wnikliwie badają jego transakcje, ale nie tutaj kryje się jego geniusz. Ma nosa do tych spraw: kiedy kupić udziały, a kiedy je sprzedać. Nie inwestuje długoterminowo… czy też robi to rzadko, a wtedy ma ku temu powód. Jest genialny i wyznam, że pewnie jak wielu moich kolegów po fachu utworzyłem fundusz, którego operacje polegają na powielaniu finansowych posunięć Glendowera. Nie zarządzałem dotąd równie dochodowym funduszem, ponieważ jednak zawsze wykonujemy ruch z opóźnieniem, nie zyskujemy tyle co on.

Barnaby wymienił spojrzenia ze Stokesem, a następnie popatrzył na Montague'a.

– Pamiętasz, jak przed laty prosiłem cię o informacje na temat Malcolma Sinclaira? W związku z inwestycjami w sieć kolejową.

Montague zmarszczył brwi, sięgając myślami wstecz, a potem jego oczy się rozszerzyły.

– A, tak. Bardzo biegły inwestor, na ile sobie wszakże przypominam, miał ciemną stronę. Brakowało mu moralnego kompasu, wiązano go z paroma wątpliwymi transakcjami.

– W istocie. – Barnaby zrobił efektowną pauzę. – Thomas Glendower to Malcolm Sinclair.

Montague wytrzeszczył oczy.

– Nie… – Z jego twarzy spłynął wszelki wyraz. Minęła chwila, po czym, jakby z oddali, wymamrotał: – Oczywiście. – Zamrugał, jego rysy się wyostrzyły i pokręcił głową. – Powinienem był to dostrzec… nie całkiem to samo podejście, inna klasa aktywów, lecz ta sama… wrodzona wrażliwość, ten sam genialnie przenikliwy umysł. – Montague popatrzył na Barnaby'ego, a potem na Stokesa. – Nie jestem pewien, czy rozumiem. – Zmarszczył brwi. – Jak to się stało, że mu pomagamy?

Stokes się skrzywił.

– Niełatwo to wytłumaczyć, ale… – Zerknął na Barnaby'ego. – Doszliśmy do wniosku – przeniósł spojrzenie na Penelope i Griseldę, podkreślając ich udział w tej decyzji – że wskrzeszenie Malcolma Sinclaira i jego dawnych występków nie przyniesie nikomu pożytku, doprowadzi za to do nieopisanych awantur i niepewności, jak również

przypuszczalnie wielkich strat finansowych u wszystkich, którzy skorzystali za sprawą jego testamentu… restytucji, które zarządził po swojej śmierci.

– Śmierci? – Montague zamrugał. – On umarł?

– Chyba nie nadążam. – Violet odłożyła serwetę i ze zmarszczonymi brwiami powiodła wzrokiem po twarzach obecnych. – Jakie występki popełnił Malcolm Sinclair i dlaczego sądzono, że nie żyje?

Barnaby wyjaśnił, a Stokes i Penelope uzupełniali jego cokolwiek bezbarwną narrację komentarzami. Penelope przerwała mu, żeby położyć nacisk na więź, jaka uformowała się między Sinclairem a przyjaciółmi Barnaby'ego i Penelope, Charlesem i Sarą Morwellanami, aktualnie hrabiostwem Meredith, oraz na to, jak za sprawą owej relacji Sinclair uzmysłowił sobie błędy w swym postępowaniu i postarał się je zrekompensować, nim zaaranżował własną śmierć. Barnaby na powrót przejął pałeczkę w dyskusji, żeby opisać wiszący most nad wodospadem na górze Will's Neck w Somerset, miejsce, które Sinclair wybrał na swój koniec.

– Sami więc widzicie – skonkludował. – To doprawdy cud, że w ogóle przeżył, a cóż dopiero, że wydobrzał na tyle, by chodzić, mówić i być w stanie komukolwiek pomagać.

Po chwili Stokes nachylił się do przodu, skupiając znowu na sobie uwagę zebranych. Potoczył wzrokiem po twarzach.

– Malcolm Sinclair oficjalnie nie żyje – oświadczył zwięźle – a człowiekiem, który stoi teraz przed nami, jest Thomas Glendower. To jego musimy osądzić.

– Widziałeś jego obrażenia. – Barnaby popatrzył Montague'owi w oczy. – Zapłacił bolesne myto, przy czym zaryzykowałbym domniemanie, że nadal płaci za każdy kolejny dzień życia.

– To istotnie cud. – Penelope popatrzyła na pozostałych. – Mam na myśli to, że nadal żyje.

Stokes przytaknął ciężko.

– Wydaje się niemal świętokradztwem to mówić, lecz tym razem najwyraźniej gra po właściwej stronie, a czy my mamy prawo mu to utrudniać?

– Poza tym – uzupełniła Penelope – jest oczywiste, że nie robi tego dla własnej korzyści, ale wyłącznie po to, by pomóc Rose i dzieciom. Przyświeca mu cel całkowicie altruistyczny, osobiście nic na tym nie zyska. – Urwała, po czym z rozjaśnioną twarzą dodała: – W każdym razie nie w sensie finansowym.

Barnaby posłał jej cyniczne spojrzenie, a następnie zastukał o stół trzonkiem noża.

– Powinniśmy przedyskutować sprawę – rzekł, kiedy uwaga wszystkich skupiła się na nim – i ustalić, czy należy zrobić coś ponad to, co już zaplanowaliśmy.

W dyskusji padały kolejne opinie, w końcu jednak zgodzono się, że trzeba poczekać na wyniki pierwszej serii działań śledczych, jakie pojawią się nazajutrz.

Penelope jako jedyna dodała punkt do programu działania.

– Starsze damy, w każdym razie te, z którymi zwykle się konsultuję, udały się do Somerset, by odpocząć między sezonami, ale sprawdzę, kogo jeszcze mogłabym zapytać o Richarda Percivala. – Skrzywiła się. – Nigdy nie interesowałam się mężczyznami jego pokroju, toteż sama nic o nim nie wiem.

Stokes pokiwał głową.

– Tak, zapytaj. Nieraz już zdobywałaś użyteczne informacje z takich źródeł.

Wstali i przeszli do salonu. Kiedy siedzieli wygodnie, popijając herbatę, Stokes, który przez cały czas nieznacznie marszczył brwi, skomentował:

– Nie potrafię opędzić się od myśli, że choć sprawa wydaje się prosta, musimy

wykazać się pomysłowością, żeby złapać Richarda Percivala w taki sposób, by nie miał dłużej szansy realnie zagrozić chłopcu.

Barnaby się skrzywił, ale nie zaoponował. Pozostali, również zatopieni w myślach, wyrazili zgodę niewyraźnymi pomrukami.

W końcu, kiedy rozbrzmiały pożegnania i goście udali się do domów, Barnaby podał dłoń Penelope i ramię w ramię podążyli po schodach na górę.

Jak zawsze skierowali się najpierw do pokoju dziecinnego. Oparty o framugę Barnaby patrzył, jak Penelope spogląda z góry na ich śpiącego syna. Delikatnie poprawiła mu kocyk, nachyliła się i musnęła pocałunkiem jasną główkę, następnie zaś wyprostowała się, przykręciła knot nocnej lampki i wróciła do Barnaby'ego.

Gdy znaleźli się znów na korytarzu, zamknął drzwi, a potem przystanął i patrzył na nią, aż poczuła na sobie to spojrzenie i podniosła wzrok.

Krótko zaglądał jej w oczy, po czym uniósł brew.

– Jutro – rzekł cicho, patrząc na nią – na wycieczce z Rose i dziećmi będziesz należycie uważać, prawda?

Na siebie, ponieważ jesteś najważniejszą istotą na świecie dla mnie i dla naszego syna.

Penelope usłyszała te niewypowiedziane słowa; uśmiechnęła się, przyłożyła dłoń do mężowskiego policzka, wspięła się na palce i pocałowała go lekko. Później wzięła go za rękę i pociągnęła z powrotem w stronę schodów, do sypialni.

– Tak, oczywiście. – Kiedy się z nią zrównał, spojrzała nań z ukosa i uśmiechnęła się; uosobienie pewności siebie. – Oprócz dość rzucającej się w oczy obstawy, i to w komplecie, będę miała przy sobie mojego uroczego maleńkiego deringera.

Barnaby uśmiechnął się, pokręcił lekko głową i dał się zaholować do łóżka.

*

Później tego samego wieczoru, w bezpiecznej, luksusowej kryjówce hotelu Pevensey, Rose po raz ostatni zajrzała do dzieci, a upewniwszy się, że śpią spokojnie, przecięła salonik, przystanęła, żeby zgasić ostatnią lampę, po czym ruszyła dalej do wielkiej sypialni, którą dzieliła z Thomasem.

Zostawił drzwi uchylone; weszła i zamknęła je za sobą. Właśnie się rozbierał, odwieszając surdut, a za nim kamizelkę, na stojak po swojej stronie łóżka.

Idąc ku toaletce, Rose wyjmowała z włosów szpilki. Odłożywszy je, potrząsnęła włosami, tak że spłynęły, zwichrzone, wyzwolone, lśniące, na jej plecy. Zawahała się, a potem, zamiast jak zwykle sięgnąć po szczotkę, odwróciła się i zdecydowana podążyła w kierunku Thomasa.

Zajęty rozpinaniem guzików u mankietów, zobaczył, że się zbliża, i przerwał tę czynność. Opuścił ramiona i się wyprostował.

Zatrzymała się dopiero tuż przed nim, tak że stanikiem sukni ocierała się o szlachetny materiał jego poluzowanej koszuli. Zajrzała mu w twarz, w oczy.

– Jak tego dokonałeś? Co zrobiłeś, by uzyskać wsparcie Adaira, Stokesa i ich pomocników?

Nie znaleźli wcześniej sposobności o tym porozmawiać, ale znała go, miała też na tyle dobre pojęcie, jak funkcjonuje świat, żeby wątpić w prawdopodobieństwo sytuacji, że zwyczajnie poprosił i otrzymał tego rodzaju pomoc.

Thomas zaglądał jej w oczy, w brąz bardziej teraz burzliwy niż miękki. Zawahał się, niepewny, i tradycyjnie zapytał sam siebie, co powinien zrobić, którą drogę wybrać – jak

wiele prawdy jej wyjawić – ale…

Do tej pory zawsze był z nią szczery, przysiągł u swego prywatnego ołtarza, że nie będzie jej okłamywał ani zwodził.

– Zaproponowałem… że oddam się w ręce prawa jako dawny ja, żeby osądzono mnie za popełnione w przeszłości przestępstwa, jeśli oni zgodzą się pomóc mi ochronić Williama i bezpiecznie przywrócić mu należną pozycję.

Patrzyła mu w oczy i przetrawiała te słowa.

– Znałeś Stokesa… z dawnych czasów.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Znałem Adaira… wówczas nie był jeszcze żonaty. Przyjechał do Somerset na wezwanie Charliego Morwellana, żeby przyjrzeć się dziwnym zdarzeniom, za którymi stałem ja. Do których ja doprowadziłem. Adair już wtedy był znany jako ktoś w rodzaju detektywa. Później dowiedziałem się, że w ostatnich latach Adair i Stokes nawiązali trwałą współpracę. Na ile zrozumiałem, na koniec Adair wezwał Stokesa do Somerset, tak więc Stokes istotnie wie o wszystkich sprawkach… człowieka, którym niegdyś byłem. –

Patrząc jej w oczy, zrobił krótką przerwę, po czym dodał: – Stokes zrozumiał, co im oferuję. On i Adair przyjęli propozycję.

Rose nie wiedziała, co zrobić – jak zareagować. Jakby zatrzymało się w niej serce. Tak, nadal biło, ale… musiała mieć pewność.

– Czyli… kiedy Richard zostanie zdemaskowany i nie będzie dłużej zagrażać Williamowi, ty, Thomas Glendower… co? Po prostu przestaniesz istnieć?

Pokiwał głową.

– W skrócie, tak. Tak to będzie wyglądało.

Wpatrywała się w niego. Z chęcią by nań pomstowała, zapytała, jak mógł zrobić coś takiego – z takim spokojem położyć kres egzystencji człowieka, którego pokochała, który obudził jej serce i któremu oddała się całą sobą… ale znała odpowiedź.

Nie próbował skrócić tej chwili, umknąć przed badawczym spojrzeniem Rose.

W końcu, czytając prawdę w jego kryształowo czystych oczach, z trudem zaczerpnęła powietrza.

– Zaraz mi powiesz – odezwała się – że muszę przyjąć to t w o j e p o ś w i ę c e n i e ze stosownym wdziękiem, nieprawdaż?

Do tej pory zachowywał kamienny wyraz twarzy, poważny, lecz nieustępliwy, niemniej jej komentarz przebił tę maskę; wargi mu drgnęły. Zerknął w bok, nim znów popatrzył jej w oczy. Skłonił się lekko.

– Taki argument przyszedł mi do głowy.

Wyobrażała sobie. Udało jej się nie spiorunować go wzrokiem. Przez długą chwilę trwała zagubiona w jego oczach, a później potężnie westchnęła.

– Dobrze. Ale zrozum jedno. – Jej głos nabrał mocy; na powrót się skoncentrowała, uwięziła jego spojrzenie. – Nie oddam ciebie ani tego, co zaistniało między nami, bez walki.

Zaczął marszczyć brwi, ale powstrzymała go uniesieniem dłoni.

– Nie. To nie jest coś, z czym masz prawo się spierać albo usiłować na to wpłynąć. Tak jak ja muszę zaakceptować twoją postawę, wiem bowiem, że postrzegasz ocalenie Williama jako swego rodzaju ostateczną pokutę, tak więc gdy oddajesz się w ręce władz, by osiągnąć ów cel, jawi ci się to jako element tej samej układanki, tak i ty musisz zaakceptować, że o moim stanowisku decyduję wyłącznie ja sama.

Patrzyła mu w oczy.

– Żadne twoje słowa nie powstrzymają mnie przed modleniem się o to, żebyś został oszczędzony, cokolwiek się zdarzy. Żadne twoje słowa nie powstrzymają mnie przed życiem z dnia na dzień i kochaniem cię każdej godziny. Żadne twoje słowa nie powstrzymają mnie przed czekaniem na ciebie, przed byciem twoją, nawet jeśli połączymy się ponownie dopiero w wieczności.

– Żałuję, że nie ma takich słów. – Thomas przemówił prosto z serca, bez chwili wahania. Odnalazł jej dłonie i delikatnie ścisnął. – Dla twojego dobra chciałbym, żeby były.

Zaglądała mu w oczy, a potem skłoniła głowę.

– Tyle mogę zaakceptować. Ale niczego to nie zmienia.

Przypatrywał jej się bacznie, a później wziął lekko drżący oddech.

– Wygląda na to, że się dobraliśmy.

I jesteśmy z góry na siebie skazani.

Rose usłyszała te niewypowiedziane słowa, lecz nie po to wojowała z trudnościami, jakie stawiało przed nią życie, żeby zostać obsadzoną w roli tragicznej heroiny.

– Owszem, i aż do ostatniego rzutu kośćmi, dopóki nie przestaną się toczyć, nie będziemy wiedzieli, co nam obwieszczą, nie będziemy znali finału tej historii.

Minimalnie uniósł brwi, lecz nic nie odrzekł.

Nie czekała, aż się z nią zgodzi.

– A zatem…

Wysunęła palce z jego uścisku, oparła dłonie o jego przyobleczoną w płótno pierś, po czym wolno powiodła nimi w górę, a ciężkie mięśnie napinały się pod jej dotykiem, naprężały się blizny na jego lewym barku. Przystąpiła bliżej, w jego objęcia, napierając biustem na jego tors, i chwyciła go za kark.

Otoczył ją ramionami i nie opierał się, gdy pociągnęła go w dół.

Na moment przed tym, jak ich wargi się spotkały, wyszeptała:

– Pozostało mi tylko podziękować ci… należycie… za twoje poświęcenie.

Pocałowała Thomasa, a później wysłała mu zaproszenie, którego nie zdołałby błędnie zinterpretować – i które natychmiast przyjął, odkrywając przy tym, jak bardzo jej pragnie.

Przyniesione przez ten dzień zapowiedzi wywarły wpływ także na niego. Racjonalny umysł Thomasa może i postrzegał jego poświęcenie, jakkolwiek odłożone w czasie, jako rzecz nieuniknioną, przed którą nie zdoła uciec, lecz jakaś znacznie głębiej ukryta część jego duszy – część, którą Rose z taką łatwością wywabiała na powierzchnię – buntowała się przeciw tej decyzji i jej konsekwencjom…

Rose owinęła się wokół niego; wyślizgnęła się z jego ramion i rozebrała ich oboje, a on jej nie przeszkadzał. Pociągnęła go do łóżka i poszedł, równie spragniony jak ona, równie złakniony ciepła, komfortu, niewysłowionej bliskości…

Owa bliskość – prawdziwa intymność – wstrząsnęła nim, zadawała mu katusze; bezwzględnie zakotwiczyła w teraźniejszości wszystkie jego myśli i zmysły, zmieniła go w spolegliwego, chętnego więźnia rozkoszy dawania i brania, chwil skrzącego się, kradnącego oddech cudu.

Niezmąconej radości.

Sypały się pieszczoty; wargi spijały, sączyły; języki tarły o siebie, podczas gdy ręce chwytały, a palce rzeźbiły.

Kochali się.

Uniosła się nad nim i wzięła go w siebie. Otuliła śliskim żarem, a potem ujeżdżała.

Chwycił ją za biodra i trzymał, kiedy pędzili przez tak dobrze im teraz znany krajobraz, ku szczytowi, który ich przywoływał, czekał na nich.

Serca biły im w jednym rytmie, pożądanie zrosiło skórę potem, ciała płonęły ogniem, który powitali z radością; napawali się cudownym doświadczeniem i mknęli dalej.

Na szczyt i ponad nim, skacząc w dół, kiedy nerwy i zmysły rozpadły się na kawałki, aż nie było już nic poza oślepiającą wspaniałością.

Ekstaza lśniła między nimi, nieśmiertelna prawda.

Blask przygasł niespiesznie, pozostawiając ich nie osieroconych, lecz pokrzepionych.

Opadła na jego klatkę piersiową, a on zamknął ją w objęciach.

Iskra, która rozpaliła niedawną wspaniałość, nie opuściła ich, lecz wniknęła w ich ciała, głęboko, szukając schronienia w sercach.

Nie musieli nic mówić – była tam, przyczajona, w nich, wokół nich.

Na zawsze ich część, coś, czemu żadne nie mogło zaprzeczyć.

W końcu się rozdzielili i leżeli obok siebie, objęci luźno ramionami.

Okrył ich, złożył znów głowę na poduszkach, zamknął oczy i czekał na sen.

Wtulona w niego, Rose obserwowała w mroku jego twarz, przyglądała się, jak wyryte na niej przez los linie miękną, gdy nadciągał sen.

Czekała, a potem przysunęła się bliżej, dopasowała ciałem do jego ciała i rozluźniła w jego ramionach. Składając mu policzek na piersi, delikatnie pocałowała jego stygnącą skórę.

– Cokolwiek się wydarzy, Thomasie Glendowerze, zawsze będę cię kochała, aż do dnia mojej śmierci.

Wyszeptała te słowa, lecz po jego chwilowym znieruchomieniu poznała, że je usłyszał.

Zamknąwszy oczy, poddała się utajonej przyjemności leżenia razem w objęciach.

Temu, co przyjdzie, cokolwiek to będzie. Cokolwiek los zamyślał zrobić z ich życiem.

*

Zbliżała się północ, kiedy Richard Percival sam otworzył sobie drzwi domu przy Hertford Street i natknął się na Curtisa, który czekał na niego na krześle w holu.

– Ma pan wieści? – zapytał natychmiast Percival, zamykając drzwi.

Curtis wolno wstał. Wzrostem niemal dorównywał Percivalowi, lecz był od niego o połowę szerszy.

– Poniekąd.

Mina Percivala wskazywała, że odpowiedź nie przypadła mu do gustu, niemniej odłożył kapelusz, rękawiczki i laskę na stolik w holu, po czym machnął ręką w głąb korytarza.

– W bibliotece.

Curtis podążył za nim; wszedł do domu jak zwykle, od zaułka na tyłach, przez kuchenne drzwi. W przypadku zlecenia Percivala takie środki ostrożności przypuszczalnie nie były konieczne, lecz stare nawyki trudno wykorzenić.

Minutę później siedzieli już po obu stronach biurka Percivala, w niewielkim kręgu miękkiego światła lampy, którą gospodarz zapalił, od razu przykręcając knot.

Percival spróbował wyczytać coś z kamiennego oblicza Curtisa, ale prędko się poddał.

– Czego się pan dowiedział? – zapytał cokolwiek obcesowo.

– Wydaje mi się – Curtis popatrzył w ciemnoniebieskie oczy Percivala – i, podkreślam, nic ponadto, że wiem, kogo udawała młoda dama oraz gdzie ukrywała dzieci.

Percival nauczył się już ufać temu, co Curtisowi „się wydawało”.

– Gdzie?

– Wydaje mi się, że przedstawiała się jako pani Sheridan i była gospodynią w pewnym dworze na odludziu, niedaleko Breage, na wybrzeżu Kornwalii.

– Do kogo należy ten dom?

– Do niejakiego Thomasa Glendowera, który jednak do niedawna nie mieszkał tam. Przez wiele lat był właścicielem na odległość, ale pojawił się znowu kilka miesięcy temu i od tego czasu osiadł we dworze.

Percival zmarszczył brwi.

– Jeśli pan wie, gdzie przebywają ona i dzieci…

– Nie, wiem, gdzie przebywali. Gdzie, jak mi się wydaje, przebywali. Gospodyni i jej dzieci dokładnie pasują do opisu, ale kiedy moi ludzie przepytywali pana Glendowera, twierdził, że to miejscowa rodzina, głęboko zakorzeniona w kornwalijskiej ziemi.

Mars na czole Percivala się pogłębił.

– Dlaczego więc uważa pan, że to ich szukamy?

– Ponieważ kiedy moi ludzie zatrzymali się tam z lokajem pańskiego brata, żeby potwierdzić, że to nie oni, czekał na nich zamknięty, pusty dom.

– Pusty? Ale… jeśli uciekła z dziećmi, co z Glendowerem?

– Właśnie dlatego tu jestem. Jego również nie zastali. Moi ludzie poświęcili dzień na sprawdzenie, pytali w okolicy, lecz po raz ostatni widziano go poprzedniego dnia… w Helston, gdzie moi ludzie na głównej ulicy organizowali się, żeby przeczesać półwysep Lizard. Widział ich, tyle wiem na pewno.

Percival zwęził oczy.

– Według pana wrócił do domu, a potem… uciekł z nią i dziećmi?

Curtis przytaknął.

– Zajęło to kilka dni, lecz w końcu znaleźliśmy jego konia i kuca z dworu w stajni najlepszego zajazdu w Falmouth. Przybył tam wczesnym rankiem tego samego dnia, kiedy moi ludzie dotarli do dworu. Stamtąd, jak się dowiedzieliśmy, zabukował rejs do Southampton i tego samego popołudnia znalazł się na statku z żoną i dwojgiem dzieci. – Z mrocznym marsem na czole, Curtis warknął: – Moi ludzie spędzili całe tygodnie na przygotowaniach, a mimo to wymknął się z naszej sieci, gładko jak się patrzy.

Percival zmierzył Curtisa wzrokiem.

– Zapewne nie z takimi klientami ma pan zwykle do czynienia.

– Nie. Bardzo opanowany, szybko myśli. – Curtis popatrzył Percivalowi w oczy. – I dlatego tu jestem: żeby pana ostrzec.

Percival siedział dotąd z podbródkiem zatopionym w halsztuku. Teraz uniósł głowę, wbijając wzrok w Curtisa.

– Przed czym? – Nasrożył brwi. – Nie rozumiem, dlaczego ten Glendower, jeśli faktycznie chodzi o niego, jej pomaga. Przy założeniu, że to istotnie ona i dzieci.

Curtis prychnął.

– To chyba akurat jedyny pewnik w tym wszystkim. Rysopisy młodej damy i chłopca, jak również to, co można wywnioskować na temat dziewczynki, pasują. Co do Glendowera, miał jakiś wypadek, po którym zostały mu liczne blizny i chodzi o lasce, zatem jego również łatwo zidentyfikować. I taka właśnie grupa przybyła do Southampton. Owszem, posłałem tam ludzi, żeby spróbowali złapać trop, jednak biorąc pod uwagę, ile dni minęło, powiedziałbym, że jest w miarę pewne, iż Glendower przywiózł „żonę i dzieci” do Londynu… a wie pan, jak trudno będzie ich tu znaleźć.

Marszcząc brwi, Percival pokiwał głową.

– Tak, to wydaje się prawdopodobne, ale nadal nie rozumiem, d l a c z e g o jej pomaga.

Curtis cicho westchnął.

– Właśnie przed tym przyszedłem pana ostrzec. Pytanie, które powinien pan sobie zadać, brzmi nie dlaczego, ale c z y im pomaga.

Percival znieruchomiał; z jego twarzy spłynął wszelki wyraz.

– Co ma pan na myśli? – zapytał z opanowaniem.

Curtis przeciągnął dłonią po krótko ściętych włosach.

– Mam na myśli, że nie da się wykluczyć, iż ten cały Glendower odkrył ich sekret i zamierza na tym skorzystać. – Spojrzał na Percivala. – Dama i dzieci niekoniecznie towarzyszą mu z własnej woli. – Zrobił krótką przerwę. – Możliwe, że sam się z panem skontaktuje.

Upłynęła długa chwila.

– Żebym zapłacił za nich okup? – spytał Percival.

Curtis patrzył mu w oczy.

– Żeby ich panu sprzedać.

ROZDZIAŁ 11

Kolejnego ranka Montague nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w biurze. Zaraz po przybyciu zwołał personel do swojego gabinetu.

Ulokowawszy się za biurkiem, uśmiechnął się do wszystkich.

– Mamy nowe śledztwo.

W ostatnich miesiącach współpracowali z Adairem i Stokesem przy kilku śledztwach, z których pierwsze wprowadziło do życia Montague'a Violet. W rzeczy samej do życia całego jego zespołu. Spoglądając ponad biurkiem, przekonał się, że żona także wpatruje się weń w oczekiwaniu na to, jak Montague poradzi sobie z niezbędnymi wyjaśnieniami. Violet spędzała trzy dni w tygodniu w roli jego osobistej sekretarki, przez resztę czasu zaś asystowała Penelope.

Teraz skinieniem głowy zachęciła go, by zaczynał. Odkaszlnąwszy, potoczył wzrokiem po zebranych i przystąpił do naświetlania sprawy.

Wszyscy pracowali z nim na tyle długo lub byli – jak Pringle, najnowszy nabytek – na tyle doświadczeni, by prędko pojąć, w czym rzecz.

– No dobrze. – Frederick Gibbons, starszy asystent w firmie Montague'a, oparty do tej pory o regał z książkami, wyprostował się. – Szukamy jakiegoś długu, na tyle pokaźnego, by sprowokował Percivala do desperackich czynów… i to cztery lata temu.

Foster, młodszy asystent, prychnął.

– Jeśli cztery lata temu dług skłonił go do morderstwa, teraz musi być astronomiczny.

– Hm. – Mrużąc oczy, Montague popukał palcem w podkładkę na biurku. – To chyba nazbyt pochopny wniosek. – Popatrzył na Fostera i Gibbonsa. – Finanse Percivala mogą po prostu stale znajdować się pod kreską… na tyle, by stanowiło to bodziec, nieustannie go niepokoiło, lecz nie w takim stopniu, by ktokolwiek inny dopatrywał się u niego potężnego długu.

Gibbons przytaknął.

– Dług raczej chroniczny niż dotkliwy. – Popatrzył na Fostera. – Może być równie uciążliwy… W rzeczy samej byłby to nawet lepszy motyw niż spory jednorazowy dług.

– Dokładnie tak. – Montague omiótł wzrokiem pozostałych: Slocuma, wieloletniego kierownika biura, Pringle'a, również doświadczonego pracownika, który dołączył do firmy kilka miesięcy wcześniej, kiedy Montague i pozostali badali sprawę morderstwa jego poprzedniego pracodawcy, Slatera, młodszego pracownika, oraz Reginalda Robertsa, gońca. – Czy komuś jeszcze coś się nasuwa?

Ku zaskoczeniu Montague'a odezwała się Violet.

– Prawdę mówiąc, tak, nie zgadza mi się tutaj jedna kwestia. – Popatrzyła mężowi w oczy, a kiedy zachęcająco skinął głową, ciągnęła: – O Richardzie Percivalu wiadomo, że zatrudnia profesjonalnych poszukiwaczy… wywiadowców, jak określaliście ich ty, Stokes i Adair. Jeśli dobrze pamiętam, podejrzewa się, że korzysta z ich usług od dłuższego czasu, a ostatnio pan Glendower widział dwóch wywiadowców przy jednej okazji i co najmniej dwunastu przy kolejnej. – Violet zrobiła krótką przerwę, po czym

przekrzywiła głowę. – Czy nie świadczy to, że Percival dysponuje znacznymi środkami finansowymi? Czy tacy zawodowcy nie kosztują?

Montague otworzył szerzej oczy, wolno odchylił się na oparcie fotela i przytaknął.

– Doskonała uwaga, ale chyba potrafię odgadnąć odpowiedź. – Zerknął na Gibbonsa i wyczytał w jego oczach to samo podejrzenie. Popatrzywszy znów na Violet, wyjaśnił: – Jak to się często dzieje w nie całkiem legalnym światku, zapłata za poszukiwania przypuszczalnie zależy od efektów.

Violet zmarszczyła brwi.

– Czyli żaden z tych ludzi nie otrzyma zapłaty, jeżeli nie znajdą chłopca?

Coraz bardziej poważny, kiedy przemyślał, co z tego wynika, Montague przytaknął.

Foster się skrzywił.

– W takim razie nic dziwnego, że pilno im go znaleźć. – Skierował się ku drzwiom. – Przejdę się po bankach i zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

Gibbons także potakiwał ponuro.

– Jeśli latami zwodzono ich obietnicą, co dostaną, kiedy znajdą i przekażą chłopca… – Pokręcił głową i ruszył do głównego pomieszczenia. – Kiedy uporam się z dzisiejszym spotkaniami, wyjdę popytać wśród naszych kolegów po fachu. – Obejrzał się na Montague'a. – Wiadomo, kto prowadzi jego interesy?

Montague zaprzeczył i spojrzał na Slocuma. Ten skłonił głowę.

– Postaram się to ustalić, kiedy pan Gibbons będzie miał spotkania.

Montague gestem wyraził aprobatę, a następnie omówił bieżące sprawy z Pringle'em, Slaterem i Reginaldem, tak by codzienna działalność biura toczyła się gładko. Kiedy pracownicy oddalili się do swych biurek, odwrócił się do Violet i odkrył, że nadal marszczy brwi, choć tak, jakby błądziła myślami gdzieś daleko.

– O co chodzi?

Niedawno dowiedzieli się, że Violet oczekuje ich pierwszego dziecka, toteż każda zmarszczka na jej czole czy krzywa mina przyprawiały Montague'a o ucisk w piersi.

Podniosła nań wzrok, skoncentrowała się… i jej mars roztopił się w słodkim, łagodnym uśmiechu.

– Nic z tych rzeczy, czuję się doskonale i powiedziałabym ci, gdyby było inaczej. – Mars powrócił. – Myślałam o tym nowym śledztwie. Kim są ci profesjonalni poszukiwacze? Czy moglibyśmy w jakiś sposób – wykonała nieokreślony gest – ich przekabacić? Nakłonić, żeby świadczyli przeciw Percivalowi, przynajmniej potwierdzając, jakie rozkazy im wydał?

Uspokojony w kwestii zdrowia Violet i swego dziecka – swego d z i e c k a, którego to słowa nigdy nie spodziewał się użyć w takim kontekście – Montague zastanowił się, a później skrzywił.

– Nie, jakoś tego nie widzę. Jeśli spróbujemy się do nich zbliżyć, może to odnieść odwrotny skutek: jest bardziej prawdopodobne, że powiadomią Percivala, iż ktoś wypytuje o jego sprawy, niż że nam pomogą. –

Popatrzył Violet w oczy. – Sukces tego rodzaju profesjonalistów, czy to wywiadowców, czy egzekutorów, czy też tak zwanych tropicieli… ludzi, którzy znajdują innych za pieniądze… zależy ściśle od ich reputacji w zakresie zachowania dyskrecji. Wystarczy jedno potknięcie w tej sferze, a nikt ich już nie zatrudni… przy czym, niestety, większość takich ekip, aby przetrwać w interesie, podejmuje się głównie podejrzanych zleceń.

Violet zrobiła kwaśną minę.

– Cóż, warto było to rozważyć. No dobrze! – Otworzyła terminarz, który spoczywał na

jej kolanach.

– Masz dziś co najmniej dwa spotkania, z których się nie wywiniesz.

Montague słuchał z uśmiechem, zdając się na nią, by rozplanowała mu dzień.

*

Godzinę później Stokes ociężałym krokiem skręcił w Hertford Street i niespiesznie podążył na jej wschodni, ślepy koniec, gdzie znajdował się niewielki dziedziniec.

Niemal przy końcu ulicy, po jej południowej stronie, dwaj mężczyźni, żebracy, jeśli sądzić po nędznym przyodziewku, siedzieli na krawężniku, oparci plecami o ogrodzenie jednej z kamienic.

Rozmawiali cicho. Jedynym godnym odnotowania szczegółem w związku z nimi był fakt, że nie zostali stąd jeszcze popędzeni przez lokalnych konstabli.

Nie aż tak zaskakujące, zważywszy, że byli to właśnie lokalni konstable.

Stokes zatrzymał się przy mężczyznach. Skinieniem głowy wskazał ich regulaminowe buty.

– Ukryłbym je na waszym miejscu.

Zaczerwienili się i podkurczyli nogi, chowając buty pod długimi, brzydkimi płaszczami z ratyny.

Stokes prędko omiótł wzrokiem otoczenie. Nie wpatrywał się w żaden konkretny obiekt, niemniej potwierdził, że dom Richarda Percivala niczym się nie wyróżnia – typowy w tej okolicy szeregowy budynek. Popatrzył na swoich ludzi.

– Gdzie Philpott?

– Ma przerwę – odparł sierżant O'Donnell. – Niedługo przyjdzie, a wtedy wrócę za róg zamiatać ulicę.

Stokes skinął głową.

– Czego się dowiedzieliście?

– Wczoraj wrócił tuż przed północą. Na chwilę poszedł do jednego z pokoi na dole, potem udał się na piętro, do pokoju od frontu, na lewo od głównego wejścia, a później światła zgasły. Dziś rano zasłony odciągnięto około dziesiątej. Od tej pory ani śladu człowieka.

Stokes popatrzył na młodszego konstabla.

– A jego służba?

Morgan, o dziecinnej twarzy i sporym uroku osobistym, potrafił wyciągnąć niejedno od pomocy kuchennych, a nawet kucharek. Teraz miał nietęgą minę.

– Liczyłem, że tu opowieści się sypną, ale nie, wygląda na to, że facet ma nieliczną, dyskretną służbę. Cichy dom… tak mi gadała pomywaczka po sąsiedzku.

Stokes zmarszczył brwi.

– Żadnych wzmianek o hałaśliwych przyjęciach, orgiach, tego typu sprawach?

Morgan, w istocie starszy, niż na to wyglądał, bez rumieńca pokręcił głową.

– Ani mru-mru. Na ilem słyszał, gość mógłby być wiejskim pastorem.

Jeszcze bardziej się frasując, Stokes polecił:

– Obserwujcie dalej. Wiecie, co robić, jeśli się ruszy?

– Tak jest. – O'Donnell podniósł się ociężale. – Dwóch śledzi, jeden zawiadamia posterunek, a potem pana.

– Jeśli nigdzie nie wyjdzie, nie licząc towarzyskiego wypadu wieczorem – rzekł po chwili wahania Stokes – zajdę tu jakoś jutro i się zastanowimy.

Zobaczył, jak obaj mężczyźni walczą z impulsem, by mu zasalutować.

– Tak jest – odparli chórem.

Nie wykonując żadnego więcej gestu w ich stronę, Stokes bez pośpiechu obszedł dziedziniec i podążył z powrotem drugą stroną ulicy.

Idąc, dumał nad obrazem Richarda Percivala, jaki odmalowali jego ludzie.

Zupełnie nie takiego portretu się spodziewał.

– Z drugiej strony, jeśli cienko u niego z gotówką, może po prostu żyje tak, jak musi, nerwowo oczekując wieści.

Było to sensowne, całkowicie przekonujące wytłumaczenie. Stokes uniósł głowę, wydłużył krok i skierował się z powrotem do Scotland Yardu.

*

Później tego samego ranka Thomas wspiął się po schodach do biura Draytona, mieszczącego się na piętrze wąskiego budynku przy Threadneedle Street.

Okna biura wychodziły na ulicę. Thomas dotarł do końca korytarza, otworzył drzwi i wszedł.

Uprzedził o swoim przybyciu; pracownik za biurkiem podniósł wzrok, z rozkwitającym uśmiechem poderwał się na nogi, spiesznie wyklepał powitanie i popędził po Draytona.

Chociaż korespondowali regularnie, Thomas nie oglądał Draytona od ponad dziesięciu lat, lecz mimo to natychmiast rozpoznał mężczyznę, który w ślad za pracownikiem wyłonił się z gabinetu w głębi. Pod względem fizycznym Drayton był na wskroś przeciętny, człowiek z rodzaju tych, którzy łatwo nikną w tłumie. Ale to nie dla jego fizycznych atrybutów Thomas go zatrudnił; umysł i nastawienie Draytona dobrze harmonizowały z jego własnymi. Subtelne maniery i spokojny temperament, połączone z wnikliwością oraz niemalże obsesyjną skrupulatnością, a do tego nienaruszalna dyskrecja i gotowość, by zaufać klientowi i wypełniać jego polecenia, nie domagając się tłumaczeń, aż z nawiązką czyniły Draytona idealnym przedstawicielem biznesowym dla pana Thomasa Glendowera.

Co godne pochwały, Drayton, świadom faktu, że Thomas miał poważny wypadek, po którym latami wracał do zdrowia, ocenił jego stan jednym szybkim, lecz wnikliwym spojrzeniem, a potem z uśmiechem wyciągnął rękę.

– Panie Glendower! Jakże miło znów pana widzieć.

Uśmiechając się swobodnie, Thomas wymienił z nim uścisk dłoni.

– W istocie. Cieszę się, że mam sposobność nadrobić zaległości.

Z niejakim zdumieniem zdał sobie sprawę, że mówi szczerze. Drayton był jednym z niewielu stałych elementów w jego życiu, relacją, która przetrwała niezbrukana działaniami drugiego ja Thomasa.

– Ale proszę wejść, proszę wejść. – Drayton gestem zaprosił Thomasa do swego gabinetu. – Wnoszę, że chciałby się pan naradzić w sprawie, o wejrzenie w którą mnie pan prosił?

– Tak. – Thomas usiadł w fotelu przed biurkiem i czekał, aż Drayton zamknie drzwi i wróci na swoje miejsce, nim podjął: – Jak sądzę, w moich własnych sprawach jesteśmy na bieżąco i we wszystkim się zgadzamy. Jeśli nie wynikło ostatnio nic pilnego, sugeruję, byśmy na razie odłożyli je na bok.

Drayton kiwnął głową.

– Nie wiadomo mi o niczym, co w tej chwili wymagałoby pańskiej uwagi. Wszystkie fundusze osiągają spodziewane wyniki, wykonaliśmy też pańskie ostatnie polecenia. Jak zwykle okazały się prorocze i trafiły w doskonały moment. Pańskie finanse są w wyśmienitym stanie.

Thomas odwzajemnił uśmiech Draytona.

– Istotnie. Zatem ta druga kwestia. Sytuacja nieco się rozwinęła. Poprosiłem pana – ciągnął już bez uśmiechu – o sprawdzenie finansów Richarda Percivala, ponieważ gdzieś w nich kryje się motyw morderstwa, takie w każdym razie przekonanie żywię ja i inne osoby. Rozumiemy to tak, że Richard Percival znalazł się w palącej potrzebie finansowej i chcąc jej sprostać, musi odziedziczyć majątek ziemski zmarłego brata. W rzeczy samej mamy solidne powody wierzyć, że Percival zaaranżował morderstwo swego brata i szwagierki, by osiągnąć ów cel. Aktualnie na drodze stoi mu już tylko jego młody bratanek. – Thomas popatrzył w zaokrąglające się oczy Draytona. – Ten chłopiec, wicehrabia Seddington, przebywa obecnie pod moją opieką. Ze względu na powagę sytuacji pozyskałem do pomocy pana Barnaby'ego Adaira oraz, za jego pośrednictwem, inspektora Stokesa ze Scotland Yardu.

Drayton wyprostował się, a jego zaskoczenie ustąpiło miejsca zainteresowaniu.

Thomas przez chwilę zbierał słowa, po czym ciągnął:

– Aktualnie wszyscy prowadzimy śledztwo, każdy na swój sposób. Adair i Stokes znają się z Montagiem, z firmy Montague i Synowie, o którym z pewnością pan słyszał, i on także aktywnie się zaangażował. Do Montague'a i jego ludzi, jak również do mnie, a za moim pośrednictwem do pana i pańskiego personelu, należy ustalenie motywu Percivala. Dlaczego tak rozpaczliwie zabiega o to, by odziedziczyć posiadłość? – Zawahał się, po czym przyznał: – Mogą istnieć powody inne niż pieniądze i taką ewentualność także ktoś bada, niemniej potrzeba finansowa wydaje się znacznie bardziej prawdopodobna. – Popatrzył Draytonowi w oczy. – Zebrał pan już ogólne opinie o reputacji Percivala, ja zaś przekazałem te informacje Montague'owi. On, jak sądzę, wykorzysta własne kontakty, żeby sprawdzić to, co określiłbym instytucjonalną stroną zagadnienia: banki, przedstawiciela biznesowego Percivala, Giełdę Królewską. Możemy chyba polegać na Montague'u, że wszystko stosownie przeanalizuje i odkryje, cokolwiek będzie tutaj do odkrycia.

– Czyli być może nic. – Drayton, z chwili na chwilę bardziej zaintrygowany, nachylał się teraz ku Thomasowi, wsparty przedramionami o biurko. – Niewykluczone, że potrzeba Percivala wywodzi się z innego obszaru.

– W istocie. – Popatrzyli na siebie porozumiewawczo. – Chociaż sami nigdy nie nurzaliśmy się w takich sferach, często weryfikowaliśmy, czy nasi potencjalni sprzymierzeńcy mają z nimi coś wspólnego. W przypadku Percivala chciałbym, żeby popytał pan wśród… powiedzmy, ludzi prowadzących bardziej szemrane interesy? Proszę sprawdzić, czy natknie się pan na wzmiankę o nim w kontekście jakiegokolwiek nie całkiem jasnego przedsięwzięcia, wątpliwej inwestycji czy gry o wysokim ryzyku. Musi gdzieś istnieć powiązanie, które wiele nam ujawni, ale może ono sięgać czterech albo i więcej lat wstecz. Alternatywnie, może chodzić o trwającą, zmienną i nieustannie eskalującą sytuację, kiedy to on stale roluje długi inwestycyjne, z coraz większą desperacją, toteż proszę zarzucić sieć szeroko i nie lekceważyć żadnego związku, na jaki się pan natknie.

Zmrużywszy oczy w namyśle, Drayton kiwał głową.

– Życzy pan sobie, żebym zaczął od razu czy poczekał, co odkryje Montague? – spytał,

skupiając znów wzrok na Thomasie.

– Nie. Proszę zacząć od razu. W normalnych okolicznościach tak, prowadzilibyśmy dochodzenie sekwencjami, przechodząc od jawnych do mniej uregulowanych obszarów, lecz w tym wypadku nie wiemy, ile mamy czasu. Skoro Percival cztery lata temu był na tyle zdesperowany, by popełnić morderstwo, i od tamtej pory wytrwale ścigał bratanka, nie stać nas na to, aby ociągać się ze zdemaskowaniem go… każdy dzień jego wolności oznacza zagrożenie dla chłopca. – Thomas chwycił laskę i się podniósł. – Poinformuję Montague'a o obranym przez nas kursie.

– Tak, oczywiście. – Drayton także wstał. – Natychmiast weźmiemy się za tę sprawę.

Okrążywszy biurko, uścisnął dłoń Thomasa, a następnie otworzył drzwi gabinetu i poprowadził go przez biuro.

– Gdzie mam wysyłać raporty? – spytał, przystając przy drzwiach wyjściowych.

Thomas popatrzył mu w oczy.

– Bezpośrednio do Montague'a. Najlepiej, żeby koordynował nasze wysiłki. Jego biuro mieści się chyba przy Chapel Court.

Drayton potwierdził.

– Tak. Właśnie tam. No cóż – uśmiechnął się odrobinę zakłopotany – w królestwie finansów Montague cieszy się niemalże taką estymą jak pan.

Thomas się roześmiał.

– Nie pomyślałem… ale zapewne to prawda.

Drayton otworzył drzwi i Thomas przestąpił próg, lecz zatrzymał się jeszcze, by dodać:

– Wspomnę Montague'owi, że pozyskałem pana dla sprawy, tak by wiedział, że ma oczekiwać od pana wiadomości.

Wymienili uprzejmości – Drayton się ukłonił, Thomas skinął głową – i się rozstali.

Thomas wolno zszedł po schodach. Gdy znalazł się na chodniku, wezwał dorożkę, podał woźnicy adres i wspiął się do środka.

Usadowił się wygodnie i wykorzystał czas, kiedy pojazd toczył się w kierunku Lincoln's Inn, na refleksję nad tym, jak wyostrzyły się jego zmysły i wzrosło zaangażowanie we wszystko wokół; minęło sporo czasu, odkąd odczuwał coś takiego – napędzający go impuls, który brał się z posiadania prawdziwego celu.

Z poświęcenia się temu, by doprowadzić daną rzecz do końca, i stosownego do tego działania.

Dumał nad tą zmianą przez kilka minut, a później zwrócił myśli ku celowi podróży.

Podobnie jak Drayton, Marwell, jego prawnik, powita go z zadowoleniem i rad podejmie się każdego zadania, jakie Thomas mu zleci. Z Marwellem planował omówić kilka kwestii, nie wszystkie związane z Richardem Percivalem. Jednakże oprócz tych innych kwestii – skądinąd raczej prostych – chciał usłyszeć bezpośrednio od Marwella, co ten sądzi o Foleyu, a następnie zamierzał naświetlić mu, bardzo podobnie jak Draytonowi, jak w ich rozumieniu przedstawia się sytuacja z Richardem Percivalem, oraz zaprosić go do spekulacji na temat sztuczek prawnych, do jakich mógłby uciec się Percival, czy to żeby rzucać im kłody pod nogi, czy też wytyczyć sobie szlak do zwycięstwa.

Nie zaszkodzi zyskać pojęcie o tym, jakie inne fronty mogą się otworzyć w trakcie bitwy, do której przystąpili w celu powstrzymania, a następnie zdemaskowania Percivala i przywrócenia Williamowi pozycji należnej mu z urodzenia.

*

Ledwo co minęło południe, kiedy Barnaby i Stokes przybyli do kancelarii pana Foleya w Gray's Inn. Poranek upłynął im na przekonywaniu sędziego pokoju, aby dał im nakaz, który nakłoni Foleya do rozmowy na temat wymagających potwierdzenia szczegółów związanych z majątkiem Percivalów; z zebranych dotąd o prawniku informacji wynikało, że bez tego nakazu nie byłoby sensu składać mu wizyty.

Kancelaria Foleya zajmowała pierwszorzędne miejsce w narożniku jednego z budynków kompleksu. Poważny kancelista, uosobienie solidności i precyzji, łaskawie pozwolił im wejść. Poprosiwszy, żeby zaczekali w holu zaraz za drzwiami, oddalił się z ich biletami wizytowymi w dłoni, by poinformować przełożonego, że życzą sobie konsultacji.

Zapukał do drzwi w krótkim korytarzu na tyłach części ogólnodostępnej i wszedł. Nie wrócił od razu.

Unosząc brwi, Barnaby się rozejrzał.

– Spróbuje sobie wyobrazić, po co przyszliśmy.

Stokes prychnął.

– Ponoć on nie z tych, co regularnie miewają do czynienia z policją, jasne więc, że go to zaciekawi.

– Moim zdaniem – Barnaby zaśmiał się cicho – uzna nas raczej za piekielne utrapienie.

Drzwi się otworzyły i znowu pokazał się kancelista. Wpatrzony chmurnie w trzymane nadal w ręku bilety wizytowe, zbliżył się, podniósł wzrok i zwrócił je przybyłym.

– Pan Foley informuje, że może poświęcić panom kilka minut. Ale tylko kilka minut.

Upychając bilet z powrotem w kieszeni, Stokes uśmiechnął się zjadliwie.

– Przekonamy się.

Kancelista zerknął nań niepewnie, niemniej otworzył bramkę w niskiej drewnianej przegrodzie i gestem dał znak, by weszli. Następnie pospieszył naprzód i poprowadził ich przed oblicze przełożonego. Otworzywszy na oścież drzwi gabinetu Foleya, postąpił krok do środka, stanął bokiem i zaanonsował:

– Pan Barnaby Adair oraz inspektor Stokes ze Scotland Yardu, proszę pana.

Przechodząc, Stokes rzucił kanceliście zrezygnowane spojrzenie. Idący za nim Barnaby uśmiechnął się do mężczyzny szeroko, ale zaniechał komentarza, że takiego występu nie powstydziłby się kamerdyner jego matki.

Ostatecznie to z Foleyem przyszli się droczyć.

Ubrany w surową czerń Foley wstał z fotela za wielkim, lakierowanym na czarno biurkiem. Romboidalne szybki w oknie za jego plecami rozpraszały wlewające się tu z dziedzińca słoneczne światło. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały z niezliczonymi prawniczymi tomami, ale to właśnie biurko, i mężczyzna za nim, dominowali w tym cichym, komfortowym pomieszczeniu.

Biurko stało na tyle blisko drzwi, by pomimo blasku za plecami Foleya jego rysy dało się łatwo dostrzec. Spod gęstych, nieco zmierzwionych siwych brwi bez cienia sympatii spoglądały na przybyłych ciemne oczy. Policzki miał zapadnięte, usta wąskie. Przez chwilę w milczeniu przypatrywał się intruzom, a potem wskazał dwa fotele ustawione pod kątem do masywnego biurka.

– Spocznijcie, panowie.

Foley nie wyciągnął ręki na powitanie, lecz tylko skinął każdemu z nich głową, z rezerwą i ostrożną uprzejmością Barnaby'emu oraz nieco energiczniej Stokesowi.

Usiedli, a Foley ponownie ulokował się w swoim fotelu. Wsparł przedramiona na biurku, splótł dłonie i popatrzył najpierw na Stokesa, później na Barnaby'ego.

– Jak rozumiem, życzą sobie panowie ze mną porozmawiać… mogę spytać, na jaki temat?

Mówił chłodno, nie w sposób arogancki, lecz po prostu zgodny z prezentowanym przezeń wizerunkiem sztywnej poprawności.

Nieporuszony tym Stokes odparł:

– Przyszliśmy poprosić pana o informacje na temat majątku ziemskiego Percivalów. – Kiedy Foley otworzył usta, Stokes uniósł dłoń, by powstrzymać oczywisty protest. Sięgając do wewnętrznej kieszeni surduta, kontynuował: – Jako że rozumiemy, naturalnie, ograniczenia związane z nietykalnością klienta, uzyskaliśmy od sędziego pokoju nakaz obejmujący kwestie, o których musimy z panem porozmawiać.

Wyjął nakaz, rozłożył, zerknął na treść i podał dokument nad biurkiem.

Z pierwszymi oznakami marsa ściągającego mu białe brwi, Foley przyjął papier. Na oślep poszukał binokli, nasadził je na koniec patrycjuszowskiego nosa i skoncentrował się na oficjalnym piśmie.

Czytał je linijka po linijce. Nim dotarł do końca, na jego twarzy malował się wyraz jawnej dezaprobaty. Odłożył nakaz, przyglądał mu się przez kilka sekund, po czym podniósł wzrok na Stokesa.

– Dobrze, inspektorze. Może pan zadać swoje pytania. – Foley odrobinę uniósł głowę, subtelnie sygnalizując opór. – Jednakowoż proszę zrozumieć, że nie udzielę żadnych informacji wykraczających poza kwestie wyszczególnione w nakazie, nie oddam się też żadnym spekulacjom na temat rodu Percivalów lub posiadłości Seddington.

„Wiarygodny, niemniej sztywny konserwatysta”. Barnaby przypomniał sobie, jak Thomas podsumował reputację Foleya; wszystko, co dotąd zobaczył, począwszy od kancelarii, przez kancelistę, na prywatnym gabinecie tego człowieka i nim samym skończywszy, potwierdzało tę ocenę.

Stokes nie zareagował na deklarację Foleya od razu, lecz mierzył rozmówcę przeszywającym, choć spokojnym szarym spojrzeniem. Później wolno uniósł brew.

– Jak rozumiem, dziedzic posiadłości, William Percival, wicehrabia Seddington, jest obecnie poszukiwany, po tym jak zniknął wieczorem w dniu pogrzebu swych rodziców.

Teraz Stokes całkowicie i niezachwianie pozyskał uwagę Foleya; z twarzy prawnika nie dało się wiele wyczytać, lecz napięcie w jego ramionach, sylwetce, sugerowało, że spija z ust inspektora każde słowo.

– Nasze aktualne śledztwo – kontynuował gładko Stokes, wbijając wzrok w twarz rozmówcy – dotyczy spraw, które doprowadziły do zniknięcia chłopca, oraz tego, jakie siły, jeśli istotnie takie istnieją, uniemożliwiają mu powrót.

Foley zmarszczył brwi – autentyczna reakcja. Pokręcił głową.

– Nie rozumiem. – Znów utkwił oczy w rozmówcy. – Czy mówi pan, że William żyje i mógłby wrócić, ale… – na jego twarzy ujawniła się konfuzja – są osoby, które potencjalnie sobie tego nie życzą?

W odpowiedzi Stokes skinął głową.

Foley wziął się w garść.

– Zapewniam pana, inspektorze – przelotnie spojrzał na Barnaby’ego – i pana także, panie Adair, że wszyscy w tej kancelarii, jak również cała rodzina Percivalów, poczuliby się uszczęśliwieni powrotem Williama. Więcej, z chęcią połączylibyśmy siły i zrobili, co w naszej mocy, żeby do tego doprowadzić.

Stokes odwzajemnił spojrzenie Foleya, już nie tak chłodne i pełne rezerwy, po czym skłonił głowę na znak akceptacji.

– W takim razie, panie Foley, jako że policja pracuje obecnie nad rozwiązaniem sprawy zniknięcia Williama Percivala, z całym szacunkiem sugerowałbym, że leżałoby w interesie tak pańskim, jak i rodziny Percivalów, by pomógł nam pan na miarę swoich możliwości.

Foley stanął w obliczu wyboru mniejszego zła – czy powinien nagiąć się nieco w kwestii ujawniania informacji na temat swoich klientów i być może przyczynić tym do powrotu młodego dziedzica, czy utrzymać dotychczasowy sztywny kurs i…

– Jeśli mógłbym coś zauważyć? – odezwał się Barnaby.

– Tak? – Foley spojrzał na niego.

– Kiedy William wróci, mimo że jest małoletni, to on będzie pańskim głównym klientem, gdy idzie o mienie rodziny Percivalów i posiadłość Seddington.

Było to proste stwierdzenie faktu, ale z powodu bardzo młodego wieku Williama w czasie, kiedy Foley widział go po raz ostatni, faktu tego prawnik wcześniej tak naprawdę nie uwzględniał… Zrobił to teraz. Po kilku chwilach rysy jego twarzy się rozluźniły. Wolno przytaknął, a potem spojrzał na Barnaby'ego i skłonił głowę.

– Dziękuję, panie Adair. Bardzo istotna uwaga. – Popatrzył znowu na Stokesa i na powrót splótł dłonie. – Zatem, inspektorze, raczy mi pan przedstawić swoje pytania, a odpowiem na nie najlepiej, jak mogę, pamiętając o obowiązku zachowania dyskrecji w odniesieniu do innych moich klientów. W tej sprawie nadal podlegam ograniczeniom, reprezentuję bowiem wszystkich Percivalów, nie tylko główną linię rodu i interesy majątku ziemskiego.

– Na tym etapie nie powinno to stanowić problemu: nasze dzisiejsze pytania dotyczą Williama Percivala i posiadłości Seddington. – Stokes zajrzał do notesu, który tymczasem umieścił sobie na kolanie. – Pierwsza kwestia, którą chcielibyśmy potwierdzić, to że Richard Percival został wyznaczony na głównego opiekuna Williama, a stryj zmarłego wicehrabiego, Marmaduke Percival, na współopiekuna.

Foley przytaknął.

– Owszem, to się zgadza. – Spojrzał na Barnaby'ego. – Ale ta informacja jest powszechnie dostępna.

– Istotnie – przyznał Stokes – zastanawialiśmy się jednak, czy mógłby nam pan wytłumaczyć, dlaczego ustanowiono opiekuna głównego i współopiekuna.

Przez chwilę Foley wyraźnie się zastanawiał.

– Zmarły wicehrabia, Robert Percival – rzekł w końcu – był w pełni świadom niedostatków pewnych członków swojej rodziny, stąd też, nader mądrze w moim mniemaniu, nalegał na dwóch opiekunów.

– Czyli do wyznaczenia dwóch opiekunów doszło – odezwał się Barnaby – ponieważ Robert Percival nie ufał jednemu bądź drugiemu, w każdym razie nie całkowicie.

Patrząc na niego, Foley wolno zacisnął wargi, a później pokręcił głową.

– Nie mogę podać żadnych szczegółów na temat Richarda Percivala bądź Marmaduke'a Percivala. Obaj są moimi klientami.

Barnaby zaakceptował wyjaśnienie skinieniem głowy. Spojrzał na Stokesa.

– Nasze drugie pytanie – powiedział Stokes – odnosi się do samej posiadłości. Chcemy potwierdzić, czy majątek znajduje się w stanie nienaruszonym… Nasze kontakty doprowadziły nas do przekonania, że tak jest. Czy może pan coś do tego dodać?

Foley się zawahał.

– Wedle mojej wiedzy – rzekł, ostrożnie dobierając słowa – posiadłość pozostaje pod każdym względem nietknięta. Została zachowana w stanie takim, jak w dniu śmierci

Roberta Percivala. Choć nie mogę ujawnić żadnych szczegółów na temat osób zaangażowanych, powiem tyle, że to mądrość Roberta Percivala, który wyznaczył współopiekunów z zastrzeżeniem, że przy wprowadzaniu jakichkolwiek zmian wymagana jest zgoda ich obu, uchroniła majątek przed rozgrabieniem.

Barnaby i Stokes wymienili spojrzenia; nie liczyli, że dowiedzą się aż tyle.

– Dziękujemy – powiedział Stokes. – Zatem ostatnie pytanie. – Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Foleya. – Czy posiadłość jest ordynacją?

Prawnik przytaknął.

– Tak, niestety, praktycznie w całości.

– Zatem – upewnił się Barnaby – w przypadku śmierci Williama majątek ziemski, w całości, przeszedłby na jego najbliższego krewnego.

Z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy Foley znów potwierdził.

– W rzeczy samej, tak.

Barnaby i Stokes ponownie wymienili znaczące spojrzenia, a później wstali i podziękowali Foleyowi. Udzielił im odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie na tym etapie do niego mieli, przy czym pomimo ograniczeń, w obrębie których się poruszał, dał im więcej, niż się spodziewali.

Barnaby nie mógł się doczekać, kiedy wyjdą na zewnątrz, na zalany słońcem dziedziniec, żeby się naradzić, utrwalając sobie tym sposobem wszystko, czego się dowiedzieli, co usłyszeli. Przystanęli pod drzewem.

– Sprawdźmy, czy tak samo interpretujemy przekaz.

– Ostrożny gość: jakby nadawał szyfrem. – Stokes zatrzymał się obok niego i wystawił twarz na lekki wiatr.

Barnaby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Prawnicza profesja nie pochwala prostoty wypowiedzi. No dobrze. – Zarzucił płaszcz na ramiona.

– Po pierwsze, wiemy teraz, że Robert Percival nie ufał osobie, która w zwykłych okolicznościach zostałaby wyznaczona na jedynego opiekuna prawnego Williama, a mianowicie swemu bratu i zarazem najbliższemu krewnemu chłopca, Richardowi Percivalowi.

Stokes przytaknął.

– Ponadto – dodał – wiemy, że Foley, bez wątpienia wiarygodny i konserwatywny, a przy tym dobrze zaznajomiony z rodziną, uważa współopiekę za mądre ustalenie oraz że próby wyciągania pieniędzy z majątku dowiodły prawdziwości tego poglądu.

– Co mówi nam, że Richard Percival istotnie usiłował żerować na posiadłości, lecz ze względu na ustanowienie dwóch opiekunów… przy czym Foley pieczołowicie nam wyłożył, że każde tego rodzaju działanie wymaga zgody obu… został przed tym powstrzymany.

– Przez swego stryja, Marmaduke’a Percivala. – Wyraz twarzy Stokesa stwardniał. – Wszystko ładnie pasuje.

– Istotnie – przyznał Barnaby. – W dodatku Foley powiedział nam właśnie, że po śmierci Williama Richard Percival odziedziczy cały majątek. Zatem od początku dokładnie to było jego celem, tak jak podejrzewała Rose.

Stokes stał pod drzewem w cętkowanym cieniu i w myślach przeglądał sprawę. Poruszył się i spojrzał na Barnaby’ego.

– Jedyne, czego nadal nam brakuje, to dowód, że miał motyw: powód, dla którego musi dziedziczyć.

– Rzeczywiście. – Barnaby się skrzywił. – Niestety, nie możemy po prostu powiedzieć, że chce być bogaty.

Stokes prychnął.

– Racja. Zatem wrócę sprawdzić, czy ludzie obserwujący jego dom mają dla mnie coś ciekawego.

– A ja – rzekł Barnaby – zrobię chyba rundkę po klubach i posłucham, czy gdzieś nie szepcą o Richardzie Percivalu i jego palącej potrzebie gotówki.

Ramię w ramię niespiesznie opuścili dziedziniec, po czym zawołali dwie dorożki. Pomachawszy sobie wesoło na pożegnanie, ruszyli każdy w swoją stronę.

*

Thomas zachowywał ostrożność, gdy kuśtykał po bujnych trawnikach królewskich ogrodów w Kew; przy odrobinie nieuwagi koniec jego laski przebiłby gęstą trawę i zagłębiał się w miękkiej ziemi pod spodem, przez co Glendower niezręcznie straciłby równowagę.

Pomimo zapewnień Adaira co do profesjonalizmu obstawy jego żony, Thomas nie zdołał uciszyć w sobie opiekuńczych instynktów, toteż wprosił się na zaplanowaną przez Penelope i Rose wycieczkę. Ku jego niejakiej uldze, Penelope przemyślała pierwotny koncept, żeby po prostu jechać ulicami miasta i zatrzymywać się, gdzie tylko dzieci sobie zażyczą, odstępując od niego na rzecz bardziej formalnego całodniowego wypadu do Kew, na świeże powietrze.

Kiedy z utykaniem podążał za damami, podziwiając widoki, musiał pochwalić ten wybór. Wysoce nieprawdopodobne, by Richard Percival czy którykolwiek z jego sługusów wpadł na nich między rabatami, na trawnikach czy wijących się ścieżkach, a nawet wtedy, gdy zamarudzili dłużej w nowej cieplarni, podziwiając zgromadzone tam okazy w licznym gronie innych eleganckich kobiet z dziećmi.

Nie dość, że miejsce wydawało się względnie bezpieczne, to jeszcze Conner, stajenny Penelope, szedł niespiesznie przodem, James, lokaj, trzymał się blisko swej pani, natomiast Phelps, stangret, kroczył za Thomasem, ubezpieczając tyły.

Thomas przystanął w cieniu drzewa. Przed nim damy skorzystały z wolnej ławki, chroniąc delikatną cerę pod rozłożonymi parasolkami. Dzieci – nie tylko Homer i Pepi, ale także synek Penelope i Barnaby'ego, Oliver, żywotny brzdąc, nadal nie całkiem pewnie trzymający się na pulchnych nóżkach – usadowiły się na trawie przed ławką, otaczając kręgiem Hettie, piastunkę Olivera.

Hettie wyjęła z kieszeni fartucha zestaw do gry w hacele, a Homer i Pepi natychmiast się na niego rzucili. Później uzmysłowili sobie, że Oliver także chce grać, i wkrótce hałaśliwa zabawa toczyła się w najlepsze, pełna przesady i błazeństw, mających rozśmieszyć malca.

Z dłońmi splecionymi na rączce laski, Thomas stał i obserwował, aż nagle zdał sobie sprawę, że szczerzy zęby w uśmiechu.

Phelps podszedł, przystając obok niego. Skinieniem głowy wskazał grupkę na trawie.

– Wygląda, że nieźle się bawią.

– O tak.

Thomas uświadomił sobie, że nie słyszał jeszcze, by dzieci śmiały się tak swobodnie. Nawet na pokładzie *Andovera* w pewnym stopniu zachowywały czujność, ostrożnie odnosiły się do otaczających je osób. Tutaj, strzeżeni przez ludzi Penelope, z Hettie tuż

obok oraz Rose i Penelope w pobliżu, gdy w polu ich widzenia znajdowały się wyłącznie inne matki z dziećmi, Homer i Pepi wreszcie rozluźnili się na tyle, by śmiać się bez cienia troski…

Zdecydował, że może wybaczyć Penelope spojrzenie – pełne o wiele za daleko idącego zrozumienia – które posłała z ukosa w jego stronę, kiedy, jeszcze w hotelu, zadeklarował, że do nich dołączy.

Po jakimś czasie, gdy powab gry przygasł, grupa wstała i niespiesznie podążyła dalej. Zmęczony towarzystwem malca i kobiet, Homer pozostał w tyle, żeby zrównać się z Thomasem.

– Zastanawiałem się – zagaił – jak udaje im się ogrzać cieplarnię. – Podniósł wzrok na Thomasa.

– Nie widziałem tam kominków.

– Para – odparł z uśmiechem Thomas. – Czytałem, że to miejsce jest ogrzewane przez opatentowany system metalowych wężownic rozprowadzających parę.

Usta Homera uformowały „O”.

– Sam budynek wydawał się bardzo szlachetny, jeśli wiesz, o co mi chodzi – powiedział kilka kroków później chłopiec.

Thomas błysnął zębami w uśmiechu.

– Masz dobre oko. Zaprojektował go Nash, architekt królów. Właściwie zaprojektował dwa pawilony dla Buckingham House, ale król posłał jeden z nich do tych ogrodów, przypuszczalnie chcąc uhonorować swego ojca, który uwielbiał tutaj spacerować. A kolejny słynny architekt, Wyatville, pracował nad przekształceniem pawilonu w cieplarnię.

Po kilku krokach Homer znów na niego spojrzał.

– Gdzie się uczysz takich rzeczy? O parze i tych budynkach?

– Przeważnie z gazet. Mam dobrą pamięć.

Homer wbił wzrok przed siebie; zbliżali się do bramy i szerokiej alei, przy której czekał na nich powóz.

– Ja też mam dobrą pamięć. Może powinienem zacząć czytać gazety?

Thomas popatrzył w oczy chłopca.

– Jeśli chcesz – odparł po krótkim wahaniu – kiedy rano skończę przegląd prasy, mogę ci je przekazywać.

Homer przytaknął.

– Chciałbym.

Ujął Thomasa pod ramię i skierowali się w stronę pojazdu.

*

Jechali z powrotem do Londynu w żwawym tempie. Usadowiona obok Penelope, mając naprzeciw Thomasa, Homera i Pepi, Rose czuła się bardziej zadowolona, bardziej odprężona niż kiedykolwiek w ostatnich latach.

Całe popołudnie i o nic nie musiała się martwić. Co więcej, potrzeba troskania się, towarzyszący jej stale przez minione cztery lata niepokój, w trakcie spędzonych w ogrodach godzin uniosły się z jej barków. Odpuściły.

Ten ciężar powróci teraz, kiedy wjeżdżali znów na ulice Mayfair, gdzie za każdym rogiem mogli znaleźć się twarzą w twarz z Richardem Percivalem, jednym z jego przyjaciół albo kimś, kto znał Rose i dzieci na tyle dobrze, by rozpoznać ich

i poinformować o tym Richarda, jednak przez ostatnie godziny… oddychała swobodnie, lekko. Przez ostatnie godziny niczym się nie frasowała.

A chociaż sugestia wyszła od Penelope i strzegła ich jej obstawa, podziękowania za ten czas nieskomplikowanej przyjemności należały się przede wszystkim Thomasowi. Fakt, że im towarzyszył, że był tam, on, któremu ufała – bardziej niż komukolwiek innemu – że zapewni bezpieczeństwo jej i dzieciom, ostatecznie przesądził o tym, że odpuściła i po prostu cieszyła się kwiatami, widokami i zapachami, w pełni oddała rozrywkom.

Patrzyła na niego na siedzeniu naprzeciw, czekając, by pochwycić jego spojrzenie, a potem się uśmiechnęła – z wdzięcznością, w podziękowaniu.

Kątem oka Penelope spostrzegła uśmiech Rose. Zerknąwszy szybko naprzeciw, odnotowała, że Thomas uśmiecha się w odpowiedzi, po czym udała, że niczego nie zauważyła, i obojętnie powędrowała spojrzeniem dalej, choć w duchu triumfowała.

Byli tacy… związani. Sama połączona silną więzią z Barnabym, rozpoznawała oznaki; takie wymiany uśmiechów mnóstwo ujawniały. Niemal równie dużo, jak naleganie Thomasa, by dziś do nich dołączyć, podczas gdy każdy zdrowy na umyśle dżentelmen szukałby wymówki, żeby trzymać się jak najdalej.

Bacząc, by nie ujawnić zachwytu – nie uważała siebie za swatkę, lecz wywodziła się przecież z długiej linii matron, których zasadniczym celem w życiu było aranżowanie małżeństw, zatem to jej zainteresowanie aż tak nie zaskakiwało – kiedy powóz zatrzymał się przed hotelem, uprzejmie odrzuciła zaproszenie na popołudniową herbatę.

– Mam kilka spraw do załatwienia.

Ze stosowną łaskawością przyjęła podziękowania Rose, Homera, Pepi i wreszcie Thomasa, a kiedy tamci bezpiecznie weszli do hotelu, siadła ze zmarszczonymi brwiami.

– Proszę pani? – zawołał Phelps, unosząc klapę w dachu. – Dokąd teraz?

Penelope zmierzyła wzrokiem Olivera, śpiącego głęboko w ramionach Hettie, a następnie podniosła wzrok.

– St. Ives House – poleciła. – Potem ty i Conner odwieziecie Hettie i Olivera do domu, a James zaczeka i wrócę pieszo w jego asyście.

Phelps zawahał się, lecz później ze słowami „Tak, proszę pani” opuścił klapę.

Penelope oparła się wygodnie, radośnie niecierpliwa; St. Ives House znajdował się tuż za rogiem, tam zaś, przy odrobinie szczęścia, otrzyma nie tylko popołudniową herbatę, ale i informacje.

*

Kiedy nieoceniony Webster wpuścił ją do St. Ives House i Penelope zapytała o możliwość wypicia popołudniowej herbaty w towarzystwie jego pani, nie zdziwiła się, gdy skierował ją do saloniku na tyłach domu.

Zastała tam swobodne żeńskie zgromadzenie. Jak na to liczyła, Honoria, księżna St. Ives, gościła dwie żony kuzynów swego męża, Patience, żonę Vane’a Cynstera, oraz Alatheę, żonę Gabriela Cynstera. Jako że wszystkie ich dzieci były w szkołach lub na uniwersytetach, trzy eleganckie matrony często spędzały wspólnie czas. Teraz, kiedy ostatnia z dziewcząt Cynsterów wyszła za mąż, a w kolejnym pokoleniu nikt nie osiągnął jeszcze wieku uprawniającego do wstępu na małżeński rynek, brakowało im motywacji, by trzymać rękę na pulsie życia towarzyskiego. Chociaż musiały pozostać w mieście, żeby wspierać mężów w ich politycznej i biznesowej działalności, urządzać w ich imieniu proszone obiady, wieczorki i sporadycznie bardziej formalne przyjęcia względnie wraz

z nimi uczestniczyć w takich rozrywkach, na co dzień życie trzech dam nie było już takim gorączkowym pasmem wydarzeń towarzyskich jak dawniej.

Kiedy Penelope dziarskim krokiem weszła do pokoju, trzy głowy zwróciły się w jej kierunku.

Na pierwszy rzut oka rozpoznając miłą rozrywkę, matrony uśmiechnęły się radośnie.

– Witaj, Penelope. – Honoria wyciągnęła rękę.

Penelope uścisnęła palce księżnej i nachyliła się, by pocałować ją w nadstawiony policzek.

– Dziękuję. – W ten sam sposób przywitała się z pozostałymi. – Miałam nadzieję, że zastanę tutaj przynajmniej was trzy.

– Aha! – Patience uśmiechnęła się szeroko, puszczając przybyłą. – Czyli faktycznie masz do nas sprawę, możemy w czymś ci pomóc.

Penelope przytaknęła i usiadła na szezlongu obok Alathei.

– Jak z pewnością wiecie, wszystkie starsze damy udały się na wieś. Nawet moja mama wyjechała do Calverton Chase, żeby bawić się z dziećmi Luciena i Amelii, przy czym Amanda, Martin i ich młodsze latorośle także tam goszczą… mama zamierza nacieszyć się nimi, dopóki są małe, tak w każdym razie twierdzi. Zatem pod nieobecność bardziej doświadczonych konsultantek, niniejszym zwracam się do was. – Zdejmując rękawiczki, dokonała inspekcji ciastek na kilkupoziomowej paterze, która stała na niskim stoliku przed szezlongiem.

Alathea się zaśmiała.

– Postaramy się sprostać standardom starszyzny, ale chyba żadna z nas nie ośmieli się twierdzić, że dysponuje tak wszechstronną wiedzą.

Nachylając się, żeby nalać Penelope herbaty, Honoria prychnęła.

– Szczerze wątpię, czy którakolwiek z nas zdoła kiedyś dorównać Therese Osbaldestone… albo Helenie. – Podała filiżankę Penelope, zawahała się, po czym z uśmiechem wniosła poprawkę: – Być może z wyjątkiem ciebie, Penelope, kochanie.

Roześmiawszy się na widok uniesionych brwi i sceptycznej miny gościa, Honoria odchyliła się na oparcie.

– Ale pytaj, postaramy się jak najgodniej zastąpić nieobecne.

Penelope skinęła głową i napiła się herbaty.

– Rodzina Percivalów. Wicehrabiowie Seddington, z Seddington Grange w Lincolnshire. Robert, poprzedni wicehrabia Seddington, zginął w wypadku na jachcie cztery lata temu, a jego syn i dziedzic zniknął w nocy zaraz po pogrzebie.

– O tak. Pamiętam. – Patience wyglądała na zaintrygowaną. – Wynikła z tego nie lada wrzawa… taka gotycka historia… ale na ile sobie przypominam, rzecz rozegrała się w lecie, zatem do czasu, gdy towarzystwo zebrało się znowu we wrześniu, wieści już się zestarzały.

Penelope przytaknęła.

– Interesuje mnie wszystko, co możecie mi powiedzieć na temat młodszego brata zmarłego wicehrabiego, Richarda Percivala.

– Hm – zadumała się głośno Alathea, niemniej dwie pozostałe matrony także ściągnęły brwi w namyśle.

– Spotkałam go na gruncie towarzyskim – odezwała się jako pierwsza Honoria – ale tylko przelotnie. Wiekiem wypada pomiędzy nami a tobą, trzydzieści parę lat… – Skoncentrowała się na Penelope. – W zasadzie musi być mniej więcej rówieśnikiem Barnaby’ego. Jak rozumiem, Barnaby go nie zna?

Penelope zanotowała w myślach, żeby zadać mężowi to konkretne pytanie, ale…

– Chyba nie obracają się w tych samych kręgach.

Patience sapnęła.

– Nawet by pasowało. Richard Percival to ten typ, przed którym wszystkie rozsądne matki przestrzegają swoje córki, bo już samo patrzenie na niego grozi zadurzeniem się po uszy.

– A jakże! – Alathea odwróciła się do Penelope. – Jak przez mgłę pamiętam Roberta Percivala… starszy od nas, przystojny mężczyzna. Za to jego młodszy brat jest mężczyzną n i e b e z p i e c z n i e przystojnym.

Penelope się wyprostowała.

– Niebezpiecznie w jakim sensie?

Honoria machnęła ręką.

– Brunet, ciemnoniebieskie oczy… nieco ciemniejsze nawet niż u Richarda czy Alasdaira… twarz upadłego anioła, same pociągłe płaszczyzny i kwadratowy podbródek, a do tego wysoka, smukła sylwetka jeźdźca. – Honoria uwięziła wzrok Penelope. – Tańczy jak marzenie, ma ekstremalnie nienaganne maniery, nosi się elegancko, lecz odrobinę niedbale, oczaruje każdego. W tym sensie niebezpieczny.

– A gdy idzie o mężczyzn w ten sposób niebezpiecznych – zauważyła Patience – rozmawiasz z niekwestionowanymi znawczyniami.

Wszystkie cztery się roześmiały, potem jednak Penelope pociągnęła kolejny łyk herbaty i wróciła do sedna.

– Muszę wiedzieć… z braku lepszego sformułowania… czy ma ciemniejszą stronę.

– Czy mógłby okazać się łotrem? – Alathea zwęziła oczy.

Penelope przytaknęła.

– Wolę nie mówić wam, o co go podejrzewamy, ponieważ chciałabym uzyskać waszą bezstronną opinię.

Trzy matrony zamilkły, ewidentnie przeglądając swoje wspomnienia na temat Richarda Percivala. Penelope pogryzała ciastko i czekała cierpliwie.

W końcu Honoria zaczerpnęła powietrza i wymieniła spojrzenia najpierw z Patience, potem z Alatheą.

– Nie mam pojęcia – rzekła – dlaczego sądzicie, że może być zamieszany w coś… niehonorowego, ale, moim zdaniem, nie. To nie ten typ. – Popatrzyła Penelope w oczy. – Owszem, jest niebezpieczny, lecz w taki sam sposób, jak kiedyś Diabeł… czy dowolny z pozostałych Cynsterów.

Alathea jej potakiwała.

– W taki sam sposób, jak dawniej Chillingworth i, skoro już o tym mowa, Luc, a nawet Martin.

– Zgadzam się. – Patience nachyliła się do przodu. – I właśnie przypomniałam sobie coś istotnego. Któregoś lata jakiś czas temu, jeszcze przed śmiercią Roberta Percivala, Vane i ja odwiedziliśmy Dearne'ów… Christiana i Letitię Allardyce'ów… w ich domu w Lincolnshire. Robert Percival i jego żona… –

Patience zwęziła oczy – Corinne, tak chyba miała na imię, również u nich gościli. To było trwające tydzień spotkanie towarzyskie, a po kilku dniach przybył Richard Percival, miał dla Roberta wiadomość z Londynu. Kiedy ją dostarczył, Letitia nakłoniła go, żeby został na parę dni. Oczywiście spędzał czas głównie z mężczyznami, jednak… i do tego właśnie zmierzam… zyskałam mnóstwo sposobności, by obserwować Richarda w gronie naszych panów. A wiecie, jacy oni są: nie za dobrze radzą sobie z ukrywaniem swego nastawienia

wobec innych mężczyzn, w każdym razie nie zatają go przed nami.

Penelope w skupieniu utkwiła w niej wzrok.

– Zatem jak pozostali mężczyźni traktowali Richarda?

– Jak jednego z nich. – Patience patrzyła na nią. – Gdy chodzi o wiek, Roberta i Richarda dzieliło jakieś dziesięć lat, ale rzucało się w oczy, że są ze sobą blisko, autentycznie blisko. Co do pozostałych… Christiana, Vane'a i innych obecnych wówczas mężczyzn… bez zastrzeżeń powitali i zaakceptowali Richarda w swym gronie. – Zrobiła krótką przerwę. – Teraz, kiedy zadałaś pytanie, czy Richard Percival mógłby być łotrem, obstawałabym przy tym, że wszystko, co wtedy widziałam, co zaobserwowałam na jego temat, przemawia stanowczo przeciw takiej koncepcji.

Honoria przez chwilę przyglądała się Patience, a później pochwyciła wzrok gościa.

– Nasi panowie nie są może mistrzami intuicji, ale doprawdy nie wyobrażam sobie, by powitali w swym kręgu mężczyznę, który ma, jak to ujęłaś, ciemniejszą stronę.

– Nawet takiego, który tylko przejawia mroczne skłonności – potwierdziła Alathea.

Penelope zmarszczyła brwi. Wolno odstawiła pustą filiżankę i zrobiła niezadowoloną minę.

– Trochę to burzy moją teorię.

Pozostałe panie się roześmiały.

– Skoro już pomogłyśmy ci na miarę naszych możliwości, nie masz dla nas innych wieści? Nie nadciąga żaden skandal? – Patience gestem ogarnęła siebie i towarzyszki. – Bardzo by nam posłużyła rozrywka.

Penelope uniosła brwi.

– Mogę donieść, że poznałam nieuchwytnego pana Thomasa Glendowera.

– Tego tajemniczego filantropa? – spytała Alathea, a kiedy Penelope przytaknęła, dodała: – Wielkie nieba! Roscoe, Gabriel, Gerrard i wielu, wielu innych ustawi się w kolejce, żeby go poznać. Gdzie go spotkałaś? Jest w mieście?

Penelope zastanowiła się, nim przyznała:

– Tak, gości aktualnie w Londynie. – *Tak się składa, że tuż za rogiem.* – Ale nie bywa w towarzystwie. – Przekrzywiła głowę. – Na pewno wam powiem, jeśli ulegnie to zmianie, wątpię wszakże, by tak się stało: socjeta go nie nęci. Naprawdę jest odludkiem. – Wstała, biorąc swoje rękawiczki i torebkę. – Dziękuję wam za wnikliwe opinie. – Minimalnie zmarszczyła brwi. – Nie jestem pewna, na ile okażą się przydatne, niemniej wiedza to zawsze cenna rzecz.

Matrony pożegnały ją na siedząco.

Pomachawszy im po raz ostatni, Penelope skierowała się do wyjścia.

– I nie zapomnij! – zawołała za nią Honoria. – Jeśli pan Glendower zmieni zdanie i zgodzi się zabawić nas swoją obecnością, wydam tu dla niego obiad, tak prywatny, jak tylko sobie zażyczy.

– Przekażę mu – odparła od drzwi Penelope.

A potem uciekła.

ROZDZIAŁ 12

Dwa dni później Montague siedział za biurkiem i przeglądał skumulowane rezultaty śledztwa w sprawie finansów Richarda Percivala. Z fotela po drugiej stronie Violet analizowała wyraz jego twarzy, chłonęła niezachwiane skupienie, tak dlań charakterystyczne. Kiedy milczał, a jego spojrzenie stawało się chmurne, spojrzała na rozłożone na biurku dokumenty.

– No i? – spytała. – Co znaleźliśmy?

– Nic – niemalże warknął Montague. – Wszystko, co odkryliśmy do tej pory, wydaje się w pełni legalne. – Odchylił się na oparcie i gestem wskazał dokumenty. – Drayton, przedstawiciel Glendowera, przekazał nam zebrane do tej pory przez siebie informacje, a Marwell, jego prawnik, również przysłał wiadomość, w której wyjaśnił i rozbudował szczegóły podane Stokesowi i Adairowi przez Foleya, czym niezaprzeczalnie nam pomógł. W przypadkach takich jak ten aspekty prawne bywają najbardziej zdradliwe. Jednakowoż – Montague zaczerpnął powietrza – reasumując, nasze dotychczasowe ustalenia prezentują Richarda Percivala jako dżentelmena, który, przynajmniej aktualnie, wiedzie o wiele spokojniejsze życie, niż należałoby tego oczekiwać po mężczyźnie z jego sfery. – Montague zerknął na Violet. – A to współgra z raportem ludzi Stokesa, obserwujących Percivala. Rzadko gdziekolwiek bywa, ma nieliczną służbę i prowadzi ciche życie.

Violet przytaknęła. Nachyliwszy się, studiowała dokumenty.

– Ale czy nie znajdzie się tutaj nic choć trochę niezwykłego?

Marszcząc brwi, Montague sięgnął po binokle, które zwisały mu na wstążce na szyi.

– Jest jedna osobliwość, ale nie mam pojęcia, jak ją interpretować. – Nasadziwszy binokle na nos, wybrał plik papierów, rozłożył je, przebiegł wzrokiem i zaczął wskazywać. – Tutaj. I tutaj. I tutaj znowu. Nie ogromne sumy, niemniej znikają, wędrując nie wiadomo do kogo. Sprawdziliśmy, bank potwierdził, że płatności są dokonywane przez polecenia wypłaty przedkładane co miesiąc. Następują zbyt regularnie, żeby nie trafiały do tego samego odbiorcy, ale bank nic nam nie powie, ponieważ wypłata następuje w gotówce, a zmienność kwot sugeruje, że nie chodzi o dług *sensu stricto*, jednakże… ciągną się przez cały badany przez nas okres, sięgając przynajmniej czterech lat wstecz. – Ponownie odchylił się na oparcie i dodał: – Po zsumowaniu otrzymuje się małą fortunę, te płatności miarowo uszczuplały majątek Percivala przez co najmniej cztery ostatnie lata.

Odłożył plik kartek i wziął kolejny.

– Z drugiej strony, Percival ma stabilny portfel inwestycyjny, dość konserwatywny, jeśli już coś mu zarzucić, ale przynoszący stały dochód, przy czym na ile Gibbons, Foster i ja zdołaliśmy ustalić, nie wydaje więcej niż zarabia. Z całą pewnością nie żyje ponad stan.

– Ale dokąd idą te wszystkie pieniądze… ta mała fortuna?

Zaciskając wargi, Montague pokiwał głową.

– Oto jest pytanie.

Violet przez jakiś czas marszczyła brwi nad dokumentami.

– Czy mogłoby chodzić o hazard?

Montague otworzył usta, żeby odeprzeć sugestię, lecz się zawahał. Przez chwilę żonglował możliwościami.

– Pominąłem to – odpowiedział wreszcie, również w tonie zadumy – ze względu na fakt, że rzadko gdziekolwiek wychodzi, ale… tego rodzaju wypad mniej więcej raz na tydzień mógłby wyjaśniać to, co tutaj obserwujemy. – Zamrugał i popatrzył na zebrane dowody. – Tłumaczyłoby to też tak znaczną zmienność wypłat: jeśli gra na kredyt udzielany przez dom gry, a potem spłaca go następnego dnia lub coś w tym rodzaju… – Podniósł wzrok na żonę. – Warto sprawdzić taką hipotezę, zwłaszcza że zrobimy to bez trudu.

Zaczął porządkować biurko. Violet wstała, żeby pomóc mu ułożyć schludnie papiery po jednej stronie.

Pozostawiwszy jej dokończenie zadania, Montague położył na podkładce czystą kartkę i sięgnął po pióro.

– Tak się składa, że wiem, kogo poprosić o tego rodzaju informacje.

*

Thomas wszedł do biura Montague’a późnym popołudniem tego samego dnia.

Wczoraj, wraz z obstawą Penelope, towarzyszył jej samej, Rose i dzieciom podczas całodniowej wycieczki, kiedy to z okien powozu obejrzeli Fleet Street, Katedrę św. Pawła i Tower, a później przejechali przez most i potoczyli się wzdłuż rzeki do Greenwich. Spędzili popołudnie w tamtejszym parku, gdzie znalazło się sporo atrakcji dla Homera i Pepi. W pewnym momencie Thomas z zaskoczeniem przyglądał się, jak Conner i James uczą dzieci rozmaitych sposobów wywinięcia się każdemu łotrowi, który usiłowałby je pochwycić.

Kiedy Pepi opanowała sztuczkę, nalegała, by zaprezentować ją Thomasowi. Raz za razem. Domagała się, żeby przygarniał ją mocno do siebie, otaczając ramieniem jej chude plecy, a wtedy wiotczała i wyślizgiwała się z jego uchwytu. Ostatnią, jak zwykle skuteczną próbą pozbawiła Thomasa równowagi, wskutek czego upadł niezgrabnie na trawę – a Rose natychmiast podbiegła, z troską lśniącą w oczach i niepokojem rozlewającym się na twarzy.

Choć zaskoczony, chłonął ten widok – wart każdej kompromitacji – a później łagodził, uspokajał i przekonywał wszystkich, że absolutnie nic mu się nie stało.

Dzisiaj, kiedy Penelope zajrzała po lunchu, żeby zabrać kompanię do ogrodów Kensington, a następnie na zakupy na Regent Street, zanim wyruszą do British Museum, gdzie najwyraźniej dobrze ją znano, dzięki czemu miała wstęp w rejony zasadniczo zamknięte dla publiczności, Thomas uznał, że nie musi im towarzyszyć. Mocno się trzymał w obliczu perswazji Penelope; za pośrednictwem znajomych z muzeum dowiedziała się, że jest jednym z największych sponsorów tej instytucji, i chciała przedstawić go dyrektorom… Stłumił instynktowny dreszcz i uprzejmie, acz stanowczo odmówił.

Kiedy sapnęła i prawie spiorunowała go wzrokiem, jako usprawiedliwienie wymyślił wizytę w biurze Montague’a w celu porównania informacji finansowych.

Penelope musiała zaakceptować wytłumaczenie i, jakkolwiek niechętnie, zostawiła

Thomasa w spokoju.

Przestępując próg biura Montague'a, Thomas nie miał zatem na względzie żadnych konkretnych wytycznych dochodzeniowych. Był jednak ciekaw w czysto profesjonalnym sensie.

Wręczył swój bilet wizytowy pracownikowi, poważnemu, doświadczonemu osobnikowi, i poprosił o rozmowę z Montagiem. Mężczyzna, który zdążył już odnotować jego obrażenia, jedynie dla pewności zerknął na bilet, a potem, z ukłonem oraz „Chwileczkę, panie Glendower", pospieszył tak szybko, jak mógł to zrobić bez uszczerbku na swej godności, do drzwi prowadzących zapewne do gabinetu Montague'a.

Wrócił niemal natychmiast, a jego szef podążał za nim.

– Panie Glendower. – Montague spieszył przez biuro. – Jakże miło pana tu widzieć.

W tej sytuacji do Thomasa należało wyciągnięcie ręki na powitanie, co też płynnie uczynił.

Montague uścisnął mu dłoń, a następnie odwrócił się, wykonując szeroki gest.

– Ale zapraszam do mojego gabinetu, tam będzie nam wygodniej.

– Dziękuję.

Thomas nie spieszył się, idąc przez biuro – niekiedy jego ułomność okazywała się dobrodziejstwem; wykorzystał te chwile, żeby rozejrzeć się i poobserwować.

Otoczenie działało nań kojąco, atmosfera świata finansów współgrała z jego talentami i umiejętnościami.

W gabinecie Montague wskazał mu fotel przed biurkiem. Thomas pokuśtykał do niego; usiadłszy wygodnie, pochwycił wzrok gospodarza i się uśmiechnął.

– Pańskie biuro – ruchem głowy wskazał za drzwi, które Montague pozostawił otwarte, a za którymi trwała nieustanna aktywność – prosperuje tak dobrze, jak to sobie wyobrażałem.

Montague uśmiechnął się, ewidentnie biorąc komentarz za komplement, zresztą zgodnie z intencją Thomasa.

– A jakże. Pracujemy pełną parą, niemniej lubimy mieć zajęcie.

– Dobrze wobec tego, że znalazł pan czas na to śledztwo.

Montague zbył jego słowa machnięciem ręki.

– Nie, nie… moim zdaniem tego rodzaju wyzwania nie pozwalają spocząć na laurach i, co więcej, ukazują, jak zły obrót mogą przybrać sprawy. – Popatrzył Thomasowi w oczy. – Zdecydowanie wolę się dowiadywać, jak ludzie pakują się w finansowe tarapaty, na przykładzie innym niż jednego z moich klientów.

Thomas zaśmiał się cicho.

– Rozumiem pański punkt widzenia. – Spojrzał na stos papierów, który Montague podnosił właśnie ze skraju wielkiego biurka. – Czy to cała nasza aktualna wiedza?

– Na temat Richarda Percivala? Tak, w rzeczy samej. – Położywszy stertę na podkładce, Montague zaczął segregować kartki. – Cieszę się, że pan zajrzał, gdyż wielce bym sobie cenił pańską opinię o tym, co zebraliśmy. Ponieważ, według mnie, mamy bardzo mało, i to nawet w połączeniu z tym, co wnieśli pan Drayton i pan Marwell.

Montague podał mu plik kartek, jak się okazało, zawierający podsumowania, i splótł dłonie.

– Jest tylko jeden zestaw wydatków, które wydają się niezwykłe, ale może pan zobaczy coś, co nam umknęło.

Thomas wątpił w to, ale spojrzał. Szybko zidentyfikował wydatki, do których nawiązywał Montague; upewniwszy się, że o nie właśnie chodzi, dalej przebiegał

wzrokiem to, co nazwałby skonsolidowanym raportem z przepływów finansowych na rachunkach Richarda Percivala.

Sprawdziwszy dane dwukrotnie, Thomas westchnął, rzucił kartki na biurko Montague'a, oparł się wygodnie i popatrzył rozmówcy w oczy.

– Pomijając wspomniane wydatki, nic tu nie ma. Z tych dziwnych wypłat po dodaniu robi się niemała sumka, nie wiem jednak, jak tłumaczyć ich zmienność. Kiedy odnotowujemy je po raz pierwszy mniej więcej cztery lata temu, kwoty są znaczne i utrzymują się na takim poziomie przez kilka miesięcy, ale później zaczynają się zmniejszać, w pewnym momencie prawie do zera, po czym znów rosną i ponownie maleją.

Sięgając po zestawienie, Montague pokiwał głową.

– I tak dalej, w górę i w dół, aż do płatności z ostatniego miesiąca, która zaliczała się do tych wyższych. –

Skrzywił się. – Obracałem te liczby na wszystkie strony, szukałem w nich ukrytego kosztu jednostkowego, przepytałem pozostałych, czy nie dostrzegają jakiegoś wzoru, choćby nieoczekiwanego, ale nie. Te płatności nie przypominają niczego, co ja lub moi koledzy kiedykolwiek widzieliśmy.

– Ani ja – mruknął Thomas.

– Chyba że – Montague umieścił zestawienia z powrotem na stosie – jak naprostowała mnie dziś rano Violet, Percival regularnie grywa w karty na krechę i poczynił ustalenia z klubem, domem gry czy speluną, że będzie spłacał dług co miesiąc… co tłumaczyłoby zmienną wysokość kwot.

Thomas uniósł brwi.

– Przyznam, że ten nałóg nigdy do mnie nie przemawiał… Tracenie pieniędzy jest zupełnie nie w moim stylu.

Montague prychnął.

– W moim również nie. Jednakowoż, mam kontakty w tych sferach i… – Urwał na dźwięk otwieranych głównych drzwi, po czym wychylił się do przodu, żeby wyjrzeć z gabinetu. Z rozjaśnioną twarzą podjął: – Jak właśnie miałem powiedzieć, pchnąłem dziś z rana słówko do mojego głównego kontaktu i, jeśli się nie mylę, odpowiedź właśnie przybyła.

Wstał.

Słysząc przyjemny męski głos, którym ktoś witał się z pracownikiem, a potem zbliżające się kroki, Thomas złapał laskę, przytrzymał się biurka i także się podniósł.

Do gabinetu wszedł mężczyzna na oko dobiegający czterdziestki. Wysoki, ciemnowłosy, eleganckiej postury, ubrany schludnie, choć odrobinę nijako. Nie dżentelmen, jak poinformowały Thomasa instynkty, ale nieskrępowana pewność siebie tego człowieka, otwartość na jego twarzy i migotliwy uśmiech sugerowały, że nawykł do przestawania z takowymi i czuje się całkowicie swobodnie wśród lepszych od siebie.

– Montague. – Mężczyzna wyciągnął dłoń.

Montague uścisnął ją w sposób świadczący o przyjaźni.

– Jordanie. Dziękuję, że przyszedłeś. – Wskazał Thomasa. – Pozwól, że przedstawię ci pana Thomasa Glendowera. Jest zaangażowany w nasze najnowsze śledztwo.

Mężczyzna jednym spojrzeniem ogarnął obrażenia Thomasa, swobodnie skinął głową i wyciągnął rękę.

– Jordan Draper, panie Glendower. – Wymieniając z Thomasem uścisk dłoni, zerknął na gospodarza. – Zawsze z przyjemnością pomagamy przyjaciołom Montague'a.

Kiedy usiedli, przy czym Jordan zajął wolny fotel po tej samej stronie biurka co Thomas, Montague podjął:

– Jordan pracuje dla Neville'a Roscoe'a.

Thomas zamrugał, a potem skłonił głowę.

– Znam to nazwisko.

– Dla pewności – rzekł Jordan – jako że siedzimy tu razem, wnoszę, że mogę mówić swobodnie przy panu Glendowerze?

Montague przytaknął.

– Owszem. To właśnie pan Glendower zgłosił się do nas z tym śledztwem.

– O!

Kiedy po tym nie nastąpiło nic więcej, Thomas spojrzał na Jordana i odkrył, że mężczyzna wlepia w niego oczy, z chwili na chwilę bardziej okrągłe.

Jordan machnął ręką.

– Przepraszam, właśnie skojarzyłem nazwisko. Pan jest tym Glendowerem, człowiekiem, którego mój szef tak chce poznać. – Wbił wzrok w Thomasa. – Skoro jest pan w mieście, spotka się pan z nim, prawda? On… i Miranda, to jego żona… nigdy mi nie darują, jeśli pana nie namówię.

Zakłopotany Thomas popatrzył na Montague'a.

A ten bez większego powodzenia starał się skryć uśmiech.

– Pańska… hojność jest słynna.

– Och, oczywiście – paplał dalej Jordan. – Nie wie pan, że oprócz tego, iż jest londyńskim królem hazardu… a jako prowadzący jego księgi, zapewniam, że zasługuje na ten tytuł… pan Roscoe należy także do członków założycieli Bractwa Filantropii. On i inni o podobnych zapatrywaniach wspierają rozmaite przedsięwzięcia dobroczynne jak kraj długi i szeroki już od… no, piętnastu lat. – Popatrzywszy Thomasowi w oczy, Jordan dodał: – Pan Roscoe, a wraz z nim pozostali członkowie bractwa byliby zachwyceni, mogąc pana poznać.

– Może – odparł po krótkim wahaniu Thomas – kiedy zakończymy tę sprawę, ja zaś nadal będę w mieście, uda nam się zorganizować spotkanie.

Nie był wcale pewien, czy Thomas Glendower będzie wówczas nadal istniał, ale takie zobowiązanie wydawało się dość bezpieczne, a koncept cesarza hazardu i filantropa w jednej osobie go zaintrygował.

– Wyśmienicie! – Jordan się rozpromienił, po czym spojrzał na Montague'a. – Zdajesz sobie, naturalnie, sprawę, że w związku z tym możesz prosić szefa niemal o wszystko?

Montague się uśmiechnął.

– Będę o tym pamiętał, wracając jednak do naszego aktualnego zapytania, czy jesteś w stanie powiedzieć nam cokolwiek o długach hazardowych lub linii kredytowej niejakiego Richarda Percivala?

– Absolutnie nie chcę zgrywać tajemniczego, ale odpowiedź brzmi tak i nie. – Odchyliwszy się na oparcie, Jordan złożył palce w piramidkę, a jego twarz przybrała surowy wyraz. – Znamy Richarda Percivala, to w miarę stały klient, nigdy jednak nie sprawiał trudności. Owszem, przegrywa, jak każdy, ale, zaznaczam, gra w karty całkiem nieźle i w ogólnym rozrachunku rzadko traci dużo. Popytałem i nikt choćby nie szepnął, by kiedykolwiek grał nałogowo, to nie w jego stylu. W naszej sferze takich jak on nazywamy dyletantami, tego typu ludzie grają raczej ze względów czysto towarzyskich niż z powodu uzależnienia, nie zależy im nawet szczególnie na wygranej.

– Z naszego punktu widzenia nie brzmi to za dobrze – stwierdził Montague.

Jordan skłonił głowę.

– I zaraz będzie gorzej, przynajmniej jeśli wyobrażaliście sobie, że Percival ma problemy związane z hazardem. Wspomniałem o twoim zapytaniu szefowi, oczywiście, i on także się zdziwił. Powiedział, że chociaż znamy Percivala jako osobę wiarygodną, ponieważ to ty pytasz, powinienem poszperać głębiej. Poradził mi zwrócić się do Symondsa. – Urwał, żeby wytłumaczyć słuchaczom: – To on przejął działkę Gallaghera, kiedy staruszek opuścił ten padół.

– A Gallagher był? – Thomas uniósł brwi.

– Człowiekiem, do którego należało się udać, aby dowiedzieć się czegoś o szemranym życiu stolicy, lokalnym półświatku, jeśli tak pan woli. Gallagher sam nie grał, handlował informacjami. – Jordan zrobił krótką przerwę. – Zatem poszedłem do Symondsa i spytałem.

– I? – ponaglił Montague.

– Nic, o czym wiedziałby od razu, ale ponieważ pytałem ja, czyli też szef, Symonds się przyłożył i rozpuścił wici, a nawet podpytał zaprzyjaźnionych lichwiarzy. Godzinę temu przysłał wiadomość. Wygląda na to, że Richard Percival nie jest nikomu nic dłużny, choć od czasu do czasu grywał w podlejszych spelunkach, wówczas z większym zaangażowaniem niż znane nam z lokali szefa. Jednak i tu nikt nie słyszał, żeby był u kogoś zadłużony. Co więcej, parę tygodni temu wygrał za jednym posiedzeniem przyjemną sumkę piętnastu tysięcy. – Jordan spojrzał na Montague'a. – Jeśli więc próbujecie ustalić, skąd u Percivala nagły przypływ gotówki, znaleźliście źródło. Ale jeśli szukacie długu, to nie przy stołach gry.

Montague westchnął.

– Dziękujemy. Przynajmniej wiemy, że szukamy nie tam, gdzie trzeba.

Z gestem mówiącym „Cóż począć", Jordan wstał, a Thomas i Montague poszli w jego ślady.

Wymienili uściski dłoni i wyrazy dobrej woli, Jordan przypomniał Thomasowi o jego zgodzie na spotkanie z Bractwem Filantropii w nieokreślonej przyszłości, po czym wyszedł.

Thomas i Montague pozostali na stojąco. Kiedy tylko za młodszym mężczyzną zamknęły się główne drzwi, Thomas popatrzył na Montague'a.

– Co się stało z tymi piętnastoma tysiącami?

– Nie ma wzmianki – Montague odwzajemnił spojrzenie – że wpłynęły na którykolwiek z jego rachunków.

Thomas przemieścił dłonie na rączce laski.

– Piętnaście tysięcy to nie jest kwota, którą wkłada się pod materac.

Montague sapnął i popukał w stos papierów ze szczegółami na temat finansów Percivala.

– Zastanawiam się, czy owe piętnaście tysięcy, ich zniknięcie, wiąże się jakoś ze zmiennym, lecz nieustającym drenażem jego zasobów.

– Płaci za coś. – Thomas zmarszczył brwi. – Ale za co?

– W rzeczy samej. – Montague ruszył z powrotem do swego fotela. – Będę dalej szukał. Niekiedy wytrwałość to jedyny sposób.

Thomas przytaknął w rozkojarzeniu, a później o czymś sobie przypomniał.

– Przy okazji, Penelope zaprosiła nas dziś na obiad na Albemarle Street. Jak rozumiem, pańska żona otrzymała już wiadomość.

Z rezygnacją unosząc brwi, Montague popatrzył na Thomasa i przytaknął.

– Zatem do zobaczenia.

– Niewątpliwie. – Ze skinieniem głowy i gestem pozdrowienia Thomas skierował się ku drzwiom.

Kiedy jednak znalazł się na ulicy, przystanął, rozważając uzyskane właśnie informacje, a potem, coraz bardziej zdecydowany, podążył w kierunku Threadneedle Street. Skoro biuro Draytona mieściło się tak blisko, szansa na wykonanie ostatniego rozpaczliwego wysiłku w celu odkrycia długu, który po prostu musiał ciążyć na Richardzie Percivalu, wydawała się zbyt dobra, by ją przepuścić.

*

Był wczesny wieczór, kiedy Percival udał się na górę, żeby się przebrać. Wchodząc do sypialni, usłyszał tupot stóp na schodach, zostawił więc drzwi otwarte.

Sekundę później do pokoju wpadł jego osobisty lokaj, Wilkes, okręcił się gorączkowo i zamknął drzwi.

Zanim, marszcząc czoło, Percival zdążył spytać, o co mu, u diabła, chodzi, Wilkes popatrzył na niego z twarzą rozświetloną ekscytacją.

– Proszę pana! Widziałem ich! Tutaj! W Londynie!

Percival zamrugał.

– Co takiego?

– Nie do wiary, ale ich widziałem, na Conduit Street. Zaniosłem pańską brązową kurtkę do naprawy i wracałem, a tam oni, jak żywi, wsiadali do powozu z paroma innymi osobami.

Przez chwilę nie mógł złapać tchu. T u t a j? Ledwie śmiał żywić nadzieję. Nadal oszołomiony, pełen niedowierzania, z uwagą przyjrzał się Wilkesowi.

– Jesteś pewien? – Ale już zadając pytanie, napomniał się, że Wilkes by się nie pomylił.

Euforyczna pewność na twarzy lokaja nie przygasła, kiedy potakiwał z emfazą.

– Dobrze widziałem, proszę pana. To byli ona i chłopiec, bez dwóch zdań.

W swej gorliwości Wilkes nieomal podskakiwał.

Percival rozumiał jego reakcję; czekał – czekali – już tak długo… Stopniowo entuzjazm Wilkesa mu się udzielił. Wezbrała w nim potężna euforia. Uśmiechnął się.

– No, no, kto by pomyślał, że droga Rosalind okaże się tak… bezczelna. W Londynie, tutaj, pod samym nosem rodziny.

I w samą porę. Powód, dla którego zależało mu na śmierci Williama, z dnia na dzień stawał się bardziej naglący, wydawało się jednak, że wybawienie znalazło się na wyciągnięcie ręki.

– Istotnie, proszę pana… ale jest jeszcze coś! – Wilkes ledwie był w stanie mówić. – Chyba wiem, gdzie się zatrzymali.

Percival wbił wzrok w twarz lokaja.

– Ach tak? – Uśmiechnął się z determinacją. – Mów.

*

Zaczęli dzielić się zdobytymi na temat Richarda Percivala informacjami, kiedy tylko zebrali się w salonie przy Albemarle Street. Do czasu, gdy zasiedli do posiłku, zaprezentowali wszystkie najświeższe ustalenia, lecz za ogólną zgodą na razie nie poddali ich pod dyskusję; gdy na stole pojawiały się kolejne dania, trawili nie tylko jedzenie.

Czyjś komentarz, zwykle przejaw głośnego myślenia, ewentualnie prośba o wyjaśnienie jakiejś kwestii, na nowo napędzały ich umysły. Rose odbierała jako dziwne i zarazem pokrzepiające, że tak liczna grupa osób wspiera ją, planując, knując i aktywnie szukając sposobów, by pognębić Richarda Percivala, zdemaskować go i uwolnić Williama od zagrożenia. Wydawało się, że nikt z obecnych nie traci z oczu tego celu, nieważne, jak bardzo absorbowały bądź rozpraszały ich konkretne szczegóły.

– No dobrze. – Po deserze Penelope odłożyła serwetę obok swego talerza i omiotła wzrokiem obecnych. – Panowie, jeśli życzycie sobie brandy, możecie ją wypić w salonie, sugeruję bowiem, żebyśmy udali się tam wszyscy, streścili naszą sprawę i zdecydowali, co dalej.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Dżentelmeni oznajmili, że nie chcą przyćmiewać umysłów trunkiem, i podążyli za damami.

Kiedy tylko wszyscy usiedli, Penelope potoczyła spojrzeniem po zebranych.

– Od czego zaczniemy?

– Przejrzyjmy pokrótce nasze dowody. – Stokes umilkł na chwilę, zbierając myśli. – Po pierwsze, Robert Percival, wicehrabia Seddington, i jego żona zostali znalezieni martwi niedaleko Grimsby, zaplątani w żagle jachtu wicehrabiego. Zarazem wiadomo, że wicehrabina nigdy nie weszłaby na pokład z własnej woli. To pierwszy trop, że popełniono zbrodnię, że tych dwoje mogło zostać zamordowanych. Drugi trop to podsłuchana przez Rose rozmowa. – Stokes dalej wykładał znane im fakty, przez ucieczkę Rose aż po potencjalne przybycie do dworu wywiadowców, konkludując słowami: – Wygląda więc na to, że Richard Percival przez cały czas prowadził poszukiwania Rose i dzieci oraz że zatrudniał do tego celu profesjonalistów. – Stokes poruszył się i wyprostował. – Dzisiaj obserwacja Percivala przez moich ludzi przyniosła owoce. Do tej pory tkwił w czterech ścianach, wypuszczając się tylko wieczorami do klubu, skąd wracał prosto do domu, lecz dziś przed dziesiątą rano wybrał się do miasta, do biura człowieka nazwiskiem Curtis.

– Zatem poszukiwaczy dostarczył Curtis. – Barnaby pokiwał głową.

– Korzystałem sporadycznie z usług Curtisa. – Thomas zmarszczył brwi. – Ma reputację wysoce skutecznego, lecz działającego zawsze w granicach prawa.

Montague mu potakiwał.

– Podzielam to zapatrywanie. Curtis i jego firma są dobrze znani, mają wyrobioną pozycję.

Stokes skłonił głowę.

– Tak czy owak, do niego właśnie poszedł Percival. Spędził tam ponad pół godziny, po czym wrócił do domu.

Penelope zażyczyła sobie więcej informacji.

– Co wiemy o tym Curtisie, a konkretnie na temat tego, jak prowadzi swój interes?

– Jego firma – odparł Barnaby – specjalizuje się w odnajdywaniu ludzi, nic ponadto. Nie zatrzymują ich. Nie mieszają się. Po prostu lokalizują konkretne osoby. Najczęściej są to ukrywający się przed wierzycielami dłużnicy, ale, oczywiście, powody, dla których ten czy ów chce zniknąć, bywają różne.

– Nie mogę powiedzieć – Stokes się skrzywił – bym kiedykolwiek słyszał, że Curtis odnalazł kogoś, kto nie zasługiwał na odnalezienie, że tak to ujmę.

– Z drugiej strony – zauważył ironicznie Thomas – gdyby Curtis angażował się w tego rodzaju pościgi, zasadniczo lokalizując niewinne osoby na zlecenie łotrów, czy koniecznie by pan o tym wiedział?

– Słuszna uwaga – przyznał z grymasem Stokes.

– Trzeba też uwzględnić, że niewielu łotrów byłoby w stanie, czy choćby chciało, płacić stawki Curtisa. – Montague powiódł spojrzeniem po obecnych. – Jego usługi nie są tanie.

– Jednakże – rzekł Barnaby – nie wiemy, czy Percival korzystał z pomocy Curtisa od początku, czy też jest to nowy kontakt.

– To prawda – zgodził się Stokes. – I nie da się zaprzeczyć, że ekipa taka jak Curtisa idealnie nadaje się do tropienia zaginionego dziedzica.

– Ponadto – Thomas poruszył się, prostując słabszą nogę – jako prawny opiekun Williama, Percival z łatwością przekonałby Curtisa, że działa w sposób uprawniony.

Stokes przeniósł wzrok z Thomasa na Montague'a.

– Na czym stoimy w kwestii motywu Percivala?

Montague zrobił kwaśną minę. Zwięźle streścił informacje, które on, Drayton i Marwell wspólnymi siłami zebrali z różnych obszarów.

– Na podstawie wszystkich źródeł, do jakich uzyskaliśmy dostęp, od całkowicie jawnych po półświatek, ustaliliśmy, że Percival ma stały dochód i w zasadzie nie grywa na duże kwoty, choć sporadycznie mu się to zdarza, zawsze w podlejszych spelunkach. Ponosi wszakże pewne znaczne, jak dotąd niezidentyfikowane wydatki, które dają w sumie pokaźną kwotę, znikają z jego konta w dziwacznym miesięcznym systemie co najmniej od dnia morderstwa i niewykluczone, że są związane z obsługą długu, który pojawił się przed tą datą. Zarazem jednak te miesięczne płatności są wielce niejednolite: zaczynają się od sporych kwot w miesiącach po morderstwie, potem maleją niemal do zera, znów rosną, znów spadają, i tak przez lata. Ostatnie płatności są wysokie i rosną. Nie trzeba dodawać, że są nie do wyśledzenia. Co więcej, Percival wygrał ostatnio w karty piętnaście tysięcy funtów, ale pieniądze nie pokazały się na żadnym z jego legalnych rachunków.

Montague przerwał, zbierając myśli.

– Pozostaje nam konkluzja – oświadczył wreszcie – że może istnieć jakiś bardzo znaczny dług, który Percival zaciągnął przed morderstwem, wystarczający, by posłużyć za motyw, ale jeśli chodzi o konkrety na temat owego długu… – Odpowiedział na spokojne spojrzenie Stokesa. – Nadal nie mamy żadnych dowodów.

Stokes zmarszczył brwi, nachylił się do przodu, wsparł przedramiona na udach i splótł dłonie.

– Czyli macie dowody płatności, które mogą się wiązać z obsługą pokaźnego długu, ale samego długu nie potraficie zidentyfikować.

Thomas się poruszył.

– Co do tego, poprosiłem mojego przedstawiciela, Draytona, żeby popytał, bardzo dyskretnie, w najniższej warstwie dostawców kapitału. – Popatrzył na Montague'a. – Wśród lichwiarzy, którzy operują nawet poniżej poziomu znanego Symondsowi.

– Prawdziwi krwiopijcy – stwierdził z ponurą miną Stokes.

Thomas skłonił głowę.

– Biorąc pod uwagę osobliwość dokonywanych przez Percivala płatności, przyszło mi na myśl, że mógł wpaść w ich łapy… niektórzy są znani z tego, że żądają procenta miesięcznych dochodów dłużnika zamiast stałej kwoty.

Montague mu potakiwał.

– Słyszałem to samo i tak, mógłby to być tego rodzaju system płatności.

– Jednakowoż – ciągnął Thomas – ponieważ ani ja, ani nikt mi znany… włączając, jak

podejrzewam, nawet Symondsa… nie ma bezpośrednich kontaktów w tej nad wyraz mrocznej sferze, do zadania należy podejść z wielką ostrożnością. Odpowiedzi nie pojawią się szybko.

– Mimo to obecnie trzeba poszukać właśnie takich informacji – stwierdziła Penelope. Spojrzała na Stokesa. – Jak rozumiem, musimy udowodnić mu poważny, wiarygodny motyw lub, alternatywnie, rzeczywisty zamiar, mianowicie złapać go na gorącym uczynku.

Ponuro wykrzywiając wargi, Stokes przytaknął.

– Przy obecnym układzie… tak, w tym rzecz.

– Hm… – Tym razem to Penelope się skrzywiła. Cokolwiek przygaszona potoczyła wzrokiem po twarzach wokół. – Jak już wspomniałam, kilka dni temu złożyłam po naszej wycieczce wizytę paru starszym ode mnie damom, zakładając, że będą wiedzieć więcej na temat Richarda Percivala. Wiekowe damy, na których opinii polegam zwykle w sprawach towarzyskich, bawią niestety aktualnie na wsi, jednak trzy matrony, z którymi się skonsultowałam, choć nie znały Percivala osobiście, wiedziały o nim co nieco. – Zaczerpnęła powietrza. – I muszę donieść, że w ich ocenie Percival jest… no cóż, nie łotrem. Nie ma „mrocznej strony”. Pierwsza gotowa jestem przyznać, że to nader subiektywny osąd. Zarazem wszakże takie osądy z ust takich dam rzadko dalece odbiegają od prawdy.

Barnaby odwrócił się, żeby jej się przyjrzeć.

– Mówisz, iż nie wierzą, że jest zły. Że przejawia tego rodzaju skłonności.

– Tak, właśnie tak. – Penelope westchnęła. – Poszłam do nich, spodziewając się usłyszeć, że Richard Percival to szemrana postać, człowiek, któremu osobiście by nie zaufały. Tymczasem, choć opisały go jako „niebezpiecznego” w sensie towarzyskim, uważają go za podobnego do swych mężów i przyjaciół tychże. Co nawet bardziej wymowne, są pewne, gdyż widziały sytuację na własne oczy, że ich mężowie zapatrywali się na niego w ten sam sposób: uznawali za jednego z nich.

Na ustach Barnaby’ego zagościł grymas.

– Nie odkryłem za dużo w klubach… Od śmierci brata Percival nie spędzał w nich wiele czasu. Jednak to, co usłyszałem, w znacznym stopniu potwierdza twoje wiadomości. Króluje opinia, że to zacny dżentelmen.

– Czyli pogląd towarzystwa stoi w sprzeczności z naszym zapatrywaniem, że Percival jest łotrem – powiedziała Griselda, żona Stokesa, która aż do tej pory milczała, słuchając i obserwując, ale wstrzymując się od komentarzy.

Stokes chrząknął.

– Zapewne, ale na ile możemy polegać na opinii socjety? Annały zbrodni usiane są przykładami, kiedy to ładna twarz i doskonałe maniery skutecznie przesłoniły ukrytą pod nimi czarną duszę.

– Aż nazbyt prawdziwe – potwierdził Barnaby. – Podczas gdy ogólnie rzecz biorąc, takie obserwacje mogą być wiarygodne, zawsze znajdą się wyjątki. – Uśmiechnął się blado na widok niezadowolonej miny Penelope. – Bez takich przypadków w wytwornym towarzystwie byłoby potwornie nudno.

– Z tym z całą pewnością bym się zgodził – stwierdził z ironią Thomas.

Nikomu nie umknęło, że nawiązuje do swej przeszłości, ale też w istocie dowodziła ona, że wytworne towarzystwo nie zawsze trafnie ocenia ludzi.

Penelope sapnęła, chyba jednak pogodziła się z myślą, że w tym przypadku jej informacje niczego nie rozstrzygają.

Griselda poruszyła się, przyciągając tym uwagę pozostałych.

– Zdaje się, że nie rozważyliśmy jeszcze jednej możliwości. – Popatrzyła na Montague'a, a potem na Thomasa. – Czy te zmienne miesięczne płatności dokonywane przez Percivala mogłyby być zapłatą za usługi Curtisa? – Przeniosła wzrok z jednego na drugiego. – Powiedziałeś, że zaczęły się wkrótce po morderstwie, innymi słowy, wkrótce po ucieczce Rose z dziećmi. Jeśli Percival od razu wynajął Curtisa, przypuszczalnie od tego momentu musiał mu wypłacać wynagrodzenie.

– Przy czym – dodał Stokes, wyraźnie poruszony koncepcją – miesięczne kwoty różniłyby się w zależności od tego, ilu ludzi wysłał Curtis, w jakie regiony i tak dalej.

Podobnie jak pozostali, Rose wytrzeszczała oczy na Griseldę.

Nieporuszona faktem, że wszyscy się na nią gapią, Griselda nieznacznie uniosła brew.

– Co wy na to?

Thomas zaśmiał się krótko.

– Ma pani rację. – Napotkawszy spojrzenie Griseldy, lekko się skłonił. – Jest pani naszym bezstronnym obserwatorem, jedyną tu osobą, która nie uczestniczy aktywnie w śledztwie, dzięki czemu widzi pani pewne rzeczy jaśniej niż pozostali. Rzeczywiście, ma pani słuszność: to możliwe. Ale jeśli tak jest – popatrzył na Montague'a, a potem na Stokesa – wówczas zostajemy kompletnie bez motywu.

Zapadła cisza, kiedy wszyscy próbowali to przetrawić, a potem Barnaby zmienił pozycję.

– Nie wiem, jak was, ale mnie coraz bardziej niepokoi ten brak realnych postępów. Co do sugestii Griseldy, także trochę za bardzo się spieszymy… Nie mamy powodu podejrzewać, że Percival wynajął Curtisa przed laty, a nie dopiero ostatnio, niedługo przed wizytą wywiadowców w Kornwalii. Ich przyjazd to nasz pierwszy dowód na to, że ktoś w rodzaju Curtisa został zaangażowany w sprawę. Wcześniej – wzruszył ramionami – któż to wie?

– Kto, w rzeczy samej? – Violet powiodła wzrokiem po zebranych, aż wreszcie popatrzyła w oczy mężowi.

– Istnieje jeszcze inna możliwość, której nie zbadaliśmy. Opinia socjety sugeruje, że jeśli Richard Percival jest łotrem, umiejętnie się maskuje, toteż nie powinniśmy zwracać uwagi na pozory. Co zatem, jeśli istotnie tonie w długach, tyle że zaciągnął je na inne nazwisko?

Z niezmienionym wyrazem twarzy Montague przez kilka sekund patrzył żonie w oczy, a potem westchnął i spojrzał posępnie na Stokesa.

– Jeśli rzeczywiście tak jest… a zgadzam się, że to możliwe… wówczas nasze szanse na odkrycie tego długu, niewykluczone, że zaciągniętego choćby i ponad dekadę temu, są…

– Nie zerowe, ale na tyle bliskie zeru, że nie robi to różnicy? – podsunął Stokes.

Zacisnąwszy wargi, Montague przytaknął.

– Jakkolwiek z bólem to przyznaję, owszem.

Rose spojrzała na Thomasa, ale miał równie posępny jak Montague wyraz twarzy, nic też nie powiedział.

Potoczywszy wokół wzrokiem, Rose odkaszlnęła.

– Jakkolwiek od przyjazdu do Londynu nic nie sugeruje, by ktoś chciał zaatakować Williama, muszę przyznać… – Zaczerpnęła powietrza i poczuła, że Thomas zmienia pozycję; zamknął dłoń na jej dłoni, a wtedy uniosła głowę i ciągnęła: – Że dręczy mnie coraz większy niepokój w kwestii tego, jak długo jeszcze szczęście będzie nam

dopisywać.

Zamiast oddalić jej obawy, Barnaby z powagą skłonił głowę.

– Podzielam te odczucia: mam wrażenie, że czas nam się kończy.

Stokes krótko przytaknął; na twarzy Griseldy odmalowało się współczucie.

– Mogę sobie jedynie wyobrażać twoją trwogę – oznajmiła Violet, odchylając się na oparcie – kiedy czekasz, aż w końcu coś się wydarzy.

– Istotnie – powiedziała Rose.

Ku jej niejakiemu zaskoczeniu, siedząca obok niej Penelope, która dotąd ze zmarszczonymi brwiami wbijała wzrok w dywan, westchnęła ciężko. Podniosła głowę, popatrzyła po obecnych i zrobiła kwaśną minę.

– W kwestii tego, by coś się wydarzyło, być może już tak się stało.

– To znaczy? – spytał Stokes, natychmiast czujny.

Penelope uspokajająco uniosła rękę.

– Chodzi o zdarzenie z dzisiejszego popołudnia i nie mam pojęcia, na ile okaże się ono istotne. To było, kiedy wychodziliśmy ze sklepu koronkarskiego przy Conduit Street. – Zerknęła na Rose. – Nasz ostatni przystanek, powóz czekał przy krawężniku. – Spojrzała na Stokesa. – Jakiś mężczyzna, czyjś osobisty lokaj, sądząc po ubiorze, wyszedł zza rogu, z Savile Row. Gdy nas zobaczył, zatrzymał się i zaczął gapić. Popatrzył na Rose, potem na Homera i Pepi. Byliśmy tam wszyscy, szykowaliśmy się, żeby wsiąść do powozu. Później spostrzegł Connera i Jamesa, odwrócił się i prędko odszedł. – Spojrzała znów na Rose. – Stawiałabym na to, że rozpoznał Rose i Homera. – Na powrót skierowała oczy na Stokesa. – Ale wszystko rozegrało się tak szybko, że nie wiem, czybym rozpoznała tego mężczyznę, gdybym go znów zobaczyła.

Na kilka chwil zapadła cisza, a potem Stokes wypuścił powietrze z płuc i opadł na oparcie.

– Mógłbym rzec, że fatalnie się stało, ale coś takiego było nieuniknione, a przynajmniej nic wam bezpośrednio nie groziło.

– Podejrzewam – odezwał się o wiele twardszym tonem Barnaby – że od tego momentu powinniśmy przyjąć, iż Percival wie, że Rose i dzieci są w mieście.

– Przynajmniej nie będzie się orientował, gdzie konkretnie ich szukać – zauważyła Griselda.

Kiedy w salonie rozgorzała dyskusja, Rose odwróciła się do Penelope.

– Nic mi nie powiedziałaś dziś po południu.

Penelope spojrzała jej w oczy.

– Nie chciałam cię straszyć przy dzieciach, a później… cóż, nie było sensu. Szkoda, jakakolwiek się ona okaże, już się stała. Wiedziałam, że wieczorem przyjedziesz tu z dziećmi, więc nadal będziecie bezpieczni i strzeżeni, a gdybym wspomniała ci o tym od razu… – Zaglądała jej w oczy. – Tylko dłużej byś się martwiła.

Rose nie mogła zaprzeczyć; z kwaśnym uśmiechem przyjęła tłumaczenie. Poczuła, jak Penelope ściska jej palce i krótko odwzajemniła gest, a później obie na powrót skoncentrowały się na dyskusji, do niedawna gorącej, w której jednak, jak się zdawało, właśnie osiągnięto konsensus.

– Czyli się zgadzamy – stwierdził Barnaby. – Rozproszyło nas śledztwo i zapomnieliśmy o prostym fakcie, że Rose s ł y s z a ł a, jak Richard Percival przyznaje się do morderstwa i obwieszcza, że jego kolejnym celem jest William. Właśnie owo niedwuznaczne oświadczenie rozpoczęło całą tę sekwencję zdarzeń. Ponieważ ustalanie motywu, który przywiódł go do pierwszego morderstwa, trwa zbyt długo i, w rzeczy

samej, może nigdy nam się nie powieść, nie mamy nic do stracenia, a wszystko do zyskania, jeśli obierzemy alternatywną strategię i spróbujemy udowodnić winę Percivala, potwierdzając jego zamiar wobec Williama. – Barnaby omiótł wzrokiem obecnych. – Krótko mówiąc, musimy zwabić go w pułapkę, tak by sam się obciążył.

Stokes nie zaprotestował, ale nie wyglądał na szczęśliwego.

– Schwytanie go w pułapkę – rzekł – to znaczy pochwycenie na jakiegoś rodzaju gorącym uczynku i tym samym jednoznaczne dowiedzenie jego zamiaru, może wydawać się proste, ale trzeba podejść do tego bardzo sprytnie, tak by nie miał szans wytłumaczyć swoich działań w akceptowalny sposób.

Ośmioro obecnych zamilkło, głowiąc się nad użytecznymi scenariuszami.

W końcu to Stokes, zwężając oczy, zasugerował:

– Jeśli uda nam się tak wszystko ustawić, żeby Percival pojawił się w określonym miejscu w przekonaniu, że bezprawnie pochwyci chłopca… w zestawieniu z tym, co słyszała Rose, to powinno załatwić sprawę.

– W istocie – rzekł Thomas. Rose nie odnotowała dotąd u niego równie twardego, chłodnego i nieprzejednanego tonu. Kiedy nań popatrzyła, ciągnął, ze współgrającym z tym tonem wyrazem twarzy: – Ale nie możemy narażać Homera… Williama… nawet w tym celu. Nawet po to, by zagwarantować mu ostateczne bezpieczeństwo.

Nikt się z tym nie spierał; podobnie jak Rose, wszyscy inni czekali.

Thomas zdawał się zaglądać w głąb siebie, a potem, wykrzywiając wargi w cynicznym uśmiechu, na powrót się skoncentrował i potoczył spojrzeniem wokół.

– Za sprawą mojej przeszłości świetnie sobie radzę z obmyślaniem intryg. Zatem… co powiecie na to?

Naszkicowany przez niego plan był prosty i jasny, a przy tym nietrudny do zrealizowania. Co więcej, nawet Rose dostrzegała, jak rozegra on pragnienia Richarda, w istocie bardziej wabiąc, niż jawnie wywierając nacisk.

Stokesa, Barnaby'ego i Montague'a ogarniał coraz większy entuzjazm; Violet i Penelope się ożywiły, uzupełniając intrygę o różne elementy nadające sytuacji pozory prawdopodobieństwa.

Nawet Griselda skinieniem głowy dała w końcu wyraz matriarchalnej aprobacie.

Wreszcie Thomas odwrócił się do Rose i delikatnie ujął jej dłoń.

– Możemy spiskować, planować i palić się do działania, ale decyzja należy do ciebie. – Zajrzał jej w oczy, po czym uniósł brew. – Zaufasz nam, że podołamy zadaniu?

Zaczerpnąwszy powietrza, popatrzyła po twarzach wokół, bez wyjątku pełnych zapału, lecz oczekujących na jej wyrok, a potem spojrzała znów na Thomasa, w jego oczy, i uśmiechnęła się blado.

– Tak. Oczywiście.

*

Decyzja nie nastręczyła jej trudności; Rose ufała Thomasowi – była gotowa powierzyć mu siebie i dzieci, ufała mu na każdym poziomie i pod każdym względem.

Kiedy dopracowali szczegóły planu i wszystko uzgodnili, opuścili w końcu Albemarle Street. Thomas niósł Pepi, która zasnęła zbyt głęboko, żeby ją budzić. Rose nie była pewna, czy sobie poradzi, ale bezpiecznie tulił dziewczynkę do piersi, schodząc po trzech stopniach na trotuar, a potem, nawykły już, jak się zdawało, do swej nieporadności, podciągnął się i zniknął w czekającym powozie Penelope, nawet lekko nie wstrząsnąwszy

małą.

W hotelu wniósł śpiącą dziewczynkę po schodach do apartamentu i dalej do sypialni dzieci, podczas gdy Rose sterowała w ślad za nimi sennym Homerem.

Następnie zamienili się podopiecznymi i wspólnymi siłami zapakowali dzieci do łóżek; spały już, kiedy Rose wyszła za Thomasem z pokoju i zamknęła drzwi.

Podążyła za nim do ich sypialni. Gdy przestały ją zaprzątać rzeczy do zrobienia – dzieci, którymi musiała się zajmować, rozmowy z ludźmi – jej umysł się wyciszył i na pierwszy plan przebił się narastający w niej niepokój.

Nie o Williama; chłopiec nie znajdzie się nigdzie w pobliżu zagrożenia i w trakcie całej akcji będzie pilnie strzeżony. Plan Thomasa to gwarantował.

To o Thomasa się martwiła, troska o jego bezpieczeństwo dominowała jej myśli.

Ta troska oraz perspektywa, że może go stracić.

Kiedy odwrócił się i spojrzał na nią, podeszła uśmiechnięta. Do niego, w jego ramiona.

Nieco go tym zaskoczyła, ewidentnie zastanawiał się nad jej taktyką; zwykle rozbierali się osobno. Jednak otoczył ją ramionami i zajrzał jej w twarz.

Lustrował ją chwilę, a potem odwzajemnił spojrzenie Rose i uniósł brwi.

Zaglądała mu w oczy, w krystalicznie przejrzysty melanż zieleni i złota, i zobaczyła, jak on, ten prawdziwy on, łagodny, kochający, troskliwy mężczyzna, którym był teraz, popatruje na nią z owych głębi.

– Nie chcę rozmawiać – oznajmiła po prostu.

Uwolniła ramiona i ujęła w dłonie jego szczupłe policzki, jeden idealny i chłodny, drugi pokryty węzłami blizn; to podwójne doznanie było jej teraz drogie – ściśle wiązało się z nim.

– O niczym.

Wspięła się na palce i pocałowała go – piła z jego warg, w zamian posyłając mu całe dławione dotąd pragnienie, wszystkie zbierające się, kotłujące w niej uczucia.

Kochała go już wcześniej, lecz teraz znała głębię swej tęsknoty, jej bezmiar i siłę – rzeczywistość tego, co obecnie dla niej znaczył.

Był bezpieczeństwem, namiętnością i zadziwieniem.

Był radością.

Pocałunek się pogłębił, zachęcała, przywoływała i uwolniła magię, aby porwała ich oboje.

Jak zawsze poszedł z nią, ochoczo podążając wszędzie tam, gdzie prowadziła go pośród krajobrazu namiętności i pożądania.

Przerwała gorącą grę ich ust, gdy pożądanie wzbierało ciepło pod jej skórą, a namiętność łomotała w żyłach – odstąpiła i rozebrała się… dla niego.

Trwał w bezruchu, jego pierś żywiołowo falowała, kiedy obserwował, jak ona się odsłania, złoto w jego oczach połyskiwało żarem, równie gorące jak płomienie, które narastały w jej ciele.

Naga, skąpana w lubieżnym blasku wzajemnego pożądania, wyczuwając, jak przepływa przez nią moc, wróciła do niego, wsparła dłonie na jego piersi, wyciągnęła się i rozpalonymi wargami dotknęła jego warg.

Pocałunek parzył; ich języki się splotły, płomienie strzeliły w górę, pożądanie wybuchło, gorące, ostrzejsze – bardziej natarczywe.

Przerwała pojedynek, wycofała się, odstąpiła.

Wydał nieartykułowany dźwięk i sięgnął po nią, ale złapała go za nadgarstki, uwięziła jego spojrzenie.

– Nie, pozwól mi.

Zawahał się. Niepewny patrzył jej w oczy… lecz potem wziął potężny oddech i skinął głową.

Raz. Jakby wyłącznie na tyle był w stanie się zdobyć.

Nie prosiła o więcej, lecz przystąpiła do rozbierania go. Wolno.

Napawała się nim.

Nie miała gwarancji, że ten raz nie będzie ich ostatnim, ostatnią podarowaną jej przez los szansą, by przylgnąć dłońmi do jego skóry, złożyć hołd niezaprzeczalnej sile mięśni jego torsu. Rany zniekształciły to, co niegdyś bez wątpienia było męskim ideałem; utracił symetrię kształtów, lecz w jej oczach stał się przez to jedynie piękniejszy.

Był rzeczywisty. Żaden polerowany bożek, fałszywa ikona.

Był prawdziwy. Stabilny i silny, zawsze taki, jakim się wydawał.

I to czciła. Wszystko, czym był obecnie.

Tak samo jak on zobowiązał się, nieproszony, z własnej woli, poświęcić swą wolność, przyszłość, a nawet życie, jeśli zajdzie taka potrzeba, aby ocalić Williama i ją również, tak samo ona, teraz, oddawała mu siebie.

Bez zastrzeżeń, bez zahamowań.

Bez gwarancji.

Bez myśli o jutrze.

Odłożyła na bok niepokoje i poświęciła się bieżącej chwili, jemu.

Im dwojgu.

Zaakceptował to podobnie jak ona – słuchając, jak się zdawało, raczej podszeptów instynktu, losu, niż jakiejkolwiek logiki czy świadomej myśli.

Thomas nie był w stanie myśleć, zbyt przytłoczony uczuciami. Nie wspólną namiętnością czy pożądaniem, jakkolwiek były potężne.

Wezbrała w nim i zawładnęła jego umysłem owa głębsza siła – siła, którą nadal wzbraniał się nazwać, nie potrafił bowiem uwierzyć, że dane mu będzie ją zatrzymać – nie pozostawiając mu innego wyboru, jak tylko podążać za Rose, pozwolić, by wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka.

Zatonęli w swych objęciach; patrząc na siebie szeroko otwartymi oczami, pieścili się, poznawali na nowo.

Na nowo uczyli się odkrytych wcześniej radości, oddawali im swobodnie. Namiętnie, w zatraceniu, z narastającym głodem i eskalującą potrzebą dawali i brali, dzielili.

Razem wkroczyli w rozszalałą rozkosz, namiętność uniosła ich na skrzydłach, tak intensywna, że ledwie mógł oddychać.

Nachylił głowę i ich wargi się połączyły; jego ciało wezbrało i plądrowało, jej rozkwitło w powitaniu, uczepiła się go kurczowo.

Pędzili szaleńczo w serce burzy namiętności, w górę, poza wszelkie granice, w ekstazę.

W blask owej nieuchronnej wspaniałości, gdzie ich zmysły rozpadały się na kawałki, dusze rozsypywały, aby zaraz stopić w jedno.

Tam, gdzie błogość czekała, by ukołysać ich i ukoić, wypełnić bolesną pustkę.

Tam, gdzie bliskość i poczucie wspólnoty wzbierały i przelewały się, rugując samotność dwóch niegdyś osobnych serc.

*

Później, długo po tym, jak się rozłączyli, zgasili lampę i naciągnęli przykrycia na swe

stygnące ciała, Rose leżała w ramionach Thomasa i słuchała powolnego rytmu jego uśpionego serca.

Przez długie chwile po prostu go chłonęła.

Wiedzione własną wolą, jakby instynktownie usiłowały zapisać w jej zmysłach każdy szczegół, jej dłonie delikatnie powędrowały po uszkodzonej stronie jego ciała, opuszki palców podążały tropem blizn, wszystkich węzłów, zwojów, wybrzuszeń, które znała już tak dobrze.

Te blizny wyróżniały go bardziej, niż sądził; były fizycznymi oznakami tego, jak dalece innym człowiekiem się stał. Były znacznikami jego podróży; dawały ciche świadectwo, jak mocno oddalił się od dawnej tożsamości, która w każdej chwili mogła po niego sięgnąć i kazać mu zapłacić za tamte grzechy.

A co z Rose?

Czy także miała zapłacić?

Jeśli go straci, tak właśnie będzie. I jeśli do tego dojdzie, zapłaci.

Jeżeli los wymusi na niej, by pozwoliła mu odejść, pozwoli.

Nie ze względu na nakaz losu, lecz dla niego.

Ponieważ znała jego myśli, wiedziała, jak postrzegał samego siebie; rozumiała, że musi pozwolić mu wkroczyć w niezbadany mrok przed nim – aby mógł się dowiedzieć, co leży dalej.

I tak zrobi.

Jednak dopóki nie zyska pewności, że nie ma nadziei, choćby maleńkiego jej ziarenka, dopóki po raz ostatni nie zabije dzwon, dopóty będzie walczyć i trzymać się mocno. Szansy, obietnicy.

Ich miłości.

ROZDZIAŁ 13

Wdrożyli plan kolejnego ranka.

Bez względu na to, komu złoży raport mężczyzna, który rozpoznał Rose i Williama, ryzyko, że Percival został już powiadomiony, iż chłopiec przebywa w Londynie, najpewniej w Mayfair, w zasadzie nie pozostawiało im wyboru – nie mieli czasu na dalsze śledztwo.

Gdyby Percival, jako główny opiekun Williama, dostał go w swoje ręce, uwolnienie chłopca mogłoby być trudne… Żadne z nich nie miało pewności, czy w ogóle by tego dokonali. Samo zeznanie Rose zbyt łatwo dałoby się podważyć jako histeryczne imaginacje kobiecego umysłu, osłabionego zrozumiałym smutkiem.

Stokes dotarł na Hertford Street, nim zegary wybiły ósmą, i dołączył do swojego człowieka na rogu South Audley Street. Odziany w stary surdut, aby lepiej stopić się ze swoimi ludźmi, skinął O'Donnellowi głową.

– Coś się działo?

– Nie, inspektorze. Jeszcze nie. – O'Donnell, znów ubrany jak zamiatacz ulic, oparł się na miotle. – Ale tuż przed świtaniem Morgan podkradł się i wsunął pański liścik pod drzwi wejściowe, zgodnie z rozkazem. Do tej pory pokojówki pewno już go znalazły.

Stokes przytaknął. Ich plan, jak sprowokować Percivala do działania, które dostatecznie by go obciążyło, był ekstremalnie prosty. Wspomniany liścik, dzięki uprzejmości Phelpsa, stangreta Barnaby'ego, skreślony niewyrobioną męską ręką, głosił:

Podobno chce pan zniknięcia chłopaka, Williama Percivala. Jeśli tak to pan przyniesie tysiąc funtów na schody Salisbury dzisiaj o jedenastej i gada z gościem w czapce w kratę a może pana poratujemy.

Thomas opracował tekst, wspierany radami Barnaby'ego i Montague'a. Kiedy, przeczytawszy liścik, Stokes zrobił powątpiewającą minę, Thomas zauważył, że gdyby Richard Percival był uczciwym człowiekiem, po otrzymaniu takiej wiadomości powinien po pierwsze skierować kroki do Scotland Yardu. Jeżeli zamiast tego pójdzie z gotówką na schody Salisbury, co to powie o jego motywach?

Stokes musiał się z tym zgodzić. Jeśli opuściwszy dom, Percival podąży ku schodom Salisbury, prowadzącym do wody stopniom na nabrzeżu Tamizy, i zapłaci mężczyźnie w kraciastej czapce tysiąc funtów, to tyle, wraz z zeznaniem Rose, powinno wystarczyć, by przynajmniej go aresztować. A wtedy będą mieli czas, żeby wycisnąć więcej z niego, jego służby, Curtisa i każdej innej osoby, z którą się zadawał.

Thomas. Stokes uzmysłowił sobie, że myśli o tym człowieku, używając jego imienia, nie zaś bardziej oficjalnie po nazwisku. Nie był pewien, kiedy nastąpiła ta zmiana, kiedy zaczął odnosić się do niego w sposób bardziej osobisty, niemniej odkąd ostatniej nocy widział, jak Thomas niesie małą Pepi do powozu, odnotował uśmiech, jakim zachęcał Homera – Williama – żeby podążył za nim z Rose, Stokes nie mógł wątpić

w prawdziwość uczuć tego mężczyzny wobec jego podopiecznych, podopiecznych, których nie musiał brać pod swoje skrzydła, a jednak zrobił to, ewidentnie bez wahania.

Owe uczucia, tak wyraźnie lśniące na twarzy Thomasa, były Stokesowi nader bliskie. Fakt, że Griselda, którą niełatwo było podbić i która, czego jej mąż pozostawał świadom, początkowo spoglądała na Thomasa niezwykle krytycznym okiem, przeszła już do całkowitej aprobaty dla tego człowieka – nie jego reputacji, jego działań, lecz jego samego – dodatkowo przyczynił się do zmiany i okrzepnięcia zapatrywań Stokesa.

Jak dokładnie się to zakończy, tego Stokes nie wiedział, lecz nie żywił dłużej niechęci do Thomasa. Ten człowiek zapłacił za swe dawne przestępstwa, wyczerpująco i na wielu poziomach. Jeśli los zgodził się przyznać mu drugą szansę, Stokes nie stanie temu na drodze.

Obok Stokesa poruszył się O'Donnell.

– Chyba nic się nie zdarzy, póki jaśnie pan nie raczy wstać z łóżka.

Stokes zastanawiał się chwilę, po czym wykrzywił usta w grymasie.

– Napisaliśmy na liściku „pilne", służba powinna więc uznać za wskazane, żeby położyć go na tacy ze śniadaniem i wkrótce zanieść mu do pokoju. – Wyjął z kieszeni zegarek; już piętnaście po ósmej. – Będzie musiał się ruszyć najpóźniej do dziesiątej trzydzieści, aby zdążyć na czas na schody Salisbury.

Zerknąwszy w dół ulicy, O'Donnell się wyprostował.

– O wilku mowa. Morgan dał sygnał, że u Percivala w sypialni odciągnięto story.

– Doskonale. – Stokes schował zegarek i spojrzał w głąb ulicy. Nie udało mu się wypatrzyć młodszego konstabla. – Gdzie jest Morgan?

– Na schodach do sutereny po drugiej stronie, dwa domy dalej. Zorientowaliśmy się, że tamten dom jest zamknięty, a schody do wejścia dla służby idealnie się nadają do obserwacji domu Percivala. Okoliczna służba myśli, że jesteśmy żebrakami, szukającymi miejsca, żeby się kimnąć.

– Chyba dołączę do Morgana – rzekł Stokes. – Gdzie Philpott?

O'Donnell ruchem głowy wskazał za siebie, dalej wzdłuż South Audley Street.

– Stoi na straży w zaułku za domami, na wypadek gdyby Percival poszedł tamtędy.

– Dobrze. A inni? – Stokes pchnął do Yardu polecenie, żeby przysłano mu dwóch dodatkowych ludzi, jeszcze jednego konstabla i gońca.

– Philpott wpadł wcześniej do firmy. Przekazał, że dyżurny powiedział, że tych dwóch, o których pan prosił, stawi się tu u mnie do ósmej trzydzieści.

Stokes kiwnął głową.

– Na razie zatrzymaj ich przy sobie. Kiedy tylko Percival się ruszy, pieszo czy jakimś środkiem transportu, podążymy za nim, wszyscy, ale będziemy musieli utrzymywać spory dystans.

– Tak jest, inspektorze.

Pozostawiwszy O'Donnella, by strzegł swego węgła, Stokes przeszedł na drugą stronę Hertford Street
i podążył nią niespiesznie, na pozór bezmyślnie, podczas gdy w rzeczywistości przyglądał się bacznie kamienicom po skosie. Gdy w końcu dotarł do kryjówki Morgana, w miarę pewien, że nikt go nie obserwuje, płynnie zboczył na schody do sutereny i zszedł do miejsca, gdzie Morgan przysiadł na stopniu, tak że jego głowa ledwie wystawała nad chodnik, kiedy wbijał wzrok w dom Percivala.

– Inspektorze. – Morgan posłał Stokesowi szeroki, wyczekujący uśmiech. – Wygląda na to, że wkrótce zacznie się coś dziać.

– W tym nadzieja. – Stokes kucnął, przypominając sobie, dlaczego obserwacja zalicza się do najmniej przezeń lubianych aspektów jego pracy.

Ze stanowiska Morgana mieli czysty widok na okno sypialni Percivala. Wkrótce stało się jasne, że w pokoju zapanował spory ruch, ludzie krążyli spiesznie w tę i z powrotem, zakłócając grę światła na szybie.

– No, no – wymamrotał Stokes. – Wygląda na to, że nasz liścik istotnie zmotywował go do działania. –

Umilkł na chwilę, po czym dodał: – A teraz poczekamy i zobaczymy, którędy pójdzie.

Drogą niewinnego człowieka do Yardu czy drogą mordercy ku Tamizie.

Percival zaskoczył go, nie robiąc żadnego z powyższych. Kiedy tuż po dziewiątej otworzyły się frontowe drzwi i zszedł po schodach, zaciekły i poważny, w bryczesach i butach do konnej jazdy, w rajtroku, z luźno zawiązanym fularem zamiast halsztuka oraz ciemnymi włosami zmierzwionymi, jakby przeciągnął po nich dłońmi, skręcił w prawo, stanowczym krokiem zmierzając szybko po chodniku do skrzyżowania z South Audley Street.

Morgan zmarszczył brwi.

– Trochę wcześnie jak na wyprawę nad rzekę, nie sądzi pan?

– W istocie – wymamrotał Stokes. Ale nie było za wcześnie na wizytę w Scotland Yardzie.

Akurat gdy ta myśl formowała mu się w głowie, Percival dotarł do South Audley Street. Przeszedł między budynkami a grupką trzech mężczyzn na rogu – O'Donnellem i świeżym narybkiem z Yardu – po czym skręcił na północ.

W stronę przeciwną niż Scotland Yard. I przeciwną również niż rzeka.

– Dokąd on idzie, u diabła? – Stokes zerknął na Morgana. – Chodź.

Znaleźli się na rogu akurat w porę, by zobaczyć, jak kawałek dalej Percival przywołuje dorożkę. Nie stali dość blisko, żeby usłyszeć, jakie instrukcje wydaje fiakrowi, niemniej machnął ręką na północny wschód.

Stokes natychmiast zatrzymał kolejną przejeżdżającą dorożkę.

– Morgan i Davies, ze mną! – Davies był młodym gońcem, którego zapał aż rozpierał; wręcz gryzł metaforyczne wędzidło, tak się palił, by pomknąć z wiadomością. – O'Donnell, weź Philpotta, złapcie drugą dorożkę i ruszajcie za nami z kopyta.

Morgan zajął już miejsce obok fiakra i pokazywał mu dorożkę wiozącą Percivala na północ. Stokes wskoczył do środka. Davies natychmiast wgramolił się za nim, zatrzaskując drzwi, i pojazd zaczął się toczyć.

Ufając, że Morgan nie zgubi Percivala, że nadzorowany przezeń fiakier będzie dyskretnie podążał za śledzonym, Stokes oparł się wygodnie i przyglądał mijanym ulicom, w myślach nanosząc ich trasę na mapę.

Kiedy dorożka przed nimi skręciła w prawo, w Oxford Street, i miarowo zdążała dalej na wschód, Davies nachylił się do przodu, by przyjrzeć się fasadom mijanych budynków.

– Jak pan sądzi, inspektorze, dokąd klient się wybiera? – spytał.

Stokes sam się nad tym zastanawiał.

– Może ma wspólnika. Nie wzięliśmy tego pod uwagę, ale taka sytuacja wydaje się realna.

Kwadrans później, kiedy pojazd przeciął skrzyżowanie St. Giles Circus i podążył High Holborn, minął Chancery Lane i Gray's Inn Road, Stokesa nagle olśniło.

– Jedzie do biura Curtisa. – Nachylił się, żeby przez okno spojrzeć do przodu. – To tuż przed nami, po tej stronie Holborn Circus.

Rzeczywiście, dorożka zwolniła, a potem zatrzymała się przy krawężniku. Stokes i Davies wysiedli; zapłaciwszy fiakrowi, Morgan dołączył do nich na trotuarze.

Stając twarzą do Stokesa, Morgan ruchem głowy wskazał do tyłu, na prawo od siebie.

– Widziałem, jak wchodzi do tamtego budynku.

– To biuro Curtisa. – Stokes przeczesał wzrokiem okolicę, wynajdując kilka dogodnych punktów, skąd jego ludzie mogliby obserwować budynek. – Zabierz Daviesa – zwrócił się do Morgana – i zróbcie zwiad na tyłach: sprawdźcie, czy jest tam drugie wyjście. Poczekam tutaj na pozostałych, a potem rozmieścimy się tak, by obserwować wszystkie wejścia. Zamelduj się tu u mnie z raportem.

Morgan przytaknął, ruchem głowy dał znak Daviesowi, żeby szedł za nim, i wtopił się w tłum przechodniów.

Po chwili Stokes wyjął zegarek. Właśnie minęło wpół do dziesiątej. Schował zegarek i spojrzał w kierunku biura Curtisa kawałek dalej; jeśli Percival przybył tutaj w poszukiwaniu wsparcia w trakcie spotkania nad rzeką, trochę potrwa, zanim znowu się ruszy. Stokes i jego ludzie będą mieli czas na zajęcie przyzwoitych pozycji.

Nadjechała kolejna dorożka, z której wysiadła reszta jego skromnego oddziału; funkcjonariusze nie zostali daleko w tyle, nieustannie zachowywali pojazd Stokesa w zasięgu wzroku, ale spowolnił ich ruch uliczny.

Wrócili Morgan i Davies. Ten pierwszy pokręcił głową.

– Tamtędy nikt nie wyjdzie, inspektorze. Budynek przylega od tyłu do innego, magazynu, który sprawdziliśmy. Nie ma przejścia.

Gdyby nie chodziło o Morgana, Stokes zachowałby sceptycyzm – trudno mu było uwierzyć, że Curtis nie przygotował sobie alternatywnej drogi wyjścia – niemniej to Percivala ścigali, on zaś nie miał powodów przypuszczać, że jest śledzony.

– No dobrze. – Stokes popatrzył w głąb ulicy. – W takim razie obstawimy tylko front, byle dyskretnie. Curtis nie jest głupcem, podobnie jak jego ludzie, dlatego musimy zadbać, żeby niczego nie zwąchali. Jasne?

Odpowiedziały mu potaknięcia. Stokes pieczołowicie skompletował ekipę spośród najbardziej doświadczonych i utalentowanych ludzi, jacy zajmowali się w Yardzie pracą obserwacyjną; Davies był młody i zbyt gorliwy, żeby zostawić go samego, lecz na pozostałych Stokes mógł spokojnie polegać.

Pozwolił im samodzielnie wybrać kryjówki, a potem przyglądał się, jak się rozpraszają i niespiesznie zdążają na pozycje.

Wycofał się z powrotem pod daszek trafiki, oparł plecami o ścianę z cegieł i przygarbił, jakby czekał na znajomego. U jego boku Davies nieomal dygotał.

– Chłopak, który wyszedł właśnie od Curtisa… to goniec – szepnął Davies po kilku minutach milczenia.

Akurat gdy Stokes omiatał wzrokiem ulicę, z biura Curtisa wypadł kolejny młodzieniec i pognał w ich kierunku; minął ich obu biegiem.

– Czyli Percival przybywa – mruknął Stokes – a dziesięć minut później Curtis rozsyła gońców.

Pośpiech chłopaka jakby udzielił się Daviesowi, który zakołysał się na podeszwach butów.

– Mógłbym przemknąć chyłkiem nad rzekę i powiedzieć naszym, że cel jest tutaj… Wróciłbym, zanim cokolwiek zacznie się dziać.

– Nie – uciął Stokes. Dla złagodzenia zakazu dodał: – Nie wiemy, co może się zdarzyć. Zanim tam pognasz, musimy się upewnić, że Percival zmierza nad rzekę oraz czy ktoś mu

towarzyszy.

Planował także rozkazać Daviesowi, żeby, kiedy już uprzedzi tych przy schodach Salisbury, pobiegł do Yardu i dał znać, że plan się powiódł, więc mogą się przygotować… Stokes zwiesił głowę, kiedy dwaj mężczyźni, jeden potężny i krępy, drugi minimalnie drobniejszy, przeszli szybko obok jego stanowiska.

Spoglądając z ukosa, tak by nie ruszać głową, Stokes obserwował, jak ta para dociera do drzwi biura Curtisa i znika w środku.

– Czy to byli ludzie Curtisa? – wymamrotał Davies, który, co trzeba mu przyznać, okazał się na tyle rozsądny, by w porę przybrać pozę bezmyślnego próżniaka. – Wywiadowcy?

Stokes przytaknął. Podobnie jak Thomas rozpoznawał ten typ na pierwszy rzut oka. Podwyższona czujność tych dwóch natychmiast uruchomiła w nim wewnętrzne dzwonki alarmowe.

Nie żeby wywiadowcy pracujący dla ludzi pokroju Curtisa byli niebezpieczni… albo, przynajmniej, nie z zasady. Wcześniejsze doświadczenia Stokesa na to nie wskazywały.

Kiedy przyglądał się, jak do biura wchodzą kolejni agenci, bez wątpienia wezwani przez rozesłanych wcześniej gońców, zadumał się nad tym, czy dziś jego wcześniejsze doświadczenia nie zostaną obalone. Łącznie na wezwanie Curtisa stawiło się sześciu mężczyzn.

Stokes wyjął zegarek; było dwadzieścia po dziesiątej. Zerknął w kierunku biura Curtisa; jeśli Percival chciał zdążyć na spotkanie przy schodach Salisbury o jedenastej, musiał wkrótce się ruszyć.

Dziesięć minut później otworzyły się drzwi biura Curtisa i wyszedł stamtąd Percival. Przystanął na trotuarze, gdzie dołączył do niego Curtis. Obejrzawszy się przez ramię, Percival poszedł przodem. Sprawdził, czy nic nie jedzie, przeciął ulicę, a Curtis podążył za nim.

Sześciu wywiadowców, którzy odpowiedzieli na wezwanie szefa, wyłoniło się z budynku i rozdzieliło na trzy pary, po czym ruszyło za Percivalem i Curtisem w szyku szachownicowym.

Davies podskoczył na palcach.

– Mam biec?

– Nie. – Stokes odepchnął się od ściany. – Najpierw się upewnimy.

Z dłońmi w kieszeniach, zwieszając głowę, Stokes swobodnie poszedł chodnikiem za ostatnią parą wywiadowców.

Utrzymywał dystans, korzystając z osłony licznych w tej okolicy przechodniów, na wypadek gdyby któryś z ludzi Curtisa miał wyjątkowo wyczulone instynkty.

Ludzie Stokesa stopniowo ściągali coraz bliżej, aż podążali kilka kroków za nim, tworząc luźną sieć, tak by schwytać każdego ze śledzonej grupy, kto pozostałby w tyle. Żaden tego nie zrobił i kiedy tak przemierzali ulice wiodące na południe, z lekkim odchyleniem na zachód, wkrótce stało się jasne, że Percival i Curtis kierują się ku schodom Salisbury.

Ich zwierzyna dotarła na Fleet Street, zaraz po wschodniej stronie The Temple, i skręciła na zachód; Stokes leniwie szedł jej śladem. Mężczyźni przed nim poruszali się dość swobodnie, choć w ich krokach dało się wyczuć atmosferę poczucia celu, skupienia. Zwłaszcza Percival przejawiał upartą determinację; zdawał się prawie nie widzieć ludzi wokół – stale patrzył prosto przed siebie.

Postawa idącego obok niego Curtisa wyrażała zdecydowanie mniej. Albo, być może,

trudniej było cokolwiek z niej wyczytać.

Wreszcie, gdy zbliżali się do Strandu, a Davies prawie że miotał się na niewidzialnej smyczy, ich zwierzyna dotarła do punktu, gdzie droga rozgałęziała się, by okrążyć kościół St. Clement. Percival poprowadził swoją grupę południową odnogą, na co Stokes skinieniem głowy wskazał gońcowi północną.

– Idź tędy, a miniesz ich tak, że cię nie zauważą. Najpierw do Adaira: powiedz jemu i sierżantowi Wilkesowi, że się zaczęło, a później ruszaj prosto do Yardu i zdaj raport Fergusonowi… będzie czekał na wieści.

– Tak jest! – zawołał Davies i już go nie było.

Szybkonogi, pomknął ulicą, klucząc między przechodniami; w kilka sekund zniknął Stokesowi z oczu.

Tłumiąc drapieżny uśmiech, Stokes dalej śledził Richarda Percivala.

*

Schody Salisbury były pierwszym z użytkowanych przez przewoźników zejść do wody na zachód od schodów pod mostem Waterloo. Znajdowały się przy końcu Salisbury Street, przeciętnej ulicy ze starą zabudową. U góry powierzchnię ciemnoszarych kamieni nabrzeża pokrywały porosty. Poniżej linii przypływu oblepiał ją szlam.

Siedząc w łodzi, którą okazjonalnymi ruchami wioseł utrzymywał na pozycji niedaleko schodów, Thomas mógł do woli podziwiać widoki i wdychać zapachy. Zapomniał już o tych konkretnych przyjemnościach oferowanych przez stolicę.

Ubrany był jak przewoźnik, jego zwykły strój całkowicie skrywała impregnowana peleryna, rysy ocieniał daszek naciągniętego głęboko na głowę kaptura. Rozpostarta peleryna kamuflowała także niezgrabnie wyciągniętą lewą nogę oraz laskę.

Przed nim na dnie łodzi leżał związany tłumok z poduszek, wykonany tak, by realistycznie przedstawiał Williama; Penelope i Rose pieczołowicie dopasowały jego wymiary do wzrostu i obwodu chłopca.

Dzieci, bezpieczne, przebywały pod strażą, podczas gdy Penelope i Rose czekały – bez wątpienia niecierpliwie – wraz z Montagiem w Scotland Yardzie, gotowe asystować przy mającym nastąpić przesłuchaniu. Oczywiście wszyscy zakładali, że Percival połknie przynętę.

Violet obsadzała biuro Montague’a, na wypadek gdyby pojawiły się nowe informacje. Griselda, wielce tym faktem zniesmaczona, musiała pozostać w domu z córeczką jej i Stokesa, która najwyraźniej obudziła się z przeziębieniem.

Nagle na bruku zadudniło i z cieni Salisbury Street wybiegł jakiś młodzieniec. Popędził prosto do Barnaby’ego, któremu przypadła rola mężczyzny w kraciastej czapce; ubrany w stary surdut z ratyny do prostych roboczych spodni, Barnaby wałęsał się u szczytu schodów, ewidentnie na kogoś czekając.

Młodzieniec zatrzymał się z poślizgiem.

– Idą – wydyszał. – Szef mówi, że się zaczęło. – Rozejrzał się. – Gdzie jest sierżant Wilkes?

– Tutaj, chłopcze.

Młodzieniec spojrzał w głąb wąskiego zaułka za Barnabym, spostrzegł szpakowatego sierżanta, który kucał tam w przebraniu pijaka, po czym skinął głową, nieśmiało uniósł kciuki i okręcił się na pięcie.

– Muszę uprzedzić Yard – rzucił do Barnaby’ego i wyciągając długie nogi, pomknął

brzegiem rzeki, a potem skręcił w boczną uliczkę, na zachód.

Barnaby zerknął na sierżanta, który pozdrowił go gestem i na powrót wycofał się w cień.

Odwróciwszy się, Barnaby spojrzał na Thomasa.

– Gotów?

Thomas jedynie skinął głową. O tej porze dnia niewielu przewoźników uprawiało swe rzemiosło. Przeczesawszy rzekę wzrokiem wszerz i wzdłuż, upewnił się, że żadna inna łódź nie zmierza do tych konkretnych schodów. Naparł na wiosło i posterował łodzią bliżej, aż otarła się dziobem o krawędź wąskiego kamiennego podestu u dołu schodów.

Z oddali dobiegł odgłos zbliżających się ciężkich kroków. Nie jednego, lecz kilku mężczyzn.

Zwęziwszy oczy, Thomas zerknął na Barnaby'ego – który znieruchomiał, spoglądając w głąb Salisbury Street. Upłynęła chwila, a potem Barnaby spojrzał na Thomasa i pokazał na palcach. Pięć i jeszcze trzy. Ośmiu ludzi.

Nie spodziewali się aż tylu.

W Thomasie raptownie wezbrały emocje. Ze swej jakże odległej przeszłości rozpoznawał dreszcz ekscytacji, owo radosne wyczekiwanie na rychłą satysfakcję, kiedy dobił trudnego targu albo dokonał bezprecedensowego finansowego uderzenia, lecz tym razem inne uczucia – zaskakująco potężne – zaprawiły burzliwą mieszankę. Najsilniejszy był swego rodzaju gniew – utajona furia, żarząca się jak nasączony saletrą papier, rozbudzona przez perspektywę znalezienia się wreszcie twarzą w twarz z człowiekiem, który z zimną krwią zamordował matkę Rose, Wiliama i małej Alice oraz ojca dzieci. Człowiekiem, który skradł tym trojgu tak wiele, przez którego Rose wyrzekła się losu należnego jej z urodzenia, aby zadbać o bezpieczeństwo i ocalić życie przyrodniego rodzeństwa.

Aby samej przeżyć. Thomas nie żywił złudzeń co do tego, co Percival zrobiłby Rose, gdyby kiedykolwiek ją złapał.

Słuszna furia zapłonęła i Thomas rad ją powitał – przy czym z zaskoczeniem uzmysłowił sobie, że czuł już raz coś podobnego, kiedy Charlie Morwellan nie chciał zaakceptować miłości tak hojnie ofiarowanej mu przez żonę i otwarcie przyznać przed nią, że odwzajemnia uczucie.

Wtedy wszakże jego słuszną furię podsycała głównie frustracja. Tym razem… była to ta inna emocja, uczucie, które wywoływali w nim Rose i, w nieco odmiennej wersji, także dzieci.

Właśnie dlatego dzisiejsza furia płonęła znacznie mocniej niż ta w przeszłości.

Miejskie dzwony zaczęły wybijać godzinę, a Thomasa oślepiło nagłe odkrycie. Odczuwał wszystko tak silnie – ponieważ autentycznie mu zależało.

Ponieważ oni troje byli teraz dla niego tak ważni.

Ponieważ kochał.

Z głębi Salisbury Street wyłonił się jakiś dżentelmen. Za jego plecami tupot butów zwolnił. Ze swego miejsca na wodzie Thomas widział, jak sześciu mężczyzn – sami wywiadowcy – ustawia się w wachlarz, by zablokować wylot ulicy.

Richard Percival – to mógł być tylko on – podszedł śmiało, zwężonymi oczami mierząc Barnaby'ego, jego kraciastą czapkę. Później przeniósł wzrok na łódź i Thomasa, by wreszcie utkwić go w tłumoku z poduszek.

Przystanął na długość ramienia od Barnaby'ego, ale nie oderwał oczu od udającego Williama pakunku.

W opinii Thomasa w spojrzeniu Percivala uwidaczniała się żądza.

Tuż za Percivalem niespiesznie, ze zwodniczą łagodnością zatrzymał się ciężko zbudowany mężczyzna o krótko przyciętych włosach i posturze awanturnika, ubrany w prosty, lecz dobrej jakości garnitur.

Curtis. Thomas trzymał głowę pod kątem, tak by kaptur peleryny zacieniał mu twarz. W poprzednim życiu miał parę razy do czynienia z Curtisem; istniała spora szansa, że ten nader spostrzegawczy mężczyzna by go rozpoznał, bez względu na blizny.

Curtis oszacował go wzrokiem, przy okazji mierząc też dystans do łodzi, lecz potem spojrzał na Barnaby'ego.

Thomas popatrzył na Percivala; łajdak wydawał się…

Nasunęło mu się słowo „udręczony", lecz w sercu Thomasa nie było współczucia; furia wezbrała w nim, czysta i gorąca, aż walczył, by zdusić głuchy warkot.

Tymczasem Percival taksował wzrokiem Barnaby'ego, którego Thomas by aktualnie nie poznał. Ten człowiek był istnym kameleonem; przygarbiony i niechlujny, wyglądał na niższego.

Spojrzenie Percivala przywarło do czapki w kratę na zakurzonych – szczodrze posypanych popiołem – kędziorach Barnaby'ego.

– No dobrze – odezwał się mocnym głosem Percival, całkowicie się kontrolując. – Twierdzi pan, że macie chłopca.

Barnaby zerknął na tobół u stóp Thomasa.

– Mały łobuz z niego, a jakże.

– Żyje?

Thomas zamrugał, słysząc desperację w głosie Percivala.

Barnaby zakołysał głową.

– Wiele mu nie dolega. Ma pan kasę? Tysiąc funtów albo mój kompan się zwija. – Zarechotał krótko i paskudnie.

Percival zaklął, po czym odwrócił się do Curtisa, ten zaś sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął plik banknotów i podał swemu zleceniodawcy, lecz ani na moment nie spuścił przy tym z oczu Barnaby'ego.

– Oto wasze pieniądze. – Percival wepchnął Barnaby'emu banknoty. – A teraz dajcie mi chłopca. – Odwrócił się do łodzi, znowu wbijając wzrok w spętany liną pakunek. – I lepiej dla was, żeby żył.

Ton głosu i wyraz twarzy Percivala wywołały mars na czole Thomasa, lecz Barnaby, głęboko w swojej roli, zajęty ostentacyjnym przeliczaniem pieniędzy, jedynie pokiwał głową.

– Się robi, szefie. Ino sprawdzę, czy nas pan nie wykiwał.

Odwróciwszy się nieznacznie w trakcie liczenia, Barnaby wsunął lewą dłoń do kieszeni swego koszmarnego surduta i wyjął srebrny gwizdek. Zerknął na Thomasa, uniósł gwizdek do ust i dmuchnął.

Powietrze przeszył wysoki dźwięk.

Percival podskoczył, jakby go smagnięto.

– Co u…?!

Curtis okręcił się w stronę Salisbury Street, lecz wtedy spostrzegł sierżanta Wilkesa, który wypadł z zaułka, żeby natrzeć na Percivala. Zawirował znowu, zręcznie przechwycił zwalistego konstabla, zwarł się z nim krótko i go odepchnął.

Ludzie Curtisa nie czekali na sygnał, lecz przypuścili atak na nabrzeże.

W tejże chwili z wąskich uliczek i przejść wylali się pozostali ludzie Stokesa, wszyscy

w przebraniach.

Wywiadowcy zawrócili i starli się z nimi pośród warknięć i świstu pięści.

Barnaby pędem zbiegł po schodach i wszedł na łódź, a Thomas odepchnął ją wiosłem.

Richard Percival, którego uwagę na moment zaprzątnęła szarża sierżanta Wilkesa, a potem narastająca bijatyka, okręcił się na pięcie, zobaczył… i z rykiem rzucił się schodami w dół.

Zamachnąwszy się wiosłem, Thomas odparował atak, a później łódź znalazła się poza zasięgiem napastnika.

– Oddajcie chłopca!!! – Percival zaklął. – Czego, u diabła, od niego chcecie? – Raptem spojrzał na tłumok pod innym kątem i wyraz jego twarzy się zmienił. – Czy w ogóle go mieliście?

Znów rozbrzmiał gwizdek, dwa krótkie, ostre sygnały, po których rozległ się ryk Stokesa:

– Policja!!!

Efekt był natychmiastowy. Ludzie Curtisa zamarli.

– Co?

– Policja?

Wywiadowcy, jeszcze przed chwilą bijący się zaciekle, porzucili przeciwników i odstąpili. Wolno, ewidentnie zbici z tropu widokiem oddziału żebraków, opuścili pięści.

Po kilku sekundach totalnego zaskoczenia sześciu mężczyzn zgodnie popatrzyło na Curtisa.

A ten zaprzestał walki z Wilkesem. Mimo że sierżant nadal nieustępliwie trzymał go za ramię, Curtis go zignorował i w narastającej ciszy gapił się na Stokesa. Później zerknął na Thomasa i Barnaby'ego w łodzi, a następnie przeniósł wzrok na Richarda Percivala. Na jego twarzy odmalowała się konfuzja.

– Co tu się dzieje, u diaska? – zapytał.

Richard Percival odwzajemnił jego spojrzenie z równym niezrozumieniem.

Stokes przepchnął się między stłoczonymi na nabrzeżu masywnymi postaciami. Zerknął na Barnaby'ego i Thomasa, po czym zszedł po śliskich stopniach na wąski podest, gdzie stał Richard Percival.

– Inspektor Stokes ze Scotland Yardu – przedstawił się. Spojrzał Percivalowi w oczy i ciężko położył mu dłoń na ramieniu. – Richardzie Wymanie Percivalu, aresztuję pana pod zarzutem spiskowania w celu zabicia pańskiego podopiecznego, Williama Percivala, wicehrabiego Seddingtona, oraz osobistego doprowadzenia do śmierci bądź zlecenia nieznanym osobom zabójstwa Roberta Percivala, wicehrabiego Seddingtona, i jego żony Corinne.

Na twarzy Percivala widniało totalne zdumienie, dosłownie opadła mu szczęka.

– Co takiego? – spytał słabo. Potem przełknął i oświadczył: – Nie! Myli się pan.

Spróbował strącić dłoń Stokesa, ale przedsiębiorczy konstabl czekał już z kajdankami, żeby wspomóc inspektora.

Percival zobaczył go, zesztywniał, a później zrezygnował z walki.

– Doskonale – wycedził. Zwężonymi oczami popatrzył na Barnaby'ego i Thomasa. – Nie wiem, kim panowie są ani w co pogrywają, ale jeśli sądzą panowie, że jestem winien któregokolwiek z zarzucanych mi czynów, popełniają panowie ogromny błąd.

Barnaby tylko mu się przyjrzał, a następnie pokręcił głową.

– Każdy łotr tak mówi.

– W istocie – rzekł Stokes. – Może więc pan i pańska niewielka armia pójdziecie

grzecznie z nami do Scotland Yardu, gdzie będzie pan mógł nam wyłuszczyć nasze błędy.

Percival posłał kolejne przeciągłe, mordercze spojrzenie w kierunku Barnaby'ego i Thomasa, a później, zacisnąwszy szczęki, dał się poprowadzić schodami w górę.

ROZDZIAŁ 14

Thomasowi nie podobało się to wszystko i powiedział to głośno, kiedy on i Barnaby wlekli się za plutonem policji eskortującym Percivala, Curtisa i jego sześciu wywiadowców wąskimi uliczkami na zachód, do Scotland Yardu.

– Za dużo rzeczy tu nie pasuje.

Zrzucił już z siebie impregnowaną pelerynę i niósł ją przewieszoną przez ramię. Łódź zwrócili właścicielowi przy schodach Adelphi, a Barnaby w jednym ręku taszczył tłumok z poduszek.

Zdjąwszy kraciastą czapkę, Barnaby upchnął ją w kieszeni, zmierzwił włosy, sypiąc wokół popiołem, i zrobił kwaśną minę.

– Chciałbym móc się z panem nie zgodzić. Poszło tak gładko. Ale coś tu nie gra. – Popatrzył na idących przed nimi mężczyzn. – I nie chodzi tylko o to, jak błyskawicznie Curtis i jego ludzie zaprzestali walki na hasło „policja".

– Trudno było nie zauważyć – stwierdził z przekąsem Thomas – że sądzili, iż walczą po słusznej stronie, a to my jesteśmy łotrami.

Barnaby pokiwał głową.

– Oczywiście może się okazać, że Percival jest tak diabelnie przekonujący, iż otumanił Curtisa.

– Jasne – zareplikował Thomas. – A świnie umieją fruwać.

Ze wzrokiem wbitym w ziemię Barnaby odchrząknął.

– Osobiście nie korzystałem z usług Curtisa, ale kiedy wypłynęło jego nazwisko, sprawdziłem go i jego reputacja nie zmieniła się od czasu, kiedy ostatnio miał pan z nim do czynienia: cieszy się opinią twardego, lecz na wskroś uczciwego.

– Nigdy nie obiło mi się o uszy nic innego, jednak w moim odczuciu jeszcze bardziej wymowne były reakcje Percivala… rozpaczliwie zależało mu na tym, by dostać Williama żywego. Nie martwego, żywego. Sam pan słyszał jego desperację pod sam koniec.

Barnaby przytaknął i skierował wzrok przed siebie.

– Zaczynam odnosić silne wrażenie, że w naszej hipotezie tkwi błąd, ale za nic nie umiem się dopatrzeć, w którym miejscu ani tym bardziej na czym on polega.

Grupa zatrzymanych i policjantów dotarła wreszcie do Scotland Yardu i weszła sznurkiem do budynku, gdzie mieściła się kwatera główna stołecznej policji. Oficer dyżurny, Ferguson, uprzedzony przez Daviesa, przygotował kilka cel i pokój przesłuchań. Thomas i Barnaby trzymali się na uboczu, kiedy Stokes wydawał dyspozycje, posyłając ludzi Curtisa do jednej celi, a jego samego do drugiej, mniejszej. Potem Stokes spojrzeniem zagarnął ich dwóch, żeby podążyli za nim, kiedy eskortował milczącego, lecz uległego Richarda Percivala, skutego kajdankami, korytarzem do całkiem sporego pokoju przesłuchań.

Gdy Stokes wprowadził go do środka, Percival z początku przebiegł wzrokiem po obecnych już w pomieszczeniu osobach – Penelope, Rose i Montague'u, którzy siedzieli na krzesłach pod ścianą, naprzeciw stołu przesłuchań – zaledwie powierzchownie

zaciekawiony, lecz potem gwałtownie cofnął spojrzenie i utkwił je w twarzy Rose.

Zatrzymał się. Nawet gdy pod naciskiem dłoni Stokesa opadał na krzesło po drugiej stronie stołu, z narastającym zdumieniem gapił się na Rose.

– Rosalind…?

Jego ton sugerował całkowitą dezorientację. Wpatrywał się w Rose, a ona w niego.

Stokes okrążył stół.

– Pannę Heffernan pan zna – rzekł. – Obok niej siedzą pan Montague i pani Adair, którzy, podobnie jak panna Heffernan, pomagali w śledztwie. – Zająwszy środkowe z trzech krzeseł naprzeciw Percivala, Stokes wskazał Thomasa, zarazem odsuwając krzesło po swojej prawej stronie. – A ci dżentelmeni to pan Glendower oraz – wykonał gest w stronę Barnaby'ego, który ociężale opadł na miejsce po jego lewej stronie – pan Adair, którzy również nas wspierali.

Kiedy Stokes już siedział, Percival zwrócił się twarzą do niego.

– Czy mój bratanek, William Percival, i jego siostra Alice są bezpieczni?

Stokes patrzył Percivalowi w oczy.

Thomas także lustrował twarz Percivala, ale czytał na niej jedynie szczerą troskę, nawet niepokój.

– William i Alice Percival są bezpieczni i dobrze strzeżeni – odparł wreszcie Stokes.

Z Percivala częściowo opadło napięcie. Przyglądał się bacznie Stokesowi, Barnaby'emu i Thomasowi, a wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej szorstki.

– W takim razie, gdzie oni są i o co tu, u diabła, chodzi?

To pytanie zabrzmiało bardziej apodyktycznie, bardziej pasowało do potomka arystokratycznego rodu.

Nieporuszony Stokes upewnił się, że sierżant O'Donnell usadowił się pod ścianą z notatnikiem w ręku, a Morgan, który pojawił się w ślad za nim, zamknął drzwi. Następnie inspektor wsparł przedramiona na stole, splótł luźno dłonie i raz jeszcze wbił szare spojrzenie w Richarda Percivala.

– Zacznijmy od początku. Gdzie pan był w dniu zniknięcia pańskiego starszego brata, Roberta Percivala, i jego żony Corinne przed czterema laty?

Percival zamrugał.

– W Londynie. – Zerknął na Barnaby'ego i Thomasa; jego twarz wyrażała coraz większą konfuzję. – Nie rozumiem. Co to…?

– Panie Percival, mamy sporo do omówienia. Jeśli łaskawie pozwoli nam pan zadawać pytania w kolejności, która dla nas ma sens, szybciej przez to przebrniemy.

Z twardszym wyrazem twarzy Percival odwzajemnił spojrzenie Stokesa, po czym ostro popatrzył na Rose. Wreszcie skinął krótko głową.

– Doskonale, inspektorze. – Usadowiwszy się wygodnie, skupił znów uwagę na rozmówcy. – Co życzy pan sobie wiedzieć?

– Czy ktoś może poświadczyć, że istotnie przez cały dzień cztery lata temu przebywał pan w Londynie?

Po chwili zastanowienia Percival przytaknął.

– Kilka osób. – Wymienił cztery nazwiska, samych dżentelmenów z towarzystwa. – Byli też inni. Spotkaliśmy się na prywatnym lunchu w Kings w St. James. Zostaliśmy tam prawie do szóstej, a potem z Ffyfe'em, Montgomerym i Swincombe'em udaliśmy się na proszony obiad u lady Hammond. Wyszliśmy stamtąd dopiero po północy.

Stokes pokiwał głową.

– Kiedy dowiedział się pan o śmierci brata i co pan zrobił po otrzymaniu wiadomości?

– Dowiedziałem się nazajutrz, późnym popołudniem – odparł Percival, marszcząc brwi. – Wysłałem wiadomość Foleyowi, rodzinnemu prawnikowi, chcąc mieć pewność, że został poinformowany. Wiedział już o wszystkim i odpisał, że przyjedzie następnego dnia. Pchnąłem też słówko do stryja i kuzyna… Marmaduke'a Percivala i jego syna Rogera… ale nie czekałem na odpowiedź. Pojechałem do Grange moją kariolką… Opuściłem Hertford Street około szóstej i jechałem przez całą noc.

– Co pan zrobił po dotarciu na miejsce? – spytał Stokes.

Percival ze zmarszczonymi brwiami wbił wzrok w skute kajdankami ręce, które zaciskał przed sobą na stole.

– Jak dało się przewidzieć, w domu panował chaos. Przelotnie zobaczyłem się z Rosalind i dziećmi, ale byli… pogrążeni w żałobie. – Umilkł na chwilę, jakby odtwarzał wspomnienia, a potem na jego twarzy znów zagościł twardy wyraz. – Nie mogłem się połapać w relacjach służby na temat tego, co przypuszczalnie się zdarzyło, pojechałem zatem do Grimsby.

Zerknął na Stokesa.

– Wszyscy mężczyźni z rodu żeglują, nawet mój stryj Marmaduke, a trudno wyobrazić sobie mniej wysportowaną osobę. Mamy to we krwi, toteż ludzie morza w Grimsby nas znają. – Percival poruszył się na krześle. – Pojechałem tam i popytałem… i nikt nie rozumiał tego, co się stało, bardziej niż ja sam. – Ze spokojem popatrzył Stokesowi w oczy. – Robert świetnie żeglował, doskonale radził sobie na jachcie w pojedynkę. Tego dnia, kiedy wypłynęli… morze było spokojne. Żadnych nagłych szkwałów, nic. Nie uderzyli o skały. – Zawahał się. – Rozmawiałem z tymi, którzy znaleźli jacht. Ciała były zaplątane w żagle, praktycznie nimi owinięte, co już trudno zrozumieć. Żeby je wydobyć, musieli odciąć żagle, a gdy to zrobili, jacht zatonął… w przeciwnym razie przyholowaliby go do brzegu i może zdołalibyśmy ustalić, co się wydarzyło.

Percival uniósł skute dłonie, jakby chciał przeczesać włosy palcami, lecz zaraz się opamiętał i je opuścił.

– Pozostało nam więc pogodzić się z myślą, że Robert, jakkolwiek doskonały żeglarz, na wodach, na których dorastał, należącą do niego łodzią, znaną mu do ostatniej drzazgi, zrobił grzyba w pogodny dzień na spokojnym morzu. – Spojrzał na Stokesa, a potem na Barnaby'ego i Thomasa. – Wydało mi się także dziwne, że nikt nie widział, jak wychodzili w morze. Nikt nawet nie potrafił określić, kiedy to zrobili. A przecież Robert był nadzwyczaj towarzyski. Gdyby zaszedł do przystani, porozmawiałby z każdą napotkaną osobą, a tam zawsze kręcą się ludzie. Pytałem, ale nikt nie miał pojęcia. Nikt nie zdawał sobie nawet sprawy, że jacht nie cumuje na swoim stanowisku, dopóki nie znaleziono go do góry dnem.

Stokes, jak odnotował Thomas, także nieznacznie marszczył brwi, jakby i on słyszał szczerość – prostą uczciwość – w narracji Percivala.

– Dzięki pannie Heffernan posiadamy aktualnie informację – odezwał się po chwili inspektor – że jest wysoce nieprawdopodobne, by ten wypadek… jeśli to był wypadek… zdarzył się w taki sposób, jak chciano, by to wyglądało.

Percival popatrzył na Rose.

– Jaką informację? I dlaczego, u diabła, o niczym mi wtedy nie powiedziałaś? – W tym ostatnim pytaniu nie wyczuwało się zdenerwowania.

– Mama, jak wiesz, nie czuła się dobrze – odparła ze zwężonymi oczami Rose, wyraźnie nieufna. – A do tego cierpiała na potworną chorobę morską. Nigdy nie weszłaby na jacht.

Percival zamrugał.

– Co nawet bardziej istotne – rzekł cicho – Robert by tego nie zasugerował, wręcz by na to nie pozwolił, nie w sytuacji, gdy Corinne niedomagała. – Odwrócił się do Stokesa, lecz zaraz z krzywą miną odchylił na oparcie krzesła. – Żałuję, że o tym nie wiedziałem, ale w gruncie rzeczy niczego by to nie zmieniło. Rozmawiałem na pogrzebie z lordem gubernatorem, naciskając, żeby przeprowadzono śledztwo, ale obstawał przy opinii, że nie ma dowodów zbrodni, a drążenie sprawy wywołałoby tylko niepotrzebny skandal wokół rodziny. – Na twarzy Percivala pojawił się grymas cynicznego zdegustowania. – Mnie skandal nic nie obchodził, ale pozostali członkowie rodziny, nawet Foley, zareagowali przerażeniem na samą sugestię. – Z trudem zaczerpnął powietrza, a potem wypuścił je wolno. – I tak Roberta i Corinne pogrzebano, i na tym koniec.

Mars na czole Stokesa stawał się coraz wyraźniejszy.

– Doprowadza nas to do godzin po pogrzebie. Kto tego wieczoru pozostał w domu na obiedzie?

Wyraz jego twarzy stał się nieobecny, kiedy Percival cofał się myślami.

– Oprócz mnie zostali Marmaduke i Roger z kilkoma przyjaciółmi, zarówno z Londynu, jak i lokalnymi. Londyńscy przyjaciele Roberta, Corinne i moi wyruszyli już w drogę powrotną, ale dwóch miejscowych dżentelmenów, moich przyjaciół, zasiadło z nami do obiadu. Podobnie jak kilku dalszych kuzynów, ale ci planowali wyjechać zaraz po posiłku. No i był tam również Foley.

– Panna Heffernan powiedziała nam, że tylko pan i pański stryj zostaliście we dworze na noc. – Stokes popatrzył na Percivala z prośbą o potwierdzenie.

Ten skinął głową.

– Tak, tylko my dwaj. Wyznaczono nas na współopiekunów Williama i Alice, a tym samym wspólnie sprawowaliśmy pieczę nad majątkiem ziemskim. Wiedzieliśmy o tym zapisie w testamencie Roberta, zakładaliśmy więc z góry, że zostaniemy kilka dni, żeby… uporządkować sprawy. – Percival popatrzył na Rose. Jego wzrok stwardniał. – Ale wtedy Rosalind uciekła z dziećmi i przekształciła cały staranny plan Roberta w chaos. – W jego tonie pobrzmiewało coś więcej niż dezaprobata.

Rose wytrzymała oskarżycielskie spojrzenie Richarda Percivala i zwężając oczy, odpłaciła mu tym samym.

– Słyszałam cię – oznajmiła. Gdy jedynie zrobił skonfundowaną minę, uniosła brodę i doprecyzowała: – Tamtego wieczoru, po obiedzie. Kiedy wszyscy inni wyjechali. Rozmawiałeś w gabinecie z jednym ze swoich przyjaciół. Przechwalałeś się, jak zabiłeś Roberta i mamę, a potem upozorowałeś ich śmierć tak, by wyglądała na wypadek, oraz że teraz tylko William stoi między tobą a posiadłością i planujesz wyeliminować go jak najszybciej.

Percivalowi opadła szczęka. Wytrzeszczał oczy na Rose. Po kilku chwilach absolutnej ciszy przeniósł spojrzenie na Stokesa.

– To jest… – Potrząsał głową, wyraźnie nie znajdując słów. – Czysty n o n s e n s – wykrztusił w końcu. – Jak mógłbym to powiedzieć? – Rozłożył skute dłonie. – Pomijając fakt, że to nieprawda, nawet nie było mnie wtedy w domu.

– Nie? – Stokes zamrugał.

Percival spiorunował go wzrokiem.

– Nie. Od razu po obiedzie, który podano wcześnie, o szóstej, odwiozłem Foleya do Newark-on-Trent, skąd zamierzał złapać dyliżans do Londynu.

Stokes zerknął na O’Donnella, upewniając się, że sierżant zapalczywie notuje

wszystkie informacje. Spojrzawszy znów na Percivala, milczał przez chwilę.

– Foley to prawnik rodziny i zarazem pański, zgadza się? – spytał wreszcie. Kiedy Percival krótko przytaknął, dodał: – Czy ktokolwiek widział pana w Newark-on-Trent albo może zatrzymywał się pan po drodze w jakimś miejscu, gdzie potencjalnie pana zapamiętano?

Percival zmarszczył brwi.

– Nie zatrzymywaliśmy się po drodze. Foley niepokoił się, czy na pewno zdąży na dyliżans, a ja chciałem wrócić jak najszybciej… W tę i z powrotem z Grange jest to ładna czterogodzinna wycieczka. Przyjechałem dopiero po północy, co mogliby poświadczyć stajenni… – Raptem oblicze mu pojaśniało. – Chwileczkę… jest ktoś inny niż Foley, kto może potwierdzić moją obecność w Newark-on-Trent tamtego wieczoru. Kiedy dotarliśmy do stacji pocztowej, na dziedzińcu stała prywatna kareta, do której właśnie zaprzęgano konie. Właścicielem był jakiś sędzia… Hennessey. Sędzia Hennessey. Rozpoznał Foleya i zaproponował, że podwiezie go do Londynu, co Foley przyjął z wdzięcznością. – Percival popatrzył na Stokesa, a później na Barnaby'ego i Thomasa. – Foley przedstawił mnie sędziemu… zatem sędzia Hennessey może przysiąc, że byłem w Newark-on-Trent około dziesiątej tamtego wieczoru. – Spojrzawszy na Rose, dodał: – Co oznacza, że nijak nie mogłem być mężczyzną, którego Rosalind słyszała w gabinecie.

Przez chwilę bacznie przyglądał się Rose, a potem odwrócił się do niej w pełni.

– Gdzie byłaś, kiedy słyszałaś mówiącego? W salonie?

Kiedy nadal nieufna Rose przytaknęła, Percival zerknął z ukosa na Stokesa.

– Dorastałem w tym domu. Podobnie jak Robert wiedziałem o problemie z prowadzeniem prywatnych rozmów w gabinecie. Gdybym był na tyle głupi, aby zapragnąć pochwalić się przyjacielowi, że popełniłem podwójne morderstwo, nie wybrałbym do tego celu akurat tego pokoju.

– Ale… – Rose nie umiała dojść z tym do ładu. – Znam twój głos. Słyszałam, jak wypowiadasz te słowa… Z pewnością nie był to Marmaduke. Pomijając jednak całą resztę – lustrowała twarz Percivala – kto jak nie ty mógłby powiedzieć, że tylko William stoi między nim a posiadłością?

Z twarzy Percivala spłynął wszelki wyraz. Wyprostował się powoli, ze wzrokiem wbitym w Rose, choć zdawał się jej nie widzieć.

– Aha. – Po sekundzie spojrzał na Stokesa, a potem na Thomasa i Barnaby'ego. – Zatem stąd biorą się podejrzenia wobec mnie. – Wskazał na siebie palcami jednej ręki. – Sądzicie, że dziedziczę po Williamie.

– A tak nie jest? – Barnaby zadał oczywiste pytanie.

Percival popatrzył mu w oczy.

– Robert Percival był moim bratem, ale przyrodnim – rzekł cicho. – Jestem nieślubnym dzieckiem, stąd tak znaczna różnica wieku między nami… Nasz ojciec flirtował z moją matką dopiero długo po śmierci matki Roberta. Moja matka była wdową i nie chciała ponownie wychodzić za mąż, ale umarła wkrótce po moich narodzinach. Ojciec i Robert nie dbali o moje pochodzenie. Dla nich zawsze byłem synem i bratem. –
Spojrzał na Rose. – To dlatego Rosalind o niczym nie wiedziała i, w istocie, prawdę zna niewiele osób spoza najbliższej rodziny.

Przeniósł znów wzrok na Stokesa.

– Niemniej ze względu na moje nieślubne pochodzenie – rzekł – nie mogę dziedziczyć ani tytułu, ani powiązanej z nim ordynacji. W przypadku śmierci Williama majątek ziemski przejdzie na Marmaduke'a, z którego to powodu Robert przykładał wielką wagę

do tego, by uczynić mnie głównym opiekunem Williama. Ustanowiłby mnie jedynym opiekunem, gdyby nie to, że Marmaduke… się zapienił. Jako że stosunkowo łatwo dał się ugłaskać współopieką, Robert przyjął takie rozwiązanie, wiedząc, że może polegać na mnie i Foleyu, iż dostatecznie zadbamy o bezpieczeństwo Williama i posiadłości, dopóki chłopiec nie dorośnie. – Percival zrobił krótką przerwę. – Robert i ja byliśmy sobie bliscy. Wiedział, że będę chronił Williama i Alice, i Rosalind także, gdyby coś mu się stało. W rzeczy samej, przysiągłem mu to. – Popatrzył na Rose. – To ze względu na tę przysięgę przez ostatnie cztery lata tak zapamiętale szukałem Williama, Alice i Rosalind.

Rose odwzajemniała jego spojrzenie; pozostało spokojne, niezachwiane – szczere. Zmarszczyła brwi.

– Ale kogo w takim razie słyszałam? Przysięgnę na Biblię, że z całą pewnością słyszałam wszystko, o czym dopiero co mówiłam.

Percival minimalnie zmrużył oczy, a później pokiwał głową.

– Dlatego uciekłaś. – Zacisnął szczęki. – Ponieważ myślałaś… że zamierzam zabić Williama.

– Nie miałam pojęcia, że przyrzekłeś Robertowi i mamie chronić dzieci. – Rose umilkła na chwilę.

– Mama wcześniej prosiła mnie, bym obiecała, że zawsze będę dbać o ich bezpieczeństwo, dlatego poczułam, że muszę działać… natychmiast, tamtej nocy.

– Patrząc z dystansu – rzekł z grymasem Percival – w tym względzie Robert i Corinne popełnili błąd. –

Omiótł wzrokiem Thomasa, Stokesa i Barnaby'ego. – Obawiali się, że w sposób całkowicie niezamierzony, po prostu dlatego, że jestem, jaki jestem, zawrócę Rosalind w głowie, poprosili mnie więc, bym trzymał się od niej na dystans, co też skrupulatnie robiłem. Jednakże w rezultacie, kiedy ich zabrakło – spojrzał znów na Rose – nie znałem dobrze Rosalind. Nie pojmowałem, dlaczego tak pochopnie, bez żadnego wyraźnego powodu, uciekła z dziećmi. Ona z kolei nie miała żadnej bazy, na podstawie której mogłaby mnie ocenić… Nie znaliśmy się nawzajem zbyt dobrze, z pewnością nie na tyle, by sobie zaufać.

Po chwili Stokes zapukał w stół.

– Wracając do sprawy… jeśli nie pana słyszała Rose, to kogo?

Percival popatrzył na nią.

– Nie mógł to być Marmaduke, nie pomyliłabyś jego głosu z moim, nawet biorąc poprawkę na zniekształcenia w kominie. – Spojrzał na Stokesa. – Marmaduke się jąka.

– Z całą pewnością nie był to Marmaduke. – Rose pokręciła głową.

Percival zaglądał jej w oczy… a potem na jego twarzy zagościł twardy wyraz.

– Roger – rzucił ostro. Odwracając się do Stokesa, ciągnął: – To musiał być on. Jego i mój głos stosunkowo nietrudno pomylić, zwłaszcza gdy słucha się przez komin. A chociaż to Marmaduke dziedziczy po Williamie, jest… człowiekiem słabego charakteru, bardzo łatwo nim sterować. Jego jedyny syn, Roger, bez trudu nim manipuluje, praktycznie przez cały czas. W znacznej mierze to z tego powodu Robert ustanowił mnie głównym opiekunem Williama.

– I z tego też powodu – odezwała się po raz pierwszy Penelope, dotąd chciwie śledząca opowieść – Roger istotnie mógłby oświadczyć, że tylko William stoi między nim a posiadłością. Roger nie musiał dziedziczyć osobiście – zwróciła się do pozostałych. – Wystarczyło mu, by majątek ziemski przeszedł na jego ojca, a osiągnąłby ten sam cel: dostęp do funduszy.

Barnaby się wyprostował.

– Kiedy przesłuchiwaliśmy Foleya, dał do zrozumienia, że jeden ze współopiekunów próbował wyciągnąć pieniądze z posiadłości. Nie pan?

Percival pokręcił głową.

– To był Marmaduke, niemal na pewno na żądanie Rogera. Foley może to potwierdzić. Właśnie czemuś takiemu on i ja mieliśmy za zadanie zapobiec, i zapobiegliśmy.

– Dowiedzieliśmy się także – rzekł Thomas – że wkrótce po zniknięciu Williama ktoś wystąpił o uznanie go za zmarłego. – Z uniesionymi brwiami spojrzał na Percivala.

Ten przytaknął.

– Znów Marmaduke. Foley i ja staraliśmy się to opóźnić, ale Marmaduke prawnie po nim dziedziczy, mógł zatem przepchnąć sprawę, nam zaś pozostało ustąpić.

Montague odkaszlnął.

– Przeprowadziliśmy szeroko zakrojone śledztwo i odnotowaliśmy u pana regularne, dość znaczne wydatki. Co więcej, ostatnio wygrał pan w karty piętnaście tysięcy funtów, które to pieniądze najwyraźniej zniknęły.

Percival przez chwilę gapił się na Montague'a, a później niechętnie, ze zrezygnowaną akceptacją skłonił głowę.

– Curtis i jego ludzie nie są tani.

– Niech to! – mruknął półgłosem Stokes. – Griselda miała rację.

Gdy Percival popatrzył nań z uniesioną brwią, Stokes zbył kwestię machnięciem ręki.

– Ale skoro mowa o Curtisie i całych tych opłacanych przez pana poszukiwaniach, dlaczego nie zgłosił się pan do nas, na policję, kiedy Rose i dzieci zniknęli?

Percival skrzywił się i z ukosa spojrzał na Rose.

– Jak mówiłem, nie znałem dobrze Rosalind. Nie miałem pojęcia o tym, co podsłuchała… wiedziałem tylko, że przepełniał ją smutek po stracie matki i Roberta oraz że kochała dzieci… W to nie wątpiłem. Później, następnego ranka, ona i dzieci zniknęli. Wiedzieliśmy, że je zabrała, tyle było oczywiste, jednak w świetle przysięgi, jaką złożyłem Robertowi i Corinne, ostatnim, czego sobie życzyłem, było nasyłać na Rosalind przedstawicieli prawa.

Westchnął i wbił oczy w sufit.

– Rozumowaliśmy w ten sposób… Foley, Marmaduke i ja… że Rosalind przeżyła histeryczne załamanie i z jakiegoś wyimaginowanego, nierealnego, a przez to niezrozumiałego dla nas powodu porwała dzieci. Byliśmy pewni, że ich nie skrzywdzi, ja zaś założyłem, że gdy zatrudnię Curtisa, wytropimy całą trójkę na tyle szybko, by uratować zarówno dzieci, jak i ją samą. Sądziliśmy, że wymaga opieki. – Znów popatrzył na Rose, tym razem z pewną dozą szacunku. – Ale nigdy jej nie doścignęliśmy, aż do niedawna, kiedy pojawiły się na to przyzwoite widoki w Kornwalii.

Rose śledziła te rewelacje odrobinę nieobecna myślami. Teraz pokiwała głową, niemniej nadal marszczyła brwi.

– Ciągle nie rozumiem, jakim sposobem mogłam podsłuchać Rogera. – Spojrzała Richardowi w oczy. – Nie zostawał na noc.

– Nie – przyznał Percival. – Ale nadal był w Grange, kiedy Foley i ja wyjeżdżaliśmy. I towarzyszył mu przyjaciel… zamierzali wracać razem do Londynu, ale jakoś później… Atwood… nie, Atwell. Ambrose Atwell. – Przeniósł wzrok na Stokesa. – Tak nazywał się przyjaciel Rogera. Trzymali się ze sobą blisko jeszcze od czasów szkolnych. To, że Roger otwarcie przechwalałby się przed Atwellem, nie wydaje się aż tak zaskakujące.

Twarz Stokesa straciła wyraz. Później inspektor zamrugał i spojrzał na sierżanta

O’Donnella.

Ten przerwał pisanie i gapił się na przełożonego.

– Ambrose Atwell – powtórzył Stokes. – Czy myślę o właściwym człowieku, sierżancie?

– Jeśli chodzi panu o ten przypadek sprzed mniej więcej dwóch lat, to tak, inspektorze, przypominam sobie właśnie to nazwisko.

Z ponurą miną Stokes odwrócił się do Percivala.

– Ambrose Atwell został znaleziony w lesie w Exeter, śmiertelnie pobity, mniej więcej dwa lata temu. Nierozwikłane morderstwo. Jedna z moich spraw. Od Atwella odwróciło się szczęście, był winien znaczne sumy wielu różnego autoramentu ludziom… Nigdy nie trafiliśmy na trop sprawcy, złożyliśmy więc jego śmierć na karb tego, że naraził się niewłaściwym wierzycielom.

Przez kilka chwil Percival się nie odzywał, a potem westchnął.

– Jeśli to Atwell był owym przyjacielem, któremu chwalił się Roger, kiedy Rosalind go podsłuchała, wówczas w którymś momencie, gdy pilnie potrzebował gotówki, mógł spróbować szantażu.

– Czy według pana – Stokes pochwycił spojrzenie Percivala – pański kuzyn zatłukłby przyjaciela pałką?

Percival zwlekał z odpowiedzią kilka sekund.

– Jeśli tok naszego rozumowania jest słuszny – rzekł wreszcie – a wygląda na to, że w końcu dochodzimy do prawdy, w takim razie Roger zabił Roberta i Corinne, dwoje ludzi, którzy nigdy nie wyrządzili mu najmniejszej krzywdy. Czy zabiłby znowu, aby zachować ten fakt w tajemnicy? – Ponuro skinął głową. – Tak, moim zdaniem by zabił.

Stokes z kwaśną miną dał znak Morganowi.

– Zdejmij te kajdanki.

Morgan podszedł z kluczykiem. Percival uniósł ręce. Kiedy Morgan otwierał i zdejmował mu kajdanki, Rose, przyglądając się bacznie Percivalowi, powiedziała:

– Przez ostatnie cztery lata sądziłam, że zamordowałeś moją matkę i Roberta, jak również planowałeś zabić Williama, ale jesteś niewinny.

Percival spojrzał na nią z niejakim smutkiem.

– Ja przez ostatnie cztery lata sądziłem, że oszalałaś i porwałaś dzieci, lecz najwyraźniej nie tak to wyglądało.

Rose ledwie potrafiła uwierzyć w zalewającą ją ulgę; odruchowo odwzajemniła blady uśmiech Richarda.

Nagłe pukanie przykuło uwagę wszystkich. Morgan wrócił na swoje miejsce obok drzwi i je otworzył.

– Mam wiadomość dla inspektora Stokesa i muszę doręczyć ją do rąk własnych.

Wszyscy rozpoznali czysty głos Violet.

– Wpuścić ją – polecił Stokes.

Violet weszła do pomieszczenia. Omiotła wzrokiem znane jej twarze, a potem utkwiła spojrzenie w Percivalu. Przyglądała mu się przez sekundę – co zniósł z całkowitym spokojem – po czym zaczerpnęła powietrza, zerknęła na Montague’a i wreszcie popatrzyła na Stokesa.

– Jeśli ten człowiek to Richard Percival, to nie on tonie w długach. Wierzyciele grożą jego kuzynowi, Rogerowi Percivalowi. – Podała Thomasowi kartkę. – Pański przedstawiciel, Drayton, przysłał tę wiadomość przed godziną. Pomyślałam, że powinien pan ją od razu zobaczyć.

Rozłożywszy list, Thomas przebiegł wzrokiem treść.

– Drayton donosi, że na Rogera Percivala wywierana jest coraz większa presja, by zaczął spłacać niebotyczne długi, które zaciągnął… u najgorszych możliwych lichwiarzy z dzielnicy ubogich niedaleko Seven Dials. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Violet. – Dziękuję.

Przekazał wiadomość Stokesowi, który przyjął ją z drapieżnym uśmiechem. Zapoznawszy się z zawartością, podał list Barnaby'emu i spojrzał na Percivala, a później na Rose.

– Jakkolwiek poczyniliśmy błędne założenia i podążaliśmy fałszywymi tropami, mimo wszystko dotarliśmy do prawdy. To tutaj – ruchem głowy wskazał kartkę w rękach Montague'a – ostatecznie przypieczętowuje naszą sprawę przeciw Rogerowi Percivalowi.

Wstał, szurając nogami krzesła po drewnianej podłodze.

– No dobrze. – Popatrzył na Richarda Percivala. – Gdzie znajdę pańskiego kuzyna?

Percival wyjął zegarek z dewizką i sprawdził godzinę.

– Jako że nie ma jeszcze pierwszej, jeśli się pan pospieszy, powinien go pan złapać, zanim wyjdzie z domu.

Wszyscy inni także się podnieśli. Stokes odstąpił od stołu.

– A jego dom jest gdzie?

– Roger mieszka w miejskiej rezydencji mojego stryja Marmaduke'a w Mayfair – odparł Percival, również już stojąc. – Albemarle Street numer pięć.

Zaskoczony, potoczył wzrokiem po zszokowanych twarzach wokół.

– Och, nie! – wykrzyknęła Penelope.

Spojrzeli na nią, wstrząśniętą i bladą.

– Co? – zapytał ostro Barnaby.

Penelope popatrzyła mu w oczy.

– Ten osobisty lokaj, który widział nas na Conduit Street… ten, który rozpoznał Rose i Williama. Właśnie sobie uzmysłowiłam, że rozpoznał także mnie!

Podobnie jak pozostali, Barnaby gapił się na nią przez chwilę, a później spojrzał na Richarda Percivala.

– Czy pański kuzyn lub stryj mają osobistego lokaja?

Zapytany przytaknął.

– Lokaj Marmaduke'a jest stary i rzadko wychodzi z domu. Natomiast lokaj Rogera to oślizgłe indywiduum. – Spojrzał na Penelope. – Niski, nieco pulchny, szatyn z lekką łysiną i przerzedzającymi się włosami, okrągła twarz o ziemistej cerze oraz przykre upodobanie do kamizelek w kolorowe prążki.

Penelope przełknęła ślinę; z szeroko otwartymi oczami skinęła głową.

– To on.

Zapadła cisza, kiedy każdy z obecnych ekstrapolował, co te wieści mogły oznaczać.

Richard Percival robił się coraz bardziej niespokojny. Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

– Gdzie są dzieci? – zapytał w końcu.

Stokes spojrzał na niego, a potem dosunął krzesło do stołu i zwrócił się ku drzwiom.

– Zostawiliśmy je pod strażą w domu Adairów. Przy Albemarle Street numer dwadzieścia cztery.

Rose wydała zdławiony dźwięk i popędziła do drzwi. Thomas znalazł się przy nich szybciej, przytrzymał je, a potem z zawziętą miną, zaciskając szczękę, podążył za kobietą.

ROZDZIAŁ 15

Wybiegli z policyjnej kwatery głównej i pospieszyli po schodach w dół, a następnie przez ulicę do rzędu czekających dorożek. Przez budynek bez przerwy przewijali się ludzie, zatem fiakrzy czekali z nadzieją.

Thomas dotarł do pierwszej dorożki w rzędzie i szarpnięciem otworzył drzwi.

– Albemarle Street, najszybciej, jak się da! – zawołał do fiakra, kiedy Rose go dogoniła, zebrała spódnice i wspięła się do wnętrza pojazdu.

Podążył za nią i właśnie miał zatrzasnąć drzwi, kiedy Richard Percival chwycił za klamkę z zewnątrz.

Popatrzył w oczy Thomasowi, a później przeniósł wzrok na Rose.

– Proszę. Muszę się przekonać, czy Williamowi nic się nie stało.

Rose wahała się jedynie sekundę, po czym skinęła głową.

Thomas puścił drzwi i Percival wsiadł.

Fiakier strzelił z bata, dorożka oderwała się od krawężnika i prędko nabierała szybkości.

Richard Percival opadł na siedzenie naprzeciw Thomasa i Rose. Odchyliwszy się na oparcie, popatrzył Rose w oczy, skrzywił się i umknął wzrokiem… lecz zaraz zmusił się, by znów na nią spojrzeć.

– Przepraszam. Czuję, że zawiodłem dzieci, ciebie, a przede wszystkim Roberta i Corinne. – Pokręcił głową. – Wiedziałem, że Rogerowi zawsze zależało na pieniądzach, zawsze chciał więcej, ale nigdy bym nie pomyślał… – Zrobił bezradny gest i odwrócił wzrok.

Rose się poruszyła.

– Za działania Rogera i wszystkie ich następstwa aż do dzisiaj żadne z nas dwojga nie ponosi winy. – Kiedy Percival na nią spojrzał, ciągnęła: – Postrzegam dotychczasowe wydarzenia jako… łańcuch wypadków, zapoczątkowany morderczymi poczynaniami Rogera, które zderzyły się ze starannymi zabiegami Roberta i mamy. Gdyby nie chronili mnie przed tobą, gdyby nie zataili przede mną twojego nieślubnego pochodzenia, nie uznałabym, że to ciebie słyszałam mówiącego o zabiciu Williama, by odziedziczyć posiadłość. Ale nie wiedziałam o tym i postąpiłam tak, a nie inaczej.

– Dzięki Bogu. – Percival nieomal się wzdrygnął. – Przez lata miotałem na ciebie przekleństwa, ale gdybyś nie uciekła z dziećmi… kto wie, co mogłoby się zdarzyć choćby tamtej nocy. Nigdy już nie poznamy odpowiedzi.

– To prawda. Ale zmierzam do tego, że oboje postępowaliśmy w taki, a nie inny sposób z najczystszych pobudek: aby chronić dzieci. Moim zdaniem żadne z nas nie musi za to przepraszać.

Percival przez długą chwilę patrzył jej w oczy, a potem skłonił głowę.

– Dziękuję. W zamian pozwól mi oświadczyć, że nie obarczam cię żadną odpowiedzialnością za trudności czterech ostatnich lat.

Rose zaakceptowała deklarację skinieniem głowy.

Thomas przeniósł wzrok na przemykające za oknem fasady domów; fiakier poważnie potraktował jego słowa i kluczył w gęstym ruchu ulicznym na Cockspur Street. Kiedy nieco nazbyt entuzjastycznie skręcił w Waterloo Place, Thomas i Rose zachwiali się, ocierając się o siebie ramionami.

Kiedy dorożka odzyskała pion i mknęła Regent Street, Percival się wyprostował i spojrzał chmurnie na Rose.

– Uparcie wraca do mnie wspomnienie, jak Roger wprost wychodził z siebie, żeby oczarować dzieci. Pamiętasz?

Thomas popatrzył na Rose, akurat kiedy zadrżała.

– Tak. – Umilkła, ale zaraz poczuła na sobie wzrok Thomasa i wyjaśniła: – Roger zwykł zaglądać do pokoju dziecinnego i spędzać czas z dziećmi, grając z nimi w gry, rozśmieszając je. Tego typu rzeczy.

Thomas zawahał się, lecz ostatecznie wygłosił nasuwający mu się wniosek:

– Czyli najprawdopodobniej będą go uważać za przyjaciela.

Przytaknęła.

– Jeśli w ogóle będą go pamiętać, a William na pewno będzie, to jako członka rodziny, takiego, którego lubią. – Z drżeniem zaczerpnęła powietrza i przez sekundę trzymała je w płucach. – Jeśli poprosi, żeby z nim poszli… bardzo możliwe, że to zrobią. Kiedy chce, potrafi być nadzwyczaj czarujący.

Percival nachylił się do przodu i oparł przedramiona na udach; światło padło na jego twarz, ujawniając narastający na niej niepokój.

– Przysięgam – rzekł, a w jego głosie dudnił utajony gniew – że jeśli Roger zrobił im najmniejszą choćby krzywdę, skręcę mu kark.

Thomas zlustrował twarz mężczyzny, a potem wyjrzał przez okno. Jeśli Roger Percival skrzywdził Williama lub Alice, wszyscy pozostali będą musieli ustawić się w kolejce.

Pomimo narastającej opiekuńczości – silniejszej, szlachetniejszej, potężniejszej niż jakikolwiek znany mu dotąd przymus – zachowywał skupienie, nie pozwalał myślom się rozproszyć, by analizować to ten, to znów inny scenariusz. Nie było sensu. Musieli się dowiedzieć, czy dzieciom cokolwiek się przydarzyło, a jeśli tak, co takiego, nie zaś tracić energię na bezcelowe, przedwczesne planowanie.

Wpatrzony w miejskie widoki za oknem, czekał… aż los odsłoni wszystkie karty.

*

Reszta grupy podążała za nimi w dwóch kolejnych dorożkach, które zatrzymały się przed domem Adairów. Percival wysiadł pierwszy i zapłacił fiakrowi. Thomas zstąpił na chodnik i podał rękę Rose.

Nim znalazła się na trotuarze, Barnaby wchodził już po schodach do drzwi frontowych. Otworzył je własnym kluczem. Pozostali zbici w gromadę, zdjęci trwogą w związku z tym, co być może zastaną w środku, w milczeniu przekroczyli próg i zatrzymali się w holu głównym.

Nasłuchiwali, lecz docierały do nich jedynie przytłumione odgłosy krzątaniny służby na tyłach domu.

Montague cicho zamknął drzwi wejściowe.

Barnaby dał wszystkim znak, żeby zachowali ciszę i zostali na swoich miejscach. Wszedł do salonu, skąd wrócił niemal natychmiast.

Sekundę później przez drzwi w głębi holu szybkim krokiem wyszedł Mostyn,

wezwany przez Barnaby'ego dzwonkiem z salonu. Na widok czekającej grupy majordomus zahamował z poślizgiem.

Wziąwszy się w garść, na powrót dostojny, ukłonił się.

– Proszę pana, proszę pani, ogromnie przepraszam. Nie usłyszałem państwa przybycia.

– Czy tutaj wszystko w porządku, panie Mostyn? – spytała cicho Penelope.

Mostyn zmarszczył brwi. Zerknął na Barnaby'ego.

– Tak sądzę, proszę pani.

Powszechne napięcie zauważalnie zelżało.

– Gdzie są dzieci? – spytała Rose, bliska omdlenia z ulgi. – Homer i Pepi?

Oblicze Mostyna pozostało niewzruszone.

– Wybrały się na przejażdżkę z panem Rogerem Percivalem. Powiedział mi, że jest kuzynem pana Richarda Percivala, a panicz Homer go rozpoznał… – Na widok szoku i przerażenia na twarzach państwa Mostyn zaplątał się i urwał. Popatrzył na Barnaby'ego. – Łotrem jest przecież pan Richard Percival, czy nie tak?

Barnaby westchnął przez zęby, po czym machnięciem ręki wskazał Richarda.

– To jest pan Richard Percival. I nie. Niestety, popełniliśmy bardzo poważny błąd. Łotrem okazał się w tym przypadku Roger Percival.

– Jego człowiek najpewniej obserwował dom – warknął Stokes. – Widział, jak rano przywieziono tu dzieci, a wkrótce potem, jak wszyscy wychodzicie, zostawiając Williama i Alice pod opieką służby.

– A teraz ich ma. – Cicha udręka w głosie Rose poruszyła wszystkich.

Thomas mocno chwycił jej dłoń.

– No cóż, nie do końca – rzekł Mostyn.

Spojrzenia obecnych na powrót wbiły się w majordomusa.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – ponaglił Barnaby.

– Kiedy pan Percival zaszedł z wizytą, a panicz Homer tak się ucieszył na jego widok, panna Pepi zresztą także, nie widzieliśmy powodu, żeby zabronić mu zabawy z dziećmi w saloniku, niemniej, oczywiście, James przez cały czas im towarzyszył.

– Czy mówi pan, że obstawa jest z dziećmi? – spytała Penelope.

Mostyn przytaknął.

– W rzeczy samej, proszę pani. Dzieci pojechały z panem Percivalem, ale w naszym powozie, pod okiem Phelpsa i Connera. Muszę też zaznaczyć, że pomysł przejażdżki wyszedł nie od pana Percivala, lecz od dzieci. Wbiły sobie do głowy, żeby wybrać się do Guntera na lody, a pan Percival zapytał, czy to możliwe, jeżeli wyraża chęć udania się z nimi. Ustalenia brzmiały tak, że pojadą do Guntera, a potem ewentualnie zrobią rundkę po parku, zanim wrócą tutaj. – Zerknął na zegar na stoliku w holu. – Oczekiwałbym ich z powrotem w ciągu godziny.

Popatrzyli po sobie. Nikt do końca nie wiedział, co o tym sądzić.

– Co więc robimy? – odezwała się wreszcie Violet, ubierając w słowa pytanie, które wszyscy obracali w myślach. – Czekamy w salonie na ich powrót czy…?

– Nie. – Richard Percival zmienił pozycję. – Musimy ich odnaleźć. – Popatrzył na Rose, a potem na Thomasa. – Ten pomysł z wyprawą do Guntera? Mogło się wydawać, że wyszedł od dzieci, ale to Roger zasiał im go w głowach. Opanował do perfekcji sterowanie ludźmi, tak by robili, czego sobie życzy, a podszepnięcie dzieciom jakiegoś pomysłu to dla niego… no cóż, dziecinna igraszka.

– Ale dlaczego chciałby wyciągnąć je z domu? – Słowa nie spłynęły do końca z jej ust, a Penelope już unieważniła pytanie machnięciem ręki. – Nie, to oczywiste. Mam na

myśli, dlaczego zawracałby sobie głowę wyprawą naszym powozem, kiedy dzieci pilnuje dwóch postawnych mężczyzn?

Barnaby spojrzał na Mostyna.

– Czy on… Roger Percival… próbował was nakłonić, żebyście puścili z nim dzieci same, bez obstawy? Na przykład dorożką?

Majordomus wyglądał na zaniepokojonego.

– Niedokładnie, ale… – Spojrzał na Penelope. – Odniosłem wrażenie, że tak to sobie wyobrażał… że zabierze dzieci dorożką… ale kiedy James i ja wytłumaczyliśmy mu, że nie puścimy ich inaczej niż w powozie i z obstawą, pan Percival przystał na te warunki bez słowa protestu.

Thomas popatrzył na Stokesa.

– Proszę wziąć pod uwagę, że aranżując śmierć Roberta i Corinne Percivalów, Roger nie mógł wiedzieć, że wybiorą się na przejażdżkę, dopóki tego nie zrobili. Dokonał tych morderstw bardzo starannie, nie pozostawiając wskazówek czy tropów świadczących o jego zaangażowaniu, a przecież musiał tworzyć i przebudowywać plan w miarę rozwoju wypadków. Morderstwo Atwella… jestem pewien, że tutaj także brakuje dowodów, przy czym wszystko przebiegło w ten sam sposób, to znaczy Roger Percival reagował na rozwój sytuacji. – Thomas przeniósł wzrok na Richarda Percivala. – I, jak powiedział Richard, Roger będzie dalej zabiegał, by dostosować okoliczności do swoich celów, krok po kroku wprowadzając poprawki, aż dostanie to, czego chce.

Rose potaknęła z emfazą. Uczepiona ramienia Thomasa, popatrzyła Stokesowi w oczy.

– Thomas i Richard mają rację. Może się wydawać, że dzieciom nic nie grozi, ale tak nie jest. Są z człowiekiem, który chce je zamordować… przynajmniej Williama. I znajdzie sposób, okazję, jakąś furtkę, bez względu na obecność obstawy.

Richard przeciągnął ręką po włosach.

– Zapewne będzie to postrzegał jako wyzwanie: on przeciw losowi. On, który skutecznie nagnie sytuację do własnych celów.

Thomas znieruchomiał. Słowa Richarda rezonowały w nim. Znał to. Spojrzał na Barnaby'ego.

– Musimy znaleźć dzieci.

Barnaby popatrzył mu w oczy i nie zaprotestował.

Stokes się poruszył.

– Z chęcią pognałbym do Guntera – warknął – ale najprawdopodobniej tam ich nie znajdziemy.

– Od jak dawna ich nie ma? – Barnaby popatrzył na Mostyna.

Majordomus zerknął na zegar.

– Wyjechali mniej więcej dwadzieścia po dwunastej, zatem nie ma ich od blisko godziny.

– Na tyle długo, by zaliczyli już Guntera i wyszli. – Penelope zwęziła oczy. – Chyba jednak nikt z nas nie zakłada, że toczą się leniwie parkowymi alejami. – Spojrzała na Barnaby'ego, potem na Stokesa, Richarda i w końcu na Thomasa. – Dokąd więc zabierze dzieci? Jak stworzy pożądaną sposobność?

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Jeśli od początku planował zamordować Williama – odezwał się wreszcie Richard – przyszedł dziś tutaj i udało mu się wywabić dzieci z domu… na tym nie poprzestanie. Nie przepuści takiej okazji.

Z twarzy Rose odpłynęły kolory.

Zauważywszy to, Thomas zamknął dłoń na jej dłoni, tej, którą zaciskała na jego rękawie. Popatrzył na pozostałych.

– Musimy zacząć myśleć jak on. Musimy spojrzeć na wyzwania, przeszkody, jakie przed nim stoją, z jego punktu widzenia. – Do realizacji tego zadania Thomas miał wyjątkowe kwalifikacje. – Cokolwiek zrobi, zadba o to, by albo móc twierdzić, że zdarzył się wypadek, albo, jak w przypadku Atwella, Roberta i Corinne, nie być widzianym z ofiarami w czasie, kiedy poniosły śmierć.

– Masz rację. – Barnaby przytaknął z ponurą miną. – Czyli tym razem, skoro wiadomo, że jest z dziećmi, spróbuje tak upozorować śmierć Williama, by wyglądała na wypadek, a w tym celu musi pozbyć się obstawy.

– Albo – uzupełnił Thomas – znaleźć miejsce, gdzie stangret ani stajenny nie za bardzo mogą wejść.

– I które nie wyda im się niebezpieczne – dodała Violet – toteż nie powstrzymają dzieci przed pójściem tam z Rogerem.

– Właśnie. – Thomas potoczył wzrokiem po kręgu twarzy. – Zatem dokąd zabierze… lub już zabrał dzieci?

Każdy łamał sobie głowę.

– Giełda Królewska? – zaproponowała Penelope.

Thomas się zastanowił, lecz ostatecznie pokręcił głową.

– Nie, zbyt publiczne miejsce. Pod innymi względami by się nadawała, ale wokół będzie za dużo ludzi, no i, na ile pamiętam, jest tam tylko jedno wyjście. – Umilkł na chwilę. – Możemy więc dodać zastrzeżenie, że powinno to być miejsce, jeśli nie opuszczone, to bliskie takiego stanu… i najlepiej takie, gdzie dzieci same z chęcią pójdą. – Popatrzył na Rose, a później na Richarda. – Roger zmanipulował Williama i Alice, by zasugerowali wyprawę do Guntera, i powtórzy tę sztuczkę. Zamiast samemu wysuwać sugestię, wzbudzi w nich pragnienie, żeby dokądś pójść, tak by domagali się wizyty. Jedynie w reakcji na te błagania zaoferuje się ich tam zabrać, a to pomoże mu przekonać Phelpsa i Connera.

Barnaby, Stokes, Penelope, Violet i Montague potakiwali, śledząc jego tok rozumowania.

Thomas przeniósł wzrok z Richarda na Rose. Mocniej ścisnął jej dłoń.

– Zatem dokąd? Pomyślcie: miejsce, gdzie dzieci z chęcią pójdą, jakiś budynek, opuszczony lub prawie opuszczony, do którego Phelps i Conner pozwolą im wejść pod opieką jedynie samego Rogera? – Thomas zrobił krótką przerwę, po czym dodał: – I musi to być w miarę blisko, Mayfair lub okolice.

– Ponieważ – uzupełnił Barnaby – Phelps i Conner nie zgodziliby się przebywać poza domem dłużej niż parę godzin, a nie ma ich już…

– Seddington House! – Richard Percival spojrzał na Rose, a później podniósł wzrok na Thomasa. – Stoi przy Tilney Street, czyli dość blisko. Przez ostatnie cztery lata był zamknięty, ale Roger niemal na pewno ma klucz… Marmaduke ma, zatem i Roger.

– Tak! – Mocniej ściskając ramię Thomasa, Rose popatrzyła mu w oczy. – William będzie pamiętał ten dom. Miał pięć lat, kiedy był w nim po raz ostatni.

– A teraz należy do niego. – Richard uniósł ręce. – Ktoś taki jak Roger z łatwością roznieci w chłopcu ciekawość.

– O tak. – Thomas spojrzał na Barnaby’ego. – Zdecydowanie potrafię to sobie wyobrazić.

– Ale – Penelope marszczyła brwi – czy Phelps i Conner pozwolą dzieciom wejść tylko

z nim do opuszczonego domu?

Thomas wpatrywał się w nią przez sekundę.

– Czy jednak będą wiedzieli, że jest opuszczony? – Popatrzył na Richarda.

Zaciskając wargi, Richard pokręcił głową.

– Nie. Nie będą, ani obstawa, ani dzieci, jeśli Roger im o tym nie powie, czego, oczywiście, nie zrobi. Ze względu na ryzyko włamania zadbaliśmy o to, by dom wyglądał na zamieszkany. Regularnie przychodzą ogrodnicy, nie wszystkie zasłony są zaciągnięte. Od czasu do czasu posyłam tam moją służbę, żeby posprzątała w głównych pokojach… – Richard spojrzał na Rose. – Zastanawiałem się, czy w którymś momencie nie poszukasz tam schronienia.

– Mówi nam pan zatem – rzekł twardym głosem Stokes – że żadne zewnętrze oznaki nie zaalarmują Phelpsa i Connera, iż Roger Percival zabiera dzieci do pustego domu?

– Właśnie tak – potwierdził Richard. Jego twarz ściągnęła się w zaciętą maskę. – Musimy się tam dostać. – Zwrócił się ku wyjściu.

– Nie, proszę poczekać! – Stokes przytrzymał Richarda za ramię. – Nie możemy tam tak po prostu wparować. Jeśli mamy rację i na miejscu zastaniemy Rogera, będzie miał ze sobą Williama, a nie wiemy, jak zareaguje. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co zrobi, gdy wtargniemy do środka.

– W rzeczy samej. – Penelope pokiwała głową. – Z tego, co słyszę na jego temat, Roger mógłby wykorzystać okazję i pod osłoną ogólnego zamieszania zepchnąć Homera… Williama… ze schodów, a później twierdzić, że chłopiec przestraszył się i potknął. – Zza soczewek swych okularów Penelope patrzyła Richardowi w oczy. – Nie o taki rezultat nam chodzi.

Bojowe napięcie w Richardzie zelżało, minimalnie. Przytaknął krótko. Kiedy Stokes go puścił, poprawił na sobie surdut i omiótł obecnych mrocznym spojrzeniem, by w końcu zawiesić wzrok na Rose. Przyglądał jej się przez chwilę, a następnie popatrzył na Thomasa.

– Nie możemy po prostu czekać na rozwój wydarzeń… musimy tam iść i zabrać Williama oraz Alice jak najdalej od Rogera. Nie możemy podejmować ryzyka, zostawiając ich z nim choćby moment dłużej, niż to konieczne.

Thomas skłonił głowę.

– Nie, nie możemy. – Sam słyszał twardszą, ostrzejszą nutę w swoim głosie. – Ale musimy wejść tam z planem, takim, który da nam przyzwoitą szansę na sukces, na bezpieczne wyprowadzenie dzieci z tego domu. – Zaczerpnął powietrza i skierował myśli ku rozgrywce. Skoncentrował się na niej, odcinając wszystko inne. – Roger nie zdaje sobie sprawy, że go podejrzewamy. Nie ma powodu przypuszczać, że wiemy cokolwiek o wcześniejszych morderstwach, a tym bardziej o jego aktualnych morderczych zamiarach.

Scenariusz swobodnie rozwijał się w jego głowie, kiedy Thomas wziął głębszy oddech i spojrzał na Rose.

– Roger nie będzie się orientował, na jakim etapie są relacje Rose z Richardem, Foleyem czy nawet jego ojcem… równie dobrze mogliście spotkać się wszyscy dziś rano i wyjaśnić nieporozumienia. Wie natomiast, że Rose i dzieci od kilku dni przebywają w Londynie, poruszając się po mieście bez skrępowania, oraz że są mile widziani w tym domu. Nie wyda mu się dziwne, że Rose wybrała się na spacer, zauważyła czekający przed Seddington House powóz Adairów, zamieniła kilka słów z Phelpsem i Connerem, a następnie weszła do środka z zamiarem przyłączenia się do Rogera i dzieci, aby także

odnowić znajomość ze swym dawnym domem. – Thomas spojrzał pytająco na Richarda.

Ten przytaknął.

– Prawda. Zatem wejdę tam z Rose i…

– Nie – uciął Thomas tonem nieznoszącym sprzeciwu. Pochwycił sfrustrowane spojrzenie Richarda, po czym ciągnął stanowczo, a zarazem coraz szybciej, gdyż czas, zaiste, naglił: – Nie może pan towarzyszyć Rose, ponieważ Roger uzna pana za zagrożenie. Nie wiemy, jak będzie się przedstawiać sytuacja, gdy wkroczymy do domu. Gdzie będzie wtedy Roger, a gdzie Homer i Pepi… William i Alice. Nie wolno nam ryzykować, że pchniemy Rogera do podjęcia decyzji, by zadziałać, a nad wyjaśnieniem pomyśleć później.

Thomas popatrzył na pozostałych – Penelope, Barnaby'ego, Stokesa, Montague'a i Violet.

– Rose musi tam wejść, lecz jedynym spośród obecnych tu mężczyzn, który może jej towarzyszyć, jestem ja. Roger zobaczy we mnie półkalekę bez powiązań z rodziną Percivalów, niemającego powodu, by o cokolwiek go podejrzewać. Zlekceważy mnie, jako osobę bez znaczenia, i skoncentruje się na mydleniu oczu Rose.

Spośród obecnych to Penelope, przyjrzawszy mu się z uwagą, krytycznie i bezstronnie, skinęła głową. W sposób rozstrzygający sprawę.

– Zgadzam się. Dla Williama i Alice stanowi pan najlepszą szansę na to, by wyszli z tamtego domu żywi.

Ułamek sekundy później poparł ją Barnaby.

– Masz rację. – Zaczął szperać w kieszeniach starego surduta, który nadal miał na sobie. – Na tę chwilę nie dostrzegam innego rozwiązania. Nie musimy pochwycić Rogera dzisiaj. Wystarczy, jeśli pokrzyżujemy mu szyki. – On także mówił szybko, coraz bardziej nagląco. – Nasze zadanie to powstrzymać Rogera przed zabiciem Williama i odbić mu dzieci.

– Tak. – Stokes również pokiwał głową. – Nim samym możemy zająć się później. Reszta z nas będzie obserwować wydarzenia z dystansu, tak by nie było nas widać z domu, ale do środka wolno nam wejść dopiero wtedy, gdy dzieci będą bezpieczne.

– Proszę. – Barnaby wręczył Rose gwizdek policyjny. – Zagwiżdż, a przybiegniemy na odsiecz.

– Ale proszę użyć go dopiero wtedy, gdy będzie pani wiedziała, że William jest bezpieczny – przestrzegł Stokes. – Gdy będzie pani miała jego i Alice przy sobie.

Rose schowała gwizdek do kieszeni.

Tymczasem Penelope, podobnie jak jej mąż, również za czymś szperała, tyle że w torebce. Wyjęła i fachowo sprawdziła mały pistolet, który podała teraz Thomasowi z krótkim:

– Jest naładowany.

Wziął broń i wsunął do kieszeni.

Zagubiony Richard powiódł wzrokiem od Rose do Thomasa i dalej po pozostałych.

– Nie wierzę, że na to przystaję, ale… – Przekazał Rose klucz, który odczepił od breloka. – Klucz do Seddington House, na wypadek gdyby Roger zamknął drzwi. Równie dobrze mogłabyś go zachować z dawnych czasów.

Rose przyjęła klucz.

– Dziękuję. – Spojrzała Richardowi w oczy. – Zrobimy, co w naszej mocy, żeby odzyskać dzieci.

– Nie – rzekł Thomas, biorąc ją za rękę, kiedy całą grupą zwrócili się ku wyjściu. –

Odzyskamy je, całe i zdrowe.

– No dobrze. – Stokes otworzył drzwi. – Podjedziemy dorożkami na róg Tilney Street i South Audley Street, a stamtąd pójdziemy pieszo.

*

Thomas szedł niespiesznie Tilney Street pod ramię z Rose. Kołysał laską ze swobodnym wyrazem twarzy, jakby oni dwoje po prostu wybrali się zaczerpnąć świeżego powietrza, najprawdopodobniej pośród trawiastych przestrzeni Hyde Parku zaraz po drugiej stronie Park Lane. Powóz Penelope przyciągnął jego uwagę; stał przed jednym z ogromnych starych domów po południowej stronie ulicy.

Wskazał pojazd laską, wymienili z Rose komentarze, a następnie przecięli ulicę z zamiarem zbadania sprawy.

Tak jak mówił Richard, Seddington House był zadbany i sprawiał wrażenie zamieszkanego. Okna lśniły czystością, żadne śmieci, pajęczyny czy inne oznaki zapuszczenia nie szpeciły oblicza, które dom ukazywał światu. Ogrodzenie z kutego żelaza oddzielało schludny ogród od trotuaru. Budynek miał dwie pełne kondygnacje i poddasze, którego lukarny wstawione w stromy, kryty łupkiem dach wychodziły na parapet – niski murek wieńczący pierwsze piętro. Parter był podniesiony, małe okna pod nim sugerowały suterenę, gdzie pracowała służba. Pod względem architektonicznym dom stanowił mieszaninę dawnych stylów; nad szerokim wykuszem na parterze z jednej strony wejścia znajdował się balkon, którego balustrada współgrała z parapetem powyżej.

Kiedy dotarli do powozu i Phelpsa, stojącego przy koniach, Thomas się uśmiechnął, a stangret ukłonił się najpierw Rose, potem jemu.

– Coś pan widział? – spytał z niewinnym uśmiechem Thomas.

Zaalarmowany przez Barnaby’ego, który, nadal w przebraniu skromnego robotnika, przeszedł niemrawo obok powozu i pogawędził ze stangretem, polecając mu przekazać wieści Connerowi, Phelps, co zrozumiałe, był spięty, ale bardzo się przykładał, żeby to ukryć.

– Nie, proszę pana. – Phelps dotknął palcem czoła. – Nic a nic. Nie zbliżali się do okien, przynajmniej nie tych, które stąd widać.

– Dziękuję. – Thomas spojrzał na Rose, która tymczasem przyglądała się domowi. Całkiem nieźle radziła sobie z ukrywaniem wzburzenia. Pochwyciwszy jej wzrok, Thomas nie zapomniał o uśmiechu. – Wejdziemy? – Uzupełnił pytanie gestem, miał nadzieję, dostatecznie czytelnym, na wypadek gdyby Roger Percival obserwował ich z wnętrza domu.

Rose popatrzyła na rezydencję, zmusiła się do promiennego uśmiechu i pokiwała głową. Spojrzała Thomasowi w oczy. Mocniej zacisnęła palce na jego rękawie.

– Tak. Wejdźmy.

Jak osoby szykujące się na miłą rozrywkę, przeszli przez furtkę, którą otworzył przed nimi Phelps, i wysypaną żwirem ścieżką podążyli do schodów prowadzących na ganek od frontu. Conner, stojący na pozór beztrosko obok schodów, skłonił głowę, kiedy się zbliżali. Tylko oczy zdradzały jego napięcie.

– Słyszał pan cokolwiek? – spytał cicho Thomas.

– Jestem pewien, że poszli na górę, a nie słyszałem, żeby schodzili… dzieci biegły, więc słyszałem ich kroki.

Thomas starał się zachować spokój, powstrzymał się przed zwężeniem oczu.

– Jak dawno weszli?

– Z dziesięć minut temu. – Conner zacisnął szczękę. – Proszę wołać, jeśli będziemy potrzebni.

– Zawołamy. – Thomas pokierował Rose dalej; jej gorączkowy niepokój stawał się coraz bardziej widoczny, przynajmniej dla niego.

Dotarli do frontowych drzwi – i przekonali się, że są otwarte. Thomasa bynajmniej to nie uspokoiło, przeciwnie, uznał pewność siebie Rogera Percivala za alarmującą. Łajdak nie przekręcił klucza w zamku, dzięki czemu, jeśli – kiedy – rozlegnie się krzyk albo inny tego rodzaju hałas i Conner rzuci się do środka, nie natknie się na osobliwość w postaci zamkniętych na klucz drzwi, drzwi, które tylko Roger mógłby zamknąć, z czego musiałby się później wytłumaczyć.

Ten człowiek istotnie myślał szybko i, czego właśnie dał przykład, przykładał wagę do szczegółów, najdrobniejszych, na których ktoś mniejszego kalibru by się potknął.

Puszczając Rose przodem, Thomas nachylił się ku niej.

– Pamiętaj o swojej roli – szepnął.

Musiała wytrwać, zachować maskę osoby, która o nic Rogera nie podejrzewa.

Podążywszy za nią do środka, Thomas rozejrzał się z umiarkowanym zainteresowaniem, gdy wolno zamykał drzwi.

Rose zatrzymała się pośrodku holu głównego. Wytężała słuch, ale nie słyszała nic. Ani chichotu Pepi, ani szurania butów Homera. Odnosiła wrażenie, że jej organizm przestał funkcjonować, zamarł w oczekiwaniu. Odwróciła się i spojrzała na Thomasa, kiedy do niej podszedł.

Popatrzył jej w oczy. Uśmiechnął się swobodnie.

– Ciekawe, gdzie oni są – powiedział normalnym głosem.

Spojrzeniem dodawał jej sił, odwagi. Dopingował ją, żeby trzymała się scenariusza, który obmyślili w pośpiechu, kiedy szli ulicą.

Odwróciła się znów ku schodom i uniosła głowę.

– William?! Alice?! Roger… jesteście tam?! – zawołała i umilkła na moment. – To ja, Rose… Rosalind. Przechodziliśmy z Thomasem i pomyśleliśmy, że się do was przyłączymy. Nie byłam tu… cóż, równie długo jak wy. Całe lata. Gdzie jesteście?

Nasłuchiwali z zapartym tchem – i tak, z daleka dobiegło szuranie, jakby butów.

Popatrzyła na Thomasa; on także je usłyszał. Skinieniem głowy dał znak, żeby kontynuowała.

Zaczerpnąwszy tchu, nasyciła słowa całą radością, jaką potrafiła z siebie wykrzesać.

– Och, to taka zabawa? W chowanego? Mamy was poszukać? No dobrze, ale wiecie, że Thomas nie chodzi za szybko, więc trochę nam to zajmie. Szukamy!

Thomas skinął głową na znak aprobaty i, nadal z przyjaznym uśmiechem, poszedł z nią ku schodom.

– Na górę – wymamrotał – ale bez pośpiechu. Cokolwiek się zdarzy, nie biegnij.

Rozpoczęli wspinaczkę; tego rodzaju schody Thomas musiał pokonywać stopień po stopniu.

Dotarli do podestu i wstąpili na drugi ciąg schodów.

– Trzymaj się roli najdłużej, jak się da – odezwał się znowu cicho Thomas, kiedy zbliżali się do ich szczytu. – Nie porzucaj jej, dopóki dzieci nie znajdą się w twoich ramionach, wtedy dmuchniesz w gwizdek.

Jedynie ścisnęła jego rękę na znak potwierdzenia.

Stanęli na galerii piętra i się rozejrzeli.

Thomas bywał już w opuszczonych domach. Zmysły, po wypadku nawet bardziej wyczulone, informowały go, że ten dom nie jest pusty, pozbawiony życia, nie sądził wszakże, by słyszany przez nich dźwięk dobiegł z tego piętra.

Pochwycił niespokojne spojrzenie Rose.

– Jest tu pokój dziecinny? – szepnął.

Przytaknęła, odwróciła się i wskazała ku wąskiemu łukowemu przejściu po drugiej stronie galerii; w cieniu za łukiem wiodły w górę schody.

– Opisz mi, jak tam wszystko wygląda – wymamrotał, nachylając się ku niej.

– Są trzy ciągi schodów – odszepnęła, patrząc mu w oczy. – Wyjdziesz – spojrzała na sufit – praktycznie nad nami. Korytarz biegnie przez cały dom, tak samo jak ten tutaj. Jeśli pójdziesz do przodu – pokazywała rękami – najpierw miniesz sypialnie pokojówek i piastunek. Ostatnie cztery pokoje, po dwa po każdej stronie, to sypialnie dziecięce… Do Wiliama i Alice należały te sąsiadujące z salą lekcyjną. To z kolei pomieszczenie na końcu korytarza, ciągnie się przez cały front domu.

Thomas przytaknął.

– Zacznij mówić. Powiedz, że idziesz ich szukać… mów przez cały czas i przemieszczaj się ku przedniej części domu. – Wskazał przed siebie. – Udawaj, że szukasz w sypialniach od frontu na tym piętrze.

Jej twarz się zachmurzyła.

– Jakie…?

Chwycił jej dłoń i mocno ścisnął.

– Nie mamy czasu. Weszli na górę i jest tam za cicho. Pójdę tam, ale musisz odwrócić ich uwagę, niech myślą, że szukamy tutaj.

Wpatrywała się w niego przez sekundę, a potem przystąpiła bliżej, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go.

Krótko.

Odstąpiwszy, spojrzała mu w oczy.

– Bądź ostrożny.

Puściła go, okręciła się na pięcie i poszła korytarzem.

– Szukamy! – zawołała. – Pepi? Gdzie jesteś? Schowałaś się w pokoju mamy?

Thomas pokuśtykał do łukowego przejścia, obejrzał się przez ramię i usłyszał, jak Rose zmierza dalej. Potem mocno chwycił laskę i ruszył w górę najciszej i najszybciej, jak tylko był w stanie. Najszybciej jak śmiał.

Nadal trwało to zbyt długo, w końcu jednak przystanął na najwyższym stopniu. Rose stale nawoływała, raz po raz, znacząc swoją drogę przez pokoje poniżej. Kiedy znów na chwilę umilkła, Thomas nasłuchiwał – i wychwycił dziwny dźwięk, jakby coś ślizgało się z szuraniem, później zaś dotarły do niego przytłumione głosy.

Zdawały się dobiegać z sali lekcyjnej.

Opuścił osłonę klatki schodowej i nie dotykając laską wyłożonej chodnikiem podłogi, szybko, lecz cicho poszedł w tym kierunku.

Drzwi do sali były na pół otwarte; pomieszczenie za nimi zalewało dzienne światło. Przypuszczalnie lukarny nie miały zasłon.

Głosy się zbliżały, stawały coraz wyraźniejsze. Chociaż Thomas nie rozróżniał jeszcze słów, rozpoznał chłopięce tony Homera, a następnie, w przypływie ulgi, szczebiotliwy pisk Pepi – który zaraz zagłuszył niski, mroczny, uwodzicielsko zabójczy męski głos.

Roger, Homer i Pepi przebywali razem za tymi drzwiami.

Otulony rzucanym przez nie cieniem, Thomas przebiegł wzrokiem widoczny fragment

pomieszczenia, lecz nie zobaczył nic godnego uwagi. Wyciągnął rękę i bardzo ostrożnie otworzył drzwi szerzej.

W duchu podziękował opatrzności, że drzwi nie zaskrzypiały. Jego umysł nie przestawał jednak błyskawicznie absorbować i analizować tego, co rejestrowały jego oczy.

Długie skrzydło jednego z okien szeroko rozwarto. Roger zabrał Homera i Pepi na dach – zmusił ich, by tam wyszli. Argumentem w postaci pistoletu.

Łotr stał o krok od otwartego okna, trzymając Pepi luźno przy sobie. Dziewczynka się nie wyrywała, ponieważ w prawej ręce Roger miał pistolet i wbijał jej wylot lufy pod brodę. Mała była przerażona.

Bez wątpienia groźbą, że zastrzeli Pepi, Roger zmusił Homera, by pierwszy wygramolił się na dach. Rozczulająco wyprostowany i wysoki, z pięściami zaciśniętymi wzdłuż boków i buntowniczo wysuniętą brodą, chłopiec stał dalej od okna, dobre pięć kroków od swego niedoszłego mordercy. Który mierzył z broni do jego siostrzyczki.

Część dachu, gdzie się znajdowali, był to poziomy pas szerokości nieco ponad pół metra, biegnący między parapetem a lukarnami.

Conner stał zbyt blisko budynku, żeby zauważyć, iż dwa piętra wyżej coś się dzieje. Thomas zerknął w kierunku czekającego przy powozie Phelpsa i zrozumiał, że stangretowi widok przesłania drzewo.

Uwaga Rogera koncentrowała się na Homerze, i wzajemnie.

– Pamiętajcie – zamruczał Roger – że jeśli którekolwiek z was odezwie się głośniej albo choć pomyśli o tym, żeby krzykiem wezwać na pomoc waszą siostrę czy kogoś innego, niemal na pewno się przestraszę i pociągnę za spust… a tego byście nie chcieli, prawda?

Po chwili pełnej napięcia ciszy Roger się uśmiechnął.

– Doskonale. A teraz powiem ci, co zrobisz – ciągnął tym samym cichym, aksamitnym głosem, nieomal hipnotyzującym słuchaczy, by wszystko potoczyło się po jego myśli…

Niewiele brakowało, a Thomas rzuciłby się naprzód.

Pohamował się.

Wziął potężny oddech, wpatrzony w rozgrywającą się przed nim scenę, bezlitośnie zdławił burzące się w nim emocje, które domagały się natychmiastowych, impulsywnych działań, po czym sięgnął głęboko, i jeszcze głębiej, aż odnalazł swoje dawne ja.

Z rozmysłem owinął się nim jak starą, znoszoną peleryną.

Malcolm Sinclair nigdy nie odczuwał emocji. Nie borykał się z wywoływanym przez nie rozkojarzeniem.

Malcolmem Sinclairem musiał się stać, żeby uratować Homera i Pepi.

Widział jaśniej, ostrzej.

Natychmiast odnotował, że wszystko zależy od tego, jak blisko okna zdoła podejść, zanim zobaczy go Roger albo spostrzeże któreś z dzieci, zdradzając się reakcją.

Oparł laskę o ościeżnicę i posuwiście ruszył naprzód. Jeden krok. Dwa. Nadal odczuwał potrzebę utykania, ale ją zignorował – zablokował ból, który przeszywał go, gdy stawiał normalne kroki.

On się nie liczył. Liczyli się Homer i Pepi.

– Nie! – Zaciskając pięści, Homer rzucił Rogerowi w twarz tę odmowę, cichą, lecz nieprzejednaną. – Myśleliśmy, że jesteś miły… lubiliśmy cię. Ale jesteś potworem. – Gwałtownym ruchem brody wskazał Pepi. – Puść ją!

Roger się uśmiechnął, pełen czaru, zabójczo spokojny.

– Puszczę ją, kiedy skoczysz, masz na to moje słowo.

– Twoje s ł o w o? – Jak na dziewięciolatka, Homer zdołał włożyć w swą wypowiedź niewiarygodny zasób pogardy. – A co ono jest warte? Wiem, że jej nie wypuścisz… zrzucisz ją w ślad za mną, bo inaczej opowie wszystkim, co zrobiłeś.

Uśmiech Rogera stał się kpiący, wredny.

– Doskonale. Wobec tego może zrzucę ją jako pierwszą?

Homer zbladł.

Malcolm dotarł do otwartej lukarny.

Chłopiec go spostrzegł – wbił w niego wzrok, wyraz jego twarzy się zmienił.

Roger zauważył to i zerknął w stronę okna.

Spanikował i odwrócił się, odrywając pistolet od brody Pepi.

Malcolm nie spojrzał na pistolet. Patrzył na Pepi, pochwycił jej wzrok.

– Pepi, padnij!

Zrobiła wielkie oczy.

A później posłuchała.

Roger próbował chwycić jej raptem wiotkie ciało, ale mu się wyślizgnęła.

Klnąc, spojrzał na Malcolma. Warknął, odciągając wargi, i dał sobie spokój z Pepi, która pozbierała się na nogi, po czym, drobiąc, pomknęła do Homera. Chłopiec wepchnął ją za siebie.

Roger przez ułamek sekundy patrzył Malcolmowi w oczy, po czym wyprostował się, odwrócił i wycelował z pistoletu do Homera.

Żaden namysł nie był konieczny.

Malcolm chwycił oburącz okienną framugę, podciągnął się i rzucił na Rogera Percivala.

Grzmotnął w mężczyznę. Zamknął dłonie na jego przedramieniu, przemocą skierował lufę pistoletu w górę i do tyłu.

Zmagali się. Percival klął. Malcolm wzmocnił uchwyt i siłą uniósł ramię przeciwnika wyżej.

Pistolet wypalił nieszkodliwie w niebo.

Percival ryknął. Wolną ręką odepchnął od siebie Malcolma.

Zarazem samemu się od niego odpychając.

Niski parapet podciął mu od tyłu nogi w kolanach.

Percival rozwarł szeroko oczy, zakręcił młynka ramionami i zaczął spadać.

Pozbawiony oparcia, nie potrafiąc odzyskać równowagi, Malcolm chwiejnie zrobił krok do przodu.

W akcie krańcowej desperacji Percival wyrzucił przed siebie rękę – i chwycił z boku za surdut Malcolma.

A potem spadł.

I zabrał ze sobą Malcolma.

*

Spadał.

Znowu.

I podobnie jak przy tamtej pierwszej okazji, czas zwolnił.

Jednak tym razem zamiast niezliczonych przebłysków z całego życia, jego zmysły odtwarzały poprzedni upadek, ogłuszający grzmot wodospadu, lodowaty chłód, kiedy

przemoczyła go lecąca w dół woda. Szczególnie pamiętał dzikie przerażenie, jakie go przeszyło, rozdarło mu ciało i duszę, gdy mknął ku ostrym czarnym skałom…

Ten obraz zblakł.

Tym razem był tylko spokój.

Poczucie nieodwołalności.

Pełni.

Końca.

Krzyk rozdarł otulającą go ciszę.

Rose. Jego Rose.

Jego miłość do Rose.

Jego droga do spokoju – jego zbawienie.

Coś uderzyło go w żebra; rozległ się głośny trzask.

Nic nie widział. Wzrok mu się zaćmił.

Jego ciało przekoziołkowało; przeszył go ból.

Owładnął nim.

Uderzył głucho o ziemię.

O miękką, ciemną ziemię, nie zaś ostre skały.

To nie miało znaczenia – i tak było po nim.

Zamykając oczy, oddał się w ręce losu.

*

Rose stała na półokrągłym balkonie od frontu, oślepiona łzami, i z sercem w gardle raz za razem dmuchała w gwizdek.

ROZDZIAŁ 16

Słyszał mamrotania, szepty, ale nie potrafił rozpoznać mówiących, nie rozróżniał słów.

Czy to święty Piotr decydował, dokąd powinien trafić? Na górę czy na dół? Ale nie wierzył w Boga – może zatem to parki rozstrzygały o jego losie.

Tak czy inaczej, zrobił wszystko, co leżało w jego mocy. Jego życie dobiegło końca.

Dryfował. Ból tutaj nie sięgał, na tę płaszczyznę, gdzie nic nie istniało.

On wszakże tu był, czyż nie? Był prawdziwy… albo?

Pytania okazały się zbyt trudne, nie potrafił przedrzeć się przez otaczającą go gęstą mgłę.

Odpuścił, przestał się zastanawiać i po prostu trwał.

Odzyskał zmysły i pojął, że podobnie jak rozum na powrót są na jego rozkazy.

Czy ciało również, tego nie był jeszcze pewien.

Zanim przetestował to ostatnie, sięgnął zmysłami jak najdalej, by powiedziały mu, ile zdołają.

Leżał… w łóżku, z puszystymi poduszkami pod głową, otulony ciepłymi, miękkimi przykryciami.

Nie tego oczekiwał.

Uniesienie rzęs wymagało wysiłku, lecz w końcu podołał wyzwaniu. Zamrugał.

Rose siedziała w fotelu obok łóżka, szyła zapamiętale z pochyloną głową.

Tak często oglądał ten widok w kuchni dworu, że przez kilka sekund nie śmiał wierzyć, że to cokolwiek więcej aniżeli wspomnienie…

Jakby poczuła na sobie jego wzrok, Rose uniosła głowę – i popatrzyła mu w oczy.

– Dzięki Bogu – szepnęła. Na jej twarzy rozlała się radość, rozświetlił ją uśmiech miłości i wdzięczności.

Odłożyła szycie, wstała i podeszła bliżej.

Nakryła dłonią jego dłoń na kapie i spoglądała w jego pełne zadziwienia oczy.

– Kocham cię.

Jej uśmiech nie blakł; spojrzenie pozostawało spokojne i pewne.

Ż y ł.

Emocje uderzyły w niego, myśli zawirowały, upojone wzbierającym szczęściem. Lustrował jej twarz, chłonął te ukochane rysy, nurzał się w uczuciach, które czytał z jej oczu. Uśmiechnął się krzywo.

– Czyli tym razem nie klasztor.

Słowa zadudniły chrapliwie. Język miał opuchnięty, suchość w gardle.

Rose się roześmiała, bliska szaleństwa z ulgi i szczęścia. Z szafki nocnej wzięła szklankę z wodą, przysunęła mu do ust i ponagliła, żeby pociągnął łyk.

– Jak się czujesz? – spytała, kiedy to zrobił.

Zmarszczył brwi, dokonując oceny sytuacji.

Odstawiwszy szklankę, usiadła obok niego na łóżku i zamknęła jego dłoń w swoich – po prostu musiała go dotykać, trzymać się go mocno, teraz, kiedy wrócił.

Po chwili popatrzył jej w oczy.

– Nie jestem pewien. Byłem przekonany, że umrę.

W tym ostatnim zdaniu kryło się pytanie, toteż na nie odpowiedziała.

– Nie, według lekarza śmierć ci nie groziła. Po drodze uderzyłeś o drzewo, kilka razy, co spowolniło twój upadek, a także odkształciło tor lotu w taki sposób, że wylądowałeś na rabatce zamiast na jej kamiennym obramowaniu albo żwirze. Złamałeś kilka żeber, ale zostały nastawione i już się zrastają, poza tym doktor sądzi, że wykręciłeś uszkodzone biodro i słabszą nogę, masz też brzydką ranę na plecach, tam gdzie wpadłeś na sporą gałąź, niemniej – zrobiła przerwę na oddech – z czasem, jak uważa doktor, po tej przygodzie pozostanie ci tylko blizna na plecach.

Przyglądała się, kiedy usiłował to przyswoić.

– Doktor powiedział, że pośrednio ochroniły cię wcześniejsze obrażenia… powiedział, że twoje stawy i mięśnie stały się niezwykle mocne, musiały bowiem zrównoważyć braki. Wytrzymały uderzenie lepiej, niż stałoby się to w przypadku kogoś, kto nie odniósł twoich ran.

To jakby pomogło.

Odwrócił rękę i chwycił jej dłoń, znów patrząc jej w oczy.

– Homer i Pepi… William i Alice. Jak się miewają?

Uśmiechnęła się szeroko, odwzajemniając uścisk jego palców.

– Lepiej niż inni. Byli równie wstrząśnięci jak my, dorośli, ale kiedy tylko usłyszeli werdykt lekarza w twojej sprawie… – Wolną ręką wykonała gest. – Ich szok przekształcił się w ekscytację i z zapałem opowiadali każdemu, kto chciał słuchać, o ich mrożącej krew w żyłach ucieczce ze szponów niecnego Rogera. Występuje teraz w opowieściach jako „ten bardzo zły człowiek”.

– Cytując dzieci, on był bardzo złym człowiekiem.

Thomas – zdał sobie sprawę, że rzeczywiście na powrót jest Thomasem – przypomniał sobie głos Rogera na dachu. Ponownie usłyszał jego melodię, odtworzył mrok, jakim ociekała każda sylaba, i stłumił dreszcz. Podniósł wzrok na Rose.

– Spotkałem w życiu złych ludzi, kilku, różnego autoramentu. Pod względem pozycji czy pola działania Roger nie mieścił się ani u góry, ani u dołu stawki. Ale był z nich wszystkich najgorszy. – Poruszył się na łóżku. – Co się z nim stało?

– Jest w szpitalu, ale nie oczekuje się, że przeżyje.

Odnotował, że w jej głosie nie było śladu łagodności, współczucia; dla niej Roger tak czy owak już nie żył.

Nie mógł jej za to winić.

Zatopił głowę w poduszkach i rozejrzał się, rejestrując umeblowanie oraz elementy wystroju wnętrza typowe dla zwykłej sypialni. Za oknem widział błękitne niebo, rozbrykany wietrzyk mierzwił liście w koronach drzew.

– Gdzie jesteśmy?

Spojrzał na Rose akurat w porę, żeby zobaczyć jej uśmiech.

– W domu Barnaby’ego i Penelope. Nalegali, byśmy zatrzymali się tutaj, dopóki na tyle nie wrócisz do zdrowia, żebyśmy zastanowili się, co chcemy robić dalej, dokąd się udamy.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy.

– My? – spytał wreszcie cicho.

Przytaknęła ze zdecydowaniem.

– My. – W jej tonie pobrzmiewała determinacja. Odrobinę zwęziła oczy, jakby

wyzywała go na pojedynek na argumenty.

My. Spoglądając na nią, zawahał się – usiłował określić logiczną drogę naprzód, tak dobrać słowa, by stała się realna – ostatecznie jednak uległ chwili, przytłaczającemu emocjonalnemu przymusowi, który w nim wzbierał, i nie rzekł nic.

Nie był pewien… co powinno się zdarzyć. Co mogło się zdarzyć.

Wiedział, że musi przemyśleć sprawy, ale… z westchnieniem uświadomił sobie, iż nadal jest na to za słaby.

Powieki zaciążyły mu i opadły. Zaczął walczyć, próbował zostać z Rose, ona wszakże pogłaskała wierzch jego dłoni, a później przesunęła się do przodu i otarła wargami o jego czoło.

– Śpij – szepnęła. – Będziemy tu, kiedy się obudzisz.

Uspokojony, odpuścił i zasnął.

*

Minął ponad tydzień, zanim Thomas był w stanie zmierzyć się ze schodami. Dzień po tym, gdy dowiódł, że im podoła, Penelope zorganizowała proszony obiad.

– Chodź. – Trzymając go pod ramię, Rose zapewniała mu stabilność, kiedy zawahał się u szczytu schodów. – Wszyscy czekają w salonie.

Trzeba było pięciu minut ostrożnego pokonywania jednego stopnia za drugim, ale w końcu stanął na kaflach holu głównego i się wyprostował.

Rose uśmiechnęła się zachęcająco. Ramię w ramię zwrócili się w kierunku drzwi, przy których czekał rozpromieniony Mostyn.

Kiedy się zbliżyli, Mostyn usłużnie otworzył drzwi na oścież i wkroczyli w uroczystość.

Byli tu wszyscy – Barnaby i Penelope, Stokes i Griselda, Montague i Violet oraz Richard Percival – ludzie, których Thomas dobrze poznał w ostatnich tygodniach, z którymi współpracował, żeby ocalić Williama, Alice i Rose.

Dzieci także były obecne, nie tylko William i Alice, stopniowo uczący się reagować na swoje prawdziwe imiona, ale także synek Barnaby'ego i Penelope, Oliver, oraz Megan, córka Stokesa i Griseldy, oboje nadal hałaśliwe berbecie. Stało się też bardziej widoczne, że Violet i Montague oczekują potomka.

Dorośli stali, spoglądając na Thomasa z kieliszkami w rękach i szerokimi uśmiechami na twarzach.

Zatrzymał się rozbawiony. Założył, że chodzi o zwykły proszony obiad; nie wyobrażał sobie…

Barnaby uniósł kieliszek.

– Za naszego zwycięskiego bohatera.

– Za naszego zwycięskiego bohatera! – zawtórowali mu inni.

Zamrugał szybko. Zaiste ponownie był Thomasem, z jego niewygodnymi emocjami i wynikającym z nich rozkojarzeniem.

Ktoś wcisnął mu w dłoń kieliszek.

Spojrzawszy na Rose, odkrył, że miała już szkło i także piła za jego zdrowie.

Popatrzył jej w oczy, zobaczył przepełniające je szczęście i zawahał się – wejrzał w głąb siebie po wskazówki, jak musiał to robić jakże często. Jako Thomas dzięki niej wiedział, jak postąpić.

Uniósł kieliszek ku zebranym.

– Dziękuję. – Zrobił krótką przerwę. – Nie zdołałbym uratować dzieci bez wsparcia i pomocy was wszystkich.

Obecni uśmiechali się szeroko, śmiali, skłaniali głowy na znak akceptacji, aż w końcu wrócili na swoje miejsca i usiedli, żeby porozmawiać i podzielić się najnowszymi wieściami.

Thomas pokuśtykał ku niewielkiej sofie, najwyraźniej zarezerwowanej dla niego i Rose, opadł na nią ostrożnie, a potem wygodnie się oparł. Rose usiadła obok niego. Zerknął na nią i poczuł, jak wzbiera w nim zadowolenie – wdzięczność, prosta radość z faktu, że żyje.

Rozmowa, co niezbyt zaskakujące, zwróciła się ku owym krytycznym chwilom w Seddington House.

Stokes, Barnaby, Penelope, Montague, Violet i Richard Percival ze swych różnych pozycji po drugiej stronie ulicy mieli każde dobry widok na zdarzenia na dachu.

– Ale nie widzieliśmy pana – wyjaśnił Richard. – Aż do momentu, kiedy rzucił się pan na Rogera.

– Nie wiedzieliśmy, co robić – rzekła Violet. – Czy krzyczeć do Phelpsa i Connera, żeby spojrzeli…

– Czy wbiec do środka. – Stokes pokręcił głową. – To były potworne minuty.

– Minuty z gatunku tych, jakich nie chciałabym przeżyć nigdy więcej – oznajmiła z żelazną stanowczością Penelope.

Griselda uniosła brwi, jakby nie wierzyła własnym uszom.

Spostrzegłszy to, Penelope wzruszyła ramionami.

– Naturalnie, jeśli tylko zdołam tego uniknąć.

Griselda się roześmiała. Barnaby pochwycił spojrzenie żony i posłał jej uśmiech.

Przeszli do jadalni, gdzie rozmowy potoczyły się dalej.

Penelope posadziła Richarda Percivala, jedynego przy stole mężczyznę bez pary, obok Thomasa. Richard wykorzystał chwilę między daniami, żeby zaprzątnąć uwagę sąsiada.

– Rozmawiałem z Rose, no i z Williamem także, oczywiście. Ponieważ zbliża się lato i szkoły wkrótce będą miały przerwę, pomyśleliśmy, jeśli się pan zgadza, że dla Williama byłoby najlepiej, gdyby mógł pozostać pod pańską opieką, kontynuować naukę pod pańskim przewodnictwem, przynajmniej przez kilka najbliższych miesięcy. Mamy mnóstwo czasu, by ocenić szkoły i wybrać tę, która będzie mu najbardziej odpowiadać, no i, oczywiście, powinien zacząć zaznajamiać się z posiadłością, spędzać tam więcej czasu.

Thomas nie pomyślał…

Richard starał się wyczytać cokolwiek z nagle beznamiętnej twarzy rozmówcy, ale mu się to nie udało.

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę – rzekł trochę niepewnie – że nakładamy na pana ciężar i jeśli nie skłania się pan przyjąć tej odpowiedzialności, z radością zorganizuję wszystko tak, by Rose i dzieci zamieszkali w Seddington House. Najmiemy tutorów i…

– Nie.

Słowo padło z ust Thomasa podyktowane czystą emocją. Odruchem. Ale nie wiedział jeszcze, co się wydarzy. Spojrzał przez stół na Stokesa; zatopiony w poważnej dyskusji z Montagiem, inspektor zdawał się niepomny ich umowy, z całą pewnością nie dawał do zrozumienia, że o niej pamięta, lecz Thomasowi nie chciało się wierzyć, by istotnie zapomniał.

– Może najlepiej będzie – rzekł cicho Thomas, kierując znów wzrok na Richarda – jeśli

na razie pozostawimy wszystko tak, jak jest. Dopóki nie uporządkuję spraw.

Richard przesunął spojrzenie z Thomasa na siedzącą dalej Rose i z uśmiechem pokiwał głową.

– Tak, oczywiście. Jak mówiłem, mamy kilka miesięcy, nim zajdzie konieczność podjęcia decyzji tyczących życia Williama.

Jedną ze spraw do uporządkowania był związek Thomasa i Rose. Thomas miał świadomość, że wiele przemawia przeciw niemu.

Ponieważ zależało mu, żeby uniknąć dalszej rozmowy na tego rodzaju tematy, zapytał:

– A co z Marmadukiem? Rozumiem, że nadal jest współopiekunem Williama?

Richard przytaknął.

– Jednakowoż, jeśli o to chodzi, Marmaduke nigdy nie przejawiał zainteresowania zarządzaniem posiadłością i ani Foley, ani ja nie spodziewamy się, że zaangażuje się w ustalanie szczegółów związanych z życiem Williama teraz, kiedy chłopiec wrócił… Aha, przy okazji, Foley powiadomił sądy o tym fakcie, że William jest cały i zdrowy, i jak najbardziej żywy.

Richard zrobił krótką przerwę.

– Co do samego Marmaduke'a – ciągnął – znajduje się w opłakanym stanie. W tej chwili czuwa przy łóżku Rogera. Na wieść o tym, co zamierzał Roger, Marmaduke zareagował oszołomieniem, szokiem… w rzeczy samej, krańcowym przerażeniem. Z początku nie chciał tego zaakceptować, ale teraz wie już, że to prawda, i jest zdruzgotany. Szczerze wątpię, żebyśmy my czy William musieli nadal obawiać się utrudnień z jego strony.

Thomas zwrócił oczy na Williama i Alice, siedzących obok siebie dalej, po drugiej stronie stołu; dzieci były wniebowzięte, że mogą jeść z dorosłymi.

– A socjeta? – spytał. – Ile wie towarzystwo?

Richard podążył za jego spojrzeniem i zrozumiał powód pytania; w towarzystwie krzywo patrzono na rodziny łotrów pokroju Rogera.

– Zabiegaliśmy o to, by w miarę możliwości utrzymać sprawę w tajemnicy, i w dużej części dzięki Adairom nawet nam się udało. Wiele osób wie, oczywiście, to było nieuniknione, ale akurat ci ludzie cenią dyskrecję.

– To dobrze. – Thomas z ulgą pokiwał głową.

Rose domagała się jego uwagi, a potem jego i Richarda wciągnięto w szerszą dyskusję.

Kiedy posiłek dobiegł końca, biszkopt z kremem został zmieciony i zniknęły wszystkie gotowane figi, przeszli znów do salonu. Konwersacja zboczyła na bardziej ogólne tematy, kiedy, zachęceni przez Thomasa, Adair i Montague przybliżyli mu wydarzenia, które przeoczył w trakcie niedawnej rekonwalescencji.

Dzieci zaczęły ziewać i Rose odprawiła je na spoczynek.

Z sennymi uśmiechami, ukłonem i chwiejnym dygnięciem, William i Alice pożegnali dorosłych i oddalili się do łóżek, mijając się w drzwiach z Mostynem, który wtaczał do pokoju wózek z herbatą.

Stokes zmienił pozycję w fotelu.

– Nie chciałem wspominać o tym przy dzieciach… nasłuchały się już dosyć, a o najważniejszych punktach można powiedzieć im później, jeśli taka wiedza w ogóle okaże się im kiedyś potrzebna. – Potoczył wzrokiem po obecnych. – Roger Percival wyzionął ducha dziś około południa, lecz zanim to zrobił, przyznał się do winy i złożył wyczerpujące zeznania.

– Poczekaj! – Penelope powstrzymała go uniesioną dłonią. – Pozwól, że rozdam

filiżanki, a potem siądziemy wszyscy wygodnie i oddamy ci głos.

Thomas sumiennie przyjął filiżankę ze spodkiem. Pociągnął łyk herbaty, po czym spojrzał na Stokesa.

– Zanim pan zacznie, może opowie mi pan, co właściwie się zdarzyło, kiedy Roger i ja spadliśmy. Szczegóły mącą mi się nieco od momentu, kiedy opuściliśmy dach.

Stokes otaksował go wzrokiem.

– Ponieważ Roger pana pociągnął – rzekł – spadł pan do przodu, mniej więcej głową w dół, bliżej domu i trochę na bok od miejsca, gdzie on uderzył o ziemię. Obił się pan o kilka konarów i skończył na rabacie biegnącej wzdłuż frontu domu. Roger dla odmiany spadał tyłem… dalej od domu, nie zahaczając o drzewo. Upadł połową ciała na żwirową ścieżkę, a połową na rabatę. Kamienny murek wokół rabaty złamał mu kręgosłup i przekłuł płuco. Nie miał szans wyzdrowieć, ale dotrwał aż do dzisiaj.

– Dziękuję. – Thomas skinął głową.

Stokes wziął podaną mu przez Griseldę filiżankę ze spodkiem, napił się i powiódł wzrokiem po kręgu pełnych wyczekiwania twarzy.

– My… policja… jesteśmy teraz pewni, że Marmaduke Percival nie miał pojęcia o zamiarach syna, w żadnym momencie. Jak wspomniał Richard, Marmaduke to człowiek… może nie tyle prosty, co łatwy do zmanipulowania. Jego syn wykorzystywał ów fakt, na ile tylko się dało.

Zrobił przerwę na kolejny łyk herbaty.

– Roger tonął w długach. Zaczął pożyczać pieniądze jeszcze w szkole, wraz ze swoim przyjacielem Atwellem. Obaj lubili udawać bogatszych, niż byli, żyli znacząco ponad stan. Podjudzali się nawzajem i od samego początku zadłużali u najbardziej pozbawionych skrupułów lichwiarzy… takich, którzy z chęcią pożyczają pieniądze sztubakom z dobrych rodzin. Roger nigdy nie próbował zdobyć środków od ojca, kiedy bowiem wreszcie uzmysłowił sobie, jak bardzo się pogrążył, i chciał wszystko spłacić, odkrył, że Marmaduke dysponuje nader ograniczonymi funduszami, które nie wystarczą choćby tylko na dostrzegalne uszczuplenie owych długów. Zatem Roger grzązł coraz bardziej. Zawsze grał na swoich związkach z majątkiem Seddington, ale kiedy czas płynął i urodził się William, sytuacja Rogera stawała się coraz bardziej napięta. W końcu musiał coś zrobić, żeby ugłaskać coraz agresywniejszych wierzycieli, toteż na spokojnie, z zimną krwią zaplanował morderstwo swego kuzyna Roberta i jego żony Corinne, a następnie zamierzał pozbyć się Williama. Wówczas posiadłość odziedziczyłby ojciec Rogera, to by zaś wystarczyło, żeby go ocalić.

Kupił mocny środek nasenny, ilość wystarczającą, żeby zabić Roberta i Corinne, i Williama także. Udał się do Seddington Grange, kiedy wszakże zbliżał się do wylotu alei dojazdowej, zobaczył, jak Robert i Corinne wyjeżdżają. Skręcili na północ, zatem podążył za nimi. Zatrzymali się na trawiastym cyplu nad Grimsby i zaczęli rozkładać rzeczy na piknik. Roger prędko znalazł gospodę, nabył butelkę wina i dołączył do nich. Wlał środek nasenny do ich kieliszków, był jednak na tyle sprytny, że nie podał im za dużo. Zasnęli, ale nie umarli.

Roger poczekał, aż zapadnie noc – ciągnął coraz mroczniejszym głosem Stokes – po czym zabrał kuzyna i jego żonę w swojej kariolce do przystani. Przeniósł oboje na jacht Roberta… a pamiętajcie, że wszyscy mężczyźni z rodu żeglują… wyszedł w morze, owinął ich, nadal żywych, w żagle, a następnie przewrócił jacht do góry dnem. Zadbał, by żagle pozostały przy jachcie, a on sam unosił się na wodzie, potem zaś… jako że morze było spokojne… popłynął wpław do brzegu i wrócił do Londynu.

Stokes popatrzył na Rose.

– Tamtego wieczoru po pogrzebie słyszała pani Rogera, który przechwalał się przed Atwellem, jak wydostał się z bagna. Widzi pani, Atwellowi jeszcze się to nie udało, nadal tonął w długach. I bardzo dobrze, że zareagowała pani tak, a nie inaczej: Roger planował podać Williamowi środek nasenny już następnego dnia. Kiedy pani i dzieci zniknęliście… uznał, że nie ma to już większego znaczenia. Kuzyn i jego żona nie żyli, a jedyną osobą, która stała między nim, czy raczej jego ojcem, a posiadłością, był pięcioletni chłopiec, który gdzieś przepadł. Roger zręcznie wzbudził w wierzycielach przekonanie, że William nie wróci, że wystarczy odczekać siedem lat, a uzyska nieograniczony dostęp do majątku. Wierzyciele skłonni byli dalej pożyczać mu pieniądze na tej podstawie. Dla Rogera zniknięcie Williama równało się po prostu niewielkiemu opóźnieniu.

Przeniósł spojrzenie na Richarda.

– A potem Roger uzmysłowił sobie, że poszukuje pan Williama, i w jego odczuciu znacznie uprościło to sprawy. Poprzez Marmaduke'a śledził pańskie postępy, z daleka obserwował Curtisa i jego ludzi. Uważał, że kiedy, jeśli w ogóle, znajdzie pan Williama, będzie miał mnóstwo czasu, by podjąć działanie. Nie martwił się, bez względu na wynik poszukiwań. Jednakże, oczywiście, czas płynął, jego długi rosły, a wierzyciele stawali się coraz bardziej wymagający. To świeża sprawa. Zarazem dwa lata temu Atwell, jego szkolny przyjaciel i powiernik, dotarł do punktu bez odwrotu i, tak jak podejrzewaliśmy, spróbował zrobić użytek z wiedzy o popełnionym przez Rogera morderstwie, żeby wydobyć od niego pieniądze. Atwell zginął z ręki Rogera. Rozwiązaliśmy więc także zagadkę i tego morderstwa.

Stokes umilkł na chwilę, porządkując myśli.

– Wróćmy jednak do ostatnich dni. Roger znajdował się pod coraz silniejszą presją – podjął. – Musiał odszukać Williama, zamordować go i zadbać, żeby znaleziono ciało… Tylko w ten sposób mógł zagwarantować wierzycielom, że pewnego dnia będzie w stanie spłacić długi. Zaczął obserwować ludzi Curtisa. Wiedział, że Richard, z pomocą Curtisa, coraz bardziej osacza Rose, i trwał w gotowości. Kiedy jego człowiek zobaczył, jak William, Rose i Alice wsiadają do powozu Penelope, Roger z trudem trzymał się w ryzach. Zależało mu na jak najszybszej śmierci chłopca i gotów był zrobić użytek z każdej zaistniałej sytuacji. – Stokes umilkł na chwilę, a później spojrzał na Thomasa i zwiesił głowę. – Nieomal mu się udało.

– A teraz nie żyje. – Richard Percival nie dodał „na szczęście", niemniej takie odczucie tak czy owak zawisło w powietrzu.

Stokes przytaknął.

– Komisarze są zachwyceni, że zamknęliśmy kilka spraw, czysto i gładko, nie pozostawiając luźnych wątków.

Thomas spojrzał na Stokesa, ale ten osuszał właśnie filiżankę; doszedł do wniosku, że wygłaszając ten komentarz, inspektor nie miał na myśli niczego konkretnego.

Penelope, Griselda i Violet wkroczyły z tematami, które odciągnęły wszystkich od mroku, jaki przepełniał Rogera Percivala i napędzał jego czyny.

Stopniowo, dzięki determinacji dam, atmosfera się rozjaśniła i, jedno za drugim, znów zaczęli uśmiechać się i śmiać.

Thomas obiegał wzrokiem krąg obecnych, słuchał ich planów na przyszłość, tę najbliższą i nieco dalszą, i skonstatował, że także pragnąłby mieć przyszłość, której mógłby z radością wyczekiwać, którą dzieliłby z przyjaciółmi takimi jak oni. Zamiast tego słuchał ich szczegółowych objaśnień, zręcznie omijając kierowane doń pytania.

Zakładali, że nadal wraca do zdrowia i nie znalazł jeszcze czasu, by sięgnąć myślami dalej, toteż nie naciskali – nawet Penelope.

Otulony ciepłą, przyjacielską atmosferą, patrzył na każde z nich i nie wątpił, że ofiarowali mu swą przyjaźń, że mógłby ją mieć, gdyby tylko zechciał; dostatecznie dobrze poznał tych ludzi, by bez trudu odczytywać ich intencje, doceniać je i rozumieć.

Wiedział, że byli szczerzy, kiedy wieczór wreszcie dobiegł końca i całą grupą przeszli do holu, żeby się pożegnać, a wtedy kolejno zwracali się do niego z życzeniami pomyślności, szybkiego i nieustającego powrotu do zdrowia, wymieniali z nim uściski dłoni lub całowali go w policzek, żegnając się aż do następnego spotkania.

Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze się spotkają.

Zależało to od Stokesa i policji. To w ich rękach spoczywała przyszłość Thomasa.

Oni określą, jaka ta przyszłość będzie.

Zawarł umowę i nie zamierzał się z niej wycofywać. Stokes i Adair wypełnili swoją część z nawiązką; do Thomasa należało teraz zapłacić uzgodnioną cenę.

Stokes i Griselda wychodzili jako ostatni.

Pożegnawszy się z Barnabym, Penelope i Rose, Stokes odwrócił się do Thomasa i wyciągnął dłoń. Kiedy Thomas ją uścisnął, Stokes popatrzył mu w oczy. I skinął głową.

– Zajrzę tu jutro z rana. Pora, żebym przedstawił panu, jak wyglądają policyjne akta Malcolma Sinclaira.

Thomas poczuł, jak chłód muska mu duszę, niemniej, ani na jotę nie zmieniając swobodnego wyrazu twarzy, wytrzymał szare spojrzenie Stokesa i skłonił głowę.

– Będę czekał.

Stokes przytaknął, puścił jego dłoń i odwrócił się, żeby wziąć Megan z ramion Griseldy. Minutę później wsiedli do powozu i odjechali.

Mostyn zamknął drzwi wejściowe. Rose i Penelope pierwsze ruszyły po schodach na górę, nachylone ku sobie głowami, kiedy planowały jakąś wycieczkę. Barnaby, szeroko uśmiechnięty, dołączył do Thomasa i razem podążyli za damami.

*

Wiedział, że Rose przyjdzie do niego tej nocy. Jednakże, ponieważ nie wierzył w przyszłość, poczynił już konieczne ustalenia. Całe tygodnie temu sporządził nowy testament, aby jeśli coś mu się stanie, ona i dziecko, jakie potencjalnie mogła urodzić, żyli w luksusie. Nie miał pojęcia, co przyniesie jutro, a ze względu na jej przyszły dobrostan ani myślał ryzykować.

Leżał już w łóżku na wznak, z ramionami skrzyżowanymi za głową, kiedy wślizgnęła się do pokoju. Jej koszula nocna połyskiwała bielą, blady róż peniuaru wydawał się przytłumiony w miękkim blasku świecy, którą oświetlała sobie drogę.

Podeszła do łóżka, spostrzegła, że Thomas nie śpi, i się uśmiechnęła.

W jej oczach lśniło coś więcej niż radość i choć czuł, że powinien podjąć wysiłek, by jej to wyperswadować, kiedy postawiła świecę na szafce nocnej, po czym zdjęła peniuar, pozostał niemy.

Obserwował. Sycił nią oczy, kiedy nachyliła się i przytrzymując z tyłu ciężkie, rozpuszczone włosy, zdmuchnęła świecę.

Spowiła ich ciemność, lecz księżyc świecił dostatecznie mocno, żeby Thomas widział na twarzy Rose zadowolenie, oczekiwanie na szczęście i przyjemność, kiedy chwyciła przykrycia, które dla niej uniósł, i wślizgnęła się do łóżka, na wolne miejsce, jakie zrobił

dla niej u swego boku.

Odwróciła się do niego, oparła dłonie na jego klatce piersiowej, zajrzała mu w oczy, lustrowała twarz, a potem przekrzywiła głowę.

– O co chodzi? Nie próbujesz mi mówić, że nie masz przyszłości i nie powinnam… nie powinniśmy tego robić?

Nie zapomniała, nie bardziej niż on.

Nakrył jedną jej rękę swoją, uniósł do ust i delikatnie otarł się wargami o jej smukłe palce, a później rozwinął je i przez cały czas patrząc jej w oczy, wycisnął gorętszy, mocniejszy pocałunek we wnętrzu jej dłoni.

– Zrezygnowałem z udawania. – W ciemności zaglądał jej w oczy, a potem przesunął wzrok na włosy, ślizgał się nim po jej twarzy, ramionach, sylwetce. – Udawania, że cię nie pragnę. – Wrócił spojrzeniem do jej twarzy. – Że cię nie kocham. Że nie jesteś dla mnie niezbędna jak słońce i księżyc, wiatr i deszcz.

Wpatrywała się w niego, a potem ujęła go za kark i przyciągnęła do siebie.

– To dobrze. Niechże więc wolno mi będzie cię kochać.

Pozwolił jej postawić na swoim – czy też myśleć, że to zrobiła. Wciągnęła go w pocałunek, który szybko stał się namiętny. I jeszcze gorętszy. Coraz bardziej przepełniony potrzebą i głodem, coraz bardziej wymagający, aż zawładnął obojgiem, strawił ich i pchnął dalej.

W wir namiętności, pożądania, które przez kilka ostatnich tygodni powstrzymywali, wypierali ze względu na okoliczności, lecz teraz puścili swobodnie, wyzwolili.

Ręce wędrowały, gładziły, pieściły – zawłaszczały. Zdjęła koszulę nocną, rzuciła na podłogę. Wkroczyła w jego ramiona, ciałem, dłońmi, wargami i językiem śmiało, bezczelnie domagała się więcej.

Tym razem nastała jego kolej, by dawać. Jego kolej, by kochać ją bez zastrzeżeń, bez skrępowania.

By jej pokazać.

Wszystko. Wszystko, co żyło w jego wnętrzu. Wszystko, co zawładnęło jego sercem.

Wszystko to – bez wyjątku – złożył u jej stóp, otwarcie, bez zahamowań.

Nie miał pojęcia, co przyniesie jutro, jemu, im dwojgu, lecz tej nocy mieli to.

Siebie nawzajem.

Swoją miłość.

Wiła się, naga, zamknęła dłonie na jego dłoniach, które zaciskał na jej biodrach, by trzymać ją nieruchomo, kiedy chłeptał i smakował, doprowadzając ją do szaleństwa.

Obnażony, zrzucił bowiem z siebie wszystkie osłony, tak by ujrzała głębię jego uczuć, dotknęła, skosztowała i poznała jego wrażliwość.

Poznała głębię wszystkiego, co czuł.

Do niej.

Kochał Rose.

Ta miłość stała się czymś więcej aniżeli tylko wybawieniem.

Rose była dlań wszystkim, oddawał się jej niezmordowanie. Hojnie obdarzał ją swym przywiązaniem.

Tutaj, tej nocy, wybór należał do niego, dostąpił objawienia.

Kiedy wszakże zamierzał unieść się nad nią i ich połączyć, pchnęła go z powrotem na plecy.

– Nie – zamruczała namiętnie. – Nadal jesteś obolały.

Nie miał pojęcia, skąd wiedziała, ale gdy dosiadła go i z majestatyczną pewnością

siebie otuliła swym ciałem, wzięła w siebie i przytrzymała, ofiarował jej nawet to – swoje poddanie.

Wiodła go przez krajobraz, który wspólnie stworzyli, krajobraz namiętności i żaru, pożądania i głodu, on zaś szedł, chętnie dzieląc z nią każdy moment, aż wyrósł przed nimi nieunikniony szczyt i wdarli się na niego, a potem dalej, szturmując zmysłowe słońce.

Przez jedną olśniewającą chwilę więziła ich ekstaza, ostra jak kryształ, roziskrzona jak diament. Później się rozpadła w wybuchu złotej rozkoszy.

A w nich jaśniały radość, szczęście, świetlista miłość; rozkosz śpiewała głęboko w żyłach.

Aż w końcu było po wszystkim, osunęli się ciężko i otuliło ich zaspokojenie.

Oplatał ją ramionami, trzymał blisko przy sobie i poddał się radości, szczęściu.

I, przede wszystkim, miłości.

ROZDZIAŁ 17

Thomas stał przy oknie w saloniku na tyłach domu, przyglądając się, jak Rose, Penelope i Griselda bawią się na trawniku z czwórką dzieci, kiedy do pokoju wszedł Stokes.

Thomas zerknął za siebie, a potem odwrócił się, oczekując, że inspektor zechce porozmawiać z nim w bardziej oficjalnej scenerii, ten wszakże podszedł, ulokował się u jego boku i skupił na obrazku za oknem.

Ponieważ nie widział powodu, by się z tym spierać, Thomas także wrócił do sceny na zewnątrz.

I czekał.

– Gwoli jasności, nie była to wyłącznie moja decyzja – odezwał się w końcu Stokes. – Przedyskutowałem sprawę z Adairem, jako że również był zaangażowany. Jego ojciec oraz główny komisarz też rozważyli tę kwestię. Nie jest to prosta sytuacja.

Thomas milczał; nie znajdował na to odpowiedzi.

Czekał.

Ale Stokes nie rzekł nic więcej.

Odnosząc wrażenie, że inspektor ma trudność ze znalezieniem właściwych słów, Thomas podsunął cicho:

– Rozumiem, że przyszedł mnie pan aresztować.

Stokes założył ręce za plecy i wziął głęboki oddech.

– Nie. – Milczał chwilę, zanim, ze wzrokiem utkwionym nadal w scence na trawie, podjął: – Przyszedłem poinformować pana, że jeśli chodzi o policję i wszystkie inne zaangażowane strony, Malcolm Sinclair umarł pięć lat temu, kiedy most zerwał się pod nim nad wodospadem na Will's Neck w Somerset, zaraz po tym, jak pomógł Charlesowi Morwellanowi, hrabiemu Meredithowi, uniknąć podobnego losu.

Thomas zamrugał.

– Ale przecież nie umarłem.

– Nie? Pan jako człowiek być może nie umarł, zapewniam pana jednak, że Sinclair i owszem. Został uznany za zmarłego… za moją rekomendacją, pozwolę sobie dodać… potwierdzono autentyczność jego testamentu, a nad rozprowadzeniem jego majątku między wskazanych beneficjentów czuwało kilku najbardziej znaczących parów… Czy ma pan pojęcie, jak trudne byłoby wskrzeszenie Malcolma Sinclaira? – Zaciskając szczęki, Stokes pokręcił głową. – I po co? Jedynie po to, żeby pana powiesić… albo, co bardziej prawdopodobne, deportować… na podstawie tamtego zeznania sprzed lat? – Prychnął. – Sądy, policja i ja mamy lepsze zajęcia.

Thomas zmarszczył brwi. Nie tego oczekiwał; nie był pewien, co zrobić, jak zareagować – czy impuls, żeby po prostu zaakceptować decyzję i ruszyć dalej, był właściwym zachowaniem, czy jedynie tchórzliwą tęsknotą.

Wreszcie Stokes spojrzał na niego, zobaczył wyryty na jego twarzy dylemat i, co zaskakujące, zdawał się rozumieć.

– Musi pan rozważyć tę kwestię z punktu widzenia dobra społecznego. Taką przyjęliśmy perspektywę… zawsze taką przyjmujemy, gdy rozstrzygamy w sprawach tego rodzaju. Jakkolwiek działania Malcolma Sinclaira niekiedy pośrednio prowadziły do zbrodni, nawet tragedii, jego śmierć przyniosła mnóstwo dobrego sporej grupie zasługujących na to osób. Jego testament to zagwarantował i, jak wspomniałem, wielu ludzi poświęciło swój czas i wysiłki, jak również użyczyło swej pozycji, aby ów testament został należycie wykonany. – Stokes zrobił krótką przerwę. – Jeśli sprawiedliwość polega na wyrównaniu szalek wagi, to sposób, w jaki zginął Malcolm Sinclair, oraz oddziaływanie jego testamentu przeważyły grzechy jego życia. Wynagrodził szkody i jego rachunek jest zamknięty.

Inspektor znowu na chwilę umilkł.

– Co doprowadza nas do pana, Thomasa Glendowera – podjął wreszcie. – Człowiek, którym jest pan teraz, nie stwarza dla nikogo zagrożenia. Więcej, stanowi pan dla społeczeństwa cenny nabytek, i to na wielu poziomach. Poprzez zarządzane przez siebie fundusze wspiera pan wiele instytucji, od niosących pomoc potrzebującym po zajmujące się szeroko rozumianą sztuką. – Sapnął. – Gdyby policja okazała się na tyle głupia, żeby wykonać przeciw panu ruch, połowa dam z Mayfair i niejeden dżentelmen zapukaliby do drzwi głównego komisarza z pytaniem, co niby sobie wyobrażamy.

Stokes pokręcił głową.

– Proszę nie sądzić – ciągnął – że po prostu przymykamy oko: sprawdziłem. I jakkolwiek nie jest jasne, jak pan, Thomas, zdobył początkowe fundusze, były one relatywnie skromne, przy czym, tak czy owak, nawet jeśli uzyskał je pan w sposób niezgodny z prawem, ich późniejszy wzrost stanowił wyłącznie pańską zasługę, wynikał z pana wyjątkowego talentu do pewnego typu inwestycji o wysokiej stopie zwrotu… tak, tu cytuję Montague'a… a kwoty, które od tamtej pory przekazał pan na szereg przedsięwzięć dobroczynnych, dosłownie przygniatają tamte pierwsze środki, czynią je niewartymi wzmianki.

Wbił wzrok w podłogę i tym razem jego milczenie wydawało się cięższe, bardziej refleksyjne.

Thomas czekał. Wyczuwał, że jest coś więcej, był jednak za mądry na to, by popędzać rozmówcę. Pomimo kierunku, w jakim wyraźnie zmierzał Stokes, nie pozwalał sobie jeszcze wierzyć… żywić nadziei.

– W życiu policjanta – rzekł Stokes, zniżając głos – bywają chwile, rzadkie, kiedy musi wybrać pomiędzy stosowaniem się do litery prawa a działaniem dla większego dobra społeczności, której przysiągł służyć. Adair, jego ojciec, główny komisarz i wszystkie inne osoby zaangażowane w tę sprawę wiedzą, że w tym przypadku stoimy przed takim właśnie wyborem… i nie mamy wątpliwości, jaką decyzję podjąć. –

Podniósł wzrok i po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju, spojrzał Thomasowi prosto w oczy… z nieoczekiwanymi pokładami współczucia i zrozumienia. – Malcolm Sinclair umarł. Thomas Glendower żyje i jest szanowanym członkiem społeczeństwa.

Thomas patrzył w oczy Stokesa – i poczuł się słaby, raptem oderwany od rzeczywistości. Lekki, jakby jego dusza unosiła się swobodnie…

Ulga, głębsza i bardziej intensywna niż jakakolwiek dotąd. Nie wierzył, naprawdę nie wierzył, że ten moment – wybaczenie, wolność – kiedykolwiek będą mu dane.

– Dziękuję. – Jedynie tyle był w stanie powiedzieć.

Stokes uśmiechnął się nieznacznie i po raz kolejny skupił na scenie za oknem.

– Nie mnie powinien pan dziękować, jeżeli jednak pragnie pan zrewanżować się nie

tylko mnie, ale i światu – skinieniem głowy wskazał na zewnątrz – oto pańska droga. Rose, William i Alice, oni pana potrzebują. Nie kogokolwiek, lecz konkretnie pana, kogoś zorientowanego, skutecznego. Kto potrafi nad nimi czuwać.

Thomas podążył za wzrokiem Stokesa do miejsca, gdzie Rose, William i Alice dokazywali z pozostałymi w jakiejś żywiołowej zabawie.

– Mają Richarda Percivala, to ich rodzina, najbliższy krewny.

– Być może, ale mu nie ufają tak jak panu, i nigdy nie będą. Zwłaszcza Rose nigdy nie poczuje się z nim tak bezpieczna jak z panem. A co do Williama… jest stanowczo zbyt inteligentny, żeby mu to wyszło na zdrowie, ale pan ma w tym zakresie doświadczenie. Wie pan, lepiej niż ktokolwiek, jak poradzić sobie z taką sytuacją.

Thomas usiłował przyswoić, w pełni ogarnąć i zaakceptować implikacje słów Stokesa; ta perspektywa przekraczała wszystko, do czego kiedykolwiek śmiał dążyć. Przekraczała tak znacznie, że problem sprawiało mu zmierzenie się z nią choćby tylko w myślach. Czuł się jak dziecko, które w bożonarodzeniowy poranek otrzymuje najbardziej upragniony podarek i boi się go dotknąć, na wypadek gdyby miał okazać się jedynie iluzją… Zaczerpnął powietrza i zmusił się, żeby ubrać ten strach w słowa.

– Zatem dalej… co? Pozostaję Thomasem Glendowerem i…

Tym razem Stokes zdawał się nieświadom jego stanu, druzgocącej go niepewności. Wpatrzony w grupę na trawie, wzruszył ramionami.

– Prowadzi pan normalne życie. – Ruchem głowy wskazał na zewnątrz. – Żeni się pan z Rose, pomaga jej wychować Williama i Alice, płodzi własne dzieci. – Uśmiechnął się znacząco. – Proszę mi wierzyć, posiadanie dzieci zmienia mężczyznę bardziej niż cokolwiek innego… i to wyłącznie na lepsze. A skoro o tym mowa – Stokes zerknął na niego – chyba do nich dołączę.

Thomas odkrył, że potakuje na znak zgody. Wziął głębszy oddech i mocniej chwycił laskę.

– Pańska propozycja… – wymamrotał, ruszając w ślad za Stokesem ku otwartym drzwiom tarasowym. – Zajmie mi chwilę, nim przywyknę do tej myśli.

Stokes prychnął.

– Niech pan z tym za długo nie zwleka, żaden już z pana szczawik. – Wyszedłszy na taras, poczekał, aż Thomas doń dołączy, po czym rzekł: – Tak na marginesie, jedno, na czym by nam… naszej grupie śledczych, z komisarzami włącznie… zależało, to możliwość zwrócenia się do pana, żeby skorzystać z pańskiej szczególnej wiedzy na temat pomnażania kapitału, gdyby w przyszłości pojawiły się sprawy, w których ten aspekt się przewija.

Thomas ochoczo skłonił głowę.

– Cała moja wiedza jest do pańskiej dyspozycji, wystarczy, że pan poprosi.

– Doskonale. – Stokes zatarł dłonie. – Wobec tego… o co, u diabła, chodzi w tej ich grze? – Zszedł z tarasu i ruszył przez trawnik. – Czy ona ma w ogóle jakiś sens?

Uzasadnione pytanie, pomyślał Thomas, zdążając za nim nieco wolniej.

Nadal kręciło mu się w głowie. Nadal zmagał się ze świadomością, że wszystko, czego pragnął w życiu, teraz znalazło się w jego zasięgu. Kiedy kuśtykał przez schludnie przystrzyżony trawnik, roztrzęsiony, stąpając chwiejnie, czuł się tak, jakby wkraczał w nowe życie… co, w rzeczy samej, przypuszczalnie właśnie robił.

Tymczasem Stokes zatrzymał się w pewnej odległości od rozszczebiotanej gromadki – siedzących na trawie dam, których spódnice nadymały się wokół nich, i czołgających się pomiędzy nimi dzieci, bawiących się, jak się zdawało, w jakąś szczególną odmianę berka.

Przystanąwszy obok Stokesa, Thomas obserwował zabawę, lecz jego umysł ciągle szukał odpowiedniej perspektywy.

– Spoglądając wstecz – rzekł cicho – życzyłbym sobie, bym w młodości spotkał ludzi takich jak Montague, Barnaby czy choćby pan, kogoś, kto zaznajomiłby mnie z wyzwaniami, jakie wiążą się z doprowadzaniem przestępców przed oblicze sprawiedliwości, albo tylko po prostu z pomnażaniem pieniędzy po to, by pomóc innym, w miejsce skupiania się na realizacji własnych korzyści, co było wszystkim, czego nauczył mnie mój nieżyjący już opiekun, za którym skądinąd nie rozpaczałem.

Wpatrzony w kobiety i dzieci, wziął głęboki oddech, a później wypuścił powietrze – i poczuł się tak, jakby wypuszczał z siebie przeszłość, uwalniał ją, pozwalając odejść tam, gdzie było jej miejsce.

– Z drugiej strony, gdyby tak się zdarzyło, czy stałbym w tej chwili tutaj? – Ruchem głowy wskazał Rose i dzieci. – Obserwując ich, planując wspólne życie… mając szanse przeżyć życie z nimi?

Stokes z uśmiechem popatrzył mu w oczy.

– Zaiste, niezbadane są wyroki losu – stwierdził, po czym spojrzał znów na grupkę i uśmiechając się jeszcze szerzej, ruszył spytać, czy może dołączyć do kręgu.

Powitano go z entuzjazmem.

Przesuwając się, żeby zrobić miejsce dla Stokesa, Rose podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Thomasa i uniosła brwi.

Thomas się uśmiechnął. Wahał się zaledwie moment, po czym pokuśtykał naprzód, wielce chętny zająć swoje miejsce, nareszcie wolny.

*

Malcolm Sinclair umarł na zawsze. Thomas Glendower żył.

To Thomas kochał Rose i on też, pewnego przyjemnego sierpniowego ranka, poślubił ją w kaplicy majątku Seddington, w asyście Williama i Alice, teraz w pełni przywróconych do swych godności i właściwych imion, za rozpromienioną publiczność mając londyńskich przyjaciół, Richarda Percivala oraz całą służbę z Seddington Grange. Roland przyjechał z Somerset, żeby pobłogosławić ich związek; stawił się nawet Foley.

Pomimo otaczającego ich tłumu Thomas i Rose widzieli tylko siebie nawzajem.

Wypowiadał słowa przysięgi wyraźnie, każde z nich szczerze – kochać, szanować, otaczać opieką.

Na zawsze. Dopóki śmierć ostatecznie, naprawdę ich nie rozłączy.

I nawet potem.

Dzień był przepiękny; świętowanie przeciągnęło się na kolejne. Ciepło, z jakim tyle osób go obejmowało, pozostało z Thomasem. Przypominało mu, że istotnie nie był już tym samym człowiekiem co dawniej.

Kiedy ponad dwa miesiące później wrócili do Londynu, w powietrzu czuło się już jesień. Ponieważ Thomas nalegał, on, Rose, William i Alice poszli South Audley Street, po czym skręcili i minęli kaplicę Audley, by dostać się na cmentarz.

Trzymając Thomasa pod ramię, Rose szła obok niego prowadzącą na cmentarz brukowaną alejką. Wykurował się już z obrażeń, jakich doznał wskutek upadku z dachu Seddington House, i znów nosił laskę raczej na wszelki wypadek niż dlatego, że stale jej potrzebował.

William i Alice wysforowali się naprzód, każde po innej stronie alejki, i odczytywali

nazwiska, zabawiając się nawzajem wykrzykiwaniem tych co bardziej niezwykłych.

Rose – teraz na powrót Rosalind, lecz dla Thomasa ona na zawsze pozostanie jego Rose – przytuliła się do jego ramienia i podniosła nań wzrok.

– Dlaczego tu przyszliśmy?

Nie nalegała na żaden konkretny cel wyprawy, kiedy wyszli z Seddington House, obecnie w pełni obsadzonego służbą, znów funkcjonującego. Gdy spytała, dokąd idą, Thomas odparł, że musi odwiedzić pewne miejsce, zanim wyruszą do Kornwalii, żeby odzyskać pozostawione we dworze rzeczy osobiste, zatrudnić nowych dozorców i uporządkować wszystko przed powrotem do Seddington Grange na Boże Narodzenie. Teraz, otoczona grobami osób z towarzystwa, Rose zastanawiała się, jaki konkretny fragment swej zawiłej przeszłości przyszedł złożyć tu na spoczynek.

– Przyszliśmy odwiedzić czyjś grób? – spytała, rozglądając się.

– Tak. Czy też – popatrzył przed siebie – ja po to tutaj przyszedłem. – Jak zwykle przez chwilę rozważał, ile jej wyjawić, po czym spojrzał na nią. – Jej nazwisko najprawdopodobniej nic ci nie powie… znałem ją jako starszą damę, a to było ponad dwadzieścia lat temu. Ale chciałem złożyć jej wyrazy szacunku… zanim podążę dalej.

Popatrzył przed siebie. Zaintrygowana, Rose rozglądała się, kiedy szli.

Wskazał laską.

– Wydaje mi się, że jej grób powinien być gdzieś tutaj.

Zboczyli w tę sekcję, idąc ścieżkami między rzędami grobów.

– Jest.

Machnął laską ku schludnemu, eleganckiemu, lecz nie ostentacyjnemu grobowcowi z marmuru. Zwieńczony grającym na lutni aniołem kamień nagrobny był czysty, parcela zadbana.

Tuląc się do jego ramienia, Rose przystanęła wraz z nim u stóp grobu.

– Edith Balmain.

Spojrzała na Thomasa – swego męża – i poczuła znajomy dreszcz, przeszywający ją za każdym razem, kiedy docierało do niej, że wreszcie jest to prawda. Twarz miał spokojną; jej zwykły wyraz nie był już tak beznamiętny jak dawniej, lecz poza tym, że starsza dama nie należała do osób, których Thomas nie lubił, Rose nie zdołała wyczytać z niej nic więcej.

– Kim była? – *A przede wszystkim, kim była w relacji do ciebie?*

Jak zwykle odpowiedział na to ukryte pytanie, dla niej najważniejsze.

– Była starszą damą, która od początku przejrzała mnie na wylot. Dała mi radę, której wtedy nie posłuchałem… Byłem na tyle młody, na tyle arogancki, by sądzić, że wiem wszystko… Z czasem jednak doceniłem jej słowa. Widziała moje słabe i silne strony, jak również mój potencjał. Rozumiała mnie jak nikt inny. – Popatrzył na Rose. – Dopiero ty.

Rose zajrzała w jego piwne oczy i zobaczyła lśniące spokojnie i mocno oddanie, na które zawsze będzie mogła liczyć, jego największy dar dla niej. Po chwili zaczerpnęła tchu i oboje popatrzyli na grób.

– Ros-a-lind!

To William; Rose się obejrzała.

Thomas delikatnie ścisnął jej dłoń.

– Idź. Nie zabawię długo. – Popatrzył jej w oczy. – Dogonię was… możemy iść dalej prosto i wyjść furtką na końcu alejki.

Przez chwilę odwzajemniała jego spojrzenie, a potem skinęła głową. Puściła jego ramię i poszła w stronę Williama i Alice, którzy z uwagą badali czyjś grób.

Thomas odprowadzał ją wzrokiem. Los najwyraźniej uznał radę Stokesa za rozsądną, gdyż Rose oczekiwała już ich pierwszego dziecka – błogosławieństwo i perspektywa, na myśl o których robiło mu się słabo.

Z radości.

Przepełniającej serce radości, tak naprawdę nieznanej mu aż do czasu, gdy przybył do Breage Manor, zapukał do własnych drzwi i spotkał Rose.

Spojrzał znów na miejsce ostatniego spoczynku Edith Balmain, podczas gdy owa wzbierająca radość pokrzepiała mu duszę. Uśmiechnął się.

– Myślę, że byłaby pani zadowolona z tego, jak wszystko się potoczyło – rzekł cicho, bez zwykłej powściągliwości, dystansu, jaki instynktownie utrzymywał wobec większej części świata. – Dawno temu powiedziała mi pani prawdę o mnie… była pani jedyną osobą, która kiedykolwiek to zrobiła. Jedyną, która starała się do mnie dotrzeć, która rozumiała mnie na tyle, by podjąć taką próbę. Ja wszakże byłem wówczas zbyt młody, zbyt niedojrzały, zbyt napuszony z powodu własnej błyskotliwości, żeby poświęcić pani słowom należytą uwagę. – Zrobił krótką przerwę, po czym przyznał: – Mimo to nawet wtedy wiedziałem, że ma pani rację, trzeba było jednak sporo czasu… i przykładu jednej z pani potomkiń, Sary, obecnie hrabiny Meredith… żebym przejrzał na oczy i wreszcie przyjął to do wiadomości. I się zmienił.

Przemieścił się tak, by zamknąć obie dłonie na rączce laski.

– Zmieniłem się – ciągnął, wpatrzony w grób – i sądziłem, że na tym koniec, lecz się myliłem. Ta przemiana… wygląda na to, że dla mnie okazała się jedynie początkiem, że pomimo mego wieku dopiero niedawno zacząłem żyć… Zacząłem żyć tak, jak powinienem. Fakt, że nadal tu jestem… Na pewno powiedziałaby pani, że to znak, wytyczna z góry, jak powinny przedstawiać się sprawy. Zatem… przez cały czas, jaki mi dano, jaki mi pozostał, będę nosił w sercu pani słowa sprzed lat i dążył do tego, by żyć mądrze.

Umilkł, przypominając sobie starszą damę o przeszywającym spojrzeniu, raz jeszcze słysząc jej wnikliwe słowa, a później na powrót skupił wzrok na nagrobku i się uśmiechnął.

– Pod wieloma względami całe czynione przeze mnie teraz i w przyszłości dobro bierze się z tamtych pani słów. Nie podziękowałem pani za życia, pomyślałem jednak, że z chęcią dowie się pani, że ich wpływ, pani wpływ, przetrwał, trwa tak długo po pani odejściu.

Po chwili mocniej chwycił laskę i zaczął się odwracać, lecz raz jeszcze się zatrzymał.

– Nie wyjawiła mi pani jednego – rzekł – mimo że z pewnością posiadała pani tę wiedzę: żadna inna siła na świecie nie ma tak przekształcającej mocy jak miłość.

Odwrócił się, odszukał wzrokiem lśniącą głowę Rose – skoncentrował się na niej, na swej przyszłości, i podążył im na spotkanie.



Łotr Malcolm Sinclair cudem uniknął śmierci. Dla świata został pogrzebany, jednak udało mu się przeżyć i odzyskać sprawność. Teraz, jako Thomas Glendower, stara się odpokutować za dawne przewiny. Kiedy po latach wraca do swego wiejskiego domu, nieoczekiwanie zastaje tam wdowę z dwójką dzieci. Rose udaje służącą, którą z pewnością nie jest, lecz jej tajemnicę Thomas pozna dopiero, gdy niebezpieczeństwo będzie bardzo blisko. Zaczyna wierzyć, że został oszczędzony właśnie po to, by ocalić Rose i dzieci, choćby za cenę własnego życia.

bis
www.wydawnictwobis.com.pl